

Orson Scott Card

STATKI ZIEMI

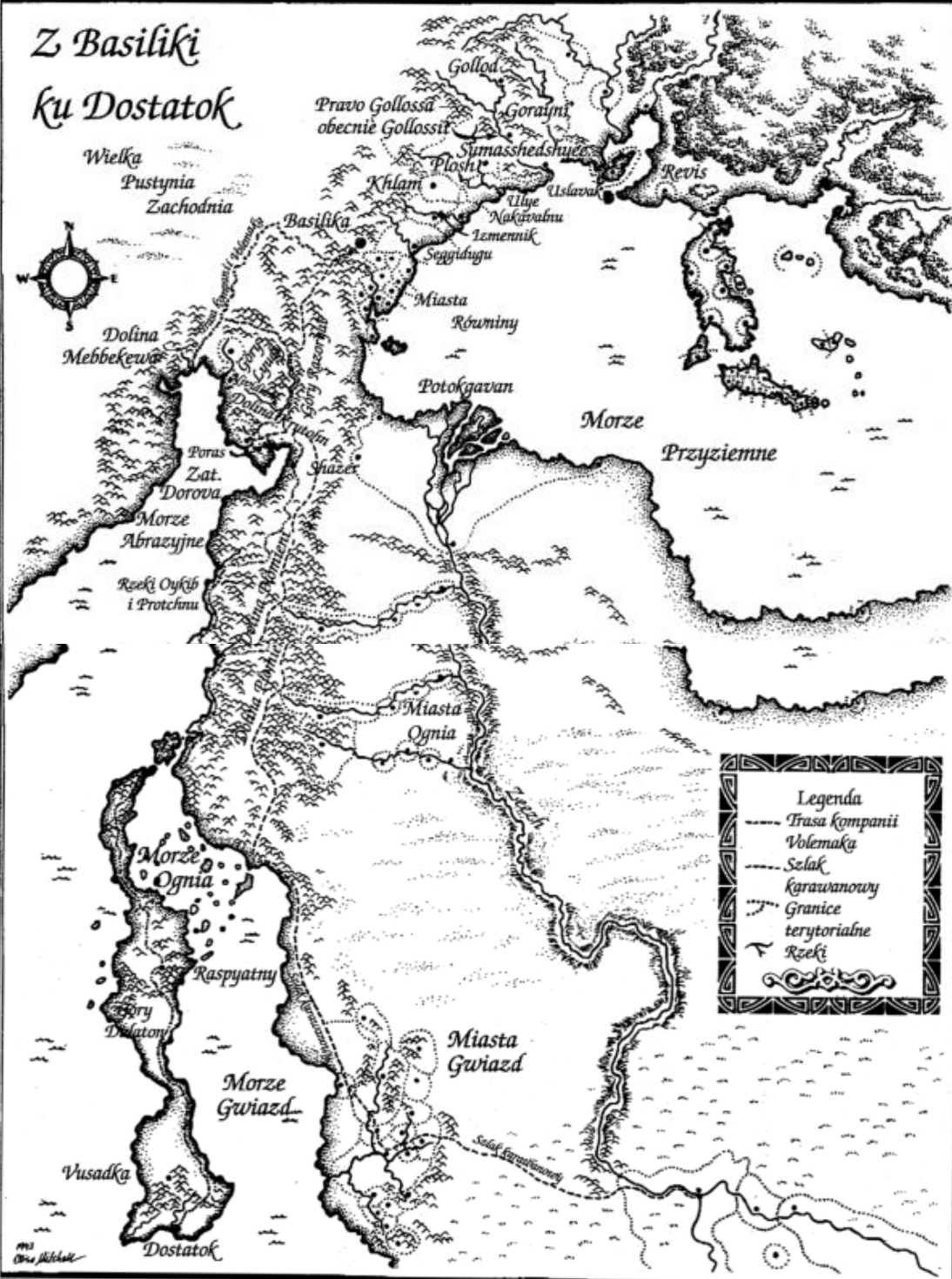
THE SHIPS OF EARTH

Przełożył
Kamil Lesiew



*Billowi i Laraine Moonom
za mile wspomnienia świątyn i centrów handlowych,
fotokopiarek i biuletynów,
wspaniałych dzieci i miłego towarzystwa,
bezinteresownej miłości i nieprzemijającego szacunku.*

Z Basiliki ku Dostatok



Objaśnienia genealogiczne

Z powodu zwyczajów małżeńskich panujących w mieście Basilika związki pokrewieństwa są nieco zawile. Poniższe tablice genealogiczne dadzą jaśniejszy ich obraz. Imiona kobiet są pisane kursywą.

RODZINA WETCHIKA

	Yolemak, Wetchik	
<i>(Hosni)</i>	<i>(Kilvishevex)</i>	<i>(Rasa)</i>
Elemak	Mebbekew	Issib Nafai

RODZINA RASY

	Rasa	
<i>(Wetchik)</i>	<i>(Gaballufix)</i>	<i>(Wetchik,</i> <i>drugi kontrakt)</i>
Issib	<i>Sevet Kokor</i>	Nafai

SIOSTRZENICE RASY

(jej wzorowe uczennice, „zaadoptowane” poprzez udzielanie im stałego poparcia finansowego)

Shedemei	Lal	Eiadh	Hushidh i Luet (siostry)
----------	-----	-------	--------------------------

RODZINA HOSNI

	Hosni	
(Zdedhnoi)	(kilku innych)	(Wetchik)
Gaballufix	Psugal <i>Azh</i> Okhai	Elemak
(Rasa)		
Sevet	Kokor	
(par. Vas)	(par. Obring)	

Imiona zdrobniale

Większość imion posiada zdrobnienia lub formy poufale. Przykładowo bliski krewny, dobrzy przyjaciele, obecna partnerka i poprzednie partnerki Gaballufixa mogliby go nazywać Gab. Poniżej wyszczególniono inne imiona zdrobniałe (ponieważ są obce, imiona kobiece napisano kursywą):

Dhelembuvex - Dhel

Lal - Lalya

Drotik - Dorya

Eiadh - Edhya

Elemak - Elya

Hosni - Hosya

Hushidh - Shuya

Issib - Issya

Kokor - Kyoka

Luet - Luty

Mebbekew - Meb

Nafai - Nyef

Obring - Briya

Rasa - (nie ma zdrobnienia)

Rashgallivak - Rash

Roptat - Rop

Sevet - Sevy

Shedemei - Shedy

Smelost - Smely

Vas - Vasy

Volemak - Voly

Wetchik - (nie ma zdrobnienia; tytuł rodziny Volemaka)

Zdorab - Zody

Wymowa imion

Przy czytaniu tej opowieści nie ma większego znaczenia, czy czytelnik wymawia imiona bohaterów poprawnie. Ale dla zainteresowanych podano kilka informacji dotyczących wymowy imion.

Zasady tworzenia samogłosek w języku Basiliki wymagają, aby w większości słów przynajmniej jedną samogłoskę wymawiać z wiodącą spółgłoską *j*. W imionach może to być prawie każda samogłoska i mówiący może ją zmieniać - bez uszczerbku dla poprawności językowej - zgodnie ze swoimi upodobaniami. Dlatego imię Gaballufix można wymawiać Gjah-BA-lu-fiks albo Ga-BA-Zju-fiks; tak się składa, że sam Gaballufix preferował wymowę Gah-BJA-lu-fiks i oczywiście większość ludzi stosowała właśnie tę formę.

Dhelembuvex (del-EM-bju-weks)

Lal (LJAL)

Drotik (DROT-jik)

Eiadh (EJ-jad)

Elemak (EL-je-mak)

Hosni (HJOZ-ni)

Hushidh (HJU-szid)

Issib (IS-jib)

Kokor (KJO-kor)

Luet (LJU-et)

Mebbekew (MEB-bek-kju)

Nafai (NJA-faj)

Obring (OB-rjing)

Rasa (RAZ-ja)

Rashgallivak (rasz-GJA-li-wak)

Roptat (ROŁP-tjat)

Sevet (SEW-jet)

Shedemei (SZJED-e-mej)

Truzhnisha (truż-NJI-sza)

Vas (WJAS)

Volemak (WOL-je-mak)

Wetchik (ŁET-czjik)

Zdorab (ZDOR-jab)

Prolog

Główny komputer planety Harmonia w końcu był pełen nadziei. Udało mu się wyprawić z miasta Basilika wybrańców, którzy teraz przemierzali świat w ramach pierwszej z dwóch tułaczek. Ta obecna miała ich zaprowadzić poprzez pustynię, wskroś Doliny Płomieni, na południowy kraniec wyspy niegdyś zwanej Vusadką, na której od czterdziestu milionów lat żaden człowiek nie postawił stopy. Druga zaś prowadziła do położonego tysiąc lat świetlnych od tego miejsca ludzkiej kolebki - Ziemi, opuszczonej przed czterdziestu milionami lat, teraz gotowej na ponowne przyjęcie istot ludzkich.

Ale nie wszystkich, tylko tych konkretnych, poczętych po milionie pokoleń ukierunkowanej ewolucji i obdarzonych najsilniejszą zdolnością do komunikacji z głównym komputerem - rozum z rozumem, pamięć z pamięcią. Jednak główny komputer, nakłaniając ludzi obdarzonych tą mocą do łączenia się w pary i tym sposobem wzmacniania tego talentu u ich potomstwa, nawet nie próbował wybierać jedynie najbardziej przyzwoitych czy posłusznych, a choćby i najbystrzejszych czy umiętnych. To nie leżało w gestii zaprojektowanych dla niego procedur. Ludzie dzielą się na trudniejszych w obyciu i uległych, mniej lub bardziej niebezpiecznych, przydatnych lub niekoniecznie, ale głównego komputera nie zaprogramowano, by okazywał preferencje co do przyzwoitości czy poczucia humoru.

Pierwsi osadnicy planety Harmonia stworzyli go z myślą o jednym jedynym celu - zachowaniu gatunku ludzkiego przy życiu poprzez niedopuszczenie go do technologii umożliwiających rozprzestrzenianie się wojen i tworzenia imperiów na tyle, by mogły nieodwracalnie zaszkodzić zdolności planety do podtrzymywania ludzkiego życia, jak to miało miejsce na Ziemi. Dopóki człowiek będzie walczył jedynie bronią białą i podróżował tylko wierzchem, dopóty ta kraina przetrwa, a jej mieszkańcy będą mieli wolną wolę czynienia dobra i zła.

Problem w tym, że od czasu instalacji tego pierwszego oprogramowania wpływ głównego komputera na ludzkość znacznie osłabł. Niektórzy ludzie potrafili komunikować się ze swoim nadzorcą z wprost niewyobrażalną przejrzystością. Jednak związek z resztą pozostawał słaby, wskutek czego na powierzchni planety zaczęły pojawiać się nowe narzędzia wojny i środki transportu. I choć niewykluczone, że apokalipsa miała nastąpić dopiero za tysiące lub dziesiątki tysięcy lat, to koniec świata się przybliżał. A główny

komputer planety Harmonia nie miał pojęcia, jak odwrócić tę tendencję.

Toteż podjął pilną próbę powrotu na błękitną planetę, gdzie Opiekun Ziemi mógłby wprowadzić zmiany w jego programie. W ostatnim czasie główny komputer i jego ludzcy sprzymierzeńcy odkryli, że sobie tylko znanym sposobem Opiekun Ziemi wprowadza zmiany już teraz. W wyraźnych i znaczących snach różni ludzie widzieli nieznane na Harmonii zwierzęta, a główny komputer zdał sobie sprawę, że w jego programie dokonano subtelnych modyfikacji. Opiekun Ziemi nie powinien móc wpływać na wydarzenia z takiej odległości... a mimo to ten byt, który niegdyś wyekspediował pierwsze statki uchodźców, wydawał się jedynym możliwym źródłem tych przemian.

Jak i dlaczego Opiekun Ziemi ingerował w te kwestie, pozostawało daleko poza zasięgiem zrozumienia głównego komputera Harmonii. Naddusza wiedział tyle, że upływ czasu niezbyt przychylnie obchodził się z jego systemami, które w dużej mierze wymagały wymiany lub uzupełnienia. I jeszcze to, że postara się spełnić życzenia Opiekuna Ziemi, jakiegokolwiek by one były. A on właśnie zażyczył sobie grupy istot ludzkich, by ponownie skolonizowała ziemski padół.

Zatem główny komputer wybrał szesnaścioro ludzi spośród mieszkańców Basiliki, z których wszyscy przejawiali niepospolity talent do komunikacji z nim, a wielu łączyły więzy krwi. Jednakże nie każdego z nich natura obdarzyła bystrym umysłem, a tylko wybrani byli szlachetnymi ludźmi godnymi zaufania.

Wielu z nich odczuwało przemożną antypatię lub chowało głęboką urazę w stosunku do innych, a choć niektórzy byli oddani zamysłom głównego komputera, ten czy ów z równym zaangażowaniem dążył do pokrzyżowania tych planów. W mgnieniu oka całe przedsięwzięcie mogłoby zostać zniweczone, gdyby nie udało się poskromić właściwych ludziom mrocznych pragnień. Cywilizacja zawsze była wątła, nawet wtedy, gdy silne prądy społeczne powściągały osobnicze namiętności. Ale czy teraz ta odcięta od reszty świata garstka będzie w stanie utworzyć nową, mniejszą, harmonijną społeczność?

Planując i wcielając w życie swoje zamierzenia, główny komputer musiał przyjąć założenie, że ta ekspedycja przetrwa, że dotrze do celu. W pewnym miejscu zapoczątkował określony ciąg zdarzeń. Długo milczące urządzenia zaczęły buczeć i szumieć. Latami nieruchome, zakonserwowane roboty przebudziły się z letargu i zabrały się do poszukiwania maszyn, które wymagały naprawy. Czekwały długo, bardzo długo, a nawet w polu konserwującym nie mogły trwać w nieskończoność.

Ustalenie, ile pracy pozostało do wykonania, zajmie kilka lat. Komputer nie ścigał się z czasem. Gdyby tułaczka trochę potrwała, wybrańcy mogliby spożytkować ten czas na

załagodzenie wzajemnych sporów. Nie było pośpiechu, przynajmniej takiego odczuwalnego dla istot ludzkich. Dla głównego komputera ukończenie danego zadania w dziesięć lat oznaczało tempo zawrotne, lecz ludziom mogło się to wydać okresem nieznośnie długim. Główny komputer potrafił wykryć upływ milisekund, a jego pamięć zawierała dotychczasowe czterdzieści milionów lat życia na Harmonii, więc w porównaniu z normalną długością ludzkiego życia dziesięć lat równało się jedynie pięciu minutom w skali dziejów.

Główny komputer zamierzał wykorzystać ten czas dobrze i efektywnie, miał tylko nadzieję, że ci ludzie pójdą za jego przykładem. Gdyby postąpili roztropnie, przez te lata mogliby założyć rodziny, spłodzić i zacząć wychowywać liczne potomstwo oraz przekształcić się w społeczność godną powrotu na ziemskie łono. To jednak niełatwo będzie osiągnąć, obecnie nadzieje głównego komputera ograniczały się więc do zachowania ich wszystkich przy życiu.

Prawo pustyni

Shedemei była naukowcem, a nie pustynnym koczownikiem. Wygody miasta nie były jej niezbędne - spanie na podłodze czy na stole zadowalało ją na równi z noclegiem na łóżku - ale nie potrafiła pogodzić się z tym, że odcięto ją od laboratorium, jej pracy, wszystkiego, co nadawało sens jej życiu. Wcale nie zgodziła się na dołączenie do tej na wpół szalonej wyprawy. A jednak w tej chwili wdychała suche i gorące pustynne powietrze, kołysząc się na grzbiecie wielbłąda i przyglądając się, jak zad drugiego zwierzęcia przed nią kiwa się w innym rytmie. Skwar i monotony ruch powodowały, że zrobiło jej się z lekka słabo, a skronie pulsowały.

Kilkakrotnie mało brakowało, by zawróciła. Drogę powrotną odnalazłaby bez większego trudu; musiała jedynie wystarczająco zbliżyć się do Basiliki, a jej komputer podłączyłby się do sieci miasta i wskazał resztę trasy. Sama poruszałaby się znacznie szybciej, może nawet udałoby się jej dotrzeć do miasta przed zmrokiem. A strażnicy z pewnością wpuściliby ją do środka - w końcu nie była spokrewniona ani spowinowana z żadnym członkiem tej grupki. Wygnano ją tylko dlatego, że zorganizowała suche skrzynie pełne nasion i embrionów, które miały przywrócić część starej flory i fauny na Ziemi. Jedynie oddała przysługę swojej dawnej wychowawczyni, nic więcej - akurat za to nie należał jej się status banity.

Ale właśnie ten ładunek powstrzymywał ją przed powrotem. Albowiem któż inny umiałby ożywić nieprzebrane gatunki przewożone na tych wielbłądach? Któż inny będzie wiedział, którym należy się pierwszeństwo, by zdążyły zdomować się w ekosystemie, zanim wprowadzi się gatunki z wyższych partii łańcucha pokarmowego?

To niesprawiedliwe, po raz tysięczny pomyślała Shedemei. Ja jedyna w tym gronie wiem, od czego należałoby zacząć... ale akurat dla mnie to żadne wyzwanie. Nauka nie ma tu nic do rzeczy, już prędzej rolnictwo. Znalazłam się tu nie dlatego, że zadanie, które powierzyła mi Naddusza, jest tak bardzo wymagające, ale dlatego, że pozostali są ignorantami i w ogóle by mu nie sprostali.

- Zdajesz się rozgniewana i nieszczęśliwa.

Odwróciwszy się, Shedemei spostrzegła, że u jej boku na szerokiej kamienistej ścieżce

pojawił się wielbłąd Rasy. Jej nauczycielki, bez mała matki. Choć nie była naprawdę jej rodzicielką - ani z punktu widzenia genetyki, ani prawa.

- Owszem - odparła Shedemei.

- Z mojego powodu? - dopytywała się Rasa.

- Po części. Ty nas w to wszystko uwikłałaś. Nic mnie nie łączy z żadnym z tych ludzi, chyba że za pośrednictwem twojej osoby.

- Wszystkich nas łączy to samo - zauważyła Rasa. - Naddusza zesłała ci sen, nieprawdaż?

- Nieproszona.

- A kto z nas prosił o nie? - odcięła się Rasa. - Nie, naprawdę rozumiem, co masz na myśli, Shedy. Reszta dokonała wyborów, które wpłatały ich w ten ambaras. Nafai, Luet, Hushidh i ja znaleźliśmy się tu z własnej woli... bardziej lub mniej nieprzymuszonej. Natomiast Elemak, Meb, a zwłaszcza moje córki, błogosławione niech będą ich jadowite serduszka, uczestniczą w tej wyprawie, bo zachowali się w sposób nierozsądny lub wręcz podły. Inni znaleźli się tutaj, bo zawarli kontrakty małżeńskie, choć dla niektórych ten fakt jedynie utwierdza ich w przekonaniu, że od samego początku był to błąd. Ale ciebie, Shedemei, przywiódł tu tylko i wyłącznie sen. I twoja lojalność wobec mnie.

Wcześniej Naddusza zesłał Shedemei sen, w którym unosiła się w powietrzu, rozsiewając nasiona i doglądając ich wzrostu, przekształcając jałową pustynię w pełne życia lasy i łąki. Shedemei omiotła wzrokiem martwy pustynny krajobraz, dostrzegając tu i ówdzie kilka karłowatych ciernistych krzewów, wiedząc, że garstka żyjących tu jaszczurek żywi się nielicznymi owadami, które znalazły dość wody, by przetrwać.

- Nie tak wyglądał mój sen.

- A mimo to dołączyłaś do nas - odparła Rasa. - Zarówno ze względu na sen, jak i umiłowanie, którym mnie darzysz.

- Raczej nie ma nadziei na sukces. Ci tu nie są pionierami. Tylko Elemak ma predyspozycje, by przetrwać.

- Z pewnością ma największą wprawę w wędrówkach po pustyni. Nyef i Meb radzą sobie niegorzej. A pozostali uczą się w trakcie.

Shedemei nic nie odpowiedziała, nie chcąc się spierać.

- Nie znoszę, gdy unikasz kłótni - upomniała Rasa.

- Nie jestem konfliktowa - odcięła się Shedemei.

- Ale zawsze wymigujesz się właśnie w momencie, gdy masz ochotę powiedzieć komuś dokładnie to, co ten ktoś powinien usłyszeć.

- Nie jestem wróżką i nie wiem, co ludzie powinni usłyszeć.
 - Powiedz, co przed chwilą miałaś na końcu języka. Powiedz, dlaczego uważasz, że nasza wyprawa jest z góry skazana na niepowodzenie.
 - Basilika - rzuciła Shedemei.
 - Przecież opuściliśmy miasto. Nic nam nie grozi z jego strony.
 - Basilika może nas skrzywdzić na niezliczone sposoby. Na zawsze pozostanie w naszej pamięci jako miejsce ułożonego, łatwiejszego życia. Nigdy nie przestaniemy za nią tęsknić.
 - Zgaduję, że nie martwi cię akurat nasza nostalgia.
 - Niesiemy z sobą połowę psychicznego bagażu miasta. Wszystkie jego skazy, ale żadnych jego walorów. Jesteśmy przyzwyczajeni do wygod, ale nie posiadamy zapewniających je bogactw. Przywykliśmy do dawania upustu zbyt wielu naszym pragnieniom, które nigdy nie znajdują ujścia w tak małej społeczności.
 - Już nieraz ludzie opuszczali to miasto i wyruszali na poszukiwanie nowych ziem.
 - Ci, którzy chcą się przystosować, zacisną zęby, wiem. Ale ilu z nich chce? Jak wielu znajdzie w sobie dość ochoty, by zapomnieć o swoich pragnieniach, by poświęcić się dla dobra ogółu? Nawet ja nie potrafię zdobyć się na takie zaangażowanie. Z każdym kilometrem, który dzieli mnie od mojej pracy, narasta we mnie gniew.
 - W takim razie szczęście nam sprzyja - zauważyła Rasa.
 - Albowiem żaden inny uczestnik nie miał jakiegokolwiek wartej wzmianki pracy. A nawet gdyby, to stracił ją bezpowrotnie, więc i tak nie ma po co wracać.
 - Na Meba czeka tam pewne zajęcie.
- Przez chwilę Rasa była wyraźnie skonfundowana.
- Nie wiadomo mi nic o żadnej pracy, którą parał się Meb, chyba że chodzi ci o tę jego żalostną karierę aktorską.
 - Raczej o jego życiowy zamysł spółkowania z każdą kobietą w Basilice, która nie byłaby z nim spokrewniona, brzydka jak noc albo sztywna.
 - Ach! - Rasa uśmiechnęła się blado. - Na śmierć zapomniałam o tej pracy.
 - Nie on jedyny zresztą - ironizowała Shedemei.
 - Och, wiem. Przez grzeczność nie wspominasz o moich córkach, które bez wątpienia pragną kontynuować własną wersję tego konceptu.
 - Nie chciałam cię urazić.
 - I nie uraziłaś. Aż za dobrze znam swoje córki. Przejęły zbyt dużo cech ojca, bym choć przez chwilę się łudziła, że zawiodą moje oczekiwania. Ale powiedz mi, Shedemei,

którzy z towarzyszących nam mężczyzn twoim skromnym zdaniem mogą je pociągać?

- Po upływie kilku tygodni, a może kilku dni wszyscy mężczyźni wydadzą im się dobrą partią.

Rasa zaśmiała się krótko.

- Przypuszczam, że masz rację, kochana. Lecz wszyscy mężczyźni w naszej niewielkiej grupce są żonaci... a bezsprzecznie ich małżonki będą skrupulatnie pilnować, by nikt nie wszedł im w paradę.

Shedemei pokręciła głową.

- Rasa, przyjmujesz błędne założenie. To, że ty zdecydowałaś się pozostać partnerką tego samego mężczyzny, rokrocznie odnawiając z nim kontrakt - przynajmniej od kiedy urodziłaś Nafaia - jeszcze nie oznacza, że każda inna kobieta będzie tak zaborcza i zazdrosna w stosunku do swojego męża.

- Tak myślisz? Przecież mało brakowało, a moja umiłowana Kokor zabiłaby swoją siostrę Sevet za to, że zdradziła ją z jej mężem Obringiem.

- Więc Obring nie będzie próbował ponownie przespać się z Sevet i tyle. Ale to nie powstrzyma go przed zalotami do Luet, dajmy na to.

- Luet?! To wspaniała dziewczyna, Shedy, ale nie piękna w sposób, który przemawiałby do mężczyzny pokroju Obringa, do tego bardzo młoda i wyraźnie zakochana w Nafaiu, a co najważniejsze, jest basilikańską wodną wieszczką, więc Obring będzie się śmiertelnie bał czynienia jej awansów.

Shedemei pokręciła głową. Czyżby Rasa nie rozumiała, że wszystkie przywołane argumenty z czasem przestaną mieć znaczenie? Czy nie wiedziała, że ludzie tacy jak Obring, Meb, Kokor czy Sevet żyją dla samych podchodów i nie obchodzi ich, kogo upatrzili sobie na zdobycz?

- A jeśli powiesz, że Obring mógłby się zalecać do Eiadh, to uśmieję się setnie - ciągnęła Rasa. - Och, może i będzie o niej marzył, ale Eiadh jest typem dziewczyny, którą w mężczyźnie pociąga tylko siła, a tej Obringowi zawsze będzie brakować. Nie, moim zdaniem Obring będzie wierny Kokor.

- Rasa, moja ulubiona nauczycielko i przyjaciółko, zanim minie miesiąc, Obring spróbuje uwieść nawet mnie.

Rasa spojrzała na Shedemei wyraźnie zaskoczona.

- Och, przestań. Nie jesteś w jego...

- W jego typie jest każda kobieta, która ostatnimi czasy nie powiedziała mu wyraźnie, że nic z tego. Lojalnie ostrzegam - z czym jak z czym, ale z napięciem seksualnym nasza

grupa sobie nie poradzi. Gdybyśmy byli pawianami, a nasze samice seksualnie pociągałyby samców tylko od święta pomiędzy kolejnymi ciążami, moglibyśmy wypracować pewien rodzaj krótkotrwałych związków ad hoc, właściwych tym małpom. Wtedy przejściowe konflikty pomiędzy samcami szybko by wygasały i byśmy cieszyli się spokojem przez resztę roku. Ale niestety jesteśmy ludźmi i inaczej wiążemy się w pary. Nasze dzieci potrzebują stabilizacji i ładu. A jest nas zbyt mało, by pozwolić sobie od czasu do czasu na rozwiązywanie ewentualnych sporów metodą zabójstw.

- Zabójstw?! - oburzyła się Rasa. - Shedemei, co w ciebie wstąpiło?

- Nafai już zabił człowieka. A to prawdopodobnie najbardziej niewinny mężczyzna w tej grupie, może poza Vasem.

- Wykonywał polecenie Nadduszy.

- Tak, ale to świadczy tylko o tym, że Nafai jest jedynym, który okazuje posłuszeństwo Nadduszy. Reszta mężczyzn jest co najmniej równie oddana swojemu bożkowi.

- Czyli?

- Temu, co zwisa im między nogami.

- Biologowie mają bardzo cyniczny pogląd na istoty ludzkie. Można by pomyśleć, że jesteśmy najbardziej prymitywnym gatunkiem zwierząt.

- Och, nie jesteśmy aż takimi prymitywami. W końcu nasze samce nie próbują zjadać swoich małych.

- A nasze samice nie pożerają swoich partnerów. Choć niektóre próbowały.

Obie się zaśmiały. Do tej pory rozmawiały dość cicho, a ich wielbłądy kroczyły z dala od reszty, lecz śmiech zwrócił na nie uwagę towarzyszy w oddali.

- Nie baczcie na nas! Nie z was się śmiejemy! - zakrzyknęła Rasa.

Lecz jadącemu dotychczas na przodzie Elemakowi najwyraźniej było to nie w smak, bo podjechał wielbłądem do roześmianych kobiet. Na jego obliczu rysował się ledwo powstrzymywany gniew.

- Opanuj się, lady Raso - rzucił.

- A co? Za głośno się śmiałam? - drażniła się Rasa.

- Śmiałaś się, a potem żartowałaś. W obu wypadkach zdecydowanie zbyt donośnie. Kobiecy głos może się rozejść z tym wiatrem na wiele mil. Pustynię zamieszkują tylko nieliczni ludzie, ale jeśli któryś z nich cię posłyszy, w mgnieniu oka możemy zostać zgwałceni, obrabowani i zabici.

Shedemei wiedziała, że Elemak ma rację - w końcu to jemu zdarzało się prowadzić

karawany przez pustynie - ale nie mogła znieść jego protekcyjnego i kostycznego tonu. Żaden mężczyzna nie miał prawa w ten sposób zwracać się do lady Rasy.

A sama zainteresowana wydawała się nie zważać na zniewagę sugerowaną przez postawę Elyi.

- Taka wielka grupa jak nasza? - zapytała. - Myślałam raczej, że rabusie będą się trzymali od nas z daleka.

- Oni modlą się o takie grupy jak nasza - wyjaśnił Elemak. - Z przewagą kobiet. Przemieszczające się powoli. Obładowane po uszy wielbłądów. Rozmawiające beztrąsko i głośno. Z dwiema niewiastami ociągającymi się na tyłach, z dala od reszty.

Dopiero wtedy Shedemei zdała sobie sprawę, na jak wielkie niebezpieczeństwo narażyły się z Rasą. I to ją wystraszyło. Nie nawykła do myślenia w ten sposób - do zastanawiania się, jak uniknąć napaści. W Basilice zawsze czuła się bezpiecznie. Tam kobiety zawsze czuły się bezpiecznie.

- Przyjrzyjcie się zresztą towarzyszącym nam mężczyznom - ciągnął Elemak. - Jak wam się zdaje, ilu z nich potrafiłoby walczyć w waszej obronie ze zgrają trzech lub czterech rabusiów, a co dopiero dziesięciu?

- Ty byś potrafił - odparła Rasa.

Na kilka chwil Elemak wbił w nią stanowcze spojrzenie.

- Tu, na otwartej przestrzeni, gdy zauważylibyśmy ich z daleka, pewnie bym zdołał. Ale wolałbym nie próbować. Więc z łaski swojej popędźcie wielbłądy i powściągnijcie języki.

To „z łaski swojej” tylko w niewielkim stopniu złagodziło surowy wydźwięk jego słów, co jednak nie zaważyło na stanowczej decyzji Shedemei, by się podporządkować. Elemak nawrócił swojego wielbłąda i szarpnął go naprzód w stronę czoła ich niewielkiej karawany.

- Ciekawie będzie się przekonać, czy to twój mąż, czy raczej Elemak będzie nam przewodził, gdy w końcu dotrzemy do obozowiska Wetchika - skomentowała Shedemei.

- Nie zwracaj uwagi na fanfaronadę Elyi - upomniała ją Rasa. - Będzie nam przewodził mój mąż.

- Nie byłabym taka pewna. Elemaka całkiem spontanicznie ciągnie do władzy.

- On uwielbia jej poczucie, to pewne - zauważyła Rasa. - Ale umie ją utrzymać tylko za pomocą strachu. Czyżby jeszcze się nie pomiarkował, że tę wyprawę ochrania Naddusza? Gdyby jacyś grasanci choćby pomyśleli o skorzystaniu z tej drogi, za sprawą Nadduszy zapomnieliby o tym zamiarze. Jesteśmy bezpieczni jak we własnych łóżkach.

Shedemei nie przypomniwała, że zaledwie kilka dni temu czuli się w swych łóżkach niezbyt bezpieczni. Nie napomknęła też, że Rasa właśnie potwierdziła jej obawy - gdy myślała o domu i bezpieczeństwie, miała na myśli Basilikę. Widmo starych dobrych czasów będzie ich prześladować jeszcze przez długi, długi czas.

Teraz z kolei Kokor przystopowała swojego wielbłąda i zaczęła, aż Rasa się z nią zrówna.

- Byłaś niegrzeczna, co, mamó? I ten wstrętny Elemak musiał przywołać cię do porządku?

Infantyizm Kokor napawał Shedemei obrzydzeniem - ale tak po prawdzie, zachowanie Kokor zwykle ją degustowało. Jej postawa niezmiennie zdawała się fałszywa i podstępna; dla Shedemei zadziwiające było to, że ludzie najwyraźniej rzadko poznawali się na tych absolutnie oczywistych fortelach, gdyż inaczej Kokor już dawno zmieniłaby strategię.

Cóż, może i niektórych udawało jej się omamić, ale z pewnością nie matkę. Rasa wbiła w nią zimne spojrzenie i rzekła:

- Shedy a ja prowadziłyśmy rozmowę w cztery oczy, moja kochana. Przykro mi, jeśli cię zwiodłyśmy, mimowolnie dając do zrozumienia, że cię zapraszamy do nas.

Kokor zrozumiała aluzję zaledwie po chwili i poczerwieniała na twarzy - z gniewu? Potem posłała Shedemei wymuszony uśmiech.

- Matka co rusz doznaje zawodu, że nie wyrosłam na podobną do ciebie, Shedy a. Ale niestety ani mój rozum, ani ciało nie mieści dość wewnętrznego piękna.

Niezręcznie popędziła swojego wielbłąda i na powrót dołączyła do karawany.

Shedemei wiedziała, że Kokor próbowała jej uwłaczać, przypominając, że jedynym rodzajem piękna, jakiego Shedy a kiedykolwiek dostąpi, będzie to wewnętrzne. Lecz już dawno wyrosła z właściwej nastolatkom zazdrości w stosunku do urodziwych dziewcząt.

Rasa najwyraźniej myślała to samo.

- Zaiste dziwne, że ludzie o pospolitej urodzie bez trudu dostrzegają piękno w innych, podczas gdy moralne kaleki są ślepe na dobroć i przyzwoitość. Ci szczerze wierzą, że te cechy nie istnieją.

- Och, wiedzą, że istnieją, to pewne - odparła Shedemei. - Po prostu nigdy nie są pewni, którzy ludzie je posiadają. Inna sprawa, że moje uczucia w tej chwili z pewnością dyskwalifikują mnie jako wzór moralnej piękności.

- Masz mordercze myśli, prawda? - zażartowała Rasa.

- Och, nie myślę o niczym aż tak bezpośrednim czy nieodwracalnym. Raczej życzyłam jej w duchu, żeby nabawiła się naprawdę uciążliwych obtarć od siodła.

- A co z Elemakiem? Jego też zaklinasz, by dorobił się jakiejś dolegliwości?

- Skądże znowu. Być może, tak jak mówisz, nie musi się specjalnie wysilać, by strachem wymusić nasze posłuszeństwo. Ale myślę, że miał rację. Dotychczas Nadduszy nie zawsze udawało się trzymać nas z dala od zagrożeń. Nie, akurat do Elyi nie żywię żadnej urazy.

- W takim razie zazdroszczę ci dojrzałości. Albowiem wielce obcesowy sposób, w jaki się do mnie zwracał, był mi bardzo nieprzyjemny. Rzecz jasna, znam powód: jego zdaniem moja pozycja w mieście zagraża jego władzy w tej grupie, więc stara się mnie zmitygować. Lecz powinien zmiarkować, że jestem wystarczająco rozumna, bym zastosowała się do jego poleceń, i nie ma potrzeby, żeby mnie upokarzać.

- Twoje potrzeby nie mają tu nic do rzeczy. Nigdy nie mają. To kwestia jego potrzeb. A on potrzebuje okazać swoją wyższość nad tobą. Skoro już o tym mowa, to ja również odczuwam tę potrzebę, ty durna starowinko.

Przez chwilę Rasa patrzyła na nią z bezgranicznym zdumieniem. Gdy Shedemei już miała wyjaśnić, że to był żart - czemu nikt nie rozumiał jej dowcipów? - szeroko się uśmiechnęła.

- Z dwojga złego wolę być już durną starowinką niż głupią młódką. Przynajmniej niemądre starowinki nie popełniają tak rażących błędów.

- Och, no nie wiem. Udział w tej wyprawie na przykład...

- To błąd?

- Z mojego punktu widzenia z pewnością. Genetyka jest całym moim życiem, ale przez jego resztę najpewniej zbliżę się do niej tylko na tyle, że może zdołam przekazać moje własne geny następnemu pokoleniu.

- Słyszę rozpacz w twoim głosie. Macierzyństwo nie jest takie straszne. Nie wszystkie dzieci są takie jak Kokor, zresztą kto wie, może nawet ona wyrośnie kiedyś na ludzi.

- Niby tak, ale ty darzyłaś swoich małżonków uczuciem. A któż jest mi pisany, ciociu Raso? Twój kaleki syn? A może bibliotekarz Gaballufixa?

- Myślę, że Hushidh ma zamiar poślubić Issiba - odparła Rasa oschle.

- Ach, znam ten wasz odgórny przydział. Ale powiedz mi, ciociu Raso, gdyby ten bibliotekarz akurat przypadkiem się nie przypałał, gdy Nafai przywłaszczył sobie Indeks... to czy w ogóle zawracałabyś sobie głowę dokooptowaniem mnie do kompanii?

Rasa milczała. Jej oblicze przybrało posągowy wyraz.

- Daj spokój, ciociu Raso, głupia nie jestem i wołałabym, żebyś mnie nie traktowała jak idiotkę.

- Two talenty są nam niezbędne, Shedya. Naddusza cię wybrał, a nie ja.

- I jesteś pewna, że to nie twoja sprawka, to całe rachowanie mężczyzn i kobiet, byle tylko wyszło po równo?

- Naddusza zesłał ci sen.

- Najgorsze jest to - ciągnęła Shedemei - że oprócz ciebie żadne z nas nie ma popartego potomkami doświadczenia w prokreacji. Nie wiesz, czy nie skojarzyłaś któregoś z tych mężczyzn z bezpłodną kobietą. Albo jedną z nas z mężem niezdolnym do rozplodu.

Do tej pory Rasa powściągała swój gniew, ale teraz zdawało się, że za chwilę wybuchnie.

- Jeszcze raz powtarzam, nie ja podjęłam tę decyzję... Luet również doznała objawienia i...

- Czy zamierzasz dać nam przykład? Czy zamierzasz urodzić więcej dzieci, ciociu Raso?

Rasa wydawała się całkowicie skonsternowana.

- Ja? W moim wieku?

- Wciąż nosisz w sobie trochę dobrych jajeczek. Wiem, żeś jeszcze nie przekwitła, bo tryskasz energią.

Rasa spojrzała na nią z wyraźnym skrepowaniem.

- Może się rozbiorę i położę, byś mogła mnie obejrzeć pod mikroskopem, hm?

- I tak byś się nie zmieściła. Chyba że pocięłabym cię na drobne kawałeczki.

- Czasem mi się wydaje, że już to zrobiłaś.

- Rasa, przez ciebie zatrzymujemy się kilka razy dziennie. A wiem, że z twoim pęcherzem wszystko w porządku. To żadna tajemnica, że ronisz księżycowe łzy.

Rasa na krótko podniosła brew, dając wyraz, że nie ma co na siłę zachowywać pozorów.

- Zaiste najwyraźniej więcej dzieci mnie czeka.

- Sądę, że to twój obowiązek dać nam dobry przykład - ciągnęła Shedemei. - Nie urządzamy sobie zwykłej wycieczki. Stanowimy kolonię. A najważniejszym priorytetem kolonistów jest prokreacja. Bezdzielnymi są w zasadzie warci tyle co nic. I pal licha, że Elemak zazdrości ci władzy. To ty przewodziś tutaj kobietom, musisz więc stanowić wzór dla każdej z nas. Jeśli ty staniesz się brzemienna podczas tej podróży, reszta pójdzie za twoim przykładem, głównie dlatego, że ich mężowie będą chcieli za wszelką cenę udowodnić, że potrafią zapłodnić kobietę nie gorzej od starego Wetchika.

- Nie jest już Wetchikiem. - Rasa zmieniła temat. - Teraz zwie się po prostu

Volemakiem.

- Ale w łóżku nadal sobie radzi, prawda?

- Doprawdy, Shedemei, czy twoja ciekawość nie zna granic? A może chcesz, żebyśmy jeszcze dostarczyli ci próbek stolca?

- Zanim ta wyprawa się skończy, pewnie zdarzy mi się badać próbki niemal wszystkiego. W końcu pośród nas mnie najbliższej do miana lekarki.

Rasa niespodziewanie zachichotała.

- Już widzę, jak Elemak przynosi ci próbkę nasienia.

Na samą myśl o poproszeniu go o to Shedemei także wybuchła śmiechem. To byłby dopiero nie lada zamach na jego godność jako przywódcy tej karawany!

Przez kilka minut jechały w ciszy. Pierwsza odezwała się Rasa.

- Zrobisz to? - zapytała.

- Czyli co?

- Wyjdiesz za Zdoraba?

- Kogo?!

- Za tego bibliotekarza.

- Wyjść za niego? Nigdy nie myślałam o poślubieniu kogokolwiek.

- Bądź mu żoną i matką jego dzieci.

- Ach, zapewne twemu życzeniu stanie się zadość. Ale nie, jeśli będziemy podporządkowani prawu pawianów.

- Prawu pawianów?!

- Jak w Basilice, co roku konkurując o nowego partnera. Pojmę za męża tego niemłodego już mężczyznę, którego w życiu nie widziałam na oczy, pozwolę mu dzielić ze mną łóżę, urodzę mu dzieci i wspólnie je wychowamy. Ale pod warunkiem że nie będę musiała walczyć o jego wierność. Pod warunkiem że nie będę musiała być świadkiem, jak zaleca się do Eiadh, Hushidh, Lalyi czy... czy Kokor za każdym razem, gdy nasz kontrakt będzie bliski wygaśnięcia, a potem z podkulonym ogonem wraca do mnie i prosi o odnowienie kontraktu tylko dlatego, że każda z tych naprawdę pociągających go kobiet mu odmówiła.

Rasa przytaknęła.

- Teraz rozumiem, co miałaś wcześniej na myśli. Nie chodziło ci o cudzołóstwo Kokor, lecz o nasze zwyczaje.

- Z ust mi to wyjął. Jest nas zbyt mało, byśmy mogli sobie pozwolić na zachowanie zwyczajów małżeńskich Basiliki.

- To wszystko kwestia skali, jak sądzę. W naszym mieście gdy kobieta nie chciała odnowić kontraktu albo gdy partner o to nie zabiegał, wystarczyło unikać siebie nawzajem do czasu, aż zaleczą się rany. Zawsze można było znaleźć kogoś innego, ponieważ kandydatów nie brakowało. Lecz nas jest tylko szesnaścioro. Osiem kobiet, tyleż mężczyzn. Stare zwyczaje doprowadziłyby nas do szału.

- Niektórzy mieliby ochotę zabić, jak niedawno Kokor - odpowiedziała Shedemei. - A inni woleliby umrzeć.

- Racja, racja, racja - wymamrotała Rasa, najwidoczniej głośno myśląc. - Lecz nie możemy im teraz tego oznajmić. Niektórzy z miejsca by zawrócili, nie zważając na niebezpieczeństwa czyhające na pustyni. Dożywotnia monogamia... jakoś wątpię, że Sevet i Kokor kiedykolwiek przeżyły tydzień bez nowego kochanka. Meb unikał małżeństwa nie bez powodu, on nie ma zamiaru pozostać wierny jednej kobiecie, tyle że, w odróżnieniu od moich córek, jemu brakuje perfidii. A my tu chcemy powiedzieć im, iż będą musieli zachować wierność małżeńską. Że nie będzie kontraktów na rok, że żadna zmiana nie wchodzi w rachubę.

- Nie spodoba im się to, oj nie.

- Dlatego powiemy im to, dopiero jak dotrzemy do obozowiska Volemaka. Gdy będzie już o wiele za późno na powrót.

Shedemei nie wierzyła własnym uszom. Jednak nie dała tego po sobie poznać.

- Tak sobie myślę - zaczęła - że gdyby chcieli zawrócić, może powinniśmy im na to pozwolić. W końcu są wolnymi ludźmi.

Rasa gwałtownie odwróciła się w jej stronę.

- Ależ nie, nie są! - zaperzyła się. - Cieszyli się wolnością tylko do czasu, gdy podjęli decyzje, które ich tu przywiodły, a teraz ich swoboda jest ograniczona, gdyż bez nich nasza kolonia, nasza tułaczka się nie powiedzie.

- Z twoich słów bije pewność, że uda ci się zmusić ludzi do dotrzymania zobowiązań - wycedziła Shedemei. - Jakoś nikomu wcześniej nie udało się ta sztuka. A ty podołasz?

- To niezbędne nie tylko dla dobra naszej wyprawy, ale również dla ich własnego dobra. Naddusza dała nam wyraźnie do zrozumienia, że Basilika obróci się w niwecz. Oni podzieliliby los miasta, gdyby na czas nie uciekli. Ratujemy im życie. Jednak ci najbardziej skłonni do powrotu to zarazem ci, którzy najmniej posłuchu dają objawieniom zsyłanym przez Nadduszę. Toteż by zachować ich przy życiu, musimy...

- Omamić ich?

- Tymczasowo zataić pewne ustalenia.

- Ponieważ ty wiesz znacznie lepiej od nich, co leży w ich interesie?
- Owszem - odparła Rasa. - Właśnie dlatego.

Shedemei się wściekła. W argumentach Rasy kryło się sporo prawdy, ale nie zmieniały jej głębokiego przekonania, że ludzie mają prawo suwerennie wybrać nawet własną zgubę. Może przywilej doprowadzenia się do zatury z powodu własnej głupoty lub lekkomyślności stanowił kolejny luksus związany z życiem w Basilice, lecz nie była jeszcze gotowa się go wyzbyć. Według niej należało dać ludziom wybór, czy zgadzają się, że wierność małżeńska to jeden z warunków uczestnictwa w tej wyprawie, i pragną zostać, czy wolą odejść i żyć według innego prawa. Ale okłamywać ich do czasu, gdy będzie za późno na zmianę decyzji... w tym wypadku stawką była wolność wyboru, a właśnie ona nadawała sens przetrwaniu.

- Ciociu Raso, nie jesteś Nadduszą - rzuciła Shedemei na odchodne, po czym popędziła wielbłąda, zostawiając Rasę w tyle. Nie znaczyło to, że nie mogłaby już nic więcej powiedzieć, jedynie że nie chciała - palił ją zbyt wielki gniew, a nie miała ochoty wdawać się w kłótnię. Nie lubiła się z nikim wadzić, bo to wprowadzało ją w nastrój na wielodniowe refleksje, a i tak miała już dość tematów do rozmyślań.

Zdorab. Jaki mężczyzna najmuje się jako archiwista u takiego żadnego władzy zbrodniarza jak Gaballufix? Jaki facet daje się wrobić dziecku pokroju Nafaia w zdradę pokładanego w nim przez chlebowawcę zaufania, pozwala przywłaszczyć obcemu cenny Indeks, a potem podąża za złodziejem poza mury miasta? Jaki dorosły daje się siłą zmusić Nafaiovi do posłuszeństwa i pod przymusem przysięga, iż będzie towarzyszył dziecku w drodze na pustynię, wiedząc, że już nigdy nie ujrzy Basiliki?

Dobrze wiem, jaki to mężczyzna, myślała. Drętwy i głupi wymoczek. Zahukana i tępą jak but trzęsidupa, która będzie oficjalnie pytać o pozwolenie przed każdą wyuczoną z podręczników próbą zapłodnienia mnie. Mężczyzna, który ani nie będzie potrafił dać przyjemności, ani jej zaznać w naszym małżeństwie. Samczyk, który do końca życia będzie żałował, że nie dane mu było poślubić jakiegokolwiek innej kobiety z naszego grona, a zostanie ze mną tylko dlatego, że będzie wiedział, iż żadna by go nie chciała.

Zdorabie, mój przyszły męzu. Wprost nie mogę się doczekać naszego spotkania.

*

Trzeciej nocy na pustyni rozbicie namiotów poszło sprawniej. Wszyscy uzmysłowili już sobie, które obowiązki muszą wykonać, a których mogą uniknąć. Rasa z pogardą zauważyła, że Mebowi i Obringowi udawało się trwonić ponad połowę czasu na „pomaganie” ich żonom w pracach, które i bez tego były dziecinnie łatwe - inaczej Lalya i Kokor wcale by się ich nie podjęły. Nie żeby Lal nie przejawiała czasem ochoty na zakasanie rękawów, ale

dopóki Kokor i Sevet nie parały się niczym forsownym, dopóty nie miała zamiaru robić więcej niż one. W końcu Lal była niegdyś uznaną aktorką, w czasach gdy Kokor i Sevet wciąż niemrawo wyśpiewywały swoje dziecinne piosenki. Rasa wiedziała, jak pracuje mózdzek Lal: najpierw pozycja w hierarchii, potem ludzka przyzwoitość.

Ale przynajmniej była zdolna do przyzwoitości! Na kogo wyrośli ci ludzie, których uczyłam i wychowałam? Ci, którzy są zbyt samolubni, by w końcu nie zmacić naszego spokoju, jak i ci tak ulegli wobec Nadduszy, że o nich lękam się nawet bardziej.

Nie są już moimi podopiecznymi, upomniała się w duchu. Teraz odpowiadam tylko za to, by dostatecznie naprężyć linki namiotów i tym samym zapobiec ich zdmuchnięciu przez pierwszy lepszy powiew.

- I tak zawałam się na naprawdę silnym wietrze, choćbyś bardzo się starała - zauważył Elemak. - Więc nie musisz ich naciągać aż tak mocno, jakby miały wytrzymać uderzenie huraganu.

- Jedynie zwykłej pustynnej burzy?

Gdy Elemak odezwał się ponownie, Rasa poczuła, że pot spłynął jej do oka i szczypie. Próbowała otrzeć go rękawem, który jednak okazał się jeszcze bardziej wilgotny, choć uszyty ze zwiewnego muślinu.

- Ta praca wymaga precyzji i wylania litrów potu, niezależnie od temperatury powietrza - skomentował Elemak. - Pozwól, że ci pomogę.

Podczas gdy on napręzał linkę namiotową, Rasa zawiązała węzeł na wbitym w ziemię śledziu. Dobrze wiedziała, że Elemak z łatwością mógłby zrobić to sam, bez pomocy w przytrzymywaniu linki. Od razu zorientowała się w jego zamiarze - chciał się upewnić, że Rasa nauczy się właściwie wykonywać powierzone zadanie, okazując zaufanie i jednocześnie nie odbierając jej satysfakcji z dobrze spełnionego obowiązku.

- Dobrze sobie radzisz - pochwaliła Rasa.

- Węzły to żadna sztuka, jeśli już nauczysz się, jak je prawidłowo wiązać.

- Ach tak, węzły. A nie starasz się raczej zadzierzgać więzów?

Odpowiedział jej uśmiechem i Rasa domyśliła się, że naprawdę docenił jej pochwałę.

- To również, lady Raso.

- Jesteś przywódcą mężczyzn - ciągnęła Rasa. - I mówię to nie jako twoja macocha ani nawet bratowa, ale jako kobieta, której dane było zasmakować władzy. Przy tobie nawet ci leniwi krępują się otwarcie stronić od pracy.

Pomineła milczeniem fakt, że na razie udało mu się co najwyżej skupić pełnię władzy we własnych rękach, że dotychczas żaden z członków grupy nie przyswoił sobie jego lekcji,

więc gdy nie było go w pobliżu, praca zamierała. Niewykluczone że tylko tyle nauczył się o rządzeniu przez te wszystkie lata, gdy przewodził karawanom. Lecz jeśli chciał sprawować władzę nad tą wyprawą (a Rasa nie była na tyle głupia, by sądzić, że Elemak ma zamiar pozwolić ojcu na coś więcej poza tytułarnym zwierzchnictwem), będzie musiał opanować znacznie bardziej zaawansowane metody poza zwykłym uzależnianiem ludzi od swojej pomocy. Istotą przywództwa, mój drogi niedoświadczony władco, jest nauczanie podwładnych samodzielności, a mimo to przekonanie ich do dobrowolnego poddania się twojej woli. Dopiero wtedy przestrzegać będą zasad, które im wpoileś, nawet jeśli odwrócisz wzrok. Ale nie mogła głośno wygłosić tych poglądów; młodzian nie był jeszcze gotowy, by wysłuchać podobnych rad. Zamiast tego więc raczyła go kolejnymi komplementami z nadzieją podbudowania jego pewności siebie do poziomu, aż będzie skłonny nadstawić ucha konstruktywnym sugestiom.

- Co więcej, córki me wyklócają się i narzekają znacznie rzadziej, niż to bywało w czasach, gdy wiodły beztróskie życie.

Elemak zrobił marsową minę.

- Wiesz niezgorzej ode mnie, że wielu uczestników tej wyprawy najchętniej z miejsca wróciłoby do Basiliki. I głowy nie dam, czy nie podzielam ich zdania.

- Ale nie wracamy - rzuciła Rasa.

- Zaprzepaścilibyśmy puentę, gdybyśmy wrócili do miasta pod rządami Moozha po tym, jak z wielką pompą nas stamtąd odprawił.

- I niewykluczone że postradalibyśmy życie - dodała Rasa.

- Przecież Nafaia oczyszczono z zarzutu zabójstwa mego ukochanego przyrodniego braciszka Gaballufixa.

- Z niczego go nie oczyszczono - zaprotestowała Rasa.

- A skoro już o tym mowa, to ciebie również nie, synu mego małżonka.

- Mnie?! - Jego twarz przybrała surowy wyraz i zapalała lekkim rumieńcem. Niedobrze, że tak wyraźnie okazywał emocje. To cecha nieprzystająca przywódcy.

- Chciałam tylko uzmysłwić ci, że powrót do Basiliki jest wykluczony.

- Zapewniam cię, lady Raso, że gdybym zapragnął wrócić tam przed ponownym spotkaniem z ojcem, dopiąłbym swego. Może i po dotarciu do obozowiska jeszcze powezmę taki zamiar, kto wie.

Pokiwała głową.

- Cieszę się, że nocami pustynne powietrze nieco się ochładza. Jesteśmy w stanie znieść piekielny skwar za dnia tylko dzięki temu, że mamy pewność, iż noc będzie dla nas

łaskawsza.

Elemak się uśmiechnął.

- Zakładam pogodę specjalnie z myślą o tobie, lady Raso.

- Rozmawiałam dzisiaj z Shedemei.

- Wiem.

- Względem bardzo poważnej kwestii - ciągnęła Raso - która bez trudu mogłaby rozsadzić naszą kolonię. Mówię, rzecz jasna, o seksie.

To słowo wzbudziło czujność Elemaka.

- Tak? - zapytał jednak spokojnie.

- A szczególnie o kwestii małżeństw.

- Jak dotąd wszyscy niezgorzej dobrali się w pary - skomentował Elemak. - Żaden mężczyzna nie zapada w sen niezaspokojony, czego nie można powiedzieć o uczestnikach większości moich karawan. A jeśli chodzi o ciebie, Hushidh i Shedemei, niedługo dołączycie do swych mężów lub do tych, którzy wkrótce nimi będą.

- Niektórzy wolą podboje od samej kopulacji.

- Wiem. Ale nie mają wielkiego wyboru.

- A mimo to ten czy ów wciąż przebiera w żywym towarze, choć niby już dokonali wyboru.

Zauważyła, że Elemak usztywnił plecy i kark, pozorując spokój, choć faktycznie miał ochotę zadać pytanie, które nosił w sercu. Niepokoił się o swoją ukochaną Eiadh, którą dopiero co poślubił. Nie spodziewała się, że już zaczął się zamartwiać.

- Trzeba ich powstrzymać przed cudzołóstwem - dokończyła.

- Nie twierdę, że mierzyłem się z tym problemem. Dotychczas mężczyźni z moich karawan pozostawali samotni do czasu dotarcia do miasta, a nawet wtedy większość zadawała się z nierządnicami.

- A ty nie?

- Teraz mam żonę - tłumaczył Elemak. - Młodą i pocziwą niewiastę.

- Dobrą żonę dla młodego i pocziwego męża.

Lekki uśmiech przemknął mu po twarzy.

- Prędzej czy później młodość przemija.

- Ale czy będzie dobrą żoną za pięć lat? Za dziesięć?

Dziwnie na nią spojrzał.

- A skąd ja mam to wiedzieć?

- Wypadałoby o tym pomyśleć, Elya. Jaką będzie żoną za pięćdziesiąt lat?

Wyraźnie osłupiał. Widocznie wcześniej nie przemyślał tej kwestii, a teraz nawet nie potrafił udawać, że było inaczej - tak bardzo zaskoczyło go to pytanie.

- Shedemei zwróciła moją uwagę na fakt, że tutaj, na pustyni, nie damy rady zachować zwyczajów małżeńskich z Basiliki. Tam żyło mnóstwo ludzi, a nas jest jedynie szesnaścioro. Osiem par. Gdybyś zostawił Eiadh na rzecz innej, to jak myślisz, kto byłby jej kolejnym mężem?

Rasa oczywiście wiedziała - i wiedziała, że Elemak też ma tego świadomość - że prawdopodobnie Eiadh zdecydowałaby się nie przedłużyć z nim kontraktu, a nie odwrotnie. Tak czy owak, pytanie pozostawało identyczne - z kim by się Eiadh związała?

- A co z dziećmi? - ciągnęła Rasa. - Wkrótce się urodzą. Gdzie będą się uczyć? Przecież nie będzie szkół. Wychowają je matki. I kolejni mężczyźni, niekoniecznie ojcowie.

Zauważyła, że Elemak zaczyna pojmować wydźwięk jej niewesołych przepowiedni. Wiedziała doskonale, co najbardziej go zaniepokoi, i nie wahała się wykorzystać tej wiedzy. Zresztą sprawy, przed którymi go przestrzegała, stanowiły realny problem.

- Sam widzisz, Elemaku, że dopóki jest nas tylko szesnaścioro, by w ogóle przetrwać na pustyni, musimy trzymać się razem, zachowując względny porządek. Tak więc małżeństwa muszą trwać dogonnie.

Nie spojrzał jej w oczy, ale targały nim sprzeczne uczucia.

- Ciągłe właśnie doprowadziłyby nas do zguby - ciągnęła Rasa. - Podobnie jak wzajemne pretensje i animozje, nieustannie będziemy wszak żyli w bardzo zwartej społeczności. Ludzie muszą się dowiedzieć, że ich obecni partnerzy pozostaną u ich boku do końca życia.

Elemak położył się na dywanie, który stanowił swoistą „podłogę” namiotu.

- A czemuż mieliby dać mi posłuch w tej kwestii? Pomyślą, że robię to tylko dlatego, by zazdrośnie strzec Eiadh. Przypadkiem wiem, że reszta już teraz po cichu do niej wzdycha z nadzieją na czynienie jej awansów, spodziewając się, że za kilka lat nasze małżeństwo dobiegnie końca.

- Musisz więc przekonać ich do uznania argumentów przemawiających za dogonnym, monogamicznym związkiem. By zrozumieli, że nie robisz tego wyłącznie dla własnych korzyści.

- Przekonać ich? - Zaniósł się śmiechem, krótkim, urwanym, pełnym goryczy. - Wątpię, czy zdołam ugadać choćby samą Eiadh.

Rasa widziała wyraźnie, że rychło pożałował swej ostatniej uwagi. Nierozsądnie ubrał w słowa swoje prawdziwe uczucia. Tego nie powinien wyznawać nikomu.

- W takim razie może perswazja to nieodpowiednie określenie. Trzeba im pomóc zrozumieć, że jest to prawo, którego musimy przestrzegać, by ustrzec naszą wielką rodzinę przed rozpadem, przed emocjonalną zawieruchą i fizycznym rozlewem krwi. I że jest to niezbędne w takim samym stopniu, jak zachowanie ciszy podczas każdego dnia podróży.

Elemak wstał i nachylił się w jej stronę. W jego oczach tliły się uczucia. Gniew? Strach? Boleść? A może coś innego, czego nie potrafię odgadnąć? - zastanawiała się Rasa.

- Lady Raso - zaczął - czy te pożądane przez ciebie prawo jest na tyle ważne, by dla niego zabić?

- Zabić? Właśnie zabijania najbardziej się obawiam. Właśnie tego trzeba nam unikać.

- Gdziekolwiek spojrzysz, wszędzie piasek. Nawet gdy dotrzemy do obozowiska ojca, wciąż będzie nas otaczała tylko pustynia. A ona rządzi się własnymi prawami, które przewidują tylko jedną karę za każdy występki. Śmierć!

- Mówisz od rzeczy - zaperzyła się Rasa.

- Czy skrócisz kogoś o głowę, czy zostawisz go samego jak palec na pustyni, na jedno wyjdzie. Tutaj wygnanie równa się wyrokowi śmierci.

- Ale w życiu nie miałam na myśli aż tak dotkliwej kary.

- Zastanów się, lady Raso. Gdzie będziemy więzić przestępców podczas naszych całodziennych podróży? Któż znajdzie czas, by podjąć się funkcji strażnika? Oczywiście zawsze pozostaje chłosta, ale wtedy musielibyśmy radzić sobie z rannymi...

- Może raczej za karę odebrać im jakiś przywilej? Czegoś ich pozbawić? To byłoby niczym grzywna, którą stosowali w Basilice.

- A czego chciałabyś ich pozbawić, lady Raso? Jakimi przywilejami cieszy się którykolwiek z nas? Gdybyśmy odebrali delikwentowi rzecz mu potrzebną - bo ja wiem, buty albo wielbłąda - to i tak dozna uszczerbku, a do tego podróżowałby wolniej i naraziłby nas wszystkich na niebezpieczeństwo. A gdyby zdecydować się na coś zbędnego i pozbawić go na przykład majątku, to przepełniłaby go głęboka uraza i musielibyśmy użerać się z osobą, której ufać niepodobna. Nie, lady Raso, jeśli wstyd nie odstraszy ludzi od łamania prawa, to jedyną znaczącą karą może być tylko śmierć. Delikwent nigdy nie stanie się recydywistą, a reszta zrozumie, że traktujemy sprawę poważnie. Każda inna kara będzie miała skutek odwrotny: winowajca wróci na drogę przestępstwa, a pozostali nie będą przestrzegali prawa. Dlatego twierdzę, że zanim zdecydujesz się na ustanowienie takiej normy na czas naszej wyprawy, powinnaś rozważyć, czy warto za łamanie takiego prawa zabić.

- Ale przecież nikt nie da wiary, że naprawdę zabijesz każdego winnego, nieprawdaż?

- Tak myślisz? Z doświadczenia wiem, że najtrudniejsze w karaniu człowieka podczas

podobnych wypraw jest poinformowanie wdowy i osieroconych dzieci, dlaczego delikwent nie wrócił do domu.

- Och, Elemaku, nawet przez myśl mi nie przeszło...

- Nie tobie jednej. Ale ludzie pustyni wiedzą o tym aż za dobrze. Zresztą gdy porzucasz winnego na pustyni, zamiast zabić go na miejscu, to nie pozostawiasz mu żadnej nadziei - wielbłąda, konia, nawet kropli wody. Pętasz skazańca, by szybko dopadły go zwierzęta. Gdyby przeżył dość długo, może znaleźliby go bandyci. Wtedy zginąłby w wielkich męczarniach, a umierając, powiedziałby im, gdzie się znajdujesz, ilu was jest, jak wielu wystawiacie wartowników i gdzie trzymacie wszystkie kosztowności. A to nie koniec. Wyśpiewałby im, jak pieszczotliwie nazywa swoją kobietę, jak przezywacie strażników, co ukryci w mroku bandyci wykorzystaliby w celu wprowadzenia zamętu w twoich szeregach, by uśpić czujność twoich towarzyszy. Zdradzi im nawet...

- Przestań! - wybuchła Rasa. - Mówisz mi o tym z premedytacją.

- Wydaje ci się, że życie na pustyni sprowadza się do upału i chłodu, namiotów i wielbłądów, do wypróżniania się na piasek i nocowania na dywanikach zamiast na łóżku. A ja ci mówię, że życie, które ty, ojciec i ten pocziwina Nafai wybraliście dla nas...

- To Naddusza je dla nas wybrała!

- ...jest najtrudniejsze z możliwych, bo otaczać nas będzie niebezpieczny i okrutny świat, w którym zawsze czujesz nieświeży oddech śmierci na plecach, gdzie trzeba być gotowym zabić, by utrzymać ład i porządek.

- Wpadnę na inny pomysł - upierała się Rasa. - Sposób radzenia sobie z małżeństwami...

- Ależ nie! Będiesz się głowić, zastanawiać, ale koniec końców wysnujesz jedyny słuszny wniosek. Jeśli ta szaleńcza kolonia ma przetrwać na pustyni, musi być w zgodzie z tutejszym prawem. A to oznacza, że kobiety pozostaną wierne swoim małżonkom... albo zginą.

- To samo mężczyźni, jeśli będą cudzołóżyć - dopowiedziała Rasa, pewna że Elemak nie mógł mieć wszak na myśli tego, iż tylko kobiety podlegać będą karze.

- Ach, rozumiem. Gdyby obie strony złamały to matrymonialne prawo, chcesz, żeby oboje ponieśli śmierć, tak? No i kto tu jest teraz żadnym krwi potworem, hm? O wiele łatwiej możemy sobie pozwolić na rezygnację z kobiety niż mężczyzny. Chyba że sugerujesz, bym przeszkolił Sevet lub Kokor w sztuce walki? Chyba że twoim zdaniem Lal lub Shedemei w istocie poradzą sobie z załadunkiem namiotów na grzbiety wielbłądów.

- Podsumowując, w twoim męskim szowinistycznym świecie kobiety będą ponosić

ciężar odpowiedzialności za...

- Basilikę zostawiliśmy daleko w tyle, lady Raso. Kobiety kwitną w społeczności dojrzałej i silnej. A tu cóż, piasek i długo, długo nic. Nie, wystarczy chwila zastanowienia, by pojąć, że ograniczenie kar do kobiet stanowi pewniejszą zachętę do poszanowania prawa. Bo jakież mężczyzna zdecyduje się na szeptane ukradkiem „Kocham cię”, jeśli obie strony będą świadome tego, że tak naprawdę znaczy to: „Ma ochota, by cię wygrzmocić, jest tak przemożna, że nie obchodzi mnie twa śmierć”? Jakie będą wtedy szanse, że jego zaloty się powiodą? Gdyby jednak zalotnik chciał siłą dopiąć swego, to ona krzyczałaby wniebogłosy - i nie z rozkoszy, tylko z przerażenia, bo w końcu chodziłoby o jej życie. I jeśli pojmiemy gwałciciela na gorącym uczynku, a ona wyraźnie sprzeciwiała się współzyciu, to oczywiście wtedy na śmierć skazemy mężczyznę. Rozumiesz już? To prawo pozbawi uroku nawet zgola niewinny romans.

*

Wychodząc z namiotu, Elemak z trudem powstrzymał się od śmiechu na widok zboląłego oblicza Rasy. Och, tak, ona wciąż się łudzi, że ma władzę, nawet teraz, chociaż o przetrwaniu na pustyni wiedziała tyle co nic, nieustannie narażała innych na niebezpieczeństwo przez ciągle gadanie, przez te wątpliwe mądrości, którymi jakże chętnie się dzieliła, w końcu przez roztaczaną wokół aurę autorytetu. Może i w Basilice, gdzie kobiety zniewalały mężczyzn zwyczajami i zasadami dobrego wychowania, gdzie mogła podejmować decyzje, na które ludzie przystawali, udawało jej się utrzymać pozory władzy. Ale tutaj przekona się niedługo - już zaczęła to dostrzegać - że brakuje jej niepohamowanej żądzy władzy. Chce rządzić, ale uchyla się od trudnych wyborów, które za tym idą.

A więc - jak to kiedyś mawiali - „i nie opuszczę cię aż do śmierci”. Lecz któraż kobieta mogłaby zaspokoić silnego mężczyznę przez więcej niż rok czy dwa lata? Od samego początku zakładał, że Eiadh będzie jego pierwszą żoną, po prostu pierwszą. I spełniłaby się w tej roli - stanowiłaby ozdobę jego pierwszego basilikańskiego domostwa, powiła mu pierworodnego, a potem by się rozeszli. Elemak przewidywał nawet, że jego dzieci będą się uczyć u Rasy, w końcu dobrze radziła sobie z wychowaniem młodzieży; w tej dziedzinie objawiała swe prawdziwe talenty. Lecz by spodziewać się po nim tego, że dobrowolnie wytrzyma z Eiadh, gdy ta ślicznotka zestarzeje się i obrośnie sadłem...

Tyle że się okłamywał, wiedział o tym w głębi serca. Mógłby udawać, że nie chce zachować Eiadh na całe życie, ale tak po prawdzie to jedynym uczuciem, którym ją darzył, było pragnienie. Niepohamowana żądza posiadania, której nie rokował nadziei na ostudzenie. To uczucia Eiadh, a nie jego, były podatne na zmianę. Ona tak bardzo podziwiała Nafaia, gdy

sprzeciwił się temu watażce Moozhowi i odrzucił propozycję objęcia funkcji konsula. Wielce żalosne - bardziej imponował jej Nafai, bo zrezygnował z władzy, niż własny mąż, który wszak posiadał władzę i nie wahał się robić z niej użytku. Lecz cóż, była kobietą, zwyczajowo wychowaną w mistycznej wierze w Nadduszę, a skoro Nafai okazał się „wybrańcem”, tylko zyskiwał na atrakcyjności w jej oczach.

A co do Nafaia... Elemak wiedział nie od dziś, że Nafai miał Eiadh na oku. Po części ożenił się z nią dlatego, że tym sposobem dopiekl temu smarkaczowi. Niechaj nawet weźmie ją za żonę później, ale wpierw ta piękność urodzi Elemakowi dziecko albo i dwa. To Nafaiowi uzmysłowi jego miejsce w szeregu. Lecz od niedawna Eiadh rzucała ukradkowe spojrzenia na tego gołowąsa. Co za cholerny niefart, że to jemu dane było zabić Gaballufixa! I właśnie to ją nęciło! Zakochała się w złudnej sile Nafaia. Otóż, Eiadh, droga Edhya, ma oblubienico, wiedz, że ja zabiłem już wcześniej, i to nie bezbronnego pijaczynę leżącego na ulicy, o nie. Uśmierciłem żadnego krwi i kosztowności rabusia, który miał chrapkę na moją karawanę. I jestem gotów powtórzyć ten wyczyn.

Mogę zabić ponownie, a Rasa zdążyła już się zgodzić, że bywa to zasadne. Prawo pustyni, o tak, to ono położy kres ambicjom Nafaia. Rasa jest przekonana, że jej ukochany synalek pod żadnym pozorem nie złamie prawa, więc zgodzi się - jak i reszta - że niesubordynację karać należy śmiercią. A wtedy... Nafai okaże nieposłuszeństwo, bez dwóch zdań. To takie proste, takie przewidywalne. Wtedy będę mógł go uśmiercić i tak samo jak Nafai usprawiedliwiał zabójstwo Gabyi, powiem, że robię to dla dobra ogółu!

Tamtej nocy, gdy zimna kolacja ciążyła im na żołądkach, a chłodny nocny wiatr zagnał ich do namiotów, Elemak przydzielił Nafaiowi pierwszą wartę. Wiedział, że Nafai, biedactwo, doskonale zdaje sobie sprawę, kto czeka na Elemaka w jego namiocie. Że Nafai marznie w mroku rozświetlanym jedynie blaskiem gwiazd, wyobrażając sobie, jak Elya bierze w ramiona nagą Eiadh, jak rozpalone i wilgotne powietrze skrapla się na płótnie namiotu. Wiedział też, że Nafai słyszy przytłumione westchnienia rozkoszy dobywające się z ust Eiadh. A wyłoniwszy się z namiotu, wciąż mokry od potu i zapachu jej ciała, Elemak wiedział, że Nafai przełknie gorzką pigułkę, wracając do siebie - gdzie jedynym pocieszeniem będzie niezgrabne, bezkształtne ciało wodnej wieszczki Luet. Elemaka aż kusiło, by wprowadzić w życie prawo zaproponowane przez Rasę, albowiem wtedy to Nafai by się zestarzał, ciągle oglądając się na Eiadh, wiedząc jednak, że ta piękna kobieta po grób będzie żoną Elemaka i że nigdy, przenigdy nie będzie jego.

Więzi i więzy

Nafai stał na warcie, jak zwykle wypełniając czas pogawędkami z Nadduszą. Teraz przychodziło mu to z większą łatwością niż na początku, gdy wraz z Issibem właściwie przymuszali Nadduszę do rozmowy. Teraz wystarczyło, że uważnie sformułował w głowie jakieś myśli, prawie jakby je ubierał w słowa, i wtem odpowiedzi Nadduszy napływały. Rzecz jasna, przychodziły mu do głowy, jakby były jego własnymi myślami, niekiedy więc miał problem, próbując odróżnić rzeczywiste przesłanie Nadduszy od refleksji będących tworem własnego umysłu. By zyskać pewność, często po raz wtóry zadawał to samo pytanie, a Naddusza - wszak będący komputerem, stąd nieznużony - cierpliwie powtarzał odpowiedź tak często, jak było trzeba.

Dziś, skoro Nafai trzymał wartę, wpierw zapytał o czyhające nieopodal niebezpieczeństwa.

Kojot, który zwęszył trop zająca.

Nie, chodziło mi raczej o niebezpieczeństwa grożące nam, pomyślał Nafai.

Ci sami bandyci, przed którymi już cię ostrzegałem. Ale oni akurat co noc słyszą dziwne dźwięki, więc teraz chowają się w jaskini, drżąc ze strachu.

Znajdujesz przyjemność w ogłupianiu ich? - zapytał Nafai.

Nie, ale wyczuwam, że ty czerpiesz z tego satysfakcję. Chyba właśnie to wy, ludzie, uważacie za zabawę?

Raczej za psikus. Albo dowcip.

I uwielbiasz świadomość, że tylko ty znasz prawdę o moich uczynkach.

Luet też zna.

Oczywiście.

Jakieś inne zagrożenia?

Elemak knuje spisek na twoje życie.

Nóż w plecy, czy jak?

Przepelnia go pewność siebie. Uważa, że zrobi to otwarcie, za zgodą wszystkich. Nawet twojej matki.

I jak niby zamierza tego dokonać? Postrzeli mnie z pulsatora i będzie udawał, że to

nieszczęśliwy wypadek? A może potrafi spłoszyć mojego wielbłąda, żeby zrzucił mnie w przepaść?

Jego plan jest o wiele bardziej finezyjny. Dotyczy prawa matrymonialnego. Dzisiaj Rasa i Shedemei uzmysłowiły sobie, że trzeba usankcjonować trwałość małżeństwa, a niedawno Rasa przekonała Elemaka.

I dobrze. Trudniej byłoby go zrealizować, jeśli na ten pomysł wpadlibyśmy ja i Luet.

Przecież to wasz pomysł.

Ale tylko ja i ty mamy tego świadomość, reszta nawet się nie zorientuje. Przekona ich żelazna logika tego prawa. A muszę jakoś powstrzymać Eiadh przed ewentualnymi zalotami. Wiele straciła w moich oczach, bo zwróciła na mnie uwagę dopiero wtedy, gdy zabiłem Gaballufixa i nie zgodziłem się zostać marionetką Moozha. Sądzę bowiem, że byłem znacznie lepszą partią, zanim... zanim to wszystko się zaczęło.

Wtedy byłeś dzieckiem.

Wciąż jestem dzieckiem.

I to stanowi jeden z naszych problemów. Co gorsza, jesteś dzieckiem, które nie potrafi oszukiwać.

Za to ty opanowałeś tę sztukę do perfekcji.

Twoje przywództwo nad tymi ludźmi nie może opierać się tylko na tym, że za każdym razem będę zaszczeptał im w głowach twoje pomysły. Podczas podróży z Harmonii na Ziemię nie będę miał na nich takiego wpływu jak tutaj. Musisz nauczyć się bezpośrednio do nich przemawiać. Przyzwycząić ich, żeby do ciebie zwracali się w sprawie wszelkich decyzji.

Elya i Meb w życiu nie przystaną na moje przywództwo.

Są więc nam zbędni.

Tak jak Gaballufix? To był ostatni raz, Nadduszo. I tego możesz być pewien - raz zabiłem dla ciebie, ale nigdy, przenigdy więcej, nawet nie każ mi o tym myśleć, odmawiam!

Nie musisz krzyczeć. Rozumiem cię.

Nie, nie rozumiesz. Nigdy nie miałeś krwi na rękach. Nie czuleś, jak to jest, gdy miecz drąży ciało i przerywa więzadła międzykręgowe. Nie słyszałeś świszczącego oddechu wydobywającego się z broczącej krwią dziury w gardle.

Widziałem twymi oczami, czułem twymi rękami, słyszałem twymi uszami.

Ale nigdy nie czuleś... tej strasznej definitywności. Że to nieodwracalne. Że odszedł i niezależnie od tego, jak nikczemnym był człowiekiem, nie miałem prawa odciąć mu głowy...

Miałeś prawo, bo przenieśli na ciebie moją prerogatywę wynikającą z faktu, że ludzie zbudowali mnie z myślą o ochronie całego gatunku, a śmierć tego człowieka była

niezbędna, by uchronąć cywilizację na waszej planecie.

Tak, wiem, w kółko to powtarzasz.

A ty w kółko odrzucasz prawdę i uparcie wolisz bezsensownie umartwiać się w poczuciu winy.

Odebrałem życie bezbronnemu pijanemu człowiekowi. Ten czyn nie przynosi mi chwały. Był daleki od przyzwoitości. Trudno doszukać się tu nawet logiki czy rozsądku. Czyniąc to, nie byłem dobrym człowiekiem.

Byłeś pośrednio moimi rękami, Nafaiu. Zrobiłeś dla mnie to, co koniecznie trzeba było uczynić.

Zrobiłem to własnymi rękami, Nadduszo. Mogłem ci odmówić. Tak jak teraz, gdy ogłędnie sugerujesz, bym zabił Elemaka i Mebbekewa. Zapomnij. Już nikomu dla ciebie nie odbiorę życia.

Będę miał to na uwadze, układając plany na przyszłość. Lecz ty możesz znaleźć się u władzy. Musisz. Twój ojciec jest zbyt stary i zmęczony, co więcej, za bardzo polega na Elemaku. Coraz częściej będzie dawał posłuch Elemakowi, kawałek po kawałku będzie oddawał mu swoją władzę, aż zupełnie ją straci.

Sądzisz więc, że byłoby lepiej, by oddał ją w moje ręce?

Nie musi oddawać ci zupełnie niczego. Będziesz rządził za jego pośrednictwem, oddając mu należyty szacunek. Tym sposobem twój ojciec zachowa dumę i wpływy. Przecież już ci to tłumaczyłem. Pora wyjść z cienia.

Jeszcze nie. To nieodpowiednia chwila, bym rzucił wyzwanie Elemakowi. Tylko on potrafi poprowadzić nas przez pustynię.

A ja ci mówię, że on nie ma podobnych skrupułów. W tym właśnie momencie, choć kocha się z Eiadh, wyobraża sobie, że leżysz związany i pozostawiony na pustyni, a - jak prędko byś się przekonał, Nafaiu - może i potrafię wpłynąć na bandytów, ale nie na dzikie ssaki i drapieżne ptaki, nawet owady, dla których wszystko, co nie chodzi, fruwa lub odpełza, stanowi następny posiłek. One nie słuchają mnie, tylko instynktu, który mają zakodowany w genach, toteż zginiesz na pewno, a cóż ja pocznę bez ciebie?

Czy zamierza działać szybko, zanim dotrzemy do obozowiska ojca?

W końcu zacznasz rozumieć.

A zatem co planuje?

Nie mam pojęcia. Nigdy nie myśli zbyt wyraźnie. Przeszukuję jego umysł, ale to niełatwe. Wiesz, że nie mogę ot tak, po prostu gmerać w ludzkich głowach. Elemak obawia się swych morderczych zamiarów tak bardzo, że zabrania sobie o nich zbyt otwarcie myśleć.

Może jest inaczej, gdy nie rozprasza go dogadzanie sobie.

Rozprasza? On nawet teraz o tobie myśli. Wydaje mu się, że ty wciąż pragniesz Eiadh, liczy więc na to, że posłyszysz jej urwane westchnienia.

Tyle z tego pożytku, że nie mogę się już doczekać końca warty i powrotu w objęcia Luet.

Elemak nie przyjmuje do wiadomości, że można nie pożądać kobiety, której on pożąda.

Przyznaję, ongiś imaginowałem sobie, że Eiadh spełniłaby wszystkie moje potrzeby i pragnienia. Ale naonczas nie wiedziałem nic o kobietach. Luet żywi przekonanie, że jest brzemienna. Z nią mogę porozmawiać o wszystkim. Choć pobraliśmy się raptem przed kilkoma dniami, ona wie, co leży mi na sercu, nawet lepiej od ciebie, a mnie zdarza się rozumieć ją bez słów. Czy Elemakowi naprawdę się wydaje, że mógłbym pożądać kobiety jakich wiele, pomimo że Luet jest mi żoną?

Zmiarkował, że pociągasz Eiadh. I pamięta, że kiedyś ona ci się podobała. Wie też, że ciebie obrałem na przywódcę. I chorobliwie, niemal szaleńczo ci zazdrości. Łaknie twojej śmierci. To go pochłania do tego stopnia, że w głębi serca nawet akt miłości wobec niej uważa za niemal zabójstwo.

To właśnie jest w tym wszystkim najgorsze! Gorąco pragnę, żeby Elemak mnie kochał i szanował. Czymże na to zasłużyłem?

Nie chciałeś mu się podporządkować.

Miłość i szacunek nie mają nic wspólnego z władzą nad ludźmi.

W rozumieniu Elemaka osoba, która mu się sprzeciwia, albo dla niego nie istnieje, albo jest wrogiem. Przez wiele lat byłeś dla niego jak powietrze, w końcu cię jednak dojrzał. Ponadto było cię trudniej zmanipulować lub zastraszyć niż Mebbekewa, tedy uznał cię za wroga.

I tylko dlatego? Nie może być.

Bynajmniej. Przemilczałem co bardziej skomplikowane szczegóły.

Jego namiot przestał się trząść. Czy to oznacza, że Elemak wkrótce zamierza wyjść?

Właśnie się ubiera. I myśli o tobie. Podobnie jak Eiadh.

Tyle dobrego, że ona nie дума o mej śmierci.

Jeśli Eiadh dopnie swego, też skończy się tak samo, twoim pogrzebem.

Nie mów Luet, że Elemak powziął zamiar, by mnie zabić.

Powiem jej wszystko, tak samo jak mówię tobie. Nie zatajam prawdy przed ludźmi, którzy służą moim celom.

Chyba że uznasz to za stosowne. Zresztą i tak nie chcę, żebyś ją okłamywał - po prostu nie chcę, żeby się martwiła.

Ale ja chcę, żeby się martwiła o ciebie, skoro ty nie zamierzasz. Wydaje mi się, że czasem specjalnie igrasz ze śmiercią.

Możesz przestać zaprzętać sobie tym głowę. Życie sobie cenię i nie mam zamiaru się z nim rozstać.

Nieraz szukasz zguby, ponieważ ubzdurałeś sobie, że byłaby to najsprawiedliwsza kara za uśmiercenie Gaballufixa.

Oto i Elemak.

Zwróć uwagę, jak zależy mu na tym, byś poczuł zapach jego rąk.

Nafai nie był wdzięczny Nadduszy za tę uwagę - inaczej może w ogóle by mu to umknęło. Lecz, prawdę mówiąc, było to wątpliwe, gdyż Elemak postarał się, by położyć obie ręce Nafaiowi na ramionach, a nawet musnął mu palcami policzek.

- Widzę, że jednak nie przysnąłeś. Może i będzie z ciebie jakiś pożytek na pustyni, kto wie.

- Nie zostawiłeś mnie samego na warcie znowu tak długo - odparł Nafai.

Kobiecy zapach był dość wyraźny. Podobnie jak obrzydzenie Nafaia faktem, że Elemak w ten sposób wykorzystywał intymne zbliżenie z własną żoną. Jakby była dla niego nikim. Niczym. Narzędziem. Żadną tam żoną. Zwykłą rzeczą, którą posiadał.

Ale jeśli dać wiarę podszeptom Nadduszy, właśnie tak Elemak postrzegał miłość - jako posiadanie.

- Widziałeś coś?

- Tylko mrok.

Nie powiedział, że zaledwie kilkaset metrów dalej czają się bandyci. Po pierwsze, Elemak tylko by się rozgniewał, że Nafai czerpie informacje od Nadduszy. A po wtóre, poczułby się upokorzony, że wybrał miejsce odpoczynku tak blisko kryjówki rabusiów. Zapewne uparłby się, żeby albo ich odszukać - co doprowadziłoby do potyczki i rozlewu krwi - lub też obudzić wszystkich i wyruszyć w drogę - co miałoby się z sensem, skoro Naddusza z dziecinną łatwością trzymał z dala tę grupkę bojaźliwych rzezimieszków.

- Gdybyś choć raz oderwał oczy od ziemi, zobaczyłbyś gwiazdy na niebie - rzekł Elemak.

Jak zwykle drażnił się z Nafaiem, Nafai zaś wiedział, że powinien puścić to mimo uszu, ale w tej chwili przepełniał go gniew. Wiedział bowiem, że Elemak knuje spisek na jego życie, a mimo to udaje, że jest mu bratem. Nie zapomniał też o tym, że Elemak dopiero co

kochał się z żoną w jednym celu - by wzbudzić zazdrość. Przeto Nafai nie mógł się powstrzymać. Wyrzucił rękę w górę.

- A tam widzisz Sol, czyli Słońce. Ledwo widoczne, ale jeśli wiesz, gdzie szukać, znajdziesz bez trudu. Właśnie tam zmierzamy.

- Doprawdy?

- To jedyny powód, dla którego Naddusza wywiódł nas z Basiliki.

- I możliwe że jego zamierzenia niekoniecznie się powiodą. W końcu to tylko komputer, że zacytuje twoje słowa.

Nafai miał już na końcu języka złośliwą odpowiedź sugerującą, że skoro Naddusza jest tylko komputerem, to Elemak jest tylko bezwłosym pawianem. Pół roku temu z pewnością właśnie tak by powiedział i dostałby lanie od Elemaka. Ale od tej pory nauczył się, kiedy należy milczeć.

Poszedł do swego namiotu, gdzie czekała na niego Luet. Wcześniej zapewne odsypiała harówkę przy rozbijaniu obozowiska, a znów wstanie o brzasku. Powitała go bez słów li tylko kochającym spojrzeniem otwartych oczu i uśmiechem, które ogrzało zmrożone przez Elemaka serce.

Nafai szybko zrzucił ubranie, wsunął się pod koc i przyciągnął żonę ku sobie.

- Ciepła jesteś.

- Chyba fachowo mówi się: gorąca - droczyła się.

- Elemak ma zamiar mnie zabić - szepnęła.

- Wolałabym, żeby Naddusza zechciała go powstrzymać - odszepnęła.

- Sądzę, że nie zdoła. Moim zdaniem wola Elemaka jest zbyt silna, by Naddusza odwiódł go od stanowczo powziętego zamiaru.

Nie wspomniał o oględnych aluzjach Nadduszy sugerujących, że gdzieś kiedyś będzie musiał zabić brata. Ale skoro wcale nie miał zamiaru tego zrobić, to po co miałby dzielić się tymi myślami z Luet? A i bez tego wstydziłby się jej to wyznać, obawiając się, że ona sobie pomyśli, iż jej mąż mógłby rozważać taką ewentualność.

- Hushidh sądzi, że wyczuwa coraz silniejsze więzy łączące Elemaka z tymi, którzy chcą zawrócić - z Kokor i Sevet, Vasem i Obringiem, Mebem i Lal. Tworzą coś na kształt osobnej podgrupy i niemal całkowicie odseparowują się od reszty.

- A Shedemei?

- Ona chce zawrócić, ale nie ma żadnej więzi z tamtymi.

- Tak więc tylko ty i ja, Hushidh i matka chcemy ruszyć dalej przez pustynię.

- I Eiadh. Ona pójdzie wszędzie tam gdzie ty.

Oboje wybuchli śmiechem, ale Nafai rozumiał, że Luet potrzebowała dowodu, iż nie odwzajemniał żądz Eiadh. Toteż z zacięciem udowodnił jej swoją miłość ponad wszelką wątpliwość, po czym pogrążyli się w śnie.

*

Rankiem, gdy już objuczyli wielbłądy, Elemak przywołał całą grupę do siebie.

- Garść ogłoszeń - zaczął. - Pierwsze to propozycja Rasy i Shedemei, którą uznałem za słuszną: póki koczujemy na pustyni, nie możemy sobie pozwolić na taką seksualną swobodę jak w Basilice. Doprowadziłaby ona jedynie do resentymentów i niełojalności, co równałoby się skazaniu tej karawany na zgubę. Tedy więc na czas pobytu na pustyni - także w obozowisku ojca i w każdym innym miejscu, w którym będą wszyscy tu obecni oraz czekająca na nas trójka - zarządza się, co następuje: nie będziecie sypiać z nikim poza własnymi żonami i mężami, a wszystkie małżeństwa, w obecnych formach, będą nierozwiązywalne.

Kilkoro co bardziej zszokowanych słuchaczy głośno wciągnęło powietrze; Luet rozejrzała się wokół i nawet się nie zdziwiła, że Kokor, Obring i Mebbekew wyglądali na najbardziej rozgniewanych.

- Nie masz najmniejszego prawa decydować o takich rzeczach - słabo zaprotestował Vas. - Każdy tu jest basilikaninem, podporządkowani jesteście basilikańskiemu prawu.

- Ale nie jesteście w Basilice - odciął się Elemak. - Jesteście na pustyni, więc podlegamy jej prawom. A stanowią one, że decyzja przywódcy karawany jest ostateczna. Przed podjęciem każdej decyzji wysłucham waszych postulatów, ale gdy już coś postanowię, jakkolwiek sprzeciw uznany zostanie za bunt. Wyrażam się jasno?

- Nikt nie będzie mi mówił, z kim sypiać muszę, a z kim nie mogę - obruszyła się Kokor.

Elemak podszedł i wbił w nią spojrzenie; wyglądała tak wątło w porównaniu z nim - potężnym, wysokim, umięśnionym.

- A ja ci oznajmiam, że na pustyni nie pozwolę nikomu zakradać się od namiotu do namiotu. W ten czy inny sposób doprowadzi to do zabójstwa, dlatego zamiast pozwalać wam na samowolne wymierzanie kary, oświadczam tu i teraz: jeśli ktoś z was zostanie przyłapany w stanie choćby sugerującym, że tylko co odbył stosunek seksualny z kimś, kto nie jest waszym małżonkiem, własnymi rękami i na miejscu zabiję winowajczynię.

- Jak to winowajczynię?! - oburzyła się Kokor.

- Mężczyźni są nam niezbędni do objuczania wielbłądów - wyjaśnił Elemak. - Zresztą komu jak komu, ale ten pomysł nie powinien wydawać się dziwny akurat tobie, Koya, skoro

właśnie ty podjęłaś podobną decyzję ostatnim razem, gdy uznałaś, że cudzołóżnik zasłużył na śmierć.

Luet zauważyła, że Kokor i Sevet niemal jednocześnie dotknęły gardeł - tam spadł cios Kokor wymierzony w Sevet, o mały włos śmiertelny, po którym ta druga do dziś nie odzyskała pełni głosu, ba, nie odzywała się prawie wcale. Tymczasem mąż Kokor, Obring, który beztrząsco oddawał się cielesnym uciechom, gdy Kokor ich nakryła, wyszedł z całej opresji zupełnie bez szwanku. Przypominając im o tym zdarzeniu, Elemak zachował się wielce nieuprzejmie, acz zupełnie odpowiednio, ponieważ uciszył tym samym sprzeciw ze strony trzech z czterech najbardziej prawdopodobnych oponentów - Kokor, Sevet i Obring położyli uszy po sobie i zamilkli.

- Nie masz prawa o tym zadecydować - wyręczył ich Mebbekew, ten czwarty.

Luet wiedziała jednak, że Elemak bez trudu przywoła Meba do porządku. Jak zwykle.

- Mam nie tylko prawo - oznajmił Elemak - ale i obowiązek. To prawo jest kluczowe dla przetrwania naszej grupki na pustyni, dlatego będzie przestrzegane pod groźbą jedynej kary, którą mogę wymierzyć tutaj, wiele kilometrów od cywilizacji. Jeśli wciąż tego nie pojmujesz, jestem pewien, że lady Rasa wyłuszczy ci resztę.

Odwrócił się i posłał spojrzenie Rasie, bezgłośnie żądając, by go wsparła. I się nie zawiódł.

- Całą noc raz po raz próbowałam wymyślić inny sposób poradzenia sobie z tym problemem - zaczęła - ale to prawo jest nam niezbędne, a jak powiada Elya, na pustyni jedyną karą, która cokolwiek znaczy, jest... to, o czym mówił. Lecz nie śmierć z czyjejś ręki! - ciągnęła niechętnie. - Winowajca zostanie jedynie spętany i porzucony.

- Jedynie?! - pogardliwie rzekł Elemak. - To śmierć nieporównywalnie okrutniejsza.

- Pozostawia winowajczynię w mocy Nadduszy - tłumaczyła Rasa. - Która, być może, ześle jej wybawienie.

- Płonne nadzieje - przekonywał Elemak. - Zwierzęta obeszłyby się ze zdrajczynią o wiele życzliwiej niż jakikolwiek przygodny wybawiciel.

- Delikwentka zostanie związana i porzucona, ale żywa! - nalegała Rasa.

Obawia się, że jej córka pierwsza złamie to prawo, pomyślała Luet. A zarządzenie ogłoszone przez Elemaka, który sądził, że ograniczenie najwyższej z kar do kobiet powstrzyma męską chęć, osiągnie skutek odwrotny do zamierzonego. Tylko nieliczni z mężczyzn myślą o konsekwencjach, gdy zaślepią ich żądza, za to wiele kobiet potrafiłoby ją stłumić, gdyby mogła narazić ukochanego na niebezpieczeństwo.

- Jak sobie życzysz, o czcigodna - zgodził się Elemak. - Według prawa pustyni decyzja

należy do przywódcy. W normalnych okolicznościach opowiedziałbym się za szybko i w miarę bezbolesną śmiercią przez strzał z pulsatora, lecz miejmy nadzieję, że do końca naszych dni nie będzie potrzeby podjęcia takiej decyzji.

Rozejrzał się po całej grupie, odwracając się, by omieść wzrokiem również tych, których miał za plecami.

- Nie proszę was o akceptację. Jedynie oznajmiam, że to prawo właśnie weszło w życie. Toteż niechaj podniosą rękę ci, którzy rozumieją nowo obowiązujące zasady.

Wszyscy unieśli ręce, choć niektórzy z wyraźnym ociąganiem.

Nie! Jednak nie wszystkie.

- Meb - rzekł Elemak. - Podnieśże rękę, bo przynosisz wstyd swojej kochanej Lal. Bez wątplenia już zaczęła się zastanawiać, której z obecnych tu kobiet pożądasz tak bardzo, by ubiegać się o jej względy, nie bacząc, że skazujesz ją tym samym na pewną śmierć.

Meb podniósł rękę.

- Wyśmienicie - pochwalił Elemak. - Przejdźmy więc do drugiej sprawy. Musimy podjąć decyzję.

Jeszcze nie wzeszło słońce, przejmujący chłód ziębił więc wszystkich, szczególnie tych, którzy niewiele pomagali przy składaniu namiotów i objuczaniu wielbłądów. Może więc dlatego głos Mebbekewa drżał.

- A myślałem, że teraz to ty podejmujesz wszystkie decyzje.

- Tylko jeśli chodzi o utrzymanie nas przy życiu i na właściwej drodze do celu - uściślił Elemak. - Lecz nie uważam się bynajmniej za despotę. Decyzje, które nie dotyczą przetrwania, leżą w gestii całej grupy. Tylko trzymając się razem, zdołamy przetrwać, więc nie zgodzę się na żadne wewnętrzne podziały. Zarazem nie przypominam sobie, byśmy kiedykolwiek zdecydowali, dokąd zmierzamy.

- Wracamy do ojca i Issiba - bez wahania odparł Nafai. - Wiesz, że liczą na nasz powrót.

- O ile tylko nigdzie się nie ruszali, wody mają pod dostatkiem. Ktoś może wrócić tam i sprowadzić ich do nas, ale bez pośpiechu, mają však zapasy na parę lat - zauważył Elemak.

- Toteż nie traktujmy tego jak priorytet. Jeśli większość chce podróżować dalej w stronę obozowiska Volemaka, niech tak będzie. Właśnie tam wszyscy się udamy.

- Nie możemy wrócić do Basiliki - włączyła się Luet. - Mój ojciec dał nam to wyraźnie do zrozumienia.

Jej ojciec, czyli Moozh, wybitny wódz Gorayni - dowiedziała się o tym dopiero przed kilkoma dniami. Ale przypominając reszcie o tej więzi rodzinnej, miała nadzieję, że doda

powagi swoim słowom. Los nie obdarzył jej wielkim darem przekonywania; zawsze mówiła prawdę, a ponieważ kobiety w Basilice znają ją jako wodną wieszczkę, jej słowa traktowano poważnie. Pierwszy raz przemawiała przed grupą, w której byli mężczyźni. Wiedziała jednak, że podkreślanie pozycji rodziny to jeden ze sposobów, w jaki ludzie wywierali wpływ na innych w Basilice, więc postanowiła go wypróbować.

- No tak, ten twój czuły, kochający ojciec, który próbował poślubić własną córkę, a gdy to okazało się niemożliwe, wyrzucił nas z miasta - podjęła Kokor.

- To nie tak było! - zaprotestowała Luet.

Hushidh dotknęła jej ramienia.

- Opuść - szepnęła. - Koya ma w tym większą wprawę niż ty.

Tylko Luet słyszała tę radę, ale gdy nagle zamilkła, pozostali domyślili się sensu słów Hushidh, Kokor zaś pogardliwie wykrzywiła usta.

- Luet ma rację o tyle, że nie możemy wrócić do Basiliki - odezwał się Elemak - a przynajmniej nie od razu. Chyba właśnie to Moozh chciał nam dać do zrozumienia, wysyłając żołnierzy, by bezpiecznie odeskortowali nas poza miasto.

- Z uporem godnym lepszej sprawy powtarzacie, że nikt z nas nie może wrócić do Basiliki - odciął się Meb - a przecież zakaz ten dotyczy jedynie tych, przez których najadł się wstydu na oczach mieszkańców - dokończył, wskazując na Hushidh, Luet i Nafaia.

- Zechciej zamknąć jadaczkę - rzucił Elemak z pogardą. - Nie chciałbym, żebyśmy nadal dyskutowali, gdy wzejdzie słońce. Znajdujemy się w okolicy, w której bandyci lubią się zaszyć, a jeśli jacyś chowają się w pobliskiej jaskini, najpewniej wychyną z niej przed świtem.

Słowa te kazały się Luet zastanowić, czy Elemak czasem nie zwietrzył rabusiów będących pod wpływem Nadduszy. Może od początku wiedział, że tacy ludzie okazują odwagę jedynie w świetle dnia, w nocy zaś pozostają w ukryciu. Możliwe też że podświadomie odbierał sygnały od Nadduszy, nie zdając sobie sprawy, co podsuwało mu te myśli. W końcu był na równi z resztą płodem nadzorowanego przez Nadduszę tajnego programu eugenicznego, a całkiem niedawno sam doznał sennej wizji. Wszystko stałoby się o wiele prostsze, gdyby tylko Elemak bez ogródek przyznał, że może komunikować się z Nadduszą i skwapliwie wypełnia jej zamierzenia. A tak wraz z Hushidh musiały ciągle obmyślać nowe plany zmierzające do pokrzyżowania jego zamiarów.

- Chociaż naprawdę nie możemy bezzwłocznie wrócić do Basiliki - ciągnął Elemak - nie znaczy to, że musimy od razu jechać do ojca. Znajdzie się wiele innych miast, które ugoszczą naszą karawanę, choćby tylko przez wzgląd na nadzwyczaj cenny ładunek

embrionów i nasion pod pieczę Shedemei.

- Nie są na sprzedaż - odcięła się Shedemei.

Jej głos brzmiał dość stanowczo, a odpowiedź przyszła na tyle szybko, by wszyscy zrozumieli, że ta kwestia nie podlega dyskusji.

- Nawet gdyby od tego zależało nasze życie? - słodko odparł Elemak. - Ale nieważne, i tak nie sugeruję, iż powinniśmy je sprzedać. Są cenne tylko w połączeniu z wiedzą w głowie Shedyi. Ważne, że ludzie na pewno wpuszczą nas za roгатki, jeśli się przekonają, że nie jesteśmy bandą zubożałych tułaczy niedawno wydalonych z Basiliki zarządzeniem generała Moozha z plemiona Gorayni, lecz towarzyszymi słynnej genetyczki Shedemei, która wywiozła laboratorium z pogrążonej w zamecie Basiliki i poszukuje jakiegoś spokojnego miejsca do pracy z dala od tumultu i wrzawy.

- Świetnie - odezwał się Vas. - Na tych warunkach żadne z Miast na Równinie nie odmówi nam prawa wstępu.

- Mało tego, zaoferują nam pieniądze - podjął Obring.

- Zaoferują pieniądze mnie, chciałeś powiedzieć - poprawiła Shedemei.

Lecz nie było wątpliwości, że jej to schlebiało - do tej pory nie zdawała sobie sprawy z faktu, iż sama jej obecność przeniosłaby część jej prestiżu na miasto, w którym by się osiedliła. Luet dostrzegła, że pochlebstwo Elemaka przynosiło skutek.

Zamierza poddać to pod głosowanie, odezwał się głos Nadduszy w głowie Luet.

To akurat stało się oczywiste, Luet odpowiedziała w myślach. Lepiej zdradź nam jego plan.

Gdy Nafai sprzeciwi się decyzji o podróży do jakiegoś miasta, Elemak uzna to za bunt.

A zatem nie wolno mu zgłaszać sprzeciwu.

Wtenczas moje dzieło zostałoby zaprzepaszczone.

A zatem wpływ na wyniki głosowania.

I czyj głos mam zmienić? Któremu z nich Elemak by uwierzył, gdyby niespodziewanie zagłosowali za ruszeniem w dalszą drogę?

A zatem nie dopuść do głosowania.

Nie mam aż takiego wpływu na Elemaka.

A zatem przekaz Nafaiowi, żeby nie oponował!

Musi zgłosić sprzeciw, inaczej podróż na Ziemię przepadnie.

- Nie! - krzyknęła Luet.

Wszyscy odwrócili się w jej stronę.

- Co nie? - zapytał Elemak.

- Nie dla głosowania - sprecyzowała. - Nie będzie żadnego głosowania.

- Ach tak - odparł Elemak. - Oto kolejna miłująca wolność osoba, która zaprzecza demokracji, gdy przewiduje, że głosowanie pójdzie nie po jej myśli.

- A kto w ogóle mówił o głosowaniu, co? - wtrąciła się Lal, która jak zwykle nie bardzo pojmowała, co się wokół niej dzieje.

- Ja głosuję za powrotem na łono cywilizacji - zapowiedział Obring. - Inaczej staniemy się niewolnikami małżeństwa! I Elemaka na dokładkę!

- Ale przecież ja słowem nie wspomniałem o poddaniu czegokolwiek pod głosowanie - bronił się Elemak. - Stwierdziłem tylko, że musimy podjąć decyzję o celu naszej podróży. Głosowanie mogłoby okazać się ciekawe, ale i tak nie byłbym nim zobowiązany. Potrzebuję waszej rady, a nie zarządzeń.

Zatem doradzali mu, ze swadą - albo też próbowali. Lecz gdy ktoś choć zaczynał wysuwać argument przedstawiony już przez kogoś innego, Elemak natychmiast go uciszał: „To już słyszałem. Macie coś nowego do dodania?”. W rezultacie dyskusja trwała niezbyt długo i wkrótce Elemak zapytał: „Coś jeszcze?”, a jego pytanie pozostało bez odpowiedzi.

Czekając, rozejrzał się wokoło. Jego oczy i włosy zaśniły w promieniach słońca wychodzącego właśnie zza szczytów odległych gór. Błyszczał również jako przywódca, bodaj najbardziej w życiu, pomyślała Luet. Dopiął swego - cała wspólnota, łącznie z żoną jego ojca, wraz z bratem Nafaiem, pospołu z wieszczką i więzostruktorką z Basiliki, nawet jego żona, wszyscy czekają na decyzję, która odmieni ich życie. Albo je zakończy.

- Dziękuję wam za rzeczowe rady - zaczął Elemak poważnym tonem. - Wydaje mi się, że nie musimy dokonywać tego czy innego wyboru. Ci optujący za powrotem do cywilizacji mają prawo nas opuścić, a już wkrótce pozostali, którzy chcą ruszyć dalej w głąb pustyni z myślą o powierzonym im przez Nadduszę zadaniu, również będą mieli szansę tego dokonać. Możemy nazwać to ratunkiem dla mego ojca lub początkiem podróży na Ziemię - to kwestia drugorzędna. Najważniejsze jest to, że takie rozwiązanie zadowoli wszystkich. Ruszymy odrobinę na południe, pokonamy góry i zejdziemy w kierunku Miast na Równinie. Tam możemy pozostawić tych, którzy nie potrafią pogodzić się z surowym prawem pustyni, a w dalszą drogę zabiorę z sobą tylko co wytrwalszych.

- Cóż za łaska! - zakpił Mebbekew.

- Nie dbam o to, jak mnie nazywa, byle odzyskać wolność - odezwała się Kokor.

- Głupcy! - zakrzyknął Nafai. - Czy nie rozumiecie, że on tylko blefuje?

- Coś powiedział? - oburzył się Elemak.

- Od początku miał zamiar zabrać nas do cywilizacji - ciągnął Nafai.

- Przestań, Nafaiu - błagała Luet, wiedziała bowiem, do czego to prowadzi.

- Posłuchaj się żoneczki, bracie - doradził Elemak mylącym łagodnym tonem.

- Posłucham się Nadduszy - odciął się Nafai. - Tylko dlatego nie postradaliśmy życia w tym miejscu, że od momentu naszego przybycia Naddusza wpływa na bandę rabusiów, by pozostali w zaciszu jaskini niecałe trzysta metrów stąd. Naddusza potrafi całkiem dobrze pokierować naszą wyprawą przez pustynię, z Elemakiem lub bez niego i bez tego niedorzecznego prawa pustyni. Elya bawi się w dziecięcą grę pod tytułem: komu uda się wygłosić najbardziej buńczuczną pogrozkę...

- Nie pogrozkę - przerwał mu Elemak - tylko prawo nieobce żadnemu pustynnemu podróżnikowi.

- Jeśli zaufamy Nadduszy, będziemy podczas tej wędrówki zupełnie bezpieczni. Jeśli zaś damy wiarę Elemakowi, wrócimy na Równinę i postradamy życie w nadchodzących wojnach.

- „Jeśli zaufamy Nadduszy” - zadrwił Meb. - Masz na myśli: jeśli zrobimy to, co ty rozkażesz.

- Elemak wie, że Naddusza istnieje naprawdę. Przecież miał sen, który natchnął nas do powrotu do miasta, by poślubić nasze wybranki, czyż nie?

Elemak odpowiedział śmiechem.

- Przynudzaj dalej, Nafaiu!

- Słusznie powiedział Elemak. To nie jest kwestia do przegłosowania. Każdy powinien podjąć własną decyzję. Kontynuujcie podróż, jak poinstruował nas Naddusza, a weźmiecie udział w najznamienitszej wyprawie od czterdziestu milionów lat i w efekcie odziedziczycie świat dla siebie i swych dzieci. Albo zawróćcie do miasta, gdzie będziecie mogli do woli zdradzać małżonków, co niektórzy z was już mają w planach. Jeśli chodzi o mnie i Luet, to nigdy nie mamy zamiaru wracać do miasta.

- Dość! - zaperzył się Elemak. - Jeszcze jedno słowo, a zginiesz!

Trzymał w dłoni pulsator. Luet nie zauważyła, by go miał przy sobie, ale wiedziała, co to oznacza. Właśnie na tę chwilę czekał. Bardzo zmyślnie rozegrał tę dyskusję, a teraz mógł zabić Nafaia i nikt nie śmiałyby go za to potępić.

- Znam pustynię nieporównanie lepiej od ciebie - zaczął Elemak. - Nie ma żadnych bandytów w pobliżu. W przeciwnym razie już bylibyśmy martwi. Jeśli to uchodzi za mądrość w tym twoim sfiksowanym mózdzku, bracie, każdy, kto poszedłby za tobą, z pewnością znalazłby zgubę. Lecz nikt za tobą nie pójdzie, bo nie pozwolę, by ta grupa się podzieliła. To by oznaczało pewną śmierć tych, którzy wybraliby się z tobą.

- Bzdura! - odrzekł Nafai.

- Proszę, odezwił się ponownie, bym mógł cię zastrzelić jak każdego buntownika.

- Zamilknij, Nafaiu, przez wzgląd na mnie! - błagała Luet.

- Wszyscy słyszeliście jego słowa, nieprawdaż? - zapytał Elemak. - Przed chwilą ogłosił rebelię przeciwko mojej władzy i usiłował wywieść grupę ludzi na spotkanie śmierci. To już bunt, czyli o wiele poważniejsza sprawa niż cudzołóstwo karane śmiercią. Wszyscy jesteście świadkami. I musielibyście potwierdzić to w sądzie, gdyby doszło do rozprawy.

- Proszę - odezwała się Luet. - Zostaw go w spokoju, a nic już więcej nie powie.

- Prawdę rzecze, Nafaiu? - zapytał Elemak.

- Jeśli ruszycie ku miastu - odparł Nafai - Naddusza nie będzie miał powodu, by dłużej powstrzymywać bandytów, przeto wszyscy zginiecie.

- Słyszycie? - rzekł Elemak. - Nawet teraz próbuje nastraszyć nas tymi bajeczkami o nieistniejących bandytach.

- Ty też robisz to od samego początku podróży - wtrąciła się Shedemei. - Przekonujesz nas do poddania się twojej woli z obawy przed tym, że znajdą nas bandyci.

Elemak odwrócił się do niej.

- Nigdy nie twierdziłem, że znajdują się kilka metrów stąd, ukryci w jaskini, jedynie że możemy się na nich natknąć. Mówiłem wam prawdę i tylko prawdę. Lecz ten chłopak ma was za głupców, którzy dadzą wiarę jego wierutnym kłamstwom.

- Wierz sobie, w co chcesz - odparł Nafai. - Rychło się przekonasz, że zbłądziłeś.

- Bunt - zawyrokował Elemak. - I wy wszyscy, nawet jego matka, będziecie mi świadkami, że nie miałem innego wyboru, gdyż nie chciałem poniechać swojej rebelii. Gdyby nie był moim bratem, nie czekałbym tak długo. Już by nie żył.

- A gdybyś ty nie nosił genów, które Naddusza uważa za cenne - odciął się Nafai - Gaballufix zabiłby cię za to, że nie udało ci się zwabić ojca w pułapkę.

- Oskarżając mnie, jeszcze się pograżasz. Pożegnaj się z matką i żoną... z miejsca, w którym stoisz, ani kroku bliżej!

- Elemaku, przecież nie masz zamiaru... - zaczęła protestować Rasa.

- Wszakże sama zgodziłaś się ze mną, że nasze przetrwanie zależy od podporządkowania się prawu pustyni, a także jaka powinna być kara za nieposłuszeństwo.

- Teraz zrozumiałam, że ty ze złych pobudek...

- Waż słowa, lady Raso. Uczynię, co uczynić trzeba, nawet jeśli to wiąże się z pozostawieniem na śmierć również ciebie.

- Bez obaw, matko - uspokajał Nafai. - Naddusza jest z nami, więc Elemak jest

bezsilny.

Luet powoli zaczynała rozumieć zamiary Nafaia. Wydawał się całkiem spokojny, niewiarygodnie wprost beznamiętny. A zatem musiał być pewien, że mimo wszystko Naddusza zdoła go ochronić. Musiał mieć własny plan, tak więc najlepiej będzie, by Luet milczała i pozwoliła wypadkom toczyć się własnym rytmem, nie zważając na to, jak bardzo się boi.

Nie obraziłabym się, gdybyś zechciała podzielić się szczegółami tego planu, zwróciła się do Nadduszy.

Jakiego planu? - usłyszała w myślach.

Zaczęły się jej trząść ręce.

- Przekonamy się, jak ty jesteś bezsilny - szydził Elemak.

- Mebbekew, przynieś kawałek sznura pakowego - cienką linkę, dość długą, kilka metrów - i skrępuj mu ręce. Użyj węzła namiotowego, by mocno trzymał, i nie przejmuj się, że odetniesz krążenie w dłoniach.

- Widzicie? - odparł Nafai. - Potrafi zabić jedynie związanego. Nie! - zakrzyknęła Luet w głębi serca. Nie prowokuj go, bo cię zastrzeli! Jeśli pozwolisz mu się skrępować, będziesz miał szansę.

Czując na sobie gniewne spojrzenie Elemaka, Mebbekew podszedł do czekającego nieopodal wielbłąda i wrócił ze sznurem. Gdy pętał Nafaiowi ręce za plecami, raz po raz okręcając sznur wokół nadgarstków, Hushidh zrobiła krok naprzód.

- Zostań na miejscu - upomniął ją Elemak. - Wiążę i zostawiam go jedynie z szacunku dla lady Rasy, ale równie dobrze mogę użyć pulsatora i będzie spokój.

Hushidh się zatrzymała; i tak osiągnęła zamierzony cel - przyciągnęła uwagę grupy.

- Elya planował to od samego początku - zwróciła się do reszty - gdyż chciał Nafaia zabić. Wiedział, że jeśli zdecyduje się wrócić do cywilizacji, zmusi Nafaia do sprzeciwu. Zmanipulował dyskusję, by zyskać prawomocny pretekst do zabójstwa.

Elemakowi zadrżała powieka. Luet zauważyła, że narasta w nim niepohamowany gniew. Co czynisz najlepszego, Hushidh, ma sestro? Nie prowokuj go, by zabił mego męża na naszych oczach!

- A po co Elya miałby to robić? - oponowała Eiadh. - Oskarżasz mego Elemaka, że jest mordercą, a to nieprawda!

- Eiadh, kochane me biedactwo - odparła Hushidh. - Elemak pragnie śmierci brata, wie bowiem, iż gdybyś miała dziś wybierać, zostawiłabyś go dla Nafaia.

- Bzdura! - uniósł się Elemak. - Nie odpowiadaj, Eiadh! Nawet słowem!

- Gdyż nie jest w stanie znieść prawdy - dodała Hushidh - którą usłyszałby w twoim głosie.

Luet w końcu zrozumiała. Hushidh robiła pożytek z otrzymanego od Nadduszy daru - jak wtedy, gdy Rashgallivak stał w westybulu domu Rasy, powziąwszy zamiar, by wykorzystać swych żołnierzy w celu wydarcia siłą córek pani domu. Hushidh wypowiadała słowa, które do cna podkopią lojalność stronników Elemaka i cofną ich poparcie. Rozplatała łączące ich więzy. Gdyby zdołała wygłosić jeszcze kilka zdań, udałoby jej się.

Niestety, nie tylko Luet to sobie uświadomiła.

- Uciszcie ją! - wycedziła głośno Sevet zachrypniętym, niemal bezdźwięcznym głosem, jako że nie odzyskała go w pełni po urazie spowodowanym przez Kokor. Ten zbolący ton skuteczniej przyciągnął uwagę słuchaczy. - Nie pozwólcie jej mówić. Ona jest więzostрукторką i jeśli powie wystarczająco dużo, może obrócić wszystkich przeciwko wszystkim. Widziałam, jak robiła to ludziom Rashgallivaka, a teraz może zrobić to samo, jeśli jej nie powstrzymacie.

- Sevet mądrze prawi - przyznał Elemak. - Ani słowa więcej, Hushidh, albo go zabiję.

Luet ujrzała, jak jej siostra niemal otworzyła już usta, by odpowiedzieć. Ale coś - może Naddusza - odwiodło ją od tego zamiaru. Odwróciła się i cofnęła na poprzednie miejsce, na samym końcu obok Rasy i Shedemei. I tak oto zgasła ostatnia iskierka nadziei w sercu Luet. Naddusza potrafiła sprawić, że ludzie o słabej woli głupieli lub bali się przez krótką chwilę, ale nie była dość potężna, by powstrzymać człowieka zdecydowanego zabić. By uczynić bandytów życzliwymi w stosunku do Nafaia, gdyby go znaleźli. A już na pewno nie potrafiła powstrzymać dzikich pustynnych zwierząt przed pożarciem go. Machinacje Hushidh stanowiły ostatnią szansę, która właśnie przepadła.

O nie, rozpacz nie będę, pomyślała Luet. Jeśli go tutaj porzucimy, może uda mi się niepostrzeżenie odłączyć od grupy, wrócić i go rozwiązać. Albo zabić Elemaka pogrążonego we śnie...

Nie, nie. Nie była zdolna do zabójstwa, doskonale o tym wiedziała. Nawet gdyby Naddusza jej kazała, tak jak zobligowała Nafaia do zabicia Gaballufixa. Nawet wtedy Luet nie mogłaby tego zrobić. Tak jak nie zdołałaby odłączyć się od grupy i na czas przyjść z pomocą Nafaiovi. To koniec. Nie ma nadziei.

- Już związany - oznajmił Mebbekew.

- Pozwól, że sprawdzę - odparł Elemak.

- Sądzisz, że nie wiem, jak go związać?

- Komputer, do którego tamci się modlą, ma podobno moc ogłupiania ludzi - wyjaśnił

Elemak. - A może się mylę, Nafaiu?

Nafai nic nie odpowiedział. Luet była dumna z męża, choć wciąż się o niego bała.

Elemak stanął właśnie tuż za Nafaiem z pulsatorem wycelowanym w jego plecy.

- Uklęknij, braciszku.

Nafai nie padł na kolana, ale Meb - jakby z przyzwyczajenia - zaczął przyklękać.

- Nie ty, głupcze. Nyef.

- Skazaniec - odezwał się Nafai.

- Tak, tak, ty, braciszku. Uklęknij.

- Jeśli zamierzasz zastrzelić mnie z pulsatora, wołałbym umrzeć na stojąco.

- I po co ta ostentacja? Chcę przywiązać ci ręce do kostek, więc uklęknij.

Powoli, bez pośpiechu, Nafai padł na jedno kolano, potem na drugie.

- Usiądź na piętach - rozkazał Elemak. - Właśnie tak. A teraz, Meb, przeciągnij końcówki sznura w dół pomiędzy kostkami, potem w górę wokół nóg i przywiąż do nadgarstków... Tak, dokładnie tak... Tam na pewno nie dosięgnie. Bardzo dobrze. Masz choć trochę czucia w rękach, Nafaiu?

- Czuję tylko pulsowanie mej krwi próbującej przedostać się przez powróż wokół przegubów.

- To linka, nie powróż, Nafaiu.

- Nie odcinasz dopływu mej krwi, Elemaku, tylko własnej - rzekł Nafai. - Albowiem twa krew nieznana będzie na Ziemi, moja zaś płynąć będzie w żyłach tysiąca pokoleń.

- Dość! - zdenerwował się Elemak.

- Teraz powiem to, na co mam ochotę, bo i tak zdecydowałeś się mnie zabić. Jako skazaniec mam prawo skorzystać z ostatniego słowa, by dać wyraz prawdzie. Nie zastraszysz mnie. Nie boję się, że mnie kopniesz albo naplujesz mi w twarz, przecież spoglądam śmierci w oczy.

- Jeśli starasz się mnie sprowokować, bym cię zastrzelił, to nic z tego. Obiecałem lady Rasie i dotrzymam słowa.

Luet dostrzegła jednak, że słowa Nafaia wprowadziły ferment wśród innych. Ich nerwy zaczęły napinać się jak postronki krępujące Nafaia. Stało się jasne, że w oczach wszystkich ostateczna rozgrywka pomiędzy obu braćmi miała dopiero nastąpić, choć Elemak sądził, że wygrał potyczkę w przedbiegach.

- A teraz dosiادیemy wielbłądów - zakomenderował Elemak. - I nikt nie zawróci, by spróbować uwolnić tego buntownika. Ewentualni śmiałkowie podzielą jego los.

Gdyby Luet choć trochę wątpiła w to, że Nafai i Naddusza mają jakiś plan, stanowczo

by się domagała, by pozwolono jej umrzeć wraz z mężem. Ale przez tych kilka dni poznała go na tyle dobrze, by wiedzieć, że Nafai w ogóle nie odczuwa teraz lęku. I choć był dzielnym młodzieńcem, nie miała wątpliwości - gdyby naprawdę wierzył, że umrze, kto jak kto, ale ona by wyczuła jego strach. Jego matka najwyraźniej podziela ten pogląd, uświadomiła sobie Luet, gdyż nie protestuje. Obie cierpliwie czekały i obserwowały rozwój wypadków.

Elemak i Mebbekew już mieli odejść od Nafaia. Raptem Meb oparł stopę o ramię Nafaia, popchnął go i przewrócił na piasek. Nafai nie mógł zamortyzować uderzenia o ziemię, bo dłonie przywiązane miał do kostek, ale Luet dostrzegła teraz wyraźnie, że węzłów nie zaciśnięto mocno, jedynie luźno okręcono.

A więc taki był podstęp! Naddusza wpłynęła na Elemaka i Mebbekewa, by zobaczyli mocne więzy. Zwykle jej oddziaływanie nie zdołałoby ich ogłupić - a przynajmniej Elemaka uczynić aż tak zaślepionym. Lecz Nafai i Hushidh, wygłaszając swe śmiałe poglądy, do tego stopnia rozzłoszcili Elemaka, iż Naddusza zyskała większą moc, by zmaćć mu w głowie. Zaiste, również i inni musieli dostrzec, że Nafaia nie spętano solidnie, choć na szczęście ci, którzy stali najbliżej - lady Rasa, Hushidh i Shedemei - nic o tym nie powiedzą. A pozostali, cóż, z wydatną pomocą Nadduszy niewątpliwie widzieli to, co spodziewali się ujrzeć, czyli to, do czego przekonali ich Elemak i Mebbekew.

- Ani chybi - odezwała się lady Rasa. - Wracajmy do wielbłądów.

Pewnym krokiem ruszyła w stronę czekających zwierząt. Luet i Hushidh poszły w jej ślady, a za nimi reszta.

Z wyjątkiem Eiadh. Ona pozostała przy Nafaiu. Wszyscy inni, stojąc obok klęczących wielbłądów, powodowani ciekawością, odwrócili się, widząc, jak Elemak podchodzi do niej i kładzie jej rękę na plecach.

- Wiem, Edhya, że boli cię twoje wrażliwe serce - rzekł - ale dla dobra ogółu przywódca musi czasem podejmować surowe decyzje.

Nawet na niego nie spojrzała.

- W życiu bym nie pomyślała, że człowiek może stawić czoło śmierci z takim niewzruszonym spokojem.

Cudownie, powiedziała Luet do Nadduszy. Jeszcze bardziej rozkochujesz w nim Eiadh? Jakże pomocne z twojej strony, że upewniasz się, byśmy nigdy nie zaznali spokoju, nawet jeśli Nafai ujdzie z życiem.

Odrobinę zaufania - za dużo wymagam? - usłyszała w myślach. Nie potrafię wszystkiemu równocześnie podołać. Co byś wołała: Eiadh wyzutą z uczuć do twego męża czy Nafaia żywego i karawanę zmierzającą do Volemaka?

Ufam ci. Po prostu wolałabym, żebyś zostawiała sobie większy margines błędu.

- Wysłuchaj mnie! - zawołał Nafai.

- Błagania na nic się zdadzą - uciął Elemak. - A może chcesz wygłosić ostatnią przemowę buntownika?

- On nie zwracał się do żadnego z nas - zauważyła Eiadh.

- Tylko do niej. Do Nadduszy.

- Nadduszo, jako że pokładam w tobie ufność, wybaw mnie z rąk mych nikczemnych braci! Dodaj mi siły, bym się oswobodził!

Luet mogła tylko zgadywać, jak to wygląda w oczach innych, ale ona widziała, że Nafai z łatwością uwalnia jedną, potem drugą rękę z więzów, a potem niezdarnie dźwiga się z ziemi. Reszta zapewne zobaczyła to, czego lękała się najbardziej - Nafaia rozrywającego sznur i energicznie podnoszącego się na równe nogi. Bez wątpienia Naddusza skupiała się na tych, którzy jej zamierzeń jeszcze nie zaakceptowali. Luet, Hushidh i lady Rasa widziały to zdarzenie bez przekłamań, a niedowierzający zyskali naoczny dowód, że Nafai ma w sobie moc Nadduszy, że to on jest wybrańcem, prawdziwym przywódcą.

- Nie wolno wam zawrócić wielbłądów w stronę żadnego miasta znanego ludzkości! - zakrzyknął Nafai. Jego głos brzmiał nerwowo i gardłowo, wyteżył go bowiem ponad miarę, starając się, by posłyszeli go nawet ci znajdujący się już hen, na początku karawany, tam gdzie Vas pomagał właśnie Sevet dosiąść wielbłąda. - Bunt twój przeciwko Nadduszy dobiegł końca, Elemaku! Tyle że Naddusza jest bardziej litościwy niż ty. Pozwoli ci zachować życie, o ile przysięgniesz nigdy więcej nie tknąć mnie nawet palcem. O ile obiecasz, że dotrzesz do kresu podróży, którą zaczęliśmy, by dołączyć do ojca, a potem wyprowadzić się dalej, do świata, który Naddusza dla nas przeznaczył!

- To jakaś sztuczka! - zżymał się Elemak.

- Jedyną sztuczką jest ta, dzięki której oszukiwałeś samego siebie - zauważył Nafai. - Łudziłeś się, że krępując mnie sznurem, spętasz również Nadduszę. Ale byłeś w błędzie. Mogłeś przewodzić tej wyprawie, gdybyś wykazał się pokorą i mądrością, ale ciebie przepełniały żądza władzy i zawiść, więc teraz masz do wyboru: albo podporządkujesz się Nadduszy, albo zginiesz.

- Nie waż się mi grozić! To ja mam pulsator, głupcze! I zamierzam wykonać na tobie wyrok!

- Zabij go! - krzyknął Mebbekew. - Zabij go od razu, bo inaczej będziesz tego żałował po wsze czasy.

- Aleś ty dzielny! - włączyła się Hushidh. - Zachęcasz brata do popełnienia czynu,

przed którym sam tchórzliwie się wzbraniałeś.

Jej słowa były tak kąśliwe, że Meb odsunął się raptownie, jakby ktoś go spoliczkował.

Lecz Elemak nie poszedł za jego przykładem. Na odwrót - z pulsatorem w rękę zbliżył się do Nafaia. Luet spostrzegła, że jest przerażony - święcie wierzył, że Nafai dokonał cudu, z taką łatwością oswobadzając się z więzów - ale to nie powstrzyma go przed zabiciem najmłodszego brata.

- Elya, nie! - wrzasnęła Eiadh, podbiegając i uczeplając się ramienia trzymającego pulsator. - Przez wzgląd na mnie, przestań! - błagała. - Jeśli go tkniesz, Elya, Naddusza cię zabije. Czyżbyś zapomniał? Tu panuje prawo pustyni, sam tak mówiłeś. Bunt oznacza śmierć! Nie sprzeciwiaj się Nadduszy.

- To nie jest Naddusza - upierał się Elemak. Jednak strach i niepewność rozedrgały jego głos; niewątpliwie Naddusza desperacko chwycił się każdego ziarna wątpliwości zasianego w jego sercu, wyolbrzymiając je błaganiami Eiadh. - Nie Naddusza, tylko mój arogancki braciszek.

- To ty powinienesz przekonać innych, by urzeczywistnili zamiar Nadduszy - odezwał się Nafai. - On wcale nie wybrał mnie, gdybyś tylko chciał być mu posłuszny.

- Mnie posłuchaj, nie jego - prosiła Eiadh. - Jesteś ojcem dziecka, które w sobie noszę, bo niewykluczone, że jestem brzemienna. Jeśli go skrzywdzisz, jeśli mu się sprzeciwisz, umrzesz i osierocisz nasze dziecko!

W pierwszej chwili Luet lękała się, że Elemak weźmie błaganie Eiadh o życie Nafaia za kolejny dowód, iż jego żona bardziej umiłowała skazańca. Ale nie. Wszak błagała go o to, by ocalił własne życie poprzez darowanie życia bratu. Tym samym dała Elemakowi dowód tego, że jego kochała, bo próbowała go uchronić od śmierci.

Do Elemaka podszedł również Vas i położył mu rękę na drugim ramieniu.

- Nie zabijaj go, Elya. Nie wrócimy do miasta. Nikt z nas, ale to nikt! - Odwrócił się do pozostałych. - Mam rację? Wszyscy chętnie podążymy dalej, by dołączyć do Volemaka, prawda?

- Ujrzeliśmy potęgę Nadduszy - rzekła Eiadh. - Nikt nie żądałby powrotu do miasta, gdybyśmy rozumieli. Proszę, sam widzisz, że wszyscy się zgadzają. Nasze cele stały się zbieżne, zniknęły podziały. Proszę, Elemaku. Nie czyn mnie wdową z tego powodu. Będę ci żoną aż po grób, jeśli darujesz mi życie. Ale cóż się ze mną stanie, jeśli sprzeciwisz się Nadduszy i zginiesz?

- Wciąż jesteś przywódcą tej wyprawy - argumentowała lady Rasa. - To się nie zmienia. Zmienia się tylko cel naszej podróży, a sam przecież mówiłeś, że nie do ciebie należy decyzja

w tej kwestii. Teraz rozumiemy, że wybór nie zależy od nikogo z nas, jedynie od Nadduszy.

Eiadh zanosła się płaczem, ciepłymi i szczerymi łzami.

- Och, Elya, mężu mój, czemuż nienawidzisz mnie tak bardzo, iż pragniesz umrzeć?

Luet z łatwością przewidywała, jak potoczą się dalsze wypadki. Lal, widząc, jakie poruszenie wywołały łzy Eiadh, nie mogła znieść, by jej popis dłużej utrzymywał się w centrum uwagi. Przyłgnęła więc teraz do swego męża, poczęła głośno zawodzić i ronić łzy sprawiające wrażenie autentycznych, błagając go, by nie krzywdził Nafaia. Jak gdyby Mebbekew kiedykolwiek odważył się działać w pojedynkę! Jak gdyby łzami mogła go wzruszyć! Dobrze sobie. Luet roześmiałaby się na głos, lecz miała świadomość, iż los Nafaia zależał od reakcji Elemaka na ten cały lament.

Zdawało jej się, że dostrzega zmianę w wyrazie jego twarzy. Jego determinacja, by zabić Nafaia, topniała pod wpływem Nadduszy i błagań żony. I gdy ta żądza krwi przygasła, Naddusza zyskiwał coraz więcej sposobności do wyolbrzymienia jego lęków. Po kilku zaledwie chwilach Elemak przeistoczył się z groźnego mordercy w dygocący wrak człowieka, do cna przerażonego tym, co niemal uczynił. Spojrzał na pulsator w rękę i zadrżał, po czym odrzucił go od siebie. Strzelba upadła u stóp Luet.

- Och, Nafaiu, bracie mój, cóż mnie opętało! - zakrzyknął Elemak.

Mebbekew pokajał się nawet bardziej. Padł twarzą do ziemi.

- Przebacz mi, Nafaiu! Wybacz, że związałem cię niczym zwierzę... tylko nie pozwól Nadduszy mnie zabić!

Posuwasz się za daleko, upomniała Luet Nadduszę w myślach. Będą czuć się głęboko upokorzeni, gdy to sobie przypomną.

Nie wierz w moją wszechmoc, usłyszała w odpowiedzi. Mogę raz po raz wmuszać w nich lęk, ale mnie ignorują, a potem nagle płaszcą się przede mną. Jednak nieźle sobie radzę, co?

- Pokłoń się Nadduszy - rzekła Eiadh, natarczywie ciągnąc Elemaka w dół. - Uklęknij i błagaj o przebaczenie, proszę. Czy nie zdajesz sobie sprawy, że twoje życie wisi na włosku?

Elemak odwrócił się do niej i zapytał spokojnie pomimo lęku:

- A więc zależy ci, bym nie umarł?

- Jesteś mi całym życiem - odparła Eiadh. - Czyż nie przysięgaliśmy pospołu, że małżeństwo nasze trwać będzie aż po grób?

Właściwie to nie, pomyślała Luet. Wysłuchaliśmy jedynie postanowienia Elemaka i podnieśliśmy ręce na znak, że zrozumieliśmy jego słowa.

Elemak przyklęknął.

- Nadduszo - rzekł drżącym głosem. - Pójdę tam, gdzie wskażesz.

- Ja również - obiecał Mebbekew. - Możesz na mnie liczyć. - Nie podniósł głowy z piasku.

- Póki Eiadh jest moja - dodał Elemak - będę szczęśliwy, czy to na pustyni, czy w mieście, na Harmonii czy na Ziemi.

- Och, Elya! - zakwiliła Eiadh, oplatając męża ramionami i płacząc mu w rękaw.

Luet pochyliła się i podniosła pulsator z piasku. Nie należało ryzykować utraty cennej broni. Kto wie, może przyda się kiedyś podczas polowania.

Nafai podszedł do niej. Dla Luet znaczyło to więcej, niż mogła wyrazić słowami - podszedł najpierw do niej, żony zaledwie od kilku dni, a nie do matki. Objął ją. Drżał. A więc jednak bał się pomimo zaufania pokładanego w Nadduszy. Brakowało wszak niewiele, by postradał życie.

- Wiedziałeś, jak to się skończy? - wyszeptała mu do ucha.

- Naddusza nie był pewien, czy uda mu się ta sztuczka z liną - wymruczał w odpowiedzi. - Zwłaszcza gdy Elemak podszedł, by sprawdzić więzy.

- Musiała mu na to pozwolić, by później przekonać go, że uwolniłeś się za sprawą cudu.

- Wiesz, o czym myślałem, gdy klęczałem, mówiąc te wszystkie słowa, które podjudzały Elemaka? Myślałem o tym, że nigdy nie zobaczę naszego dziecka.

- Teraz masz na to szansę.

Odsunął się od niej, potem sięgnął do jej ręki, zabierając pulsator. Podeszła Hushidh i położyła dłoń na broni.

- Nyef, jeśli go zatrzymasz, przepadną wszelkie szanse na zagojenie się ran.

- A jeśli oddam jemu?

- Tak będzie najlepiej. - Skinęła głową.

Nikt nie rozumiał lepiej niż więzostroktorka, jak powstają i zanikają więzy między ludźmi. Nafai ruszył ku Elemakowi i wręczył mu pulsator.

- Proszę. Ja nawet nie wiem, jak tego używać. Chcemy, byś to ty poprowadził nas do obozowiska ojca.

Po chwili wahania Elemak sięgnął po pulsator. Niechętnie odbierał go z ręki Nafaia, ale zdawał sobie sprawę, że brat wcale nie musiał mu oddawać broni. Ani przywództwa. Lecz chciał być u władzy, pragnął tego tak bardzo, że wziąłby ją nawet od Nafaia.

- Z miłą chęcią - rzekł Elemak, biorąc broń do ręki.

- Och, dzięki ci, Nafaiu! - zapiała Eiadh.

Luet poczuła ukłucie lęku w sercu. Czy Elemak posłyszał w jej głosie, czy dojrzał w jej oczach nabożną cześć, gdy spoglądała na Nafaia? Ta kobieta kocha jedynie władzę, siłę i odwagę - pociąga ją więc tylko samiec alfa w stadzie. To ona najlepiej zagrała dziś swą rolę, pomyślała Luet. To ona przekonała Elemaka o swojej miłości do niego, by ocalić mężczyznę, którego naprawdę kocha. Nie mogę jej za to nie podziwiać, pomyślała Luet. Co za spryciara!

Ten podziw jednak był też kłamstwem, a Luet nie chciała się dłużej oszukiwać. Piękna Eiadh wciąż podkochuje się w mym mężu i choć on teraz obdarza mnie silnym uczuciem, nadejdzie dzień, w którym tkwiący w nim prymitywny samiec weźmie górę nad cywilizowanym mężczyzną. Wtedy spojrzy na Eiadh pożądliwym wzrokiem, a ona je podchwyci i wówczas z pewnością go stracę.

Odpędziła od siebie tę zazdrosną myśl i poszła za drżącą z powodu ulgi lady Rasą, by pomóc jej wdrapać się na grzbiet wielbłąda.

- Myślałam, że już nie żyje - cicho odezwała się Rasa, kurczowo chwytając dłoń Luet.
- Myślałam, że go straciłam.

- Mnie również przez kilka chwil tak się zdawało.

- Zaprawdę powiadam ci, że Elemak nie doczekałby zmroku, gdyby dopiął swego.

- Ja też w głębi serca knułam spisek na jego życie - przyznała Luet.

- Tak blisko nam do zwierząt. Przyszłoby ci do głowy, że będziemy zdolne do zabójstwa?

- Chroniąc stado, zupełnie jak pawiany.

- To doniosłe odkrycie, nie sądzisz?

Luet posłała jej szeroki uśmiech i ścisnęła dłoń.

- Lepiej nikomu o tym nie mówmy. Mężczyźni staliby się nerwowi, wiedząc, jak bardzo jesteśmy groźne - zadrwiła.

- Teraz to i tak nieważne - zawyrokowała Rasa. - Potęga Nadduszy przekroczyła moje najśmielsze wyobrażenia. Teraz to już historia, problem z głowy.

Odprowadziwszy Rasę i szukając własnego wielbłąda, Luet wiedziała, że to wcale nie koniec. Jedynie odroczenie nieuniknionego. Prędzej czy później nadejdzie dzień kolejnej rozgrywki o władzę. A nie było gwarancji, że następnym razem Nadduszy uda się wykonać tę świetną, bez mała czarodziejską sztuczkę. Gdyby Elemak zdecydował się wypalić z pulsatora, załatwiłby sprawę definitywnie; przy kolejnej okazji może to sobie uświadomić i nie pozwoli się odwieść od tego zamiaru przez taką błahostkę jak prośba Rasy, by jedynie związał Nafaia i zostawił go na pustyni. Tym razem brakowało naprawdę niewiele. A po wszystkim Elemak nienawidził Nafaia jeszcze bardziej, choć przez pewien czas będzie się tego wypierał, nawet

wmawiał samemu sobie, że gniew się wypalił. Może i uda ci się zwieść innych, Elya, ale ja będę cię miała na oku, pomyślała Luet. A jeśli coś przytrafi się memu mężowi, to roztropnie postąpisz, zabijając również i mnie. I lepiej się upewnij, że naprawdę wyzionęłam ducha, a nawet wtedy, jeśli zdołam, powrócę zza grobu i cię pokarzę.

- Drżysz, Luty - zauważyła Hushidh.

- Tak? - Może właśnie dlatego z takim trudem próbowała zawiązać popręg przy siodle.

- Niczym skrzydełko ważki.

- Miałam dziś dość dużo przeżyć. Pewnie emocje ze mnie schodzą.

- Wciąż jesteś zazdrosna o Eiadh, ot co.

- Wcale nie - broniła się Luet. - On kocha mnie całą duszą, całym sercem.

- Zaiste tak jest - zgodziła się Hushidh. - Ale mimo to dostrzegam w tobie wściekły gniew na Eiadh.

Luet zdawała sobie sprawę, że owszem, do pewnego stopnia czuła się zazdrosna o Eiadh. Lecz Hushidh mówiła o gniewie, a to byłoby o wiele silniejsze uczucie.

- Nie gniewam się dlatego, że ona kocha Nafaia - oponowała Luet. - Naprawdę.

- Och, przecież wiem. A raczej dopiero teraz to zrozumiałam. O nie, myślę, że gniewasz się na nią i jesteś zazdrosna, bo ocaliła twojego męża, a ty nie zdołałaś.

Tak, pomyślała Luet. Dokładnie tak. Ciepłe łzy gniewu i wstydu popłynęły jej po policzkach.

- No już, już... - Hushidh objęła siostrę i przytuliła. - Dobrze wypłakać to z siebie. Dobrze.

- Cudownie! - zadrwiła Luet. - Bo najwyraźniej będę ryczeć jak dzidzius, czy to dobre, czy nie, więc raczej niech będzie dobre.

Wciąż płakała, gdy odszukał ją Nafai, by pomóc jej w uporządkowaniu wierzchowca.

- Jesteś ostatnia.

- To chyba dlatego, że przed wyjazdem chciałam jeszcze raz wziąć cię w ramiona - przekomarzała się z nim. - By się upewnić, że to nie sen i wciąż żyjesz.

- Wciąż dycham - odparł. - Długo będziesz płakać? Pytam, bo przez tę wilgoć na twarzy potem nie odpędzisz się od much.

- A co stało się z bandytami? - zapytała, ocierając łzy rękawem.

- Naddusza utulił ich do snu chwilę przedtem, zanim musiał skupić się na wpływaniu na naszą grupę. Obudzą się dopiero za kilka godzin. Czemu pomyślałaś akurat o nich?

- Po prostu wyobraziłam sobie, jak głupio byśmy się poczuli, gdyby zaatakowali, podczas gdy my sprzeczaaliśmy się jak przekupki na targu, co z tobą zrobić.

- O tak. Doskonale cię rozumiem. Stać w obliczu śmierci to nic takiego. Ale czuć się naprawdę głupio, umierając, toż to utrapienie nie lada!

Zaśmiała się i złapała go za rękę. Na moment. Potem następny. I kolejną długą, długą chwilę.

- Czekają na nas - w końcu odezwał się Nafai. - A bandyci przecież kiedyś wstaną.

Puściła więc jego dłoń, a gdy tylko odszedł ku swojemu wielbładowi, jej wierzchowiec przysiadł i po chwili stopy Luet oderwały się od piasku pustyni. To przypominało ujeżdżanie chwiejnej wieży podczas trzęsienia ziemi. Zazwyczaj tego nie lubiła, ale dziś wydawało się to tak cudnym przeżyciem, jakim w jej wyobraźni było siedzenie na tronie. Albowiem tam, na grzbiecie wielbłąda przed nią, siedział jej mąż. Co z tego, że nie ona ocaliła mu życie? Wystarczyła jej pewność, że Nafai wciąż żyje.

I nadal ją kocha.

Polowanie

Zapadła już noc, gdy dotarli do obozowiska Volemaka. Tego dnia podróżowali dłużej niż zwykle, ponieważ znajdowali się już całkiem blisko; jednak nie był to dla nich kres wysiłku, albowiem Volemak nie wiedział, że przybędą, nie rozbito więc dodatkowych namiotów, a Zdorab pozmywał już po kolacji, którą przygotował dla siebie, Volemaka i Issiba. Robota posuwała się wolniej niż zwykle, ponieważ czuli się bezpieczniejsi, oraz dlatego, że po przybyciu na miejsce obowiązek tak samo wytężonej pracy, jak podczas podróży, wydawał im się niesprawiedliwy.

Hushidh trzymała się możliwie najbliżej Luet i Nafaia. Od czasu do czasu przelotnie dostrzegała Issiba lewitującego gdzieś na krześle. Jego wygląd wcale jej nie zaskoczył - знаła go nie od dziś, przecież był najstarszym synem lady Rasy i uczył się w szkole matki. Zawsze myślała o nim jako o „tym kalece” i nie poświęcała mu większej uwagi. Potem, jeszcze w Basilice, gdy zdała sobie sprawę, że niedługo wyruszy na pustynię wraz z Luet i Nafaikiem, uświadomiła sobie - albowiem nieodmiennie dostrzegała relacje między ludźmi - że wskutek kojarzenia się w pary przez mężczyzn i kobiety w ramach wyprawy obmyślonej przez Nadduszę jej przypadnie w udziale Issib. Naddusza chciała, by obydwójce przekazali geny następnemu pokoleniu, więc na dobre i na złe, wspólnie mieli podjąć się tego wysiłku.

Trudno jej było się z tym pogodzić. Szczególnie podczas nocy poślubnej, gdy Luet i Nafai, Elemak i Eiadh, Mebbekew i Lalya zawarli związki małżeńskie w obecności lady Rasy, a potem udali się do weselnych łóżek, Hushidh z trudem hamowała gniew, lęk i gorzki zawód w sercu, że ona nie dostąpi takiej miłości, jak jej siostra Luet.

W odpowiedzi tamtej nocy Naddusza - a tak przynajmniej początkowo jej się wydawało - zesłała jej sen. W nim Hushidh widziała siebie z Issibem; widziała, jak on lata, i pofrunęła wraz z nim; z tego wyciągnęła wniosek, iż małżeństwo z tym kaleką nie będzie jej przyduszać do ziemi, lecz unosić ku przestworzom. Widziała, jak stoi z nim przed namiotem, obserwując zabawy ich dzieci, dostrzegła też, że będzie go kochać, że zespółą się ich złote i srebrne nitki, łączące ich przez minione pokolenia, prowadzące ich także ku przyszłości, rok za rokiem, pokolenie za pokoleniem. Niektóre fragmenty tego snu były przerażające, mimo to czerpała z niego pociechę przez wszystkie następne dni. Gdy stała u boku generała Moozha,

zmuszona poślubić zdobywcę Basiliki, pomyślała o tym śnie, wiedząc, że nie jest jej pisane wyjść za tego mężczyznę, i faktycznie Naddusza przywiodła tam kobietę zwaną Spragnioną, która wyjawiała przed tłumem, że Luet i Hushidh to jej córki, a ich ojcem jest Moozh. Tak więc małżeństwo nie zostało zawarte, a kilka godzin potem Hushidh wraz z grupą wybrańców znalazła się na pustyni, w drodze do obozowiska Volemaka.

Miała czas na refleksję - czas, by rozpamiętywać swoje lęki. A jakże, próbowała tego nie robić, starając się z całych sił czerpać pociechę ze snu lub z zapewnień Nafaia, który ją przekonywał, że Issib jest bardzo mądry, dowcipny i serdeczny, czego akurat w szkolnych czasach nigdy nie dostrzegła.

Lecz mimo snu zesłanego przez Nadduszę, mimo zapewnień Nafaia stare odczucia, które wiele lat uznawała za pewnik, pozostały. Przez całą drogę wskroś pustyni nie potrafiła się uwolnić od wspomnień, jak Issib makabrycznie poruszał nogami i ramionami w mieście, gdzie mógł nosić lewitery pod ubraniem, przez co zawsze się wydawało, że chaotycznie podryguje w powietrzu niczym baraszkujący duch lub niczym - hm, jak to kiedyś określiła Kokor? - niczym królik pod wodą. Ależ miały wtedy uciechę!

Jakże nielojalna teraz się czuła, choć to rodzona siostra Issiba wygłosiła tę dowcipną uwagę. Hushidh w życiu by się nie domyśliła, że ten kaleka, ten duch, ten podwodny królik zostanie jej mężem. Ukryty pierwotny lęk pozostał.

Aż do teraz, gdy widząc Issiba, uświadomiła sobie, że wcale się go nie boi. Sen przepełnił ją nadzieją. Nie, bała się tego, co on pomyśli o niej. Czy Issib już się dowiedział, jaki los ciocia Rasa i Naddusza mu zgotowały? Czy już taksował ją wzrokiem, gdy pomagała przy rozbijaniu namiotów? Jeśli tak, to srodze się zawiódł. Bez trudu wyobraziła sobie, że Issib myśli sobie: No jasne, skoro jestem kaleką, to dostałem brzydulę, zbyt wysoką i ze skwaszoną miną, której ciało nie budzi większego zainteresowania żadnego mężczyzny. Tę nieżyciową prymuskę, która nie miała talentu, by rozśmieszyć kogokolwiek, no może czasem swą młodszą siostrę Luet (tej nie brakowało oleju w głowie, lecz akurat ona przypadła Nafaiovi). Pewnie myśli sobie: Muszę brać, co mi dają, ponieważ jestem kaleką i nie mam nic do gadania. Tak jak i ja analizuję: Musi mi wystarczyć kaleka, bo żaden inny mężczyzna mnie nie zechce.

Ile małżeństw zaczęło się z podobnymi odczuciami? Czy któreś z nich było kiedyś szczęśliwe?

Zwlekąca, jak długo się dało, ociągając się przy kolacji - która była lepsza niż wszystko, co jedli podczas podróży. W tej dolinie Zdorab i Volemak znaleźli dziko rosnącą zieleninę i korzonki, z których na wolnym ogniu ugotowali potrawkę, o niebo lepszą od garści

rodzynek i suszonego mięsa, a tutejszy chleb był świeży i na zakwasie, co stanowiło nie lada przysmak po sucharach, które musiały im wystarczyć podczas podróży. Wkrótce miało być jeszcze lepiej, albowiem Volemak urządził tu ogród, więc za kilka tygodni ich dieta wzbogaci się o arbuzy, dynie, marchewki, cebule i rzodkiewki.

Podczas kolacji wszystkim kleiły się powieki. Mało rozmawiali. Wspomnienie niedoszłej egzekucji Nafaia wciąż zaprzętało ich myśli, tym bardziej zawstydzające teraz, gdy powrócili do Volemaka i widzieli, z jaką łatwością sprawował nad nimi władzę, prawdziwe przywództwo, o wiele silniejsze od pyszałkowatego, despotycznego stylu rządzenia Elemaka. Panicznie bali się ewentualnego rozliczenia swoich czynów przed seniorem, albowiem ilu z nich, poza może Eiadh - i Nafaiem, rzecz jasna - było dumnych ze swojego zachowania? Toteż, choć jedzenie było dobre, Hushidh nie miała ochoty zostać i wdawać się w pogawędkę. Podróż nie dostarczyła im żadnych miłych wspomnień, nie mieli żadnych zadziwiających opowieści do przekazania tym, którzy czekali tu na nich. Od razu po kolacji parami udali się do namiotów.

Odeszli tak spieszenie, że gdy Hushidh wróciła od źródła z ostatnimi umyтыми kociołkami, zastała tylko jedną kobietę, Shedemei, oraz dwóch mężczyzn, Zdoraba i Issiba. Już od paru chwil panowała przeraźliwa cisza, bo genetyczka nie była z natury rozmowna, a obaj panowie wydawali się żenująco nieśmiali. Jakże to trudne dla nas wszystkich, pomyślała Hushidh. Doskonale zdajemy sobie sprawę, że jesteśmy ostatkami tej grupy, wrzuconymi do jednego worka, ponieważ nikt nas tu nie chciał poza Nadduszą. A niektórych i ona tu nie zapraszała, albowiem biedny Zdorab znalazł się tu tylko dlatego, że Nafai zmusił go do złożenia obietnicy, zamiast go zabić w pobliżu basilikańskiej bramy w noc, kiedy odciął głowę Gaballufixowi.

- Cóż z was za żalosna zbieranina - jej rozmyślania przerwał Volemak.

Hushidh z ulgą dostrzegła, że Volemak i Rasa wracają w stronę ogniska. Widocznie uświadomili sobie, że coś należałoby powiedzieć - przynajmniej przedstawić sobie Shedyę i bibliotekarza, którzy dotąd nawet się nie spotkali.

- Wchodziłam właśnie do namiotu mego męża - zaczęła Rasa - myśląc, jak to dobrze być znów u jego boku, gdy nagle zmiarkowałam, jak bardzo tęskno mi do towarzyszy podróży, Shuyi i Shedyi, i dopiero wtedy przypomniałam sobie, że zaniedbałam swych obowiązków jako pani tego domu.

- Domu? - zapytał Issib.

- Może i ściany są z kamienia, a dach stanowi niebo, ale to jest mój dom, schronienie dla moich cór i azyl dla synów.

- Nasz dom - poprawił łagodnie Volemak.

- Zaiste, mówię o nim jak o moim domu jedynie przez wzgląd na stare zwyczaje Basiliki, gdzie domy należą wyłącznie do kobiet. - Rasa podniosła dłoń męża do ust, pocałowała ją i posłała mu uśmiech.

- Na tym odludziu - rzekł Volemak - wszystkie domy należą do Nadduszy, lecz ten jeden wydzierżawił nam za rozsądną opłatą: gdy opuścimy to miejsce, żyjące w pobliżu pawiany będą mogły zatrzymać ogród.

- Hushidh, Shedemei, przypuszczam, iż znacie mego syna Issiba - zagadnęła Rasa.

- Naszego syna - poprawił Volemak, równie łagodnie jak poprzednio. - A to jest Zdorab, niegdyś archiwista Gaballufixa, służący teraz w naszym tymczasowym obozowisku jako kucharz, ogrodnik i bibliotekarz.

- Kiepski we wszystkich trzech funkcjach, obawiam się - odparł Zdorab.

Rasa się uśmiechnęła.

- Volya mówił mi, że podczas oczekiwania na nas zarówno Issib, jak i Zdorab zgłębili tajemnice Indeksu. A jestem przekonana, że moje drogie siostrzenice, Shuya i Shedy, przejawiają żywe zainteresowanie ich odkryciami.

- Indeks Nadduszy to droga ku całej pamięci Ziemi - dodał Volemak. - A skoro udajemy się na rodzinną planetę, studiowanie tej przepastnej biblioteki jest dla nas równie ważką sprawą jak wykonywanie prac, które pozwalają zachować nasze ciała w zdrowiu na tej pustyni.

- Przecież wiecie, że nie będziemy się uchylać od naszych obowiązków - bąknęła Shedemei.

Hushidh domyśliła się, że Shedy nie miała na myśli wyłącznie badań nad Indeksem.

- Och, skończmy już z tym uprzejmym pustosłowiem - uniosła się Rasa. - Sami najlepiej wiecie, że nie macie stałych partnerów, a każdy musi wstąpić w związek małżeński, jeśli ma nam się powieść. Tylko was czworo nie ma żony albo męża. Wiem, że nie ma szczególnego powodu ku temu, byście nie mogli sami ustalić co i jak, ale powiem wam tyle, że ze względu na wiek i doświadczenie raczej skłaniałabym się ku z małżeństwu Hushidh z Issibem, a Shedemei ze Zdorabem. Ten podział nie jest ostateczny, lecz sądzę, że nie zaszkodzi, jeśli poznacie moje zdanie.

- Lady Rasa była uprzejma wspomnieć o doświadczeniu - odezwał się Zdorab - ale chciałbym zauważyć, że ja nie mam zupełnie żadnego doświadczenia w stosunku do kobiet, przeto obawiam się, że urażać będę każdym słowem.

Shedemei szyderczo parsknęła.

- Z właściwą sobie nieokrzesaną elokwencją Shedemei chciała przez to powiedzieć - tłumaczyła Rasa - że trudno jej sobie wyobrazić, by twa empiria wobec kobiet była mniejsza niż jej znajomość mężczyzn. Ona również jest całkiem pewna swej zdolności do urażania ciebie każdym słowem, i właśnie dlatego zdecydowała się odpowiedzieć ci, nie artykułując żadnego.

Absurdalność całej sytuacji, w połączeniu z arogancją u Shedemei i niezdarną uprzejmością Zdoraba, przerosła Hushidh. Dziewczyna zanosła się gromkim śmiechem, a chwilę później reszta również się roześmiała.

- Nie spieszcie się - rzekł Volemak, gdy już ucichli. - Powoli i stopniowo spróbujcie się poznać.

- Wołałabym raczej mieć to już z głowy - odmrugnęła Shedemei.

- Małżeństwo to nie coś, co można mieć z głowy - upomniała ją Rasa. - To coś, co zaczynasz. A zatem, tak jak mówił Volemak, nie spieszcie się. Gdy będziecie gotowi, przyjdźcie do mnie albo mego męża, a wówczas przygotujemy odpowiednie ceremonie i na nowo przydzielimy namioty.

- A jeśli nigdy nie będziemy gotowi? - zapytał Issib.

- Nikt z nas nie pożyje na tyle długo, by dotrzeć do „nigdy” - odparł Volemak. - Wystarczy, że spróbujecie się poznać i polubić nawzajem.

Po kilku miłych słowach komplementujących przygotowaną przez Zdoraba kolację rozmowa dobiegła końca. Szybko się rozeszli, a Hushidh poszła z Shedemei do namiotu.

- Pocieszające, nie ma co - skomentowała Shedemei.

Dopiero po chwili Hushidh uświadomiła sobie, że Shedy ironizuje; zawsze była nie dość domyślna.

- Mnie to nie pocieszyło.

- Och, naprawdę nie sądzisz, że to bardzo miło z ich strony, iż pozwolili nam nie spieszyć się z decyzją, czy zrobić to, co nieuniknione? To prawie jakby skazanemu zabójcy dać do ręki dźwignię do szubienicznej zapadni, mówiąc: „Pociągnij, jak będziesz gotów”.

Dziwne, że Shedemei była dużo bardziej zła niż Hushidh. Ale w końcu Shedemei nie uczestniczyła w tej wyprawie dobrowolnie, nie to co Hushidh. Shedemei nie uważała się za przynależną Nadduszy, nie w sposób, w jaki Hushidh myślała o sobie, odkąd zdała sobie sprawę, że jest więzostrektorką, albo Luet gdy odkryła w sobie moc wodnej wieszczki. Nic dziwnego więc, że genetyczne sytuacja wydawała się nonsensem; wszystkie jej plany uległy pomieszeniu.

Hushidh pomyślała, by pocieszyć ją słowami: „Zdorab jest takim samym więźniem tej

wyprawy jak i ty - on przecież nie zabiegał o to, by się tu znaleźć, a ty przynajmniej miałaś sen”. Ale od razu dostrzegła - albowiem Hushidh zawsze dostrzegała więzy między ludźmi - że te słowa nie tylko nie dodałyby Shedemei otuchy, lecz dodatkowo poróżniłyby je obie, koniec końców więc zamilkła.

Zamilkła i cierpiała, pamiętała bowiem dokładnie, że Issib zapytał: „A jeśli nigdy nie będziemy gotowi?”. Okropnie było usłyszeć coś takiego z ust przyszłego męża, naprawdę strasznie, gdyż oznaczało to, że wątpił, czy kiedykolwiek zdoła ją pokochać.

Raptem w jej głowie zaświtała myśl: A jeśli Issib powiedział to nie dlatego, że sądził, iż on nigdy nie będzie jej pragnął, ale dlatego, że był przekonany, iż ona nigdy nie będzie gotowa wyjść za niego? Teraz, gdy to przemyślała, zyskała pewność, że właśnie to miał na myśli, miała bowiem Issiba za pocziwego młodzieńca, który raczej nie powiedziałby czegoś, co mogłoby kogokolwiek urazić. Nagle w jej umyśle otworzyła się śluza, uwalniając falę wszystkich informacji o Issibie. Był małomówny i znosił swe kalectwo bez narzekań. Był bardzo odważny i bardzo inteligentny - zawsze łapał w lot nauki udzielane w klasie, a jego odpowiedzi nigdy nie były oczywiste, lecz dowodziły, że jego myśli wybiegały o krok albo i dwa poza zakres pytania.

Może i ogranicza go ciało, ale jego umysł co najmniej dorównuje mojemu. I chociaż natura poskapiła mi urody, niemożliwe, bym przejmowała się własnymi cielesnymi niedoborami bardziej niż on swoimi. Zapewnienia Nafaia, że Issib jest fizycznie zdolny do splodzenia dzieci, nie znaczą jeszcze, że ma choćby najbledsze pojęcie o zbliżeniu płciowym - ba, zapewne strasznie się boi, że będę czuła do niego wstręt, albo choćby frustruje go to, jak niewiele jego zdaniem może mi dać przyjemności. Nie ja potrzebuję pokrzepienia, lecz on, i zdusiłabym miłość w zarodku, gdybym przystąpiła do załatów z przekonaniem, że on musi jakoś przewyciężyć moją niewiarę w samą siebie. Nie, koniecznie muszę się postarać, by zyskał pewność, że akceptuję go takiego, jaki jest, jeśli zamierzamy zostać przyjaciółmi albo małżeństwem.

Hushidh poczuła taką ulgę, że niemal rozplakała się z radości. Dopiero wtedy zdała sobie sprawę, że te myśli, które naszły ją tak niespodziewanie, tak wyraziste, mogły wcale nie być tworem jej umysłu. I rzeczywiście, teraz zmiarkowała, że wyobrażała sobie ciało Issiba w sposób, w jaki on je widział, tyle że to wcale nie była wyobraźnia, prawda? To Naddusza ukazała jej myśli i lęki kołatające w umyśle Issiba.

I tak jak wiele razy wcześniej, Hushidh żałowała, że nie ma takiej łatwości w komunikacji z Nadduszą jak Luet i Nafai. Czasem Nadduszy udawało się podsunąć jej jakąś myśl w postaci słów, które słyszała w umyśle, lecz dla niej nigdy nie był to swobodny dialog,

nigdy nie było jej łatwo odróżnić jej własnych myśli od tych zsyłanych przez Nadduszę. Musiał jej więc wystarczyć dar więzostrukturalnej, wskutek czego czasem te wyraźne, empatyczne myśli, które początkowo zawsze zdawały się jej własne, dopiero poniewczasie okazywały się zbyt klarowne, by uznać je za coś innego poza wizjami od Nadduszy.

Mimo to miała pewność, że to, co teraz rozumiała, nie było tworem jej wyobraźni, tylko prawdą: Naddusza ukazała jej to, co musiała zobaczyć, by przezwyciężyć własne obawy.

Dziękuję, pomyślała wyraźnie, choć skąd miała wiedzieć, czy Naddusza słyszy?

Naszła ją kolejna myśl: Czy Naddusza również widzi jej oczami w tej chwili? Niepokoiło ją to, że Issib postrzega jej ciało tak, jak ona je widzi, czyli głównie cielesne niedoskonałości.

Nie, sprawiedliwość być musi. Jeśli on ma zyskać pewność siebie, jeśli ma stać się dla mnie kochającym mężem, to musi wiedzieć, że jestem tak samo wystraszona i niepokorna jak on. Ukaż więc mu, jeśli jeszcze tego nie zrobiłaś, ukaż mu, jaka jestem, pomóż mu zrozumieć, że choć piękną nie jestem, to przecież jestem kobietą, pragnę kochać, być kochaną, założyć rodzinę z mężczyzną, któremu oddam serce, a on odda serce mnie, tak jak Rasa i Volemak spleceni są swoimi duszami. Ukaż mu, jaka jestem, by czuł wobec mnie litość, a nie obawę. Wówczas będziemy mogli przemienić litość we współczucie, potem w zrozumienie, a jeszcze potem - w miłość, i na końcu - w życie, życie naszych dzieci, całość naszej rodziny, którą stworzymy.

Ku zaskoczeniu Hushidh zaczął morzyć ją sen - obawiała się, że dzisiejszej nocy w ogóle nie zmruży oczu. Shedemei już zasnęła.

Mam nadzieję, że jej również ukazałaś to, co powinna zobaczyć, Nadduszo. Zastanawia mnie tylko, jakim cudem innym mężczyznom i kobietom udaje się kochać siebie nawzajem bez twojej pomocy w ukazywaniu im wzajemnych uczuć.

*

Rasa przebudziła się rozgniewana i dopiero po chwili zrozumiała dlaczego. Początkowo myślała, że to przez wczorajsze zachowanie Volemaka, który w łóżku ofiarował jej wyłącznie czułe objęcia, zupełnie jakby długi post nie zasługiwał na to, by położyć mu kres miłosną ucztą.

Miał oczy, więc zauważył, że żona się gniewa, i pospieszył z wyjaśnieniem: „Po takiej podróży człowiek jest bardziej zmęczony, niż mu się wydaje. Oboje mało czerpalibyśmy z tego przyjemności”.

Samo jego opanowanie niemożliwie ją rozgniewało, więc zasypiając, zwinęła się w

kłębek z dala od jego ramion; ale tego poranka wiedziała, że wczorajsza urażona duma dowodziła jego racji. Rzeczywiście była bardzo zmęczona i zachowywała się niczym rozkapryszona niemowlę.

Do namiotu nie docierało prawie żadne światło z zewnątrz. Zesztywniałe ciało i brak wiatru mogły sugerować, że równie dobrze przespała cały dzień. Mimo to leniuchowanie w łóżku było rozkoszne; nie trzeba było wstawać w pośpiechu, jeść skromnego posiłku o przedświcie, zwijać namiotów, objuczać zwierząt i ruszać w drogę. Dotarła do końca tułaczki, powróciła do domu, do męża.

Pomyślawszy to, uświadomiła sobie powód, dla którego obudziła się dzisiaj w tak wielkim gniewie. Powrót do domu nie powinien oznaczać mieszkania w namiocie, nawet takim o podwójnych ścianach, który w ciągu dnia zbytnio się nie nagrzewał. I to nie ona powinna powracać do męża, raczej on winien przybyć do niej. Wcześniej zawsze tak to się odbywało. Dom w Basilice był jej własnością, to ona przygotowywała siedzibę na przyjęcie męża, ofiarowując mu dar cienia w lecie, osłonę przed burzą, schronienie przed miejskim zgiełkiem. A teraz on przysposobił to miejsce i choć było wygodne, tym bardziej ją to gniewało, bo gdyby jej przypadło to zadanie, nie miałyby pojęcia, jak cokolwiek przygotować. Poczula się bezradna niczym dziecko, uczennica, jej mąż zaś miał być jej nauczycielem i opiekunem.

Była bardzo młoda, gdy po raz pierwszy stała się właścicielką nieruchomości. Za pieniądze odziedziczone po matce kupiła dom, w którym jej prababka założyła sławne konserwatorium muzyczne; Rasa rozślawiła go jeszcze bardziej jako szkołę i na tej bazie zbudowała sobie znaczącą pozycję w Mieście Kobiet, otoczona uczniami, wielbicielami i zazdrosnymi konkurentami. A teraz była na pustyni i nie wiedziała nawet, jak przygotować posiłek albo jak dbać o higienę w takim półstałym obozowisku. Niewątpliwie Elemak wytłumaczy jej wszystko, na swój niby od niechcenia sposób, gładkimi słówkami pozorując, że mówi jej dokładnie to, co ona wie i bez tego. To byłoby nawet łaskawe, pomyślała, gdyby nie nutka protekcjonalności w jego głosie, która daje jasno do zrozumienia, że zarówno on, jak i ja wiemy, że ja nie wiem, i w zasadzie tylko on może mnie nauczyć, jak stosownie się wysikać.

Elemak. Przypomniała sobie ten straszny poranek, gdy najstarszy syn Volemaka mierzył z pulsatora w głowę Nafaia, i pomyślała: Muszę powiedzieć Volemakowi. Trzeba go ostrzec przed morderstwem, które Elemak nosi w sercu.

Tyle że Naddusza jasno pokazała, że nie godzi się na żadne zabójstwo, a Elemak i Mebbekew zgodnie błagali o przebaczenie. Kwestia powrotu do Basiliki była zamknięta, z

pewnością. Po co więc znów do tego wracać? Zresztą cóż Volemak mógłby teraz z tym zrobić? Albo wyrzekłby się Elemaka, przez co z tego młodzieńca nie byłoby pożytku przez dalszą część wyprawy, albo - co gorsza - poparłby jego prawo do podjęcia tak nikczemnej decyzji, wskutek czego z Elemakiem nie da się odtąd żyć, a znaczenie Nafaia w grupie zmaleje do zera. Elemak nie pozwoli, by Nafai doszedł do pozycji przywódcy. Ta sytuacja byłaby nieznośna, Rasa wiedziała bowiem, że z grona jej dzieci tylko Nafai ma zadatki na dobrego władcę, gdyż tylko on spośród mężczyzn własnego pokolenia posiadał zarówno rozsądek, by podejmować roztropne decyzje, jak i bliskie kontakty z Nadduszą, by decydować świadomie.

Rzecz jasna, Luet cechowały te same przymioty, ale znajdowali się teraz w pierwotnym otoczeniu, nieuniknione było więc, że samce obejmą przodownictwo. I bez pouczeń Shedemei na temat kształtowania się społeczności wśród ssaków naczelnych Rasa wiedziała, że u nomadów mężczyźni sprawowali rządy. Niedługo wszystkie kobiety zajdą w ciążę, urodzą dzieci. Wówczas ich troski oscylować będą wokół zapewnienia dzieciom jedzenia i bezpieczeństwa na nieprzyjaznej pustyni. Nie będzie powodu ani możliwości, by stanąć do walki z mężczyznami o przywództwo.

Byłoby dobrze, gdyby przywódcą został Nafai, współczujący kobietom i dający posłuch mądrym radom. Natomiast Elemak byłby władcą w stylu, który już im zaprezentował - zazdrośnym tyranem, nierychłym słuchać sugestii i skorym prędko obrócić sprawy na swoją korzyść, niesprawiedliwym i knującym intrygi...

Nie mogę sobie pozwolić na nienawiść wobec niego, skarciła się Rasa w myślach. Elemak ma wiele pożytecznych talentów. Podobnie jak jego przyrodni brat Gaballufix, mój niegdysiejszy małżonek. Kochałam Gabyę za te talenty, lecz niestety, niewiele z nich przekazał naszym córkom, Sevet i Kokor. Zamiast tego odziedziczyły po nim egoizm, niemożność powściągnięcia pragnień. Chcą osiąść wszystko, co wydaje się choćby trochę atrakcyjne. Cechy te dostrzegam również w Elemaku, przeto nienawidzę i boję się go tak jak niegdyś Gaballufixa.

Ach, gdyby tylko Naddusza była ociupinę bardziej wybredna w doborze uczestników tej wyprawy!

Wtem Rasa przerwała ubieranie się i zmiarkowała: Rozmyślam nad tym, jak samolubny i apodyktyczny jest Elemak, a tymczasem od chwili, gdy się obudziłam, jestem zła, ponieważ to nie ja znajduję się u steru. I kto tu jest apodyktyczny!

Niewykluczone że gdyby mnie pozbawiono realnej władzy na tak długo jak Elemaka, byłabym tak samo jak on zdesperowana, by ją zdobyć i utrzymać.

Nie, tak by się nie stało. Dopóki żyła matka, dopóty nie próbowałam osłabić jej pozycji, Elemak zaś już kilka razy podjął wysiłek, by pokrzyżować ojcu szyki - do tego stopnia, że nieomal zabił najmłodszego syna Volemaka.

Muszę Volyi powiedzieć, co Elemak zrobił, by mój mąż podejmował roztropne decyzje. Doprawdy marna byłaby ze mnie żona, gdybym nie udzielała mu mądrych rad, włącznie z przekazaniem mu wszystkiego, co wiem. On zawsze robił dla mnie to samo.

Odsunęła połę namiotu i weszła do przedsionka, w którym było o wiele goręcej niż w środku. Zasuńawszy za sobą połę wejściową, wyszła na oślepiające słońce.

- Lady Rasa! - radośnie zakrzyknęła Lal.

Czyżby czekała, aż Rasa wyłoni się ze środka? Nie miała żadnych bardziej pożytecznych zajęć, czy jak? Rasa nie mogła się powstrzymać przed lekkim przytykiem:

- Nie przepracowujesz się aby?

- Och, nie, choć przez to gorące słońce pocę się jak przy robocie.

Cóż, dobre i to, że Lalya nie jest hipokrytką...

- Zgłosiłam się, by poczekać, aż wyjdiesz z namiotu, skoro Volemak zabronił cię budzić nawet na śniadanie.

Rasa zdała sobie sprawę, że jest głodna.

- Wetchik powiedział, że gdy się zbudzisz, będziesz chciała jeść, więc mam cię zabrać do kuchni. Trzymamy wszystko w zamknięciu, by pawiany tego nie znalazły, inaczej według Elemaka nie będziemy mieli spokoju. Nie możemy ich przyzwyczajać do poszukiwania jedzenia u nas, gdyż poszłyby za nami w głąb pustyni i zdechłyby z głodu.

A więc Lalya jednak przyswaja sobie informacje z rozmów innych ludzi. Czasem trudno pamiętać, że nie brak jej oleju w głowie. Tym wdzięczeniem się skutecznie przesłania fakt, że posiada jakiś rozum.

- No to co? - zapytała Lalya.

- Hm?

- Nic nie mówisz. Chcesz teraz coś zjeść czy mam zwołać wszystkich, by posłuchali o śnie Volemaka?

- Śnie?

- Tej nocy Naddusza zesłała mu sen. Volemak miał zamiar opowiedzieć o nim całej grupie, ale nie chciał cię budzić, więc zaczęliśmy robić coś innego, a ja miałam cię wypatrywać.

Teraz Rasa poczuła zażenowanie. Volya ustanowił fatalny precedens, zmuszając resztę do pobudki i pracy, podczas gdy ona smacznie sobie spała. Nie chciała uchodzić za

rozpieszczoną żonę władcy, tylko za pełnoprawnego uczestnika tej społeczności. Zdawało jej się, że Volemak to rozumie.

- Zwołaj resztę, proszę. Ale najpierw oczywiście skieruj mnie do namiotu kuchennego. Wezmę trochę chleba i zjem podczas zebrania.

Odchodząc, słyszała, jak Lal woła co sił w płucach - robiąc pełny użytek z teatralnego szkolenia w emisji głosu:

- Ciocia Rasa już wstała! Ciocia Rasa wstała!

Rasa skuliła się w sobie. Może by tak od razu obwieścić wszem wobec, jak długo sobie pospałam?

Namiot kuchenny odnalazła bez trudu - stał przy nim kamienny piec. Zdorab właśnie wyjmował z niego bochny chleba. Spojrzał na nią jakoś tak nieśmiało.

- Zmuszony jestem prosić o wybaczenie, lady Raso. Nigdy nie miałem się za piekarza.

- Chleb pachnie wspaniale - pochwaliła Rasa.

- Pachnie, a jakże. Zapachy to mi akurat wychodzą. Powinnaś kiedyś zaciągnąć się moim ulubionym - zwę go „przypalona ryba”.

Zaśmiała się. Lubiała Zdoraba.

- Łowicie ryby w rzece?

- Twój mąż wołał łowić tam. - Wskazał w kierunku miejsca, gdzie rzeka wpadała do spokojnych wód Morza Abrazyjnego.

- I co, poszczęściło się wam?

- Nie bardzo. Złapaliśmy ryby, ale nie były smaczne.

- Nawet te, które nie zmieniły się w twój ulubiony zapach...

- Nawet te, które udusiliśmy w potrawce. Tu na łądzie za mało jest życia. Ryby zbierałyby się u ujścia, gdyby w osadzie nanoszonym przez rzekę znalazło się więcej materiału organicznego.

- Jesteś geologiem? - zapytała Rasa, trochę zaskoczona.

- Bibliotekarzem, więc jestem chyba wszystkim po trochu. Staralem się rozgryźć, dlaczego w okolicy nie ma żadnej stałej osady ludzkiej, i powód znalazłem w Indeksie, na paru starych mapach z czasów, gdy była tu jakaś większa cywilizacja. Skupiska zawsze rozwijały się w zlewisku wielkiej rzeki zaraz za tym pasmem górskim. - Wskazał ku wschodowi. - Obecnie leży tam kilka miasteczek. Powodem, dla którego nikt się tutaj nie osiedlił, jest deficyt ziemi uprawnej. A ta rzeczka wysycha raz na pięć lat. Zbyt często, by podtrzymać trwałą populację.

- A jak radzą sobie pawiany? - zagadnęła Rasa.

- Indeks nie śledzi ich poczynañ.

- Tak myślałam. Zapewne więc pawiany będą musiały zbudować kiedyś własną Nadduszę, co?

- Pewnie tak. - Wydawał się cokolwiek zdziwiony. - Na razie nie zaszkodziłoby, gdyby zbudowały chociaż własną latrynę.

Rasa uniosła brew.

- Musimy je mieć na oku, by nie zawędrowały w górę rzeki i nie narobiły do naszej wody pitnej.

- Co mi przypomina, że napiłabym się czegoś.

- I pewnie coś zjadła - podjął Zdorab. - A zatem częstuj się. Zimną wodę i wczorajszy chleb znajdziesz w namiocie, zabezpieczony.

- Skoro zabezpieczony, to...

- Zabezpieczony przed pawianami. Dla człowieka to żadna przeszkoda.

Owo „zabezpieczenie” stanowił zwykły poskręcany drut spinający pokrywę zasobnika chłodniczego zasilanego energią słoneczną. Dlaczego więc Lal i Zdorab podkreślali fakt, że zapasy są zabezpieczone? Może by upomnieć ją, że powinna zamknąć po sobie.

Pod pokrywę znalazła kilkadziesiąt bochenków chleba, a także kilka porcji owiniętych materiałem. Mrożone mięso? Nie, nie mogło być mrożone, w środku nie było dość zimno. Sięgnęła po jedno z zawiniątek, które okazało się skrywać - a jakże! - ser z wielbłądniego mleka. Obrzydliwość! Niegdyś miała okazję tego sera skosztować. W domu Volemaka, gdy pewnego razu odwiedziła go w czasie między jednym kontraktem małżeńskim a drugim. „Teraz rozumiesz, jak bardzo cię kochałem? - przekomarzał się. - Tyle czasu byliśmy razem, a ja ani razu nie dałem ci tego do spróbowania!”. Ale teraz wiedziała, że potrzebowała białka i tłuszczu - w trakcie podróży będą na ubogiej diecie, musieli więc jeść wszystko, co miało jakąkolwiek wartość odżywczą.

Urwała połowę płaskiego, okrągłego chleba, resztę zawinęła z powrotem, potem nadziała tę część, którą miała zamiar zjeść, kilkoma kawałkami sera. Suchy i cierpki wypiek zamaskował smak wielbłądniego mleka, tak że śniadanie przyprawiało tylko o lekkie mdłości. Witaj na pustyni, Raso.

Zamknęła pokrywę i odwróciła się do wyjścia.

- Aaaa! - krzyknęła mimowolnie.

W wejściu namiotu stał pawian na czterech łapach, uważnie jej się przyglądając i węsząc.

- Sio! Zmykaj! To moje śniadanie!

Małpa przyglądała się jej twarzy jeszcze tylko przez chwilę. Rasa zmiarkowała, że z tego wszystkiego nie zabezpieczyła zasobnika. Zawstydzona, odwróciła się plecami do niespodziewanego gościa i, zasłaniając ciałem swe ruchy, skręciła drut. Podobno pawian nie ma dość sprawnych palców, by go rozplątać. Lecz jeśli zębami da radę go przegryźć, co wtedy? Nie wolno pokazywać, że zwykły drut przeszkadza mu dostać się do jedzenia.

Rzecz jasna, całkiem możliwe że sam by do tego doszedł. Czyż nie mówiło się, że pawiany są najbliższymi krewniakami ludzi na całej Harmonii? Może właśnie dlatego, że były ziemskim, a nie rdzennym gatunkiem Harmonii - pierwsi osadnicy tej planety przywieźli je z sobą.

Odwróciła się do pawiana i znowu krzyknęła, bo znajdował się tuż za nią, stał na tylnych nogach i przyglądał się jej tym samym nieruchomym wzrokiem.

- To moje śniadanie - powtórzyła.

Wydał wargi, jakby ze wstrętem, i opadł na cztery łapy. W tej samej chwili do namiotu wszedł Zdorab.

- Tego nazwaliśmy Yobar - rzekł. - Nowicjusz w stadzie, jeszcze go nie zaakceptowały. Jemu to nie przeszkadza, bo ma się za samca alfa, gdy od niego uciekają. Tyle że biedaczysko często czuje chuć, a nawet nie potrafi zbliżyć się do samic.

- To tłumaczy jego przydomek. - Rasa się zaśmiała. „Yobar” w starożytnym języku oznaczał nad wyraz jurnego mężczyznę.

- Zwiemy go tak niejako na zachętę - wyjaśnił Zdorab.

- Wynoś się, Yobar!

- Chyba właśnie wychodził, bo nie chciałam się z nim podzielić chlebem i serem.

- Paskudny ten ser, nie? Ale biorąc pod uwagę, że pawiany jedzą jeszcze żywe, małe keeki, jeśli uda im się je złapać, nietrudno zrozumieć, że dla nich wielbłądzi ser to nie lada delicja.

- Ale my, ludzie, musimy to jeść, prawda?

- Niechętnie i nieustannie - zażartował Zdorab. - Lecz nigdy nie przyzwyczajasz się do posmaku w ustach. To główny powód, dla którego pijemy tak dużo wody, wskutek czego tak często - za przeproszeniem - sikamy.

- Podejrzewam, że miejskie zasady językowego taktu i tak nie zdadzą egzaminu na pustyni.

- Ale chyba nie zaszkodzi powściągać języka - odparł Zdorab. - No nic, smacznego życzę. Postaram się nie psuć ci posiłku aromatem spalonego chleba.

Nie odwracając się, wycofał się z namiotu.

Rasa ugryzła pierwszy kęs chleba - nawet jej posmakował. Uszczknęła więc kolejny - i niemal ją zemdlilo, bo tym razem było w nim trochę sera. Zmusiła się, by przeżuć i przełknąć. Od razu z większą sympatią pomyślała o minionych dniach, gdy jedynym wielbłądzim przetworem, z którym musiała się mierzyć, było łajno, a nie musiała go zjeść.

Wejście namiotu znów załopotało. Rasa poniekąd spodziewała się, że Yobar wrócił, by ponownie błagać o jedzenie. Ale nie, w namiocie pojawiła się Lal.

- Wetchik ogłosił, że zbierzemy się dopiero, gdy cienie się wydłużą i skończy się ten przerażający upał. Dobry pomysł, nie uważasz?

- Wypada mi więc tylko żałować, że zmitrężyłaś cały dzień, czekając, aż się obudzę.

- Och, nic nie szkodzi. I tak nie chciało mi się pracować. Raczej kiepsko mi wychodzi pielenie ogródka. Pewnie wyrwałabym kwiaty razem z chwastami.

- To chyba nie jest ogród kwiatowy.

- Wiesz, o co mi chodziło.

O tak, rozumiem doskonale.

Wiem też, że muszę odszukać Volemaka i zmusić go, by jak najszybciej przydzielił mi pracę. Nie dla mnie wylegiwanie się w łóżku, podczas gdy inni harują w pocie czoła. Może i jestem drugą najstarszą osobą w tym obozie, ale to nie znaczy, że jestem stara. Ba, wciąż mogę mieć dzieci, i z pewnością je urodzę, jeśli tylko przekonam Volyę, żeby przyjął mnie jak dawno niewidzianą żonę, a nie traktował jak rozkapryszone dziecko.

Przygnębiło ją jednak, że będzie musiała powić dzieci, by grać jakąkolwiek rolę w tej pustynnej społeczności. Powracali bowiem tutaj do prymitywnego stadium ludzkiego życia, w którym priorytet stanowiły przetrwanie i rozmnażanie się, musi więc na zawsze zapomnieć o cywilizowanym stylu życia w Basilice, w którym czuła się jak ryba w wodzie. Tutaj będzie zmuszona rywalizować z innymi kobietami o pozycję w tym nowym plemieniu, a hierarchia ustalana będzie podług liczby potomstwa. Te, które urodzą, będą kimś; bezdzietne - nikim. A w wieku Rasy ważne było, by zacząć szybko, nie miała bowiem przed sobą tyle czasu co młodsze.

Znów się rozzłościła, a nie mogła na nikim się wyładować poza biedną, frywolną Lal. Opuściła namiot kuchenny, nie przerywając posiłku. Rozejrzała się po obozowisku. Gdy schodzili karawaną po stromym zboczu do wąwozu, stały tu tylko cztery namioty. Teraz było ich dziesięć. Rozpoznała namioty podrózne - czuła się trochę winna, bo inni wciąż mieszkali w tak ciasnych kwaterach, podczas gdy ona i Volya mieli do dyspozycji duży namiot o podwójnym tropiku. Dopiero teraz zauważyła jednak, że namioty rozstawiono w kilku koncentrycznych okręgach, lecz ten, który dzieliła z Volemakiem, wcale nie znajdował się w

środku; podobnie namiot kuchenny. Wszystkie okrażały najmniejszy z tych czterech początkowych schronień. Po chwili refleksji Rasa uświadomiła sobie, że był to namiot, w którym przechowywano Indeks.

Naiwnie przypuszczała, że Volemak będzie trzymał Indeks w swoim namiocie, ale oczywiście to nie wchodziło w rachubę - Zdorab i Issib korzystali z niego bez przerwy i trudno było od nich wymagać, by podporządkowali swój rozkład dnia takim uciążliwościom jak stara kobieta, której mąż pozwolił spać dłużej.

Rasa podeszła do małego namiotu i dwa razy klasnęła.

- Wejdz.

Po głosie rozpoznała Issyę. Poczula ukłucie winy, bo wczoraj w nocy zamieniła tylko kilka zdawkowych słów z pierworodnym synem, w dodatku tylko gdy wraz z Volją rozmawiali jednocześnie z czworgiem samotnych uczestników tej wyprawy. I nawet teraz, wiedząc, że Issya jest w tym namiocie, miała ochotę odejść i wrócić kiedy indziej.

Dlaczego go unikała? Na pewno nie z powodu jego fizycznej ułomności - do tego zdążyła się już przyzwyczaić, służąc mu pomocą przez okres niemowlęstwa i wczesnego dzieciństwa, przymierzając go do krzeseł i lewiterów, by mógł poruszać się bez trudu i mieć bez mała normalne - albo chociaż swobodne - życie. Znała jego ciało nawet lepiej niż on sam, ponieważ aż do późniejszego okresu dojrzewania myła go od stóp do głów, masowała i poruszała jego kończynami, by nie straciły elastyczności, zanim powoli i boleśnie nauczył się z nich korzystać. Podczas tych wspólnych sesji rozmawiali bez ustanku, przez co stał jej się bliższy niż inne jej dzieci. A mimo to nie chciała go widzieć.

Rzecz jasna, rozsunęła poły namiotu i weszła do środka.

Siedział w krześle, które samo podłączyło się do panelu słonecznego na szczycie namiotu, by nie marnować akumulatorów. Krzesło podtrzymywało Indeks. I choć Rasa nigdy wcześniej nie widziała Indeksu, od razu domyśliła się, że to on, chociażby dlatego, że był przedmiotem, który pierwszy raz widziała na oczy.

- Czy on do ciebie przemawia? - zapytała.

- Dzień dobry, matko - odparł Issib. - Wyspałeś się?

- Czy raczej ma jakiś wyświetlacz jak zwykły komputer? - ciągnęła Rasa, nie dając się sprowokować kąśliwą uwagą o późnej pobudce.

- Niektórzy z nas w ogóle nie spali. Niektórzy z nas nie mogli zasnąć, głowiąc się, jak to się stało, że kandydatki na nasze żony przyprowadzono i zrzucano na nasze barki, wielce pobieżnie przedstawiając nas sobie.

- Och, Issya, wiesz przecież, czemu znaleźliśmy się w obecnej sytuacji. Nikt nie robi ci

tego na złość. Czujesz się urażony? Wyobraź sobie, że ja również. Mam więc propozycję: nie będę się wyładowywać na tobie, a ty na mnie.

- A na kim innym mogę się wyładować? - odparł z bladym uśmiechem.

- Na Nadduszy. Każ krzesłu rzucić Indeks na drugi kraniec namiotu.

Pokręcił głową.

- Naddusza zwyczajnie unieważniłby moje polecenie. Zresztą Indeks to nie Naddusza, jedynie najpotężniejsze narzędzie dające nam dostęp do jego pamięci.

- A jak wiele to pamięta?

Issib patrzył na nią przez chwilę.

- Wiesz, nigdy bym nie pomyślał, że będziesz mówić o Nadduszy „to”.

- Nie myślałam o niej, o Nadduszy. Chodziło mi o Indeks.

- Pamięta wszystko.

- Jak daleko sięga we „wszystko”? Pamięta ruchy każdego pojedynczego atomu we wszechświecie?

Issib uśmiechnął się szeroko.

- Czasem może się tak wydawać. Ale nie, raczej wszystko o ludzkiej przeszłości na Harmonii.

- Czterdzieści milionów lat - zastanawiała się Rasa na głos.

- Jakies dwa miliony pokoleń istot ludzkich. Światowa populacja obejmująca przez gros czasu mniej więcej miliard ludzi. Dwa biliardy istnień, a każde życie usiane tysiącami ważnych wydarzeń.

- Zgadza się. Dodajmy do tych biografii dzieje każdej ludzkiej społeczności, poczynsz od rodzin, łącznie z tak wielkimi jak narody i grupy językowe, i tak małymi jak znajomi z dzieciństwa i przygodni partnerzy seksualni. A potem jeszcze wszystkie naturalne zdarzenia oddziałujące na ludzką historię, typu katastrofy. A na dokładkę każde słowo kiedykolwiek zapisane ludzką ręką, mapy wszystkich miast wybudowanych od początku kolonizacji i plany każdego budynku, który od tej pory wzniesliśmy...

- Nic nie pomieściłoby tylu informacji - wtrąciła się Rasa. - Nawet gdybyśmy całą planetę poświęcili tylko na ich przechowywanie. Powinniśmy więc w zasadzie potykać się o moduły danych Nadduszy.

- Niekoniecznie. Pamięć Nadduszy nie jest przechowywana w tanich i masywnych modułach, których używamy w zwykłych komputerach. Wszystkie nasze maszyny są binarne, to po pierwsze, więc każdy bit informacji może przechowywać tylko jeden z dwóch możliwych znaczeń.

- Jedynka albo zero. Prawda lub fałsz.
- Co więcej, w jednym komputerze możemy zmieścić tylko kilka trylionów bitów, inaczej maszyny staną się zbyt masywne, by je przenosić. Ponadto marnujemy zatrważające ilości przestrzeni, nawet by zapisać najprostsze cyfry. Przykładowo, w dwóch bitach mieszczą się tylko cztery cyfry.
- A-1, B-1, A-2 i B-2 - popisała się Rasa. - Nie zapominaj, że prowadzę podstawowy kurs z teorii komputerowej w mej szkole.
- A teraz wyobraź sobie, że w każdym bicie zapisujemy nie tylko jeden z dwóch stanów, prawdę lub fałsz, lecz jeden z pięciu stanów. Wówczas w dwóch bitach...
- Dwadzieścia pięć ewentualnych wartości - szybko podliczyła Rasa. - A-1, B-1, V-1, G-1, D-1 i tak dalej aż do D-5.
- A teraz wyobraź sobie, że każdy bit mógłby przyjmować jedno z tysiąca znaczeń.
- To zdecydowanie czyni pamięć bardziej wydajną.
- Niekoniecznie. Nie przy tych założeniach. Wzrost wydajności jest jedynie geometryczny, a nie wykładniczy. Ponadto wtedy pamięć byłaby bezwzględnie ograniczona, bo każdy pojedynczy bit mógłby przekazywać jeden stan naraz. Więc gdyby nawet każdy bit mógł zawierać jedną z miliarda wiadomości, to i tak mieściłby tylko jedną naraz.
- Ale gdyby je zebrać dwójkami, problem znika, ponieważ razem dwa bity mogłyby przekazywać miliony ewentualnych znaczeń.
- Lecz wciąż jedno znaczenie w danej jednostce.
- Cóż, przecież nie można skorzystać z tego samego bitu do przechowywania sprzecznych wartości. G-9 oraz D-9.
- Zależy od sposobu przechowywania danych. W wypadku Nadduszy każda lokacja w pamięci jest wewnętrzną krawędzią okręgu - bardzo małego okręgu - a krawędź ta jest fraktalnie złożona. Znaczący to, że tysiące stanów mogą być reprezentowane przez wypustki, jak zęby grzebienia lub klucza; każde miejsce albo ma wypustkę, albo jej nie ma.
- Tyle że wówczas informacja przechowywana jest w ząbku, a nie na krawędzi okręgu
- zauważyła Rasa - i znów wracamy do systemu binarnego.
- Ale ten ząbek może mieć różną długość - wyjaśnił Issib.
- Pamięć Nadduszy potrafi odróżnić setki różnych stopni wypukłości w każdym punkcie wnętrza okręgu.
- I tak wciąż mamy wzrost geometryczny.
- Ale weź teraz pod uwagę fakt, że Naddusza potrafi również wykryć ząbki na każdej wypukłości - setki różnych wartości z każdego z setek ząbków. A na każdym z ząbków

tysiące kolców, z których każdy przechowuje jedną z setek wartości. A na każdym kolcu setki drzazg. A na każdej z drzazg setki włosków. A na każdym włosku...

- Wystarczy, już rozumiem - przerwała mu Rasa.

- Ponadto znaczenia mogą się zmieniać w zależności od tego, gdzie na okręgu zaczyna się odczyt - na północy, na wschodzie czy południowo-południowym wschodzie. Bo widzisz, matko, w każdym punkcie Naddusza może przechowywać tryliony różnych fragmentów informacji naraz - ciągnął Issib. - W naszych komputerach nie znajdziesz niczego choćby odrobinę porównywalnego.

- Mimo to ta pamięć nie jest nieograniczona.

- Nie. Nie jest nieograniczona. Bo ostatecznie zejdziemy do najmniejszej rozdzielczości - wypukłości tak małych, że Naddusza nie zdoła wykryć wypukłości na wypukłościach. Około dwudziestu milionów lat temu Naddusza zauważył, że zaczyna mu brakować pamięci, a raczej zabraknie za jakieś dziesięć milionów lat. Począł więc znajdować skrótowe sposoby archiwizacji. Poświęcił znaczną część pamięci na przechowywanie złożonych tablic rodzajów zdarzeń. Przykładowo, rekord ZH-5 - SHCH może oznaczać: „klóci się z rodzicami o stopień samodzielności, na który przyzwalają, i ucieka z rodzinnego miasta do innego”. Tak więc w miejscu przechowywania życiorysu takiej osoby zamiast szczegółów całego zdarzenia wykaz biograficzny odsyła do obszernej tablicy możliwych zdarzeń w ludzkim życiu - w postaci wartości ZH-5-SHCH, po którym następuje kod miasta, do którego uciekł.

- Przez taki pryzmat nasze losy wyglądają dość schematycznie, nie uważasz? Czyli mało oryginalnie. Wszyscy powtarzamy to, co inni już kiedyś zrobili.

- Naddusza wytłumaczył mi, że choć dziewięćdziesiąt dziewięć procent każdego życia zawiera zdarzenia już obecne w tablicach zachowań, zawsze jeden procent trzeba szczegółowo opisać, ponieważ nie mieści się w zakresie wcześniejszych rekordów. W historii planety nie znajdziesz więc dwóch identycznych życiorysów.

- Zawsze to jakieś pocieszenie.

- Pozostaje wierzyć, że nasze losy podążają niecodziennym torem. „Wyznaczony przez Nadduszę do odbycia podróży przez pustynię i docelowej podróży na Ziemię”... założę się, że nie ma takiego rekordu.

- Och, lecz skoro przytrafiło się to nam szesnaściorgu, mogę się założyć, że Naddusza tworzy taki rekord.

Issib się zaśmiał.

- Pewnie już ma go w wykazie.

- Tak czy owak, stworzenie tabel ludzkiego zachowania musiało trwać całe wieki.
- Czego jak czego, ale czasu Nadduszy nie brakuje. Ale nawet pomimo to wszystko pozostaje kwestia niszczenia i utraty danych.
- Punkty zapisu mogą stać się nieczytelne?
- Tego nie wiem. Wiem za to, że Naddusza traci satelity, wskutek czego coraz trudniej nas upilnować. Jak dotąd nie ma żadnych martwych stref, lecz każdy satelita musi dostarczać o wiele więcej informacji niż początkowo. W systemie tworzą się zatory. Miejsca, przez które satelita po prostu nie może przekazać wszystkich zebranych informacji na tyle szybko, by nie przeoczyć czegoś zachodzącego między obserwowanymi ludźmi. Naddusza ogranicza straty, wypełniając luki w danych przypuszczeniami i szacunkami, mimo to sytuacja stale się pogarsza. Zostało jeszcze sporo wolnej pamięci, ale wkrótce o milionach istnień pozostanie w archiwum jedynie ogólnikowa wzmianka. A kiedyś, rzecz jasna, zepsuje się tyle satelitów, że niektóre życiorysy w ogóle nie trafią do banku danych.
- A prędzej czy później wszystkie satelity się zepsują.
- Właśnie. A co najgorsze, wraz z pojawieniem się martwych stref niektórzy ludzie znajdują się poza jakimkolwiek wpływem Nadduszy. Wówczas znów zaczną wytwarzać typy broni, które mogą zniszczyć świat.
- Czemu nie rozmieścić więcej satelitów?
- A któż miałby to zrobić? Która ludzka społeczność posiada technologię, by wybudować statki wynoszące satelity w kosmos? Albo choćby skonstruować same satelity?
- Przecież umiemy budować komputery, nieprawdaż?
- Technologia umożliwiająca wyniesienie satelitów w kosmos to ta sama, która pozwala na dostarczenie broni z jednego krańca Harmonii na drugi. Jakim sposobem Naddusza mógłby nauczyć nas, jak uzupełnić ubytki w satelitach, nie dając nam do ręki metody zagłady świata? Nie wspominając już o tym, że pewnie moglibyśmy wówczas wykombinować, jak przeprogramować Nadduszę i sami nim sterować albo, gdyby to się nie udało, zbudować własne małe Naddusze dostrojone do tej części mózgu, z którą komunikuje się Naddusza. Zyskalibyśmy broń potrafiącą siać zamęt w szeregach wroga albo go ogłupić.
- Brzmi sensownie.
- Naddusza znalazł się w rozterce. Musi zostać naprawiony, bo inaczej straci zdolność do ochrony ludzkości; jednak jedyna możliwość naprawy wymaga przekazania ludziom tych technologii, do których dostępu stara się nam bronić.
- Błędne koło jak się patrzy.
- A więc zamierza wrócić do domu. Do Opiekuna Ziemi. By dowiedzieć się, co dalej.

- A jeśli Opiekunka Ziemi również tego nie wie?
 - Znajdziemy się po uszy w guanie. - Issib się uśmiechnął. - Sądzę jednak, że Opiekun wie. Że ma jakiś plan.
 - A to dlaczego?
 - Ponieważ ludzie co rusz mają sny nie pochodzące od Nadduszy.
 - I co w tym dziwnego? Sny mieliśmy o wiele wcześniej niż Nadduszę.
 - Tak, ale nie mieliśmy podobnych snów, niosących wyraźne przesłanie o powrocie na Ziemię, nie?
 - Po prostu nie chce mi się wierzyć, że jakiś komputer czy coś podobnego, wiele lat świetlnych stąd, jest w stanie wysyłać sny do naszych umysłów.
 - Kto wie, jak się sprawy mają tam, na Ziemi? - upierał się Issib. - Może Opiekun dowiedział się czegoś o wszechświecie, czego my nie potrafimy nawet pojąć. Co nie byłoby zbyt zaskakujące, bo przecież Naddusza nas ogłupiał, jak tylko staraliśmy się myśleć o naprawdę zaawansowanej fizyce. Przez czterdzieści milionów lat tłamsił nas, gdy tylko za dobrze korzystaliśmy z mózgu, ale przez ten czas Opiekun Ziemi, kimkolwiek był, czy jest, miał całkowitą swobodę i niewykluczone że wpadł na coś naprawdę pożytecznego. Łącznie z tym, jak wysyłać sny do ludzi odległych o wiele lat świetlnych.
 - I tego wszystkiego dowiedziałeś się z Indeksu?
 - To wszystko siłą i groźbą wydarłem z Indeksu, z pomocą Zdoraba i ojca - poprawił Issib. - Naddusza nie lubi rozprawiać o sobie, więc za każdym razem stara się sprawić, byśmy zapomnieli, czego się właśnie o nim dowiedzieliśmy.
 - A myślałam, że Naddusza ściśle z nami współpracuje.
 - Na odwrót. To my współpracujemy z nim. A on stara się powstrzymywać nas przed poznaniem nawet najmniejszego strzępka informacji, która nie jest bezpośrednio związana z zadaniami, jakie dla nas obmyślił.
 - Jak więc dowiedziałeś się o tym wszystkim, co właśnie mi wyłuszczyłeś? O tym, jak działa pamięć Nadduszy?
 - Albo omijaliśmy jego zabezpieczenia tak skutecznie i uporczywie, że w końcu zaprzestał prób powstrzymania nas przed tą wiedzą, albo zdecydował, że krzywda nam się nie stanie, jeśli się tego dowiemy.
 - Istnieje też trzecie wytłumaczenie - podsunęła Rasa.
 - Jakie?
 - Takie, że informacje są błędne, więc i tak nie ma znaczenia, czy je znacie, czy nie.
- Issib posłał jej szeroki uśmiech.

- Ale przecież Naddusza by nie skłamał, prawda, matko?

Rasie od razu przypomniała się rozmowa, którą odbyli, gdy Issib był jeszcze dzieckiem i zapytał o Nadduszę. Jak brzmiało pytanie? Ach tak. „Dlaczego mężczyźni nazywają Nadduszę »on«, a kobiety - »ona«?”. Rasa odpowiedziała wtedy, że Naddusza pozwala mężczyznom myśleć o niej w rodzaju męskim, żeby swobodniej się czuli, modląc się do niej. Na co Issib zadał dokładnie to samo pytanie: „Ale przecież Naddusza by nie skłamał, prawda?”.

O ile sobie przypominała, nie poradziła sobie z tym pytaniem za pierwszym razem, nie miała więc zamiaru stawiać się w trudnym położeniu, próbując ponownie na nie odpowiedzieć.

- Przeszkodziłam ci w pracy, przychodząc tak bez zapowiedzi - zmieniła temat.

- Ależ skąd! Ojciec i tak mnie prosił, żebym wyjaśnił ci wszystko, o co zapytasz.

- Czyżby wiedział, że tu przyjdę?

- Powiedział, że to ważne, byś zrozumiała naszą pracę nad Indekssem.

- A na czym konkretnie polega ta praca?

- Staramy się wydobyć z tego informacje, które my chcemy poznać, a nie to, co Naddusza chce, żebyśmy wiedzieli.

- Jakież postępy?

- I tak, i nie.

- Czyli?

- Wiele się dowiadujemy, ale można się spierać, czy Naddusza dobrowolnie dzieli się z nami wiedzą, czy nie. Praktyka pokazuje, że Indeks robi różne rzeczy dla różnych ludzi.

- W zależności od czego?

- Tego akurat jeszcze nie ustaliliśmy - odparł Issib. - Zdarzają się dni, gdy Indeks właściwie wyśpiewuje mi wszystko, jakby żył w mojej głowie, odpowiadając na pytania, których nie zdążę nawet pomyśleć. Są i takie, gdy myślę sobie, że Naddusza stara się mnie gnębić, podsuwając mi fałszywe tropy.

- A czego właściwie szukasz?

- Mam nieograniczony dostęp do całej przeszłości Harmonii. Mogę ci podać imiona wszystkich osób, które kiedykolwiek przybyły nad tę rzekę i piły stąd wodę. Ale nie mogę się wywiedzieć, gdzie Naddusza nas prowadzi ani jak dostaniemy się na Ziemię, ani nawet gdzie pierwsi osadnicy Harmonii wylądowali, ani gdzie znajduje się centralna pamięć Nadduszy.

- A zatem pewne kwestie trzyma przed tobą w tajemnicy.

- Sądzę, że nie może nam ich zdradzić. Chciałby, ale nie może. Przypuszczam, że to

przez system zabezpieczeń wbudowany w niego od początku, mający zapobiec przejęciu kontroli nad Nadduszą i wykorzystaniu go w celu zyskania władzy nad światem.

- A więc musimy ślepo jej zawierzyć, nie wiedząc nawet, dokąd nas prowadzi?

- Mniej więcej. Cóż, to jeden z tych przypadków, gdy chcąc czy nie chcąc, człowiek musi się pogodzić z losem.

Rasa zdziwiła się, jak spokojnym wzrokiem ją mierzył. Zrozumiała, że upominał ją, iż cokolwiek by teraz Naddusza robiła wbrew jej woli, i tak nie krzywdzi jej tak bardzo jak ślepy los, który obdarzył go ułomnym ciałem.

Przecież wiem, niemądry chłopcze, pomyślała. Rozumiem doskonale, że twoje życie jest okropne, i chwali ci się, że tak rzadko na nie narzekasz. Ale twojemu położeniu nie dało się zapobiec i wciąż nie można mu przeciwdziałać - pozostaje nieuleczalne. Być może temu, że Naddusza nie może nam zdradzić swoich planów, również nie da się zapobiec i przeciwdziałać, i wówczas postaram się znieść to co najmniej równie cierpliwie jak ty. Jeśli jednak mogę temu przeciwdziałać, to tak zrobię - i nie dam się zawstydzić na tyle, by bez słowa zgodzić się na coś, na co może wcale się zgadzać nie muszę.

- Issya, może to, czego Naddusza nie chce nam zdradzić tak od ręki, uda nam się ustalić okreśną drogą.

- A jak myślisz, nad czym pracujemy ze Zdorabem?

Aha! Więc nie tylko ona nie podchodziła do tego w sposób fatalistyczny. Wtem naszła ją pewna myśl.

- A ojcu wydaje się, że nad czym pracujecie?

Issib się zaśmiał.

- Nie nad tym, to pewne.

A jakże. Volemak za pewnością by nie pozwolił na wykorzystywanie Indeksu do ominięcia zakazów Nadduszy.

- Ach, zatem nie tylko Naddusza nie mówi reszcie o swoich zamiarach.

- A ty co powiesz, matko? - zapytał Issib.

Intrygujące pytanie. Czy mam powiedzieć Volemakowi, co Issib robi, i zaryzykować, że Volya zabroni synowi korzystać z Indeksu? A jednak nigdy nie miałam przed Volemakiem tajemnic.

Tym samym powróciła do podjętej wcześniej decyzji, by opowiedzieć mężowi, co zdarzyło się na pustyni - że Elemak skazał Nafaia na śmierć. To również mogłoby przynieść fatalne skutki. Czy miała prawo je wywołać? Ale zarazem czy miała prawo zataić przed Volemakiem tak ważną informację?

Issib nie czekał na odpowiedź.

- Bo widzisz - zaczął - Naddusza wie już przecież, co staramy się osiągnąć, a mimo to nie zrobił nic, by nas powstrzymać.

- Albo przeszkadza wam tak sprytnie, że nawet nie zauważyliście.

- Skoro Naddusza nie poinformował ojca, to czy naprawdę tak bardzo chcesz go wyręczyć?

Rasa przez chwilę biła się z myślami. Issib sądził, że pyta jedynie o własny sekret, ale ona rozważała obie decyzje. Mimo wszystko to była wyprawa Nadduszy, która przecież doskonale rozumiała ludzkie zachowanie. Ona wie, co zdarzyło się na pustyni, tak samo jak wie, do czego Issib i Zdorab wykorzystują Indeks. Dlaczego więc nie zostawić decyzji co do poinformowania Volemaka w gestii Nadduszy?

Na przykład dlatego, że dokładnie to starają się ominąć Zdorab i Issib - przywilej Nadduszy do decydowania o tym, co kto powinien wiedzieć. Nie chcę, żeby Naddusza decydowała o tym, o czym wiedzieć mogę, a czego wiedzieć mi nie wolno - a jednak oto rozważam, czy nie potraktować mego męża w taki sam sposób, w jaki Naddusza obchodzi się ze mną. A mimo to Naddusza naprawdę wie lepiej niż ja, czy Volemak powinien poznać te informacje.

- Wprost nie znoszę takich dylematów - westchnęła Rasa.

- A zatem?

- A zatem decyzję odkładam na później.

- To również pewna decyzja.

- Wiem, mój ty bystry pierworodny. Ale to jeszcze nie oznacza, że jej nie zmienię.

- Nie dokończyłaś chleba - zauważył Issib.

- Nic dziwnego, skoro jest w nim wielbłądzi ser.

- Obrzydlistwo, bez dwóch zdań. A jakie ma po tym człowiek zaparcia, nawet trudno opisać słowami.

- Mmm, wprost umieram z ciekawości.

- Właśnie dlatego w ogóle go nie jemy.

Rasa spiorunowała Issiba wzrokiem.

- To dlaczego tyle sera trzymamy w chłodniach?

- Dla pawianów. One uważają to za przysmak.

Rasa spojrzała na niedojedzoną kanapkę.

- Jadłam więc pokarm dla pawianów. Mniam. - Potem się roześmiała. - Nic dziwnego, że Yobar pojawił się w namiocie kuchennym! Myślałam, że przygotowałam poczęstunek dla

niego!

- Poczekał, aż dasz mu kawałek sera i będzie próbował kopulować z twoją nogą.
- Na samą myśl dostaję gęsiej skórki.
- Rzecz jasna, widziałem tylko, jak robił to z ojcem i Zdorabem. Może więc jest zhopem i cię zignoruje.

Rasa zaśmiała się, ale niewyszukany żarcik Issiba sugerujący, że ten pawian „kocha inaczej”, dał jej do myślenia. A jeśli za sprawą Nadduszy w ich grupie znalazł się mężczyzna, który nie będzie w stanie wypełnić swych samczych obowiązków? Zaraz potem naszła ją kolejna refleksja, czy Naddusza podsunęła mi tę myśl? Czy to ostrzeżenie?

Zadrżała i położyła dłonie na Indeksie. Powiedz mi teraz, wyszeptwała. Czy któryś z uczestników nie będzie mógł przyczynić się do rozplodu? Czy jedna z żon się zawiedzie?

Lecz Indeks uparcie milczał.

*

Zbliżał się zmierzch, a tylko Nafaiowi udało się dzisiaj coś upolować. Mebbekew prawie wychodził z siebie. Może i Nafai lepiej sobie radził z cichym wspinaniem się na skały - co z tego? Może i Nafai potrafił celować z pulsatora, jakby się z nim urodził - to jedynie dowodziło, że Elemak powinien nacisnąć spust, gdy miał po temu okazję na pustyni.

Na pustyni?! Przecież wciąż byli na pustyni. Chociaż tak po prawdzie, ta dolina jest porośnięta bujniejszą roślinnością niż pustkowia, które przemierzali. Przed kilkoma minutami, gdy stał na cyplu, odległe drzewa zamajaczyły mu przed oczami i był to rozkoszny widok. Niezmierna ulga po ponurej, bladej szarości skał i wyblakłej żółci piasku, szarawa zieleń suchorośli, którym Elemak z uporem godnym lepszej sprawy nadawał nazwy, zupełnie jakby komukolwiek zależało na tym, by znać pełną nazwę każdej występującej tu rośliny. Może Elemak rzeczywiście miał krewnych wśród pustynnych roślin. Meb w ogóle by się nie zdziwił, gdyby się okazało, że jeden z odległych przodków Elemaka parzył się z jakimś szarym ciernistym krzewem gdzieś w tych okolicach.

Kto wie, może nawet nasikałem dziś na jakiegoś krewnego Elyi. To byłaby ciekawa manifestacja mojej opinii o ludziach, którzy uwielbiają pustynię... Nawet nie widziałem tego zająca, więc jakim cudem mogłem w niego wycelować? Nafai oczywiście zastrzelił zwierza, bo go widział.

Rzecz jasna, Meb wziął przykład z reszty i wypalił z pulsatora. Tyle że nie wszyscy oddali strzał. Jedynie Vas, który wymierzył zbyt wysoko i osmalił trochę kamieni, oraz Nafai, który wypalił dymiącą dziurkę na głowie zwierza. No i Mebbekew, oczywiście, choć nie mierzył w nic konkretnego, więc Elemak nie mógł powstrzymać się od komentarza.

- Niezły strzał, Nafaiu. Mierzysz za nisko i nierówno, Vas, skondensuj wiązkę. A co do ciebie, Mebbekew, to próbowałeś pulsatorem wypalić zająca na tej skale czy jak? To nie zajęcia z kwasorytnictwa. Postaraj się chociaż mierzyć w tę samą planetę, na której znajduje się zwierzyna, dobrze?

Potem Elemak i Nafai zaczęli schodzić po zdobycz.

- Późno się robi - marudził Mebbekew. - Czy reszta nie mogłaby wrócić do obozu, nie czekając, aż znajdziecie zajęcze truchło?

Elemak zmroził go wzrokiem.

- Myślałem, że będziesz chciał się nauczyć, jak wypatroszyć i oskórować zająca. Ale pewnie nigdy ci się ta wiedza nie przyda.

Och, bardzo rozsądnie, Elemaku. Właśnie tak podbudujesz pewność siebie w swych biednych uczniach borykających się z trudną materią. Ja przynajmniej strzeliłem, nie to co Obring, który obchodzi się ze swoim pulsatorem, jakby to była kuśka innego faceta.

- To mogę iść?

- A znajdziesz drogę? - zadrwił Elemak.

- Się wie - oparł Mebbekew.

- Och, tego jestem pewien. Idź więc i zabierz ze sobą tych, którzy chcą wracać.

Nikt jednak nie chciał mu towarzyszyć. Elemak nastraszył resztę, że Mebbekew zgubi drogę. I co? Nie zabłądził. Poszedł we właściwą stronę, bez większego trudu wrócił po ich wcześniejszych śladach, a gdy wdrapał się na grzbiet wzgórza, by się upewnić, ujrzał dolinę, dokładnie tak jak się spodziewał.

Nie jestem tak całkiem nieudolny, mój przemądrzały starszy braciszku. Może i nie przemierzyłem w pocie czoła kilkadziesiąt razy pustyni jak ty, taszcząc na wielbłądach z jednego miasta do drugiego jakieś cudackie rośliny. Co nie znaczy, że nie mam orientacji w terenie.

Gdyby tylko potrafił przypomnieć sobie, gdzie i kiedy podarł tunikę i rozerwał krocze w bryczesach... Z całego serca nienawidził, gdy stan ubrania pozostawiał wiele do życzenia, a to, które miał teraz na sobie, było przepocone i pokryte ziemistym kurzem. Już nigdy go nie włoży.

Podszedł do skraju urwiska i spojrzał w dół, spodziewając się, że ujrzy namioty. Ale w zasięgu wzroku nie było żadnego.

Na chwilę ogarnęła go panika. Wyruszyli beze mnie, pomyślał. Wyminęli mnie i pospieszyli do obozu, zwinęli manatki i zostawili mnie, wszystko przez to, że nie dostrzegłem tego głupiego zająca.

Szybko jednak się domyślił, że znalazł się w dół strumienia od obozu. Namioty stały o tam, na lewo. A on był oczywiście o wiele bliżej morza. Gdyby fale Morza Abrazyjnego biły o brzeg jak grzywacze na wybrzeżach Morza Przyziemnego, usłyszaliby ich szum. O, a tam, w dali, siedzą pawiany, spożywają lichą kolacyjkę z korzonków, jagód, roślin, owadów i nabrzeżnych żyłtek.

Jak ja się tu znalazłem? Dupa, a nie orientacja w terenie.

Ach, no tak. Rzeczywiście rano szliśmy tą drogą, zostawiając za sobą wylegającą się w ciepłym łóżku gnuśną żonę tatka i wszystkie rozlazłe kobity, w szczególności moją beznadziejną, głupią, leniwą żonę, beczynn timer snującą się między namiotami lub po ogrodzie. To jedyny odcinek drogi, który zmyliłem, za ledwie jeden zakręt, więc wielkie mi rzeczy! Z moją orientacją w terenie wszystko w porządku.

W ustach czuł nieprzyjemny posmak i miał ochotę coś kopnąć, coś roztrzaskać, kogoś skrzywdzić.

A akurat tam były pawiany, w dole, rzut kamieniem, głupie psiogłowce, którym wydawało się, że są ludźmi. Jedna z samic wypięła właśnie czerwony zad, więc samce okładały się dłońmi jak dzieci, walcząc, by czym prędzej jej wsadzić. Biedne, głupie samce. Małpujecie po nas.

Równie dobrze mogę zejść tu po ścianie kanionu i pójść doliną do obozu. A po drodze może uda mi się ustrzelić tego czy innego pawiana zatykającego samicy szparkę. Zdechnie jako szczęśliwy czło... pawian, nie? A Nafai nie będzie jedyny, który wróci do domu, mając na sumieniu martwego zwierzaka.

Gdzieś w połowie zejścia po nierównym zbocz, gdy zdążył już obetrzeć sobie kolano i kilkakrotnie się poślizgnąć, Meb uświadomił sobie, że z każdym krokiem w dół coraz bardziej traci pawiany z oczu. Już teraz krzewy i skały przesłaniały mu niektóre z nich, włącznie z tymi pochłoniętymi walką o samicę. Jeden mniejszy znajdował się jednak zdecydowanie bliżej niż reszta. Tego łatwo będzie ustrzelić.

Meb przypomniał sobie to, czego kilka godzin wcześniej nauczył ich Elemak, oparł łokieć o głaz i wycelował. Mimo to trzęsły mu się ręce, a im bardziej starał się trzymać je nieruchomo, tym bardziej celownik się chwiał. Gdy wcisnął spust, powodowany odrzutem pulsator odbił się w bok, a smużka dymu uniosła się z krzaka ponad sześć metrów od pawiana. Małpa najwyraźniej coś usłyszała, gdyż odwróciła się gwałtownie, by spojrzeć na dymiący krzew, i przestraszona się cofnęła.

Ale wkrótce znów podeszła i wpatrzyła się w płomień, jakby mogła się z niego nauczyć czegoś tajemnego. Krzak był suchy, ale nie martwy, więc płonął powoli, wydzielając

kłęby dymu. Meb wycelował ponownie, tym razem nieco w prawo, biorąc poprawkę na odrzut. Ręce nie drżały mu już tak bardzo. Elemak upominał, iż przed strzałem powinni się uspokoić. Tym razem Mebbekew dokładnie trzymał się jego pouczeń, a małpa niedługo przejdzie do historii.

Już miał pociągnąć spust, gdy zaledwie metr od głowy usłyszał głośny trzask. Zaskoczony chybił. Z niskiej rośliny, wyrastającej ze skały kilka metrów opodał, zostały dymiące szczątki. Mebbekew zrozumiał - ktoś strzelał do niego z pulsatora. Bandyci! Obóz znalazł się w niebezpieczeństwie, a on za chwilę zginie, samotny jak palec, ponieważ bandyci będą musieli go zabić, by nie podniósł alarmu. Nikogo nie ostrzeżę, pomyślał. Tylko pozwólcie mi żyć, a zaszyję się tu i będę siedział cicho, dopóki nie skończycie, tylko mnie nie zabijajcie...

- Dlaczego strzelałeś do pawianów?!

Ze stukotem kamyków Nafai zjechał ze zbocza. Meb stwierdził z niemałą satysfakcją, że smarkacz również się ześlizgnął, ale zaraz zrozumiał, że Nafaiowi jakoś udało się to zrobić bez utraty równowagi i wylądować na nogach, a nie na tyłku.

Dopiero wtedy Meb domyślił się, że to Nafai strzelił do niego, chybiając jedynie o kilka metrów.

- A ty co próbowałeś zrobić, zabić mnie?! - uniósł się Meb. - Nie strzelasz aż tak dobrze, by wygarniać z pulsatora tak blisko ludzi!

- Nie zabijamy pawianów. Są jak ludzie! Co cię napadło?!

- Och, a od kiedyż to ludzie siedzą na zadkach, skubiąc żarcie, szukając okazji, by pokryć każdą samicę z czerwonym tyłkiem?

- To właściwie dobrze oddaje twoje życie, Meb - odciął się Nafai. - Naprawdę myślałeś, że będziemy jeść pawianie mięso?

- Nie bardzo mnie to obchodziło. Nie strzelałem dla mięsa, tylko dla samego zabijania. Bo wiesz, nie tylko ty potrafisz coś ustrzelić.

Wypowiadając te słowa, Mebowi przyszło do głowy, że jest teraz z Nafaiem sam na sam, a ma pulsator. To mógł być wypadek. Strzelałem do celu, a ni stąd, ni zowąd Nafai wszedł mi pod lufę. Nie słyszałem go, skupiłem się na zwierzynie. Proszę, błagam, daruj mi ojczy, tak okropnie się czuję, mój własny brat, zasługuje na śmierć. Och, przebaczam ci, mój synu. Daj mi w spokoju opłakiwać mego najmłodszego, któremu właśnie odstrzelono jajca w strasznym wypadku podczas polowania, przez co wykrwawił się na śmierć. Może lepiej idź kogoś wychędoż, a ja sobie popłaczę.

To by dopiero było słyszeć z ust ojca własne życzenia!

- Nie strzelamy na próżno - upomniął Meba Nafai. - Pulsatory w końcu się wyczerpią. Tak powiedział Elemak. I nie jemy pawianiego mięsa. To również słowa Elemaka.

- Elemak może napierdzieć do fletu i zagrać w ten sposób melodię, co nie znaczy, że ja muszę pójść za jego przykładem.

Mam pulsator w ręku. Niemal już wycelowany w Nafaia. Będę mógł pokazać wszystkim, jak się odwróciłem, zaskoczony, a broń tak jakby sama wystrzeliła i wypaliła dziurę w piersi Nafaia. Z tej odległości może całkowicie go rozerwie, rozbryzgując wokół ochłapy. Tak czy owak, wrócę do domu w ubraniach zboczonych krwią.

Nagle poczuł przystawioną do głowy lufę.

- Oddaj mi pulsator - rozkazał Elemak.

- Dlaczego?! Nie zamierzałem tego zrobić!

- Już raz wypaliłeś do pawiana - wtrącił się Nafai. - Gdybyś celniej strzelał, to już byś zrobił swoje.

Nafai - jak zwykle - kompletnie nie zrozumiał, o czym Meb mówił. Ale Elemak wiedział aż za dobrze.

- Powtarzam: oddaj mi pulsator, uchwytem do przodu.

Meb westchnął teatralnie i podsunął broń Elemakowi.

- O tak, zróbmy z tego wielkie halo. Mnie zabraniać strzelać do pawianów, ale ty możesz przystawić pulsator do głowy tego czy innego brata według własnego widzimisię i wszystko jest w najlepszym porządku.

Elemakowi wyraźnie nie przypadła do gustu aluzja o niedoszłej egzekucji Nafaia za bunt na pustyni. Nadal trzymał pulsator przy skroni Meba.

- Nigdy więcej nie chcę widzieć, jak celujesz z pulsatora w innego człowieka - upomniął Nafaia.

- Nie celowałem w niego, tylko w roślinę ponad jego głowę. I trafiłem - bronił się Nafai.

- Tak, tak, wspaniały z ciebie strzelec. A jeśli kichniesz? Albo się potkniesz? Taki drobiazg i odstrzeliłbyś bratu głowę. Zatem nigdy nie celuj w innego człowieka ani blisko niego, jasne?

- Tak.

Och, tak, tak, wielki bracie Elemaku, smarkacz będzie ci się podlizywał jak tatce. Mebowi zbierało się na wymioty.

- Ale i tak to był dobry strzał - pochwalił Elemak.

- Dzięki - burknął Nafai.

- Meb powinien się cieszyć, że ty go przyuważyłeś, a nie ja, bo mógłbym odstrzelić mu stopę, by zapamiętał na zawsze, że nie zabijamy pawianów.

To się nie godzi, żeby Elemak atakował go w ten sposób, zwłaszcza w obecności Nafaia! Och, i oczywiście, na dokładkę pojawili się Vas z Obringiem i zobaczyli, jak Elemak go ruga przy smarkaczu.

- Nagle pawiany stały się nietykalne, czy jak? - zadrwił Meb.

- Nie zabijasz ich i nie jesz - uciął Elemak.

- Dlaczego nie?

- Ponieważ są nieszkodliwe, a jedzenie ich byłoby jak kanibalizm.

- Ach, już rozumiem. Jesteś jednym z tych, którzy wierzą, że pawiany to istoty magiczne. Że każde ich plemię ma gdzieś schowany garnuszek złota i jeśli będziesz naprawdę miły i będziesz je dokarmiał, to gdy już ograbią twoją ziemię z wszystkich jadalnych rzeczy i przetrząsną twój dom w poszukiwaniu żarcia, pospieszą do swej kryjówki i przyniosą ci złoto w garnuszku.

- Pawiany niejednego pustynnego wędrowca wywabiły z opresji.

- Taaa. I to niby oznacza, że mamy im wszystkim pozwolić żyć wiecznie? Zdradzę ci sekret, Elya. Prędzej czy później wszystkie zdechną, więc dlaczego nie teraz? Można by na nich poćwiczyć strzelanie. Wcale nie twierdzą, że powinniśmy je jeść.

- A ja twierdzą, że o polowaniu możesz zapomnieć. Oddaj mi swój pulsator.

- Super, po prostu super. I co, mam być jedynym bez pulsatora?

- Pulsatory służą do polowania. Z Nafaia będzie dobry łowca, z ciebie nie.

- Skąd wiesz? Przecież dopiero dziś zaczęliśmy się tego uczyć.

- Nie będziesz, bo póki żyję, nie dostaniesz broni do ręki.

To głęboko ubodło Mebbekewa. Elemak go upokarzał - i za co?! Przez głupiego pawiana! Jak Elya mógł mu to zrobić?!

I akurat w obecności Nafaia.

- Och, teraz kapuję. W ten sposób ukazujesz swoje nabożne uwielbienie dla Jego Królewskiej Mości Nafaia.

Na chwilę zapadła dojmująca cisza, a Meb zastanawiał się, czy nie przesadził z naigrawaniem się z Elemaka. Może teraz się doigra - Elemak go zabije albo spierze tak, że rodzona matka nie pozna.

Elemak pierwszy przerwał milczenie:

- Bierz zająca i wracaj do obozu, Nafaiu. Zdorab będzie go chciał jak najprędzej wsadzić do chłodziarki, by z rana przyrządzić potrawkę.

Nafai bezzwłocznie pomknął w dół zbocza.

- Wy też idźcie za nim - polecił Elemak Vasowi i Obringowi.

Obaj ześlizgnęli się ze skarpy w chmurze kamieni, lądując na tyłkach. Vas wstał i otrzepał się z kurzu.

- Tylko nie rób nic głupiego, Elya - napomniał i ruszył za Nafaiem.

Ponieważ Meb się domyślił, że słowa Vasa będą musiały mu wystarczyć za całe wsparcie, zdecydował się maksymalnie wykorzystać swoją szansę.

- Jak już dotrzesz do obozu, powiedz ojcu, że zginąłem niby to w wyniku nieszczęśliwego wypadku, który wcale nie był wypadkiem.

- Tak, przekaż ojcu jego słowa - rzekł Elemak. - W końcu zyska potwierdzenie tego, co już od dawna przypuszczał, że Meb zupełnie stracił resztki rozumu.

- Nic mu nie powiem, przynajmniej na razie, chyba że wy dwaj nie wróćcie szybko do obozu - odparł Vas. - Idziemy, Obringu.

- Nie jestem twoim pieskiem - odburknął Obring.

- Jak chcesz, to zostań.

- I co niby miałbym wtedy zrobić?

- Skoro musisz pytać, to lepiej chodź ze mną. Nie mieszajmy się do rodzinnej waśni.

Meb nie chciał, by odchodzili. Chciał mieć świadków na to, co zamierzał mu zrobić Elya.

- Elemak jest przesądny i tyle! - zawołał za nimi. - Wierzy w stare zabobony, że gdy zabijesz pawiana, całe jego stado przyjdzie porwać ci dzieci! Eiadh pewnie jest w ciąży, stąd cała kabała! Wracajcie, razem pójdziemy do obozu!

Ale nie wrócili.

- Słuchaj, przepraszam - zwrócił się do Elyi. - Nie musisz robić z tego takiej afery. W końcu nie zabiłem tego pawiana.

Elemak nachylił się ku niemu.

- Nigdy już nie weźmiesz pulsatora do ręki.

- To Nafai strzelał do mnie. Odbierasz mi broń za strzelanie do pawiana, a tymczasem Nafai o mało mnie nie zabił i pozwalasz mu ją zatrzymać?

- Nie zabijasz zwierząt, których nie masz zamiaru zjeść. Tak mówi prawo pustyni. Ale i bez tego wiesz dobrze, dlaczego odbieram ci pulsator, i wcale nie przez tego pawiana.

- Dlaczego więc?

- Świerzbiły cię ręce, by zabić Nafaia.

- A od kiedy to czytasz mi w myślach, hm?

- Potrafię odczytać twój język ciała, a Nafai też nie jest głupi i wie, co zamierzałeś. Zdajesz sobie sprawę, że gdybyś choć trochę poruszył pulsatorem, on by cię zastrzelił?

- W życiu nie zebrałby się na odwagę.

- Może i nie - wycedził Elemak. - Może ty też nie. Ale nie będziesz miał już ku temu okazji.

To była największa bzdura, jaką Meb kiedykolwiek słyszał.

- I kto to mówi? Zaledwie kilka dni temu sam próbowałeś go związanego zostawić na pożarcie dzikim zwierzętom!

- Wówczas wydawało mi się, że mogę nas poprowadzić z powrotem ku cywilizacji. Ale teraz to już mrzonka. Utknęliśmy tutaj, i to wspólnie. A jeśli Eiadh nie jest już w ciąży, to niedługo będzie.

- Pod warunkiem że w końcu połapiesz się, jak ją rozdziewiczyć.

Przesadził, jak rychło się okazało. Elemak go uderzył.

- Aaaa! Aaaauc! - Mebbekew złapał się za nos i - jakżeby inaczej - odjął od twarzy zakrwawione dłonie. - Ty kutasie chędożony!

- Gadaj zdrow - rzucił Elemak. - Dobrze słyszeć, że w bólu stajesz się istic złotousty.

- Przez ciebie zakrwawiłem sobie całe ubranie!

- Dzięki temu przynajmniej przestaniesz żyć złudzeniem, żeś męski - zadrwił Elemak.

- A teraz słuchaj, i to uważnie, bo nie żartuję. Następnym razem złamię ci nos i jeśli zauważę, że knujesz coś przeciwko komukolwiek, każdego dnia będę się upewniał, że równo puchnie. Raz już spróbowałem uwolnić się z tej wkurzającej sytuacji, ale się nie udało i dobrze wiesz dlaczego.

- Taaa, Naddusza pociąga za sznurki nawet lepiej niż ja.

- Tak więc mamy związane ręce, a nasze żony rodzić będą dzieci i ta grupa, nas szesnaścioro, to będzie cały świat, w którym będą dorastali. A nie pozwolę, żeby po tym świecie kręciły się takie bezmyślne barany jak ty, zabijając ludzi za to, że nie pozwolili im strzelać do pawianów. Rozumiemy się?

- Pewnie. To będzie świat, w którym wielkie, silne byki jak ty czerpać będą radochę z okładania ludzi po pyskach.

- Jeśli będziesz grzeczny, to nie masz się czego bać. Nie będzie żadnego zabijania. Koniec. Kropka. I choć może ci się wydawać, żeś bystry, mnie nie przechytrzysz, więc jak coś uknujesz, ubiegnę cię i będę czekał na twój ruch, a potem rozerwę cię na strzępy. Rozumiemy się, mój ty aktorzyño?

- Rozumiem tyle, że nadskakujesz Nafaiowi ile wlezie - odciął się Mebbekew.

Poniekąd spodziewał się, że Elemak znów go uderzy. Lecz Elya tylko zachichotał.

- Możliwe - rzekł. - Może i tak to wygląda. Ale zauważ, że Nafai również mi nadskakuje. Kto wie, może nawet się pogodzimy. I co ty na to?

A ja na to, że chyba zamieniłeś mózg na wielbłądzie nerki, przez co każde twoje słowo jest warte tyle co ciepłe siki na piasku.

- Och, życzę ci tego z całego serca, mój ty drogi, miły, łagodny starszy bracie - odparł Meb.

- Do serca sobie weź to, co ci mówiłem, a postaram się, by twemu pięknemu życzeniu stało się zadość.

*

Rasa obserwowała powrót zmęczonych łowców. Pierwszy przyszedł Nafai z zającem w sakwie, przepełniony dumą, choć oczywiście nie byłby sobą, gdyby udało mu się ją skutecznie zamaskować. Potem Obring i Vas, wyraźnie znużeni, spoceni, zniechęceni. I w końcu Elemak i Mebbekew, zadowoleni z siebie i weseli, jakby gdyby to oni upolowali zającą, jak gdyby byli współpiskowcami w dziele podboju wszechświata. Nigdy ich nie zrozumieć, pomyślała Rasa. Nie sposób znaleźć dwóch bardziej odmiennych od siebie ludzi. Elemak silny, kompetentny, ambitny i brutalny; Mebbekew słaby, nieudolny, niewyżyty i przebiegły. A jednak zawsze zdają się śmiać z tych samych dowcipów, drwić z innych ludzi z arogancką wyniosłością, bo tylko oni wiedzą, z czego właściwie się naśmiewają. Nafai irytuje innych przez to, że nie potrafi ukryć dumy z własnych wyczynów, ale przynajmniej nie sprawia, że ludzie czują się przy nim zbrukani i poniżeni, jak w obecności Mebbekewa i Elemaka.

Nie, jestem niesprawiedliwa, upomniała się Rasa. Wciąż rozpamiętuję ten świt na pustyni. Wciąż wracam pamięcią do pulsatora wycelowanego w głowę Nafaia. Tego Elemakowi nigdy nie zapomnę. Będę musiała obserwować go każdego dnia podróży, by się upewnić, że nic nie grozi memu najmłodszemu synowi. Mebbekew jest podszyty tchórzem, więc akurat z jego strony nie muszę się niczego obawiać.

- Wiem, żeście głodni - zaczął Volemak - ale za wcześnie jeszcze na kolację, a zaręczam, że umilę wam oczekiwanie. Pozwólcie, że opowiem wam sen, który naszedł mnie zeszłej nocy.

Oczywiście już wszyscy się zebrali, a teraz spoczywali na płaskich kamieniach, przytасzczonych tu przed wieloma dniami przez Zdoraba i Volę w tym właśnie celu, by nie musieli siedzieć na ziemi w czasie posiłków i zgromadzeń.

- Nie wiem, co oznacza - ciągnął Volemak - i nie wiem, jak nam się może przysłużyć,

wiem jednak, że ma niebagatelne znaczenie.

- Skoro tak - wtrącił się Obring - to dlaczego Naddusza po prostu nie zdradził ci jego znaczenia? Wszystko byłoby jasne.

- Ponieważ, zięciu mej żony - tłumaczył Volemak - ten sen nie pochodził od Nadduszy, więc dziwi go tak samo jak nas.

Rasa odnotowała z zainteresowaniem, że Volya wciąż mówi o Nadduszy z czcią, a nie niczym Issib i Nafai jak o zwykłym komputerze, nawet takim z fraktalną pamięcią, mieszczącą żywot każdego człowieka, który kiedykolwiek istniał na tej planecie, a mimo to wciąż mającą niemało wolnej przestrzeni.

- Opowiem sen od początku do końca - ciągnął Volemak. - I od razu was przestrzegam: właśnie dlatego, że sen nie pochodzi od Nadduszy, daje mi więcej powodów do radości - przynajmniej w odniesieniu do Nafaia i Issiba - lecz również więcej powodów do obawy o mych starszych synów, Elemaka i Mebbekewa. Wiedziecie bowiem, że ujrzałem we śnie ciemne i pępne pustkowia.

- To akurat zobaczyć można nawet teraz, na jawie - warknął Mebbekew.

Rasa zrozumiała, że kpina Meb chce maskować złość - nie spodobało mu się to, że ojciec tak go „wyróżnił” przed przystąpieniem do właściwej relacji. Elemak oczywiście myślał to samo, ale on wiedział, kiedy powściągnąć język.

Przez chwilę Volemak wbijał w Mebbekewa spokojne spojrzenie, by go uciszyć i dać znać, że nie będzie tolerował kolejnych wtrętów. Potem podjął opowieść.

Drzewo życia

- Ujrzałem we śnie ciemne i posępne pustkowia - powtórzył Volemak, wiedząc, że słuchacze nie rozumieją, co dla niego znaczą te słowa.

Nie miał na myśli rozgrzanej pustyni, którą zdążyli już tak dobrze poznać. Miejsce ze snu było nieprzyjemnie wilgotne, chłodne i brudne, słabo oświetlone, przeto ledwo dostrzegał, gdzie niosły go stopy. Gdzie był, nie wiedział - niedaleko mogły rosnąć jakieś drzewa, choć równie dobrze mógł znajdować się pod ziemią. Szedł przed siebie, bez nadziei, a mimo to nie mogąc wyzbyć się wiary w to, że idąc, w końcu opuści to posępne pustkowia.

- Wtem zobaczyłem postać w białej todze.

Podobną do kapłana plemienia Seggidugu, pomyślał. Tyle że ci kapłani to zwykli śmiertelnicy, którzy poca się przy odprawianiu rytuałów. A ta postać wydawała się tak wewnętrznie spokojna, że zrazu wziąłem ją za martwą. Byłem tam, gdzie czekają umarli, i myślałem, że ja także już nie żyję.

- Ten ktoś podszedł i stanął przede mną, a potem przemówił. Kazał mi pójść za sobą.

Widać było, że słuchacze zaczynają się nudzić - a przynajmniej ci co bardziej infantylni. Możliwość posłużenia się jedynie słowami, by opisać im ten sen, była wielce frustrująca. Gdyby mogli usłyszeć głos tej postaci, bijącą z niego życzliwość, jak gdyby samo brzmienie głosu rozświetliło to mroczne miejsce, wówczas by zrozumieli, dlaczego za nim poszedłem, i dlaczego ważne było, że go usłuchałem. A tak, dla nich jest to tylko zwykły sen, jak na razie nieciekawym. Lecz dla mnie nudny bynajmniej nie był.

- Przez wiele godzin podążałem za nim w kompletnych ciemnościach - ciągnął Volemak. - Mówiłem do niego, ale nie odpowiadał. Zatem, będąc już przekonany, że tę postać przysłał Naddusza, zacząłem przemawiać do Nadduszy w myślach. Zapytałem, jak długo to potrwa, gdzie zmierzamy i o co w tym wszystkim chodzi. Nie dostałem żadnej odpowiedzi. Zniecierpliwiłem się przeto i powiedziałem mu, że jeśli to jest sen, najwyższy czas, bym się z niego przebudził, a jeśli ta wędrówka ma służyć jakiemuś celowi, to może powinien do niego przejść, zanim wstanie słońce. I ponownie żadnej odpowiedzi. Zacząłem więc myśleć, że może to jest jawa, nie sen, że tak będzie już zawsze, że właśnie to nas spotyka po śmierci, że trafiamy na ponure pustkowia i bez ustanku chodzimy za jakąś

postacią, która nie powie nam, co właściwie się dzieje.

- Brzmi znajomo, tak teraz żyjemy - półgębkiem skomentował Mebbekew.

Volemak zamilkł, nie spojrział jednak na Meba, czekając, aż inni uciszą go wzrokiem.

- Myśląc, że to jawa - kontynuował po chwili - począłem wzywać Nadduszę albo inną istotę, która włada tym miejscem, by okazała choć trochę łaskawości i odpowiedziała lub coś mi pokazała, pozwoliła zrozumieć, co się dzieje. Dopiero wówczas, gdy począłem wzywać pomocy, miejsce to pojaśniało. Ale nie tak jak o wschodzie słońca czy przy obozowym ognisku, nie było żadnego źródła światła, po prostu mogłem widzieć, niczym w bardzo jasny dzień, i zaraz wynurzyłem się spośród skał na rozległe pole wysokiej trawy i kwiatów, lekko smagane delikatnym podmuchem wiatru. To była wielka ulga, wprost nie do opisanie. A nieopodal - może jakieś trzysta metrów - stało drzewo. Nawet z tej odległości dojrzałem, że przez zieleń liści przebijały tu i ówdzie plamki bieli... owoce. Raptem czułem ich zapach i już wiedziałem, że smakują wyśmienicie, że to najidealniejsze pożywienie wszech czasów i gdybym tylko mógł ich skosztować, już nigdy nie zaznałbym głodu.

Czekał na zgryźliwą uwagę Meba o tym, jak wszyscy zgłodnieli, słuchając tej onirycznej opowieści. Lecz Meba najwyraźniej wzięto w karby, bo nie odezwał się nawet słowem.

- Podeszedłem, nie - podbiegłem do drzewa, a owoc okazał się mały i słodki. Owszem, skosztowałem go i zapewniam was, że żadne pożywienie w całym moim życiu nie smakowało tak dobrze.

- Niczym seks we śnie - wtrącił się Obring, który najwyraźniej sądził, że godnie zastąpi Meba.

Volemak pochylił głowę. Usłyszał ruch - o tak, to Elemak się podniósł na nogi. Volemak znał tę scenę aż za dobrze, bo syn nauczył się tej metody od niego. Elemak stał, bez słowa piorunując winowajcę wzrokiem, aż zbił go z tropu. I jakżeby inaczej, Obring wydukał przeprosiny.

Teraz Volemak mógł kontynuować, oby tylko bez kolejnych wtrętów.

Ale przez to zapomniał, co chciał powiedzieć. Wcześniej zdawało mu się, że ma na końcu języka najwłaściwsze słowa opisujące smak tego owocu w ustach i to, jak dzięki niemu poczuł, że żyje.

- Ten owoc to było prawdziwe życie - zaczął, lecz jego słowa brzmiały pusto, jakby nie miały większego znaczenia. Chwila klarowności przeminęła, oni już nigdy nie pojmą tego, co chciał im przekazać. - Radość, którą poczułem po skosztowaniu... była tak niezmierna... że pragnąłem, by i moja rodzina jej zaznała. Nie potrafiłem znieść myśli, że

mam ten idealny owoc, że w ustach czuję smak życia, a moi najbliżsi o tym nie wiedzą, nie mogą dzielić ze mną tej chwili. Odwróciłem się więc, by was poszukać. Tam, skąd ja przyszedłem, was nie było, ale ujrzałem rzekę opodal drzewa, a gdy spojrzałem w górę jej nurtu, spostrzegłem Rasę i dwóch naszych synów, Issiba i Nafaia. Rozglądali się wokół, jak gdyby nie wiedzieli dokąd iść. Zawołałem więc do nich i podeszli, wtedy dałem im owoc, zjedli go i poczuli to co ja, tak jakby odżyli. Rzecz jasna, od początku byli żywi, ale teraz zrozumieli, dlaczego tak było, cieszyli się z życia.

Łzy mimowolnie pociekły mu po policzkach. Pamiętał sen tak wyraźnie, że opowiadając, jednocześnie przeżywał go ponownie i nie mógł powstrzymać odczuwanej wtedy radości nawet teraz, po dniu ciężkiej pracy w ogrodzie. Nadal czuł smak owocu w ustach, nadal widział wyraz twarzy swych najbliższych. Nadal odczuwał tamto tęskne pragnienie, by starsi synowie również skosztowali daru życia.

- Wtedy począłem szukać wzrokiem Elemaka i Mebbekewa, chcąc, by też przyszli i skosztowali owocu. I oto się pojawili, w pobliżu źródła rzeki, tam gdzie wcześniej ujrzałem Rasę, Issiba i Nafaia. Zakrzyknąłem i wezwałem ich gestem, ale nie chcieli przyjść. Próbowałem powiedzieć o owocach, krzyczałem, ale zachowywali się tak, jakby nie mogli dosłyszeć, choć wtenczas wydawało mi się, że po prostu nie chcą. Koniec końców odwrócili się ode mnie i nawet nie udawali, że słuchają. Stałem z tym idealnym owocem w dłoni, tym smakiem w ustach, tym zapachem w nozdrzach, wiedząc, że podobnie jak mnie przepełniłaby ich radość, gdyby tylko skosztowali owocu, a mimo to nie byłem w stanie ich przywołać.

Wcześniej płakał łzami szczęścia; teraz rozpaczał nad Elemakiem i Mebbekewem, a łzy smakowały gorzko. Ale powiedział już wszystko o ich odmowie, więc przeszedł do ciągu dalszego.

- Dopiero gdy moi synowie sprzeciwili się podejściu do drzewa, zmiarkowałem, że nie jesteśmy jedynymi ludźmi na tym rozległym terenie. Wiecie, jak to bywa w snach - najpierw nie ma nikogo, a potem nagle pojawiają się całe tysiące. W rzeczywistości byli to nie tylko ludzie, ale też inne istoty - niektóre latały, inne mknęły po ziemi - ale wiedziałem, że to też ludzie, choć nie potrafię wyjaśnić, skąd to przekonanie. Myślałem, że usłyszeli, jak krzyczałem do Elyi i Meba o tym, jaki jest ten owoc, jak smakuje i tak dalej, a teraz chcą się dostać w pobliże drzewa. Tyle że wydawało się, że go nie widzą. Pomyślałem: jak odnajdą drogę, skoro go nie widzą?

Wtedy zauważyłem coś w rodzaju balustrady wzdłuż rzeki oraz wąską ścieżynkę biegnącą tuż nad brzegiem i zorientowałem się, że to jedyna droga prowadząca do drzewa. Ludzie szukający drzewa chwycili się tej poręczy i podążali ścieżką, kurczowo przywierając

do barierki tam, gdzie ziemia była śliska, by nie wpaść do wody. Parli naprzód, ale wtem skryła ich mgła, w gęstych tumanach unosząca się znad rzeki, a ci, którzy nie trzymali się barierki, zgubili się, niektórzy się ześlizgnęli i pochłonęła ich rzeka, inni zbłądzili na łące i nie znaleźli drzewa.

Tym jednak, którzy trzymali się balustrady, udało się odnaleźć drogę przez mgłę i w końcu wyłonili się z jej kłębow, dość blisko drzewa, by je zobaczyć. Potem spieszenie podeszli i zebrali się wokół nas, i wyciągnęli ręce po owoce, a dla tych, którzy nie mogli ich dosięgnąć, zrywaliśmy je i podawaliśmy w dół, a gdy w zasięgu ręki nie było już żadnego, Nafai i Issib wspięli się na drzewo...

- Wspiąłem się! - wyszeptał Issib. Wszyscy go słyszeli, ale nikt nic nie powiedział, wiedząc lub zgadując, o czym myślał. Oczami duszy widział siebie i Nafaia wspinających się po gałęziach.

- Wspięli się na drzewo i znieśli dużo owoców - ciągnął Volemak. - I dojrzałem na ich twarzach, że dzielali moje emocje. Wtenczas dopiero spostrzegłem, że po skosztowaniu owocu wielu ludzi jęło rozglądać się chyłkiem, jak gdyby byli zawstydzeni, bali się, że ktoś ich zoczy. W głowie mi się nie mieściło, że mogą tak się czuć, ale zaraz podążyłem za ich wzrokiem i tam, na drugim brzegu rzeki dojrzałem ogromny gmach, podobny do budynków basilikańskich, tylko większy, oszklony tysiącem okien, a w każdym z nich widoczni byli bogacze, wytworni i piękni, upojeni śmiechem, trunkami i muzyką, jak to bywało w Dolinie Lalek albo w Bohomazach. Śmiali się i swawolili do niepamięci. Lecz ja wiedziałem, iż to nie było prawdziwe, że im się wydaje, że dobrze się bawią - a raczej że oni naprawdę mieli uciechę, bo wino sprawiło, że uznali zabawę za najważniejszą na świecie, podczas gdy ja, po przeciwnej stronie rzeki, miałem owoce, które zapewniłyby im prawdziwą radość. To było bardzo smutne. Ale wtem zmiarkowałem, że ludzie, którzy stoją tu ze mną, ludzie, którzy naprawdę kosztowali tych owoców, patrzą na ludzi w tym ogromnym gmachu i im zazdroszczą. Chcieli pójść tam, zrezygnować z owoców tego drzewa i dołączyć do tych, którzy tak głośno się śmiali i tak radośnie przyśpiewywali.

Volemak przemilczał to, że przez chwilę sam czuł zazdrość, widząc bowiem śmiech i zabawę na drugim brzegu rzeki, poczuł się stary. Też pragnął pójść na bal. Ten widok przywołał wspomnienia z młodości, o przyjaciółach, którzy pospołu z nim zanosili się śmiechem; o ukochanych kobietach, których pocałunki były zabawą, których pieszcznienie przypominało swawole i tarzanie się w miękkiej trawie i chłodnym mchu, a w owym czasie on również się śmiał, wyśpiewywał z nimi piosenki i pił wino, i to było całkiem rzeczywiste. Rzeczywiste, ale równocześnie niedosiężne, ponieważ pierwszy raz był zawsze tym

najlepszym, a każdy kolejny - coraz gorszy, aż w końcu to wszystko wymykało mu się z rąk, stawało się jedynie bladym wspomnieniem, i zrozumiał, że się postarzał, bo rozkosze młodości nieodwracalnie przeminęły. Niektórzy jego przyjaciele nadal się starali szukać tych samych uciech, ale ci mężczyźni i te kobiety spłowiali, przeistoczyli się w wypacykowane manekiny, tandetne, sfatygowane marionetki, teatralną lożę szyderców.

A zatem Volemak zazdrościł ludziom w tym gmachu i przypominał sobie, że był niegdyś taki jak oni, a przynajmniej próbował - bo czy ktoś był w istocie członkiem tej efemerycznej społeczności libertynów, która to znikająca niczym kamfora, to znów odtwarzała się w jedną noc, a tysiące razy na tydzień? Tak naprawdę ta jego hedonistyczna rodzina nigdy nie istniała, jedynie wydawało się, że za chwilę zaistnieje, zawsze na krawędzi rzeczywistości, jednak niezmiennie ulotna.

Lecz tu, opodal drzewa, Volemak pojął: Tutaj jest prawdziwy świat. Tutaj, z posmakiem owoców w ustach, jesteśmy częścią czegoś, co nie jest ułudą. Jesteśmy ogniwem życia, mężami i żonami, rodzicami i potomkami, rozległym, prowadzącym ku przyszłości łańcuchem genów i marzeń, ciał i wspomnień, pokolenie za pokoleniem, przez wieczność. Stwarzamy coś, co nie przeminie po naszej śmierci, właśnie to jest życie, a to, co mają tam za rzeką, ten ich szalony pościg za doświadczaniem coraz to nowych cielesnych uciech, ich gorączkowe unikanie wszystkiego, co bolesne czy trudne, to wszystko rozmija się z sensem życia. To, co nowe, traci świeżość już za drugim razem. A to, co prawdziwe, prawdziwe pozostaje na wieki; a nawet prawdziwsze, bo skosztowane, wypróbowane, przeto zawsze soczyste, zawsze w zasięgu ręki...

Volemak jednak nie mógł tego wytłumaczyć zebranym wokół, wiedział bowiem, że to jego własne odczucia. Miał opowiedzieć sen, a nie swoje reakcje na sen, może nawet zupełnie nieprzystające do jego prawdziwego znaczenia.

- Ludzie w gmachu wyjrżeli przez okna na nas stojących przy drzewie, wytykali nas palcami i zaśmiewali się, i słyszałem, jak z nas drwią, bo jak głupcy zajadamy się owocami, a przecież moglibyśmy skosztować prawdziwego życia, gdybyśmy tylko zechcieli przekroczyć rzekę i dołączyć do nich. Do zabawy.

- Co racja, to racja - szyderczo wyszeptał Obring.

- Widziałem, jak wielu z tych, którzy spróbowali owoców, teraz upuściło je na ziemię i ruszyło ku rzece, by się przez nią przeprawić do gmachu, jak w ich ślady, ku trwającej tam bezustannej zabawie, podążyli również ci, którzy w ogóle nie skosztowali słodczy ani nawet nie ukazali się w oknach. Niektórzy utopili się w odmętach lub zniósł ich prąd, ale wielu udało się przeprawić na drugą stronę i podejść do budynku, ociekając wodą, i weszli do

środku, a potem podeszli do okien, jęli nas wytykać palcami i zanosić się śmiechem. Ale nie gniewałem się na nich, ponieważ teraz dojrzałem coś, co wcześniej mi umknęło. Bo widzicie - rzeka była brudna. Unosił się z niej straszny smród. Wszystkie nieczystości z obskurnego miasta spływały rzeką i gdy tamci wydostali się z wody, byli unurzani w szlamie cuchnącym wprost niewyobrażalnie. Nietrudno było dostrzec, że nikomu nie podobało się przebywanie w pobliżu innych ludzi z powodu brudu i fetoru. Co prawda podchodzili do siebie, ale na krótko, bo wzajemnie się odstraszały tym brudem. A mimo to wydawało się, że nikt nie zwraca na to uwagi - tak pragnęli przekroczyć rzekę i uczestniczyć w zabawie.

I obawiali się, że ktoś ich zawróci, jeśli się nie pospieszą i nie dotrą tam natychmiast.

Volemak wyprostował się na kamiennym siedzisku.

- I to już wszystko. Oprócz tego, że na koniec jałem ponownie szukać wzrokiem Elemaka i Mebbekewa z nadzieją, że zechcą przyjść do mnie pod drzewo. Nadal miałem owoc w dłoni, a jego posmak w ustach. I wciąż był wyśmienity i idealny, nie osłabł; każdy kęs był lepszy niż poprzedni, chciałem więc, by cała moja rodzina, wszyscy moi znajomi w nim zasmakowali. By stali się ogniwem prawdziwego życia. I wtedy zmiarkowałem, że się budzę - wiecie, jak to jest w śnie - i pomyślałem, że wciąż czuję jego smak. Wciąż czułem owoc w mej dłoni. Jakież to cudowne - teraz mogę zanieść go Elyi i Mebowi, by sami go skosztowali, bo jeśli już raz poznają jego smak, na pewno przyjdą do nas pod drzewo. A potem się zbudziłem i odkryłem, że me ręce są puste, a Rasa wciąż śpi u mego boku pogrążona we własnych sennych marzeniach, a więc mimo wszystko nie zasmakowała owocu. A Nafai i Issib wciąż znajdowali się w swoich namiotach, i to wszystko nie wydarzyło się naprawdę.

Volemak znów pochylił głowę.

- Lecz wciąż czułem ten smak. Nawet teraz go czuję. Właśnie dlatego musiałem wam o tym powiedzieć, choć Naddusza zaprzecza, że to on zesłał mi ten sen. Ten sen wydawał się... wydaje się realniejszy niż jawa, a gdy skosztowałem owocu, czułem się żywy jak nigdy dotąd. Ale czy dla was to coś znaczy?

- Tak, Volya - odparła Rasa. - Więcej niż ci się wydaje.

Odezwał się pomruk zgody, a rozglądając się wokół, Volemak dostrzegł, że słuchacze są zamyśleni, poruszeni; może bardziej przez jego odczucia niż sprawozdanie ze snu, ale tak czy owak - coś ich ruszyło. Zrobił wszystko, co w jego mocy, by podzielić się z nimi swoimi przeżyciami.

- Prawdę mówiąc, przez tę gadkę o owocach zgłodniałam - odezwała się Lal.

- I o ściekach w rzece. Mmm... - podchwyciła Kokor. - To co na kolację?

Zanieśli się śmiechem. Powaga chwili natychmiast się ulotniła. Volemak nie potrafił się jednak złościć. Nie spodziewał się przecież, że jego sen z miejsca ich odmieni.

Ale na pewno coś znaczy. Nawet jeśli nie pochodził od Nadduszy, jest prawdziwy, ważny, nigdy go nie zapomnę. A jeśli, to będę przez to uboższy.

Ci, którzy wcześniej przygotowywali kolację, wstali teraz, by podać jedzenie. Rasa usiadła obok Volemaka i go objęła. Volemak poszukał wzrokiem Issiba i dostrzegł świeże ślady po łzach na jego policzkach, a Nafai i Luet szli pod rękę, troskliwi i czuli wobec siebie - taka zgodna i dobrana para. Większość pozostałych Volemak znał bardzo pobieżnie. Poszukiwał spojrzeniem Mebbekewa i Elemaka. Gdy ich dojrzał, zdziwił się, nie wydawali się bowiem ani poruszeni, ani rozgniewani. Istotnie, gdyby musiał określić, co maluje się na ich twarzach, nazwałby to strachem.

Nie rozumiem, jakim sposobem ta opowieść mogła w nich wywołać lęk.

*

- On zastawia na nas pułapkę - wyszeptał Mebbekew. - Ten cały sen, my odcięci od reszty rodziny... on zamierza nas obu wydziedziczyć.

- Przestań! - rzekł Elemak. - Po prostu daje nam do zrozumienia, że wie o tym, co wydarzyło się na pustyni, że nie będzie robił z tego afery, ale wie o wszystkim. Prawdopodobnie więc na tym się to zakończy. Chyba że któryś z nas zrobi coś naprawdę głupiego.

Meb ozięble spojrzał na brata.

- O ile dobrze pamiętam, na pustyni to ty trzymałeś Nafaia na muszce, a nie ja. Może więc nie wytykajmy sobie palcami i nie nazywajmy nikogo głupcem, co?

- Pomnę pewien niedawny incydent...

- Którego byłeś jedynym świadkiem. Nawet kochany Nyef nie ma o tym pojęcia, a tak w ogóle to się nie wydarzyło, wszystko zmyśliłeś, ty pizduku.

Elemak puścił ten epitet mimo uszu.

- Mam nadzieję, że nigdy się tak nie wygłupię jak ojciec, płacząc w obecności wszystkich, i to z powodu snu.

- O tak, wszyscy są głupi oprócz Elemaka - zadrwił Mebbekew. - Takiś mędredek jak z nosa wypierdek.

Elemak nie mógł uwierzyć, jak obrzydliwie infantylny potrafił być Mebbekew.

- A ty co, Meb, małe dziecko, czy jak? Nadal śmiesz cię rymowanka typu „mędredek - wypierdek”?

- W tym cała ironia, ty biedna zakuta pało - odparł Meb najbardziej ujmującym tonem.

- Takiś bystry, że sarkazm się ciebie nie ima. Nie dziwota, że wszystkich wokół uważasz za debili - po prostu nie rozumiesz, co się do ciebie mówi, więc wydaje ci się, że gadają w jakimś obcym języku. Pozwól, że zdradzę ci sekret, o którym wszyscy w tym obozie już wiedzą, Elya, mój ty ulubiony braciszku. Możesz sobie wiedzieć, jak przeżyć podróż przez pustynię, ale to jedyne, co wiesz. Nawet Eiadh przy innych kobietach naśmiewa się z ciebie, bo kończysz z nią tak szybko, że nawet nie ma czasu zauważyć, iż zacząłeś. Ty nawet nie wiesz, jak zadowolić kobietę... a coś ci powiem - je wszystkie zadowolić bardzo łatwo.

Elemak nic sobie nie robił z tych obelg i seksualnych aluzji. Aż za dobrze znał dowcipy Meba. W dzieciństwie spuszczał mu łomot za takie numery - ale potem zaświtało mu, że Meb na to właśnie liczył. Zupełnie jakby nie zważał na ból, jeśli tylko mógł zobaczyć Elemaka wściekłego, czerwonego z gniewu, spoconego i z dłońmi obolałymi od bicia. Ponieważ wtedy wiedział, że ma nad nim przewagę.

Tak więc Elemak nie dał się wyprowadzić z równowagi. Zostawił Meba samego i dołączył do czekających na kolację przy ognisku. Eiadh nalewała właśnie zupę z kociołka - nie zdążyli ugotować zająca, więc pływało w niej jedyne suszone mięso. Na szczęście Rasa zadbała o to, by spakować spory zapas przypraw, więc dziś ta lura będzie przynajmniej miała jakiś smak. Eiadh wyglądała tak uroczo, rozlewając ją do misek, że Elemak zapragnął ją posiąść tu i teraz. Meb kłamał - Eiadh nie miała na co narzekać w ich pożyciu, pewnie już jest w ciąży. Ta myśl smakowała Elemakowi zaiste słodko. Dokładnie tego szukałem we wszystkich mych wyprawach. A jeśli ojciec, mówiąc o drzewie życia, namawiał ich do uczestnictwa w doniosłym przedsięwzięciu miłości i seksu, narodzin, życia i śmierci - to Elemak już skosztował owocu tego drzewa i rzeczywiście był wyśmienity, bardziej niż inne przyjemności, które życie miało do zaoferowania. Jeśli więc ojcu się wydawało, że Elemak będzie zawstydzony, bo nie podszedł do wysnionego drzewa, to srogo się zawiedzie, Elemak bowiem już teraz stał pod drzewem i nie potrzebował ojca, by znaleźć do niego drogę.

*

Po kolacji Nafai i Luet skierowali się do namiotu z Indekssem. Było im tak spieszo, że najchętniej zrezygnowaliby z kolacji - ale wiedzieli, że potem obeszliby się jedynie smakiem, bo nikt nie zostawiłby im nawet kęsa. Musieli więc jeść, wtedy gdy podawano posiłki. I tak oto teraz, gdy zapadły ciemności, odsunęli poły namiotu i weszli do środka. I ze zdumieniem zobaczyli Issiba i Hushidh z dłońmi na Indeksie.

- Wybaczcie - odezwała się Luet.

- Zapraszamy - odparła Hushidh. - Właśnie prosiliśmy o wyjaśnienie snu.

Luet i Nafai się zaśmiali.

- Mimo że jego znaczenie jest jasne jak słońce?

- A zatem ojciec wam też to objaśnił - rzekł Issib z lekkim wyrzutem. - Cóż, pewnie ma rację, to jakby ogólny moralitet o tym, że powinno się dbać o rodzinę i lekce sobie ważyć uciechy życia i takie tam, jak w tej książce, którą daje się dzieciom, by były grzeczne.

- Ale...? - podsunął Nafai.

- Ale dlaczego teraz? Dlaczego my? - dopowiedział Issib.

- Właśnie tego próbujemy się dowiedzieć.

- Nie zapominaj, że on widział to, co inni już zobaczyli - upomniała Luet. - To, co widział generał Moozh.

- A możesz jaśniej? - zapytał Issib.

- Jego tam nie było - przypomniała im Hushidh. - Jeszcze nie zdążyłam mu powiedzieć o... o moim śnie.

- Mieliśmy sny - zaczęła Luet. - I choć każdemu śniło się co innego, było w tym wiele wspólnych motywów. Wszyscy widzieliśmy włochate latające stworzenia - ja wzięłam je za anioły, acz nie były piękne. A Naddusza powiedziała nam, że widział je również generał Moozh... to jest ojciec mój i Hushidh. I nasza matka także, kobieta zwana Spragnioną, która zapobiegła małżeństwu Hushidh z generałem Moozhem. A ponadto te na ziemi...

Hushidh pospieszyła z wyjaśnieniem:

- Widziałam stworzenia podobne do szczurów pożerające... czyjeś dzieci. Albo próbujące to zrobić.

- A sen ojca łączy się z innymi - ciągnęła Luet - bo pojawiły się w nim szczury i anioły. Pamiętacie, jak powiedział, że widział niektóre latające, inne mknące po ziemi, i że poznał w nich ludzi?

- Teraz sobie przypominam - odparł Issib. - Ojciec szybko zmienił temat.

- Bo się nie domyślił, że właśnie to było oznaką - wytłumaczyła Luet.

- Czego?

- Że sen nie pochodzi od Nadduszy.

- Tyle to już nam ojciec powiedział - zauważył Issib. - A Naddusza powiedział jemu.

- Tak, ale od kogo zatem pochodzi? - dopytywał się Nafai.

- Czy Naddusza wytłumaczył mu i to?

- Od Opiekunki Ziemi - wtrąciła się Luet.

- A ktoś to niby jest? - zainteresował się Issib.

- Naddusza próbuje wrócić na Ziemię, żeby z nią się spotkać - tłumaczyła Luet. - Właśnie dla niego my wszyscy się tam wybieramy. Nie rozumiesz? Opiekunka Ziemi wzywa

nas w snach, jednego po drugim, mówiąc nam to czy owo. A sen ojca jest istotny, ponieważ naprawdę pochodził od Opiekunki. Gdybyśmy tylko potrafili pojąć całość...

- Ale przecież coś pochodzącego z Ziemi... musiałyby przemieszczać się szybciej od światła! - Issib nie wierzył. - To być nie może!

- Albo te sny wysłano sto lat temu z prędkością światła - zauważył Nafai.

- Ludziom, którzy nawet jeszcze się nie urodzili? - oponowała Luet. - Wydawało mi się, że już porzuciłeś podobne domysły.

- Nadal myślę, że sny mogą być tak jakby... w powietrzu - upierał się Nafai. - I śnią się temu z nas, kto akurat śpi, gdy sny docierają.

- Niemożliwe - orzekła Hushidh. - Mój sen był zdecydowanie zbyt specyficzny... niemal osobisty.

- Może po prostu wplotłaś to coś od Opiekuna we własny sen. To możliwe.

- Mylisz się. Mój sen był bardzo spójny. Jeśli choć część pochodziła od Opiekunki Ziemi, to całość też. Opiekunka mnie знаła. Rozumiesz, co to oznacza? Opiekunka znała mnie i wiedziała... wszystko.

Na chwilę zapadła cisza jak makiem siał.

- Może Opiekun wysłał te sny tylko tym, których chce widzieć z powrotem - podjął Issib.

- Mam nadzieję, że się mylisz - odparł Nafai. - Ponieważ mnie się jeszcze taki nie przyśnił. Jeszcze nie widziałem tych szczurów i aniołów.

- Ja też nie - odrzekł Issib. - Myślałem, że może...

- Ale byłeś w moim śnie - wtrąciła się Hushidh - więc jeśli Opiekunka mnie przywołuje, to ciebie również.

- Byliśmy też obaj we śnie ojca - zauważył Nafai. - I właśnie dlatego musimy odkryć, co ten sen oznaczał. Z pewnością nie tylko tyle, że mamy być grzeczni. Nie da się ukryć, że jeśli to był jego cel, kiepsko poszło, bo rozzłościł Elemaka i Mebbekewa tym wątpliwym wyróżnieniem, że we śnie nie chcieli podejść do drzewa.

- A zatem dotknijcie Indeksu i zapytajcie - orzekł Issib.

Dłuższe ramię krzesła trzymało Indeks, mógł więc oprzeć na nim rękę. Reszta zebrała się blisko i również go dotknęła. Dotknęła i wypytywała bezgłośnie...

- To nie ma sensu - odezwał się Issib. - Nic się nie dzieje. Musimy pytać wyraźnie.

- A zatem bądź naszymi ustami - zaproponowała Hushidh.

- Zadaj pytanie w imieniu nas wszystkich.

Issib sformułował ich pytanie. Czekali. Zapytał znowu i znów czekali. Cisza.

- No, dalej! - jęknął Nafai. - Dotychczas spełnialiśmy wszystkie twoje prośby. Nawet jeśli możesz nam powiedzieć tylko tyle, że jesteś tak samo skołowany jak my, przynajmniej to nam powiedz.

Odpowiedź Indeksu nadeszła błyskawicznie:

- Jestem tak samo skołowany jak wy.

- To czemu nie powiedziałeś nam tego od razu? - zżymał się Issib.

- Bo nie pytaliście, co ja o tym sądzę, tylko co to oznacza. Próbowałem znaleźć wyjaśnienie. Na próżno.

- Znaczy, że jeszcze nie znalazłeś - poprawił Nafai.

- Znaczy, że nie potrafię - odpowiedział Indeks. - Nie mam dostatecznych danych. Nie umiem zdać się na intuicję jak wy, ludzie. Mój umysł jest zbyt prosty... i prostoliniowy. Nie żądajcie ode mnie, bym zrobił coś, co wykracza poza moje możliwości. Wiem wszystko, co jest poznawalne za pośrednictwem obserwacji, ale nie potrafię odgadnąć zamiarów Opiekuna Ziemi, a wy mnie nadwerężacie, żądając, bym spróbował.

- No dobrze - odezwała się Luet. - Przepraszamy. Ale jeśli dowiesz się czegoś...

- To wam powiem, o ile uznam to za stosowne.

- W przeciwnym wypadku też nam powiedz - zażądał Issib.

Głos Indeksu zamilkł.

- Kontakty z Nadduszą potrafią człowieka doprowadzić do białej gorączki! - żółdkował się Nafai.

- Mów o niej z szacunkiem - odezwała się Hushidh - a może będzie bardziej skora do współpracy.

- Okaż za dużo szacunku, a komputer gotów sobie pomyśleć, że naprawę jest bogiem - zadrwił Issib. - I dopiero wtedy będzie oporny.

- Chodź spać - rzekła Luet do Nafaia. - Wrócimy do tej rozmowy jutro.

Nie musiała go długo przekonywać, by poszedł z nią do namiotu i zostawił Hushidh sam na sam z Issibem.

*

Przez chwilę siedzieli w ciszy. Issib czuł się nieswojo, jak gdyby w powietrzu unosił się dym, który mu utrudniał oddychanie. To sen ojca przywiódł ich w to miejsce, by porozmawiać z Nadduszą za pośrednictwem Indeksu. Łatwo było pokazać Hushidh, jak swobodnie radził sobie z Indekssem; wtedy czuł pewność siebie, nawet jeśli Naddusza sam był skołowany i nie znał prawidłowej odpowiedzi. Ale teraz nie było między nimi Indeksu - spoczywał milczący w swej kasetce, gdzie umieścił go Nafai. W tej chwili pozostali tylko we

dwoje. Mieli się pobrać, a mimo to Issib zupełnie nie wiedział, co powiedzieć.

- Śniłam o tobie - odezwała się Hushidh.

Ach! Więc przemówiła pierwsza!

- I obudziłaś się z krzykiem?

Nie, to było naprawdę głupie. Ale cóż, skoro już mu się wyrwało, to... o cholera! Ona się uśmiechnęła. Zrozumiała, że to żart, więc nie musiał palić się ze wstydu.

- Śniłam, że latasz - dodała.

- Często sobie fruwać - odparł beztrosko. - Ale tylko w snach innych ludzi. Mam nadzieję, że nie masz mi tego za złe.

Zaśmiała się.

Powinien powiedzieć coś jeszcze, coś na poważnie, wiedział bowiem, że to ona podjęła się najtrudniejszego - mówiła o żywotnych sprawach, a on zbywał ją żarcikami. Co prawda przez to nie czuli się skrępowani, ale zarazem odwracali uwagę od trudnych kwestii, do których ona próbowała nawiązać. Powinien pomóc jej wysłowić te zgryzoty, mimo to nie bardzo wiedział, o co może chodzić, z pewnością nie teraz, siedząc z nią tu w namiocie z Indekssem, sam jak palec. Miał świadomość własnych obaw, ona bowiem potrzebowała męża i to on będzie musiał nim zostać - tyle że nie miał pojęcia, czy stanie na wysokości zadania. Jasne, był całkiem elokwentny i o ile znał Hushidh, ona również nie bała się otworzyć ust, przynajmniej w gronie znajomych - słyszał jej żarliwe przemowy w klasie, a także w trakcie prywatnych rozmów, których był świadkiem. Zatem najpewniej będą w stanie ze sobą rozmawiać, ale przecież, żeby z sobą rozmawiać, nie muszą zawierać małżeństwa, co nie? Cóż byłby ze mnie za ojciec? Chodź tu migusiem, synu, albo stratuje cię moim krzesłem!

Nie wspominając już o tym, jak niby miał zostać ojcem. Ech, w wyobraźni rozłożył na części pierwsze cały ten proces, ale w głowie mu się nie mieściło, że jakakolwiek kobieta dobrowolnie zechce odegrać w tym wszystkim swoją rolę. I tu dochodził do trudnego pytania, które nie chciało mu przejść przez gardło. Tu masz scenariusz opisujący, jak zмайstrujemy dzieci - zechcesz może rozważyć wystąpienie w głównej roli? Jedyne mankament jest taki, że będziesz musiała wziąć na siebie całość, a ja będę sobie leżał, nie dając ci absolutnie żadnej przyjemności, i potem urodzisz dzieci, przy których w ogóle ci nie będę pomagał. A na koniec - gdy się zestarzejemy, będziesz musiała mnie niańczyć aż do śmierci, choć to nie zrobi ci wielkiej różnicy, skoro zapewne od początku będziesz mi niańką, bo jak tylko będę miał żonę, wszyscy inni uznają, że mogą przestać mi pomagać, więc zostaniesz sama, a mimo to będzie się po tobie oczekiwało, że przyjmiesz w swe łono moje nasienie i urodzisz mi dzieci. Żadnymi słowami nie będę cię do tego namawiać.

Hushidh patrzyła na niego spokojnie, w milczeniu.

- Coś ciężko oddychasz - zauważyła.

- Naprawdę?

- To pożądanie czy może boisz się tak samo jak ja?

O tak. Bardziej się boję.

- Pożądanie - odparł.

W przyćmionym świetle dostrzegł, że Hushidh podjęła decyzję. Włożyła ręce pod bluzkę i coś tam pogmerała, a gdy wyciągnęła dłonie, zauważył, że teraz jej piersi poruszały się swobodnie pod tkaniną. To jedynie pogłębiło jego strach, ale zarazem lekko polechtało jego żądze, ponieważ nigdy żadna kobieta nie zrobiła nic takiego na jego oczach, a już z pewnością nie dla niego, specjalnie po to, by zobaczyć. Tyle że teraz zapewne czekała na jego ruch, a on nie miał pojęcia, co począć.

- Nie mam zbytniego doświadczenia w tych sprawach - ozwała się Hushidh.

Czyli w jakich? - chciał zapytać, ale się powstrzymał, bo doskonale rozumiał, o co jej chodzi, i nie był to dobry czas na żarty.

- Ale pomyślałam sobie, że powinniśmy, że tak powiem, poeksperymentować - dodała.

- Zanim zdecydujemy tak czy owak. Warto sprawdzić, czy choć trochę cię pociągam.

- Pociągasz - zapewnił.

- I czy możesz mi coś dać. Bo chyba lepiej, by nam obojgu się to podobało, nie sądzisz?

Jej słowa brzmiały wielce pragmatyczne, ale przeczyło temu drżenie głosu. I po raz pierwszy Issibowi przyszło na myśl, że ona zapewne nie uważa się za piękność. Nigdy nie była tą, do której po kryjomu ślinili się młodzieńcy ze szkoły; teraz uświadomił sobie, że była tego w pełni świadoma i niewykluczone że ona obawiała się tego, czy on będzie jej pożądał, tak samo jak on tego, czy będzie w stanie ją zadowolić. To ich poniekąd stawiało w identycznej sytuacji. Zatem zamiast martwić się o to, czy będzie zniesmaczona, powinien raczej zastanowić się, co mogłoby jej sprawić przyjemność.

Przysunęła się bliżej niego.

- Pytałam mej siostry Luet, co mężczyźni robią kobietom, co jej zdaniem byłbyś w stanie zrobić i mnie.

Położyła ręce na oparciu krzesła. A potem jej prawa ręka opadła na udo Issiba. Jego chude, kościste udo; zachodził w głowę, jakie miała wrażenie, dotykając tej ledwie umięśnionej nogi. Wtem naparła na niego, a on zmiarkował, że jego ręki dotyka teraz tkanina jej bluzki.

- Odpowiedziała, że możesz rozpinąć guziki.

- Tak. - Nie było łatwo, ale nauczył się robić to sam.

- A ja uznałam, że możemy spróbować.

Dopiero wtedy zrozumiał, że było to zaproszenie.

- Taki eksperyment - odparł.

- Taki egzamin - poprawiła - z zakresu rozpinania, z późniejszym zadaniem uzupełniającym.

Podniósł rękę - z niemałym trudem, ale podniósł i złapał guzik na samej górze bluzki. To był nieodpowiedni kąt, nie ta ręka.

- Niezbyt wygodna pozycja, co? - stwierdziła Hushidh. Po czym przesunęła prawą rękę na jego drugie udo i wyżej, a potem się nachyliła. Teraz mógł skorzystać z obu rąk. Rozpięcie guzika poszło niemal jak z płatka, choć nigdy wcześniej nie musiał tego robić za kogoś. Pomyślał, że to będzie bardzo praktyczna umiejętność przy dzieciach, które nie nauczyły się jeszcze ubierać same.

- Może uda ci się pobić rekord przy następnym - zachęcała go Hushidh.

I udało mu się. A teraz, gdy stopniowo zmierzał w dół, dłonią musnął jej piersi. Dzień i noc marzył o dotknięciu kobiecego biustu, ale zawsze mu się wydawało, że akurat to pragnienie nigdy się nie spełni. Po rozpięciu każdego guzika Hushidh się unosiła, by sięgnąć następnego, więc coraz bardziej zbliżała piersi do jego twarzy, aż w końcu, przekrzywiając lekko głowę, Issib mógł niemal dotknąć ustami jej skóry.

Rozpiął ostatni guzik, a bluzka lekko się rozsunęła. Nie mogę, nie mogę, pomyślał, ale zaraz się poddał, odwrócił głowę i złożył pocałunek. Skóra była lekko wilgotna od potu, ale zarazem miękka i gładka, inna niż spalona słońcem - nie jak ta na jego rękach ani nawet jak gładki policzek matki, który tak często całował. Nigdy w życiu nie dotknął wargami takiej miękkiej i gładkiej skóry. Ponownie więc przylgnął do niej wargami.

- Za rozpinanie dostałeś ocenę dostateczną - odezwała się Hushidh - ale z zadaniem uzupełniającym radzisz sobie obiecująco. I nie musisz cały czas być aż tak delikatny.

- Zaręczam, że jestem tak niedelikatny, drapieżny i męski, jak tylko umiem.

- I tak nieźle. Ale wiesz, tak czy siak mi się podoba. Przynajmniej dopóki wiem, że robisz to, bo chcesz.

- Chcę. - Zaraz zorientował się, co chciała usłyszeć, więc dodał: - Bardzo chcę. Jesteś... idealna.

Chyba lekko się skrzywiła.

- Taka, jaką sobie wymarzyłem - wytłumaczył. - Jak ze snu.

Wtem ona sięgnęła ręką i poddała go własnemu egzaminowi, sprawdzając jego odpowiedź na eksperyment. W pierwszym odruchu chciał się wzdrygnąć, cofnąć, lecz choć raz był wdzięczny za to, że jego ciało nie pozwalało mu odsunąć się zbyt szybko, ponieważ ona również powinna się przekonać, że go podnieciła.

- Sądzę, że eksperyment się udał. A jak ty uważasz? - zapytała Hushidh.

- O tak - wystękał. - To znaczy, że chcesz, byśmy na tym poprzestali?

- Nie. Ale w każdej chwili ktoś może wejść do namiotu.

Zapięła bluzkę. Oddychała ciężko. Słyszał to, choć sam niełicho sapał.

- Dużo ruchu jak dla mnie - rzucił.

- Poczekaj, aż cię porządnie wymęczę.

- Nie da rady, chyba że za mnie wyjdiesz.

- A już myślałam, że nigdy nie zaproponujesz.

- Czyli się zgadzasz?

- Jutro będzie za wcześnie?

- Nie. W sam raz.

- W takim razie powinnam pójść po twych rodziców.

Wyszła z namiotu. Dopiero wtedy Issib uświadomił sobie, że to, co wcześniej spinało jej piersi, leży teraz pośrodku dywanu w małej białej kupce. Opuścił dłoń na przełączniki, za ich pomocą poruszył długim ramieniem krzesła, podniósł bieliznę i przysunął bliżej. Teraz dostrzegł jej wykonanie i uznał za całkiem zmyślne, ale zarazem nie spodobało mu się to, jak ta elastyczna tkanina zapewne bezustannie krępuje kobiece piersi. Ale może kobiety noszą coś takiego tylko podczas jazdy na wielbłądach. Przykra sprawa, gdyby taka bielizna stale ograniczała im ruchy. Bardzo mu się podobało to, jak ruszało się ciało Hushidh pod bluzką, gdy ją zdjęła.

Poleciał krzesłu, by schowało stanik do niewielkiej kasetki pod siedziskiem. W samą porę - chwilę później do namiotu weszła Hushidh wraz z ojcem i matką.

- Nie wypada mi narzekać, że to zbyt nagłe - ozwał się ojciec. - Tego się spodziewaliśmy i żywiliśmy nadzieję, że stanie się to raczej prędzej niż później.

- Chcecie, żebyśmy zwołali wszystkich na ceremonię? - zapytała matka.

I sprawić, że spędzą pół godziny na przemian znudzeni i zaciekawieni tym, jak Hushidh i Issib poradzą sobie z seksem?

- Nie, dziękuję - odparł. - Mamy tu już wszystkich ważnych ludzi.

- A to pech - zadrwiła Hushidh. - Poprosiłam też Luet i Nafaia, żeby przyszli, jak tylko powiadomią Zdoraba i Shedemei o zmianach w przydziale miejsc do spania.

Issibowi zupełnie wyleciało z głowy, że Hushidh dzieli namiot z Shedemei, a on ze Zdorabem. Teraz tamci dwoje muszą spać razem, jeszcze zanim są do tego przygotowani...

- Bez obaw - uspokoił go ojciec. - Zdorab będzie spał tutaj z Indekssem, a Shedemei zostanie tam, gdzie śpi obecnie. Hushidh wprowadzi się do ciebie, bo twój namiot jest już... wyposażony.

Wyposażony w osobiste przybory toaletowe, miednicę do mycia gąbką, łóżko z materacem wypełnionym pęcherzykami powietrza, zapobiegającym odleżynom. A rano, gdy będę musiał opróżnić pęcherz i jelita, zapytam beztrząsliwie: Shuya, skarbie, czy mogłabyś mi podać nocnik? A potem posprzątać po mnie? Kochana jesteś...

- Nafai i Zdorab przyjdą rano, by pomóc ci przygotować się do pracy - dodał ojciec.

- I mnie poduczyć - wtrąciła się Hushidh. - Masz być mi mężem, Issibie, nie pozwolę się temu zdeprymować i ty musisz też o tym tak myśleć.

Łatwiej powiedzieć, niż zrobić, pomyślał Issib, ale schylił głowę na znak, że się zgadza, żywiąc nadzieję, że tak będzie w istocie.

Gdy Nafai i Luet w końcu przybyli, ceremonia się rozpoczęła. I kilka chwil potem zakończyła.

Nafai stał obok Issiba, a Luet obok Hushidh, podczas gdy matka i ojciec na zmianę wypowiadali fragmenty obrządku. Tak naprawdę była to ceremonia ślubna praktykowana przez kobiety w Basilece, toteż co jakiś czas ojcu trzeba było podpowiadać, by wygłosił swoją część we właściwy sposób. Kiedy powtarzał słowa, które dopiero co matka wypowiedziała, wydawało się to po prostu częścią obrządku. W końcu dokonało się, a Rasa złączyła ich ręce. Hushidh nachyliła się nad Issibem i pocałowała go. Ich wargi złączyły się po raz pierwszy. I to go zaskoczyło. A także bardzo zadowoliło. Zwłaszcza że w trakcie pocałunku uklękła obok krzesła, a jej piersi mocno przylgnęły do jego ramienia. Miał więc tylko jedno gorące pragnienie - niechaj zostawią ich samych, by mógł się przekonać, jak wypadnie w dalszej części eksperymentu.

Trwało to jeszcze z dobre pół godziny, przez ten czas Nafai i Luet nie omieszkali im trochę dokuczać i żartować, ale w końcu oboje znaleźli się sami w namiocie Issiba i zaczęli eksperyment od miejsca, w którym skończyli.

Gdy Hushidh rozebrała się do naga, podniosła go z krzesła - była wyraźnie zdziwiona, jak mało ważył. Zdjęła z niego ubranie, potem położyła się obok. Sądził, że nie zniesie silnych uczuć, które nim targaly, ale uprzytomnił sobie, jak wielką przyjemność jej sprawia i jaką ona odwzajemnia. Opadł z sił niemal dokładnie w momencie, gdy ona się na nim

położyła. Ale to niczemu nie przeszkodziło, gdyż nadal poruszała się nad nim i całowała go, a on całował jej policzek, jej bark, jej pierś, jej ramię i każdą inną część ciała, która tylko znalazła się w zasięgu warg. A gdy zdołał zmusić ręce do posłuchu, opasał ją rękami, więc gdy poruszała się, czuła jego ręce na sobie, na swoich plecach, na swoich udach; delikatne, wątle, właściwie niezdolne do niczego, ale obecne. Czy to naprawdę jej wystarczyło? Czy było to coś, czym potrafi się zadowolić raz za razem, po życia kres?

A potem, zamiast się zastanawiać, przyszło mu na myśl, żeby po prostu zapytać.

- Tak - odpowiedziała. - Czyli masz dość, tak?

- Przynajmniej za pierwszym razem - odparł. - Mam nadzieję, że nie sprawiłem ci zbytniego bólu.

- Tylko odrobinę - uspokoiła go. - A i tak Luet mówiła mi, żebym się nie spodziewała, że za pierwszym razem będę wniebowzięta.

- Jak bardzo niewniebowzięta byłeś?

- Nie byłam wniebowzięta - przyznała. - Ale na ziemi również nie pozostałam. Powiedzmy, że w naszą noc poślubną przeżyłam całkiem wysokie uniesienie i nie mogę się doczekać naszego następnego wniebowstąpienia zaciekawiona, o ile się poprawi.

- A co powiesz na: z samego rana?

- Niewykluczone. Ale nie bądź zdziwiony, jeśli obudzisz się w środku nocy i stwierdzisz, że cię wykorzystuję przez sen.

- Tylko udajesz czy naprawdę mówisz, co myślisz?

- A ty tylko udajesz?

- Nie. To jest najcudowniejsza noc mego życia. Głównie dlatego...

Czekała.

- Dlatego że w życiu bym nie pomyślał, że się zdarzy.

- Ale się zdarzyła.

- Ja odpowiedziałem. Kolej na ciebie.

- Sądziłam, że będę zmuszona udawać, i bym udawała, gdybym musiała, ponieważ wiem, że nasze małżeństwo da sobie radę na dłuższą metę - a wiem to, bo widziałam nas we śnie od Opiekunki Ziemi. Jeśli więc musiałabym udawać, by nasze małżeństwo funkcjonowało sprawnie od początku, to nie wahałabym się nawet minuty.

- Aha.

- Ale nie musiałam udawać. Okazałam ci, co naprawdę czułam. Nie było to aż tak dobre, jak stanie się z czasem, ale było dobre. Ty byłeś dobry dla mnie. Bardzo delikatny. Bardzo wrażliwy. Bardzo...

- Kochający?
- A chciałeś się taki wydać?
- Tak. Tego chciałem nade wszystko.
- Ach...

Po chwili Issib zorientował się, że Hushidh w ogóle nie chciała wypowiedzieć tego „ach”, tylko mimowolnie pozwoliła westchnieniu wydostać się z ust. W przyćmionym świetle zauważył, że ona płacze, i wydało mu się, że oboje powiedzieli sobie dokładnie, to co należało.

A gdy zapadał w sen, przytulony do jej ciała, z ręką spoczywającą lekko na jej boku, pomyślał: Tej nocy skosztowałem owocu ze snu ojca. Nie wtedy, gdy się kochaliśmy, ani wtedy, gdy moje ciało po raz pierwszy w życiu złożyło nasienie w ciele kobiety, lecz wtedy, gdy otwarcie okazałem jej mój strach, moją wdzięczność i moją miłość, a ona otworzyła się przede mną. Wówczas dosięgliśmy i skosztowaliśmy zaledwie pierwszego kęsa tego owocu, a teraz znam tajemnicę tkwiącą w ojcowskim śnie, sekret, którego nawet on nie pojął - że nie uda się spróbować owocu, sięgając po niego dla samego siebie. Człowiek prędzej skosztuje słodczy, jeśli zerwie go z drzewa dla kogoś innego, tak jak Shuya dała owoc mi, a ja - choć myślałem, że to niemożliwe - pochwyciłem i przekazałem tę słodycz jej.

Oblicze opiekuna

Luet obserwowała pawiany. Samica, którą w myślach nazywała Rubyet - odróżniała ją po sienie szramie na plecach - była w rui, samce rywalizowały o jej względy. Zastanawiające, że samica najmniej uwagi poświęcała największemu pieniaczowi, Yobarowi, temu samemu, który tak często przebywał w obozie z ludźmi. Im bardziej stawał się agresywny, tym mniej zyskiwał. Nieraz okazywał gniew, warcząc i przestępując z nogi na nogę, a nawet kłapał paszczą i groźnie wymachiwał rękami, próbując nastraszyć samca, który akurat zalecał się do Rubyet. I za każdym razem udawało mu się go odpędzić - ale kiedy gonił konkurenta, reszta przystępowała do Rubyet. Gdy więc Yobar wracał do samicy, opromieniony sławą „zwycięstwa”, okazywało się, że inni zdążyli już go ubiec. I cała scena rozpoczynała się od nowa.

Ostatecznie Yobar naprawdę się wściekł i na poważnie zaatakował jednego z samców - Salo. Ugryzł go mocno. Salo natychmiast ustąpił, pokazując zad, ale Yobar był zbyt rozjuszony, by zadowolić się tą uległością. Reszta samców z zainteresowaniem, może nawet z rozbawieniem, przyglądała się, jak Yobar z zębami i pięściami ponownie rzucił się na ofiarę.

Salo zdołał się w końcu wyszarpnąć, wyjąc i jęcząc odbiegł od Yobara, który - nadal rozsierdzony - rzucił się w szaleńczą pogoń.

Wtem Salo zrobił coś wielce niespodziewanego. Podbiegł wprost do Ploxy, matki wciąż karmiącej piersią swoje młode, z którym często się bawił, i wyrwał oseska z jej rąk. Ploxy huknęła poirytowana, dziecko jednak rozpromieniło się i ożywiło - lecz wtem nadal wściekły Yobar zaszarżował.

Młode w rękach Salo głośno krzyknęło ze strachu. Inne samce natychmiast się wzburzyły. Ploxy również zaczęła krzyczeć, wzywając pomocy, i po chwili Yobara otoczyło całe stado pawianów, bijąc go i powrzaskując. Zdezorientowany i wystraszony Yobar próbował pochwycić pawianie dziecko z rąk Salo, myśląc być może, że jeśli to on trzymać będzie oseska, wszyscy będą po jego stronie, ale Luet wiedziała, że to nic mu nie da. I faktycznie, jak tylko sięgnął po dziecko, reszta jęła bić go jeszcze mocniej, a ostatecznie wyrzuciła go z grupy i przepędziła. Kilku samców pogoniło go dość daleko, a potem zostali na straży, pilnując, by znowa się nie zbliżył. Luet była ciekawa, czy to położy kres wysiłkom

Yobara, by stać się pełnoprawnym członkiem stada.

Potem chciała wypatrzeć Salo. Szukała go wzrokiem gdzieś opodal Ploxy i dziecka - ale go tam nie było, choć większość pawianów wciąż kręciła się w pobliżu, szczerząc zęby, skacząc niespokojnie to tu, to tam.

Dostrzegła go w zaroślach. Najwyraźniej udało mu się odciągnąć Rubyet od reszty, a teraz próbował ją pokryć. Na twarzy samicy malował się wielce komiczny wyraz rezygnacji. Co pewien czas wywracała oczy. Z zadowolenia? Z rozdrażnienia? Luet zastanawiała się, czy w podobnych przypadkach z ludzkich twarzy można wyczytać takie same, dziwne ambiwalentne sygnały... jakby biernego zaangażowania, które mogło oznaczać zarówno przyjemność, jak i konsternację.

Tak czy owak Yobar, ten agresywny samiec, poniósł sromotną klęskę - niewykluczone nawet, że stracił miejsce w stadzie. Salo natomiast, mimo że nie był szczególnie rośli ani silny, przegrał potyczkę, ale wygrał bitwę, a w konsekwencji - także i wojnę.

A wszystko dlatego, że wyrwał dziecko z rąk matki.

- Widzę, że Salo się poszczęściło - odezwał się Nafai. - Byłem ciekaw, kto zdobędzie serce Rubyet.

- Wystarczyło, że dał jej kwiatki - zadrwiła Luet. - Przepraszam, zamyśliłam się i zasiedziałam.

- Nie szukałem cię, bo coś trzeba zrobić, tylko dlatego, że chciałem spędzić z tobą trochę czasu. I tak aż do kolacji nie mam nic do roboty. Już wcześniej rano coś upolowałem i przyniosłem krwawe trofeum, by je złożyć u stóp ukochanej. Ona jednak zajęta była wymiotowaniem i próżno czekałem zwyczajowej nagrody.

- Pomyślałbyś, że ze wszystkich ciężarnych to ja będę cały czas niedomagać? - narzekała. - Hushidh raz się odbiło i tyle. A Kokor stara się zwymiotować, ale jakoś nie może, więc ostatecznie nie dostaje tak upragnionych wyrazów współczucia, a ja mnóstwo, choć wcale nie chcę.

- A kto by się spodziewał, że to ty, Hushidh i Kokor będziecie się ścigać o to, która urodzi pierwsze dziecko w tej kolonii?

- Ty się ciesz - odparła. - Z dzieckiem na ręku będziesz miał większe szanse w walce.

Nafai nie widział podstępów pawiana, więc nie rozumiał. Opowiedziała mu, jak Salo zabrał dziecko Ploxy.

- Aha, czasem tak robią - przytaknął Nafai. - Tak mi powiedziała Shedemei. W pełni akceptowane w stadzie samce zaprzyjaźniają się z młodym albo dwoma. Gdy dojdzie do walki, chwytają oseska, który nie krzyczy w rękach przyjaciela. Drugi samiec nie jest

przyjacielem, więc gdy ponawia ataki, dziecko zaczyna się bać i krzyczy, co zwała całe stado na głowę biednego pizduka.

- Ach, czyli to norma.

- Ja tego nigdy nie widziałem. Zazdroszczę ci.

- A oto nagroda. - Wskazała palcem Salo, który jeszcze nie skończył zabawiać się z Rubyet.

- A gdzie pokonany? Idę o zakład, że chodzi o Yobara.

Yobar hen daleko, sam jak palec, obserwował stado, ale nie odważył się podejść bliżej, bo dwóch samców krążyło niespokojnie w połowie drogi między nim a resztą gromady.

- Lepiej więc zaprzyjaźnij się z moim dzieckiem - upomniwała go. - Bo inaczej nie będziesz miał łatwego życia w plemieniu, które właśnie tworzymy.

Nafai położył rękę na brzuchu żony.

- Nic nie urosło.

- Ja tam nie narzekam - odparła. - No to powiedz, po co tak naprawdę tu przyszedłeś.

Spojrzał na nią zdumiony.

- Nie wiedziałeś, że tu jestem, bo nikt nie wie - wyjaśniła. - A zatem nie przyszedłeś mnie szukać, tylko po to, by być sam.

Wzruszył ramionami.

- Wolę być z tobą.

- Jesteś taki niecierpliwy. Przecież Naddusza powiedziała nam już, że nie ma pośpiechu. Dużo czasu minie, zanim będzie gotowa nas przyjąć w Vusadce.

- Ta dolina nas nie wyżywi. Już teraz coraz trudniej o zwierzynę. A do tego znajdujemy się za blisko tej osady za górami.

- To również nie jest prawdziwy powód twojego zmartwienia. Do szału doprowadza cię to, że Opiekunka Ziemi nie zesłała ci snu.

- Tym akurat wcale się nie martwię. Jedynie tym, że ciągle mi to wypominasz. Że ty, Shuya, ojciec, Moozh i Spragniona widzieliście szczury i anioły, a ja nie. I co, czy to niby znaczy, że jakiś komputer krążący wokół planety co najmniej setkę lat świetlnych stąd ocenił mnie cały wiek przed narodzinami i uznał, że nie zasługuję na to, by otrzymać jego wspaniałe sny?

- Naprawdę się złościś - zauważyła.

- Chcę coś zrobić, a jeśli nie mogę, to przynajmniej chcę coś wiedzieć! - zżymał się. - Mam już serdecznie dość czekania w nieskończoność, bo nic się nie dzieje. Nie ma sensu, żebym pracował z Indekssem, bo Issib i Zdorab cały czas z niego korzystają i znacznie lepiej

wiedzą, jak działa...

- Do ciebie przemawia wyraźniej niż do innych.
- No tak, nie mówi mi nic ciekawego, za to wyraźnie, hura!
- I dobry z ciebie myśliwy. Nawet Elemak tak twierdzi.
- To w zasadzie jedyne, co znaleźliście mi do roboty: zabijanie tego czy owego.

Luet dostrzegła, że przez twarz Nafaia przemknął cień wspomnienia o śmierci Gaballufixa.

- Czy ty nigdy sobie tego nie wybaczysz?
- Tylko wtedy, gdy Gaballufix wyłoni się z jaskiń, w których śpią pawiany, i powie mi, że tylko udawał martwego.

- Po prostu nie lubisz czekać i tyle. To jak z moją ciążą. Wolałabym mieć wszystko za sobą. Ale to trochę trwa, więc pozostaje mi cierpliwie poczekać.

- Czekasz, ale przynajmniej czujesz, że coś w tobie się zmienia.
- Szczególnie gdy wymiotuję, jak tylko coś zjem.
- Wiesz, o co mi chodzi. Ja nie czuję żadnych zmian, do niczego nie jestem potrzebny...

- Oprócz zdobywania pożywienia, dzięki czemu nie przymieramy głodem.
- Dobra, wygrałaś. Jestem wam niezbędny i zajęć mi nie brakuje, więc powinienem się cieszyć.

Ruszył w stronę obozu.

Chciała go zawołać, ale wiedziała, że to nic nie da. Z własnej woli wpędzał się w depresję, a starając się go rozweselić, jedynie „zepsuła” mu nastrój. Kilka dni temu ciocia Rasa powiedziała jej, że nie zaszkodziłoby, gdyby pamiętała, iż Nafai jest wciąż tylko dzieckiem, więc nie powinna oczekiwać, że będzie dla niej dojrzałym wsparciem. „Oboje byliście za młodzi na małżeństwo - oświadczyła wtenczas Rasa - ale cóż, sytuacja nas do tego zmusiła. Ty już stanęłaś na wysokości zadania. Z czasem Nafai też do tego dorośnie”.

Luet jednak wcale nie była pewna, czy stanęła na wysokości jakiegokolwiek zadania. Przerażała ją już sama myśl o urodzeniu dziecka na tym pustkowiu, z dala od miejskich lekarzy. Nie miała pojęcia, czy za kilka miesięcy będą mieli co jeść - wszystko zależało od ogrodu i myśliwych, a na polowaniu tylko Elemak i Nafai jakoś sobie radzili, choć Vas i Obring też czasem wyruszali na łowy z pulsatorami. W każdym momencie mogło zabraknąć żywności, a ona wkrótce miała powić dziecko. A jeśli nagle zdecydują, że muszą przenieść się w inne miejsce? Już teraz dokuczały jej straszne nudności, a co dopiero jeśli będzie zmuszona jechać na rozkołysanym wielbłądzie? Z dwojga złego wolałaby już jeść wielbłądzi

ser.

Na myśl o tym obrzydlistwie oczywiście znów chwyciły ją mdłości. Opadła na kolana, wyrzucając z siebie kwaśną treść żołądka. Bolało ją gardło, głowa pulsowała i miała tego wszystkiego serdecznie dosyć.

Poczuła dotyk czyichś rąk odgarniających włosy z twarzy do tyłu i przytrzymujących je z dala od wymiocin. Wiedząc, że to Nafai, chciała podziękować; zarazem chciała jednak, by odszedł.

To było takie poniżające i okropne, że ktoś ją teraz widzi. Lecz on był jej mężem. Nie mogła go odesłać, więcej - nawet nie chciała.

W końcu żołądek się uspokoił.

- Niezbyt to skuteczne - ozwał się Nafai - przynajmniej sądząc po ilości.

- Zamknij się, proszę. Nie potrzebuję otuchy, chcę jedynie, by to dziecko miało już dziesięć lat, bym wspominała tę ciążę z rozrzewnieniem, jako zabawny okres dawno minionego dzieciństwa.

- A zatem wyobraźmy sobie. Dziecko, córeczka, już ma lat dziesięć. Rzecz jasna, jest niesamowitym urwisem i do tego rozpuszczonym jak dziadowski bicz, tak jak ty w jej wieku.

- Nie byłam taka.

- Już wtedy byłaś wodną wieszczką, wszyscy wiedzą, że bez przerwy strofowałaś dorosłych i rozstawiałaś ich po kątach.

- Ja tylko mówiłam im, co widziałam! - Nagle zdała sobie sprawę, że on żartował. - Nie prowokuj mnie, Nafaiu. Będę później tego żałować, ale jeśli wpadnę w szal, z miejsca cię ukatrupię.

Wziął ją w ramiona, a Luet musiała odwrócić twarz, by jej nie pocałował.

- Nie! - pisnęła. - Sam mój oddech położy cię trupem.

Zatem jedynie trzymał ją w objęciach, a po chwili poczuła się lepiej.

- Cały czas chodzi mi po głowie Opiekun Ziemi - odezwał się Nafai.

Miałabym podobnie, gdybym nie myślała bez przerwy o dziecku, odparła Luet w myślach.

- Nie mogę przestać myśleć, że może to nie jest tylko kolejny komputer - ciągnął. - Że może nie wzywa nas za pośrednictwem stuletnich snów, że może nas zna i jedynie czeka na... na coś, zanim odezwie się do mnie.

- Czeka, aż będzie miał przesłanie, które tylko ty zdołasz odebrać.

- Nie zależy mi, żeby to był tylko ja. Z radością przyjąłbym sen ojca, żeby móc chociaż sam doświadczyć, jak to jest. Czym różni się Opiekun od Nadduszy w tym, jak

wpływa na to, co dzieje się we mnie. Chcę wiedzieć.

Przecież ciągle to powtarzasz, dzień w dzień, pomyślała Luet.

- Próbowałem mówić do Opiekuna Ziemi. Już nawet do tego się posuwam w swoim szaleństwie, Luet. Pokaż mi to, co ukazałeś ojcu! Powtarzam to jak mantrę.

- A ona cię ignoruje.

- On jest setkę lat świetlnych stąd! - wzburzył się. - Nawet nie wie, że istnieję!

- Skoro chcesz tylko tego samego snu, który miał Volemak, to dlaczego nie poprosisz Nadduszy, żeby ci go dała?

- Bo nie Naddusza go wysłał.

- Ale przecież ona chyba zarejestrowała całe doznanie w głowie twego ojca, nie? Może je odtworzyć i pokazać tobie. A skoro Indeks przemawia do ciebie o wiele wyraźniej niż do innych...

- Zupełnie jakbym sam tego doświadczył - odpowiedział.

- Nie mogę uwierzyć, że sam na to nie wpadłem. Podobnie zresztą jak Naddusza.

- Przecież wiesz, że nie jest zbyt pomysłowa.

- Jest pomysłowo bierny - odparł Nafai. - Ale ty nie jesteś.

Ucałował ją w policzek, jeszcze raz uściśnął i zerwał się na nogi.

- Muszę iść pogadać z Nadduszą.

- Pozdrów ją ode mnie.

- Ja... ach, rozumiem. Poczekam... wrócimy razem.

- Nie, to nie była żadna aluzja. Chciałabym tu jeszcze trochę posiedzieć, żeby zobaczyć, czy stado przyjmie Yobara z powrotem.

- Nie przegap kolacji. W końcu jesz teraz za...

- Dwoje.

- A może troje? - odparł Nafai. - Kto wie?

Zajęczała dramatycznie, wiedząc, że to właśnie chciał usłyszeć. Potem pobiegł w stronę obozu.

Ciocia Rasa miała rację - on naprawdę jest jeszcze dzieckiem. Ale kimże ja jestem? Jego matką? Nie, to rola cioci Rasy. Nie powinnam zbyt wiele od niego wymagać - pracuje ciężko i dobrze, ponad połowę mięsa, które zjadamy, zawdzięczamy jemu. Kocha mnie i obchodzi się ze mną jak z jajkiem - niemożliwe że Issib jest jeszcze czulszy i kochający, niezależnie od tego, co mówi Shuya. I traktuje mnie jak przyjaciela - przychodzi do mnie, by porozmawiać o rzeczach, o których nie mówi nikomu innemu, a gdy ja chcę pogadać, słucha i odpowiada, nie to co niektórzy inni mężowie - jak twierdzą ich żony. Ze wszech miar jest

świetnym mężem, do tego nad wiek dojrzałym. Ale nie tego oczekiwałam. Po tym, jak przeprowadziłam go przez Jezioro Kobiet, sądziłam, że będziemy wspólnie dokonywać wielkich i wzniosłych czynów. Myślałam, że będziemy niczym król i królowa albo arcykapłanka i jej wierny apostoł, razem dokonując istotnych i majestatycznych czynów, które zmieniają świat. A zamiast tego ja ciągle wymiotuję, a on snuje się naburmuszony jak piętnastolatek, śmiertelnie obrażony na to, że jakiś komputer z innej planety nie raczył mu zesłać snu...

Ech, jestem zbyt zmęczona, by myśleć. Zbyt zboląa, by się tym przejmować. Może któregoś dnia moje wyobrażenie naszego małżeństwa się spełni. Choć niewykluczone że Nafaiowi uda się to dopiero z drugą żoną, bo ja zarzygam się na śmierć i zakopię mnie w piachu.

*

Shedemei przez całe życie miała świadomość, że ludzie patrzą na nią jak na dziwaczkę. Początkowo było tak dlatego, że była bardzo inteligentnym dzieckiem, zajmowały ją kwestie, które maluchów interesować nie powinny. Dorośli czasem się uśmiechali i kiwali głową z aprobatą, a dzieci tego nie robiły nigdy. Shedemei wydawało się wówczas, że gdy dorośnie, wszyscy w pełni ją zaakceptują. A gdzie tam, było wprost przeciwnie - gdy przekroczyła próg dojrzałości, dorośli zaczęli traktować ją tak jak niegdyś dzieci. Wtedy oczywiście potrafiła już nazwać to, co widziała w ich oczach. To był strach. Niechęć. I zazdrość.

Zazdrość?! Przecież to chyba nie jej wina, że los obdarzył ją kombinacją genów, które dały jej nadzwyczajną pamięć, ogromny talent do rozumienia różnych idei i umysł zdolny do dostrzegania zależności, które umykały uwagi innych? Wszak nie miała żadnego wyboru, jej inteligencja nie była jej zasługą, taka się urodziła - bardziej pod tym względem utalentowana od wszystkich jej znajomych. (Zdarzali się ludzie, którzy dorównywali jej inteligencją, a może nawet ją przewyższali, ale żyli w odległych miastach, nawet na innych kontynentach, znała ich z opublikowanych prac naukowych, przekazywanych pomiędzy miastami przez Nadduszę). Nie miała złych zamiarów. A już na pewno nie potrafiła podzielić się swoimi zdolnościami z zazdrośnikami - mogła jedynie dzielić się owocami swoich talentów. Z radością je przyjmowali... a potem mieli do niej pretensje o to, że była w stanie to wszystko osiągnąć.

Już przed wielu laty doszła do wniosku, że ludzie z daleka podziwiają niezwykle uzdolnionych, ale wolą otaczać się błyskotliwymi ignorantami.

A teraz była na stałe związana z tą grupką szesnaściorga ludzi i nie mogła uniknąć ich

codziennego towarzystwa. Robiła, co do niej należy - pełła w ogródku, nosiła wodę, gdy wypadła jej kolej, na zmianę z innymi obserwowała pawiany, pilnując, by nie opuściły swojego terytorium i nie dobrały się do jedzenia. Chętnie zastępowała Luet, gdy akurat naszły ją mdłości, i bez narzekań wypełniała zadania, do których Sevet była zbyt leniwa, Kokor - nazbyt ciężarna, a Lal - nadto dumna. Mimo to nie pasowała tu, nie akceptowano jej, nie była członkiem grupy, a z każdym dniem było coraz gorzej.

Wcale nie pomagało to, że dokładnie wiedziała, co się dzieje. Powstanie więzi między mężem i żoną zawsze wyzwała w innych potrzebę, by zadzierzgnąć podobne relacje - wiedziała to, badała. Wcześniejsze konwencje zalotów, luźne i nieskomplikowane przyjaźnie budzą niepokój małżonków, bo oni nie chcą mieć wokół siebie niczego, co zagrażałoby stabilności związku monogamicznego, podczas gdy istotą społeczności, w której prym wiodą kawalerowie i panny, zawsze jest niezrównoważenie, nieograniczona swoboda, frywolność i chaos.

Prawdę mówiąc, właśnie w taki sposób nadal chcieli się zachowywać niektórzy z nich - monogamia bardzo dokuczała Mebbekewowi i Obringowi, Sevet i Kokor, choć w tej chwili grali rolę szczęśliwych małżonków, może nawet bardziej gorliwie niż ci, którzy nie musieli niczego udawać. W każdym razie skutek był taki, że Shedemei czuła się jeszcze bardziej oderwana od reszty. Nie ignorowali jej, co to, to nie. Hushidh i Luet traktowały ją równie serdecznie jak wcześniej, a Eiadh na swój sposób przyzwoicie, ciocia Rasa zaś w ogóle tak jak zawsze - ona nigdy się nie zmieni. Jednak mężczyźni jak jeden mąż zachowywali się wobec niej... jak to nazwać? Taktownie? Natomiast podejście Lal, Sevet i Kokor wahało się między oziębłym a kostycznym.

Co najgorsze, ta niewielka społeczność przybierała kształt, który systematycznie wykluczała ją poza krąg jakichkolwiek wpływów. Dlaczego nie mówiło się już: „Mężczyźni robią tamto, a kobiety siamto”? Teraz słyhać było tylko: „Żony mogą zostać tutaj, a mężczyźni pójdą i...” robią to, co im się żywnie podoba. Czasem do szału doprowadzało ją to, że kobiety wrzucono do jednego worka z napisem „żony”, mężczyźni zaś nigdy nie nazywali samych siebie „mężami” - wciąż byli po prostu mężczyznami. A gdy pewnego razu zwróciła kobietom na to uwagę, zdawały się nie rozumieć, o czym mowa. Zupełnie jakby były tak głupie niczym pawiany.

Oczywiście ten fakt im nie umknął, przynajmniej tym co bystrzejszym, ale postanowiły nie robić z tego afery, bo... bo stawały się przykładnymi żoneczkami. Tyle lat w Basilice, gdzie kobiety nie musiały porzucać swej tożsamości, by mieć mężów - a teraz co? Wystarczyło sześć tygodni w podróży i już wszystkie zachowywały się jak kobiety z plemion

koczowniczych. Widać chęć życia w zgodzie i bez zawirowań jest głęboko zakodowana w naszych genach, pomyślała Shedemei. Ja bym jednak chciała odkryć, gdzie dokładnie to w nas siedzi. Wygrzebałabym to ogrodniczym rydlem i spaliłabym na rozgrzanym węglu trzymane gołymi palcami.

Nie miałam zamiaru wychodzić za mąż, przynajmniej jeszcze przez wiele lat, a nawet wtedy raczej tylko na rok, dość długo, by począć dziecko, potem bym się rozwiodła, pozostawiając mężowi tylko należne prawa rodzicielskie do potomka. W moim życiu nie ma miejsca na więzy uczuciowe z żadnym mężczyzną. A gdy w końcu kogoś poślubię, to na pewno nie takiego zastrachanego, mimozowego archiwistę, który dał z siebie zrobić jedynego służącego w gronie panów.

Shedemei miała mocne postanowienie, że w tej grupie poradzi sobie możliwie najlepiej, ale im częściej widywała Zdoraba, tym mniej go lubiła. Mogłaby jeszcze puścić w niepamięć okoliczności, w jakich Zdorab znalazł się wśród nich na pustyni - nakłoniony podstępem przez Nafaia do wyniesienia Indeksu poza obręb miasta, a potem zmuszony siłą do złożenia przysięgi, że pójdzie z nimi w głąb pustyni. Mężczyźnie można wybaczyć, że zachował się nie po męsku pod wpływem stresu, niepewności i zaskoczenia. Ale Zdorab przyjął rolę poniżającą i Shedemei się wstydziła, że w ogóle należą do tego samego gatunku. I nawet nie chodziło o to, że parał się robotą, przed którą reszta się wzdrygała - zagrzebywaniem latryn, wykopywaniem nowych, wynoszeniem fekaliów Issiba, gotowaniem i myciem naczyń. Szanowała człowieka skorego do pomocy, a już z pewnością wołała takiego od bezprzykładowych próżniaków w stylu Meba i Obringa, Kokor, Sevet i Lal. Nie, pogarda dla Zdoraba napawała ją jego podejście do wykonywania tych wszystkich prac. Nie proponował, że czegoś się podejmie, choć miał przecież prawo tego nie robić; zwyczajnie zachowywał się tak, jakby wykonywanie najpośledniejszych prac w obozie uważał za swą oczywistą rolę, a robił to wszystko cicho, dyskretnie i reszta szybko uznała za pewnik, że wszystkie odrażające bądź nieznośnie nużące prace z automatu przypadają Zdorabowi.

On serwilizm ma we krwi, pomyślała Shedemei. To urodzony parobek. W życiu bym nie pomyślała, że taki osobnik istnieje, a jednak, i jest nim właśnie Zdorab, którego reszta wybrała na mego męża!

Nie potrafiła pojąć, dlaczego Naddusza pozwoliła Zdorabowi na tak swobodny dostęp do swojej pamięci za pośrednictwem Indeksu. Może również Naddusza potrzebowała służącego. Może ona specjalnie wybiera ludzi, którzy postępują jak bezmyślni słudzy. Bo czyż nie jesteśmy tu wszyscy w tym właśnie celu, by służyć Nadduszy? By być jej rękami i nogami, aby mogła odbyć podróż na Ziemię? My wszyscy jesteśmy sługami... wszyscy, tylko

nie ja.

Tak sobie powtarzała przez wiele tygodni, aż w końcu zorientowała się, że ona również zaczęła podpadać pod kategorię służących. Uświadomiła sobie to dopiero dzisiaj, gdy wracała znad rzeki, niosąc wodę, w której Zdorab miał gotować i zmywać. Wcześniej pomagały jej Hushidh i Luet, ale teraz ta druga była zbyt osłabiona z powodu nudności - schudła, co było niedobre dla dziecka - a siostra jej doglądała, więc ten ciężki obowiązek spadł na barki Shedemei. Wciąż miała nadzieję, że Rasa zauważy w końcu, iż taszczy wodę bez niczyjej pomocy, i zakrzyknie: „Sevet, Lal, Eiadh, zarzućcie nosidła na ramiona i dźwigajcie wodę! Odpracujcie swoje!”. Ale Rasa nie odezwała się nawet słowem, choć widziała, jak Shedemei dźwiga wiadra, była tuż obok Sevet i Kokor, które plotkowały w najlepsze, udając, że gręplują wielbłądzą sierść i splatają ją w sznurek.

Czyżbyście zapomnieli, kim jestem?! - chciała wrzasnąć. Nie pamiętacie, że jestem najznamienitszą uczoną, jaką Basilika widziała od pokolenia? Albo nawet od dziesięciu?

Znała jednak odpowiedź i dlatego nie krzyczała. Ciocia Rasa zapomniiała naprawdę, ponieważ ten obóz to był nowy świat, a to, co działo się w Basilice, nie miało żadnego znaczenia. Tu na pustyni albo było się jedną z żon, albo nikiem.

I właśnie dlatego dziś, po skończonej pracy, poszła szukać Zdoraba. Służący czy nie, był jedynym wolnym mężczyzną, a ona miała już dość statusu obywatela drugiej kategorii w tym mikronarodzie. Małżeństwo symbolizować będzie jej podporządkowanie nowemu porządkowi, będzie pewną odmianą serwilizmu, a jej mąż stanie się mężczyzną, do którego będzie czuła wyłącznie pogardę. Ale to i tak lepsze niż zniknąć.

Rzecz jasna, na samą myśl o oddaniu mu swego ciała w posiadanie przechodziły ją ciarki. Cały czas przed oczami stawał jej obraz bez ustanku wymiotującej Luet - tak to już jest, gdy kobieta pozwoli mężczyźnie, by traktował ją jak bank do przechowywania swego nasienia.

Nie, wcale tak nie uważam, pomyślała Shedemei. Po prostu jestem zła. Dzielenie się materiałem genetycznym to elegancki i piękny proces. Z jaką gracją spółkują jaszczurki, samiec przywiera do samicy, a jego długi smukły penis poszukuje otworu, tak zwinny i chwytny jak ogon pawiana; jak pięknie tańczą ośmiornice, stykając się koniuszkami ramion; jak wdzięcznie drgają łososie, składając ikrę, a potem spermę na dnie strumienia; to wszystko jest cudowne, stanowi integralną część baletu życia.

Tyle że samica zawsze ma jakiś wybór. Przynajmniej silna samica, mądra. Może zdecydować się oddać swoje jajeczka samcowi, który zapewni im najlepsze szanse na przetrwanie - samcowi silnemu, dominującemu, agresywnemu i inteligentnemu - a nie

jakiemuś tchórzliwemu niewolnikowi. Nie chcę, żeby moje dzieci miały geny serwilistyczne. Lepiej już w ogóle nie mieć potomków, niż widzieć przez lata, jak rosną, coraz bardziej upodabniając się zachowaniem do Zdoraba, i wstydzić się za nich.

Znalazła się u drzwi namiotu z Indekssem gotowa wejść i zaproponować Zdorabowi coś jakby białe małżeństwo - związek z rozsądku, a nie miłości. Ponieważ czuła do niego tak wielką wzdrgę, chciała, by był to związek bez seksu, bez dzieci. A on naprawdę zasługiwał na pogardę, więc się spodziewała, że przystanie na jej warunki.

Siedział na dywanie z Indekssem spoczywającym na kolanach, z dłońmi na kuli. Oczy miał zamknięte. Każdą wolną chwilę spędzał z Indekssem - choć nie było tego wiele, bo mało miał dla siebie czasu. Często towarzyszył mu Issib, ale późnymi popołudniami pełnił wartę w ogrodzie - długie ramię jego krzesła potrafiło skutecznie odgonić pawiany od arbuzów, zdarzało się nawet, że strącało ptaki w locie. To była jedna z tych chwil, w których Zdorab miał Indeks tylko dla siebie, rzadko dłużej niż godzinę, a jedynym względem, jaki okazywali mu inni, było zostawienie go wtenczas w spokoju - jeśli kolacja już się gotowała i nikt inny nie chciał akurat skorzystać z Indeksu, bo wtedy Zdorab musiał ustąpić miejsca.

Patrząc teraz na niego, na jego przymknięte oczy, Shedemei była niemal gotowa uwierzyć, że istotnie łączył się właśnie z wielkim umysłem Nadduszy. Ale oczywiście do tego brakowało mu oleju w głowie. Zapewne jedynie uczył się na pamięć głównych pozycji w Indeksie, by potem pomóc Wetchikowi, Nafaiovi, Luet albo jej odnaleźć jakąś informację. Nawet przy Indeksie był zwykłym służącym.

Nagle podniósł wzrok.

- Chciałaś skorzystać z Indeksu? - zapytał potulnie.

- Nie - odparła. - Przyszłam, by z tobą porozmawiać.

Wzdrygnął się? A może to szybki mimowolny ruch ramion?

Nie, on nimi wzruszył, no jasne.

- Spodziewałem się, że prędzej czy później przyjdiesz w tym celu.

- Wszyscy się tego spodziewają, dlatego dotychczas nie przyszłam.

- Skoro tak... Dlaczego więc teraz?

- Ponieważ stało się oczywiste, że z upływem czasu ludzie stanu wolnego w tej wspólnocie będą coraz mocniej spychani na margines. Może tobie to pasuje, ale mnie nie.

- Nie zauważyłem, żeby ktoś cię gdzieś spychał - oświadczył Zdorab. - Podczas narad wszyscy z zainteresowaniem wysłuchują twoich opinii.

- Słuchają cierpliwie, o tak - przyznała Shedemei. - Ale nie mam żadnych realnych wpływów.

- Nikt nie ma - zauważył. - Pewnie Naddusza tu rządzi i dzieli.

- Wiedziałam, że nie zrozumiesz - złościła się. - Spróbuj wyobrazić sobie tę wspólnotę jako stado pawianów. Ciebie i mnie wypycha się coraz dalej ku obrzeżu stada. Wkrótce staniemy się nikim, to tylko kwestia czasu.

- To problem tylko dla tego, komu zależy na byciu kimś.

Shedemei nie wierzyła własnym uszom.

- Ja wiem, że nie masz zupełnie żadnych ambicji, Zdorabie, ale ja nie zamierzam wtopić się w tło i zapomnieć, że jestem człowiekiem. Mam więc całkiem prostą propozycję. Odbędziemy ceremonię z ciocią Rasą, zamieszkamy w jednym namiocie i na tym koniec. Nikt nie musi wiedzieć, jak naprawdę jest między nami. Nie chcę być matką twoich dzieci i nieszczególnie interesuje mnie twoje towarzystwo. Będziemy zwyczajnie spać w jednym namiocie, a dzięki temu nie będą nas spychać na obrzeże stada. Prosty układ. Zgoda?

- Niech będzie - rzucił Zdorab.

Spodziewała się, że to powie, że pójdzie jej na rękę. Ale w tonie jego głosu kryło się coś niewypowiedzianego, bardzo subtelna nutka...

- Chciałeś, żeby tak było - zauważyła.

Spojrzał na nią beznamiętnie.

- Ty chciałeś tego od samego początku.

A teraz coś w jego oczach...

- I boisz się - dodała.

Raptem w jego oczach rozbłysły ogniki gniewu.

- A teraz wydaje ci się, że jesteś Hushidh, czy tak? I sądzisz, że wiesz, jak każdy człowiek pasuje do reszty.

Shedemei nigdy wcześniej nie widziała, by Zdorab okazywał gniew, a co dopiero taką żarliwą, pogardliwą wściekłość jak teraz. Nie знаła go z tej strony - i dotąd wątpiła, czy w ogóle jest do tego zdolny. Ale przez to nie poczuła do niego większej sympatii. Przeciwnie, teraz przypominał jej warczącego zbitego psa.

- Naprawdę nie obchodzi mnie - zaczęła - czy chciałeś uprawiać ze mną seks. Nigdy nie dbałam o to, by wydać się atrakcyjna jakiemuś facetowi. Tak robią tylko kobiety, które nie mają nic innego do zaoferowania światu poza biustem i macicą.

- Zawsze ceniłem cię za prace z dziedziny genetyki - odparł. - Szczególnie za twoje studium na temat dryfu genetycznego w tak zwanych gatunkach stabilnych.

Zatkało ją. Do głowy jej nawet nie przyszło, że ktoś w tej grupie czytał, a co dopiero rozumiał, jakkolwiek z jej naukowych rozpraw. Oni wszyscy mieli ją za zwykłego

rzemieślnika, twórcę cennych mutacji genetycznych, które można sprzedąć z zyskiem w dalekich miastach - na tym przez lata opierały się jej relacje z Wetchikiem i jego synami.

- Chociaż mogę ci tylko współczuć, że nie miałaś dostępu do archiwów genetycznych Indeksu. Tu znalazłabyś ostateczny dowód na potwierdzenie swoich teorii, gdybyś tylko знаła dokładne DNA badanych gatunków w momencie, gdy zeszyły z ziemskich statków.

- Indeks ma nawet takie informacje? - zdumiała się.

- Znalazłem je kilka lat temu. Indeks nie chciał mi ich zdradzić. Teraz rozumiem dlaczego - część informacji genetycznych w jego pamięci ma zastosowania militarne, na przykład można ich użyć do wywołania epidemii. Ale są sposoby, by ominąć zabezpieczenia. Choć nigdy nie miałem pewności, co na to Naddusza.

- I dopiero teraz mi to mówisz?!

- Nie wiedziałem, że kontynuujesz badania - bronił się. - Napisałaś tę rozprawę wiele lat temu, zaraz po studiach. To był twój pierwszy poważny projekt. Sądziłem, że przestał cię interesować.

- I takiej wiedzy szukasz w Indeksie? O genetyce?

Zdorab pokręcił głową.

- Nie.

- Jakiej więc? Czego szukałeś przed chwilą, gdy weszłam do namiotu?

- Prawdopodobnych wyników procesu wędrówki kontynentów na Ziemi.

- Na Ziemi?! Czyżby Naddusza miała aż tak dokładne informacje o Ziemi?

- Naddusza nie wiedział, że je ma. Musiałem je, że tak powiem, wyrwać siłą. Bo wiele rzeczy ukryto przed samym Nadduszą. Ale Indeks ma do tego klucz. I pewne informacje, które znalazłem w pamięci, bardzo Nadduszę zainteresowały.

Shedemei była tak zaskoczona, że nie mogła zdławić śmiechu.

- Tak, to pewnie nawet zabawne - stwierdził Zdorab wcale nierozbawiony.

- Nie, ja tylko...

- Ze zdziwieniem odkryłaś, że nadają się do czegoś więcej poza wypiekaniem chleba i zakopywaniem odchodów.

Utrafił tak blisko sedna, że to ją rozzłościło.

- Ze zdziwieniem odkryłam, że to wiesz.

- Nie masz bladego pojęcia, co wiem, co myślę o sobie lub o czymkolwiek. I w ogóle nie starałaś się tego dowiedzieć. Stałaś tu niczym najwyższa bogini wszech panteonów przed żalosnym śmiertelnikiem, raczyłaś zaproponować mu małżeństwo, pod warunkiem że nigdy cię nie tknie, i oczekiwałaś, że z radością się zgodzi. No i przystałem na to. Możesz

więc dalej traktować mnie jak powietrze, nie mam nic przeciwko temu.

Shedemei nigdy wcześniej nie wstydyła się tak bardzo. Chociaż zżymała się, że inni traktują Zdoraba jak zero, sama też tak robiła i w ogóle nie zważała na jego uczucia, jakby nie miały żadnego znaczenia. Teraz czuła, że potraktowała go niesprawiedliwie, i chciała to jakoś naprawić.

- Przepraszam.

- Nie ma za co. Zapomnijmy o tej rozmowie, weźmy dziś ślub i wtedy nie będziemy musieli już wcale się do siebie odzywać. Zgoda?

- Ty naprawdę mnie nie lubisz!

- Jakby choć raz cię obchodziło, czy ja albo ktoś inny cię lubi, póki za bardzo nie przeszkadzamy ci w pracy.

Zaśmiała się.

- Co racja, to racja.

- Wygląda na to, że oboje się ocenialiśmy z daleka, ale jedno z nas zrobiło to lepiej.

Skinęła głową, pokornie przyjmując ten przytyk.

- I oczywiście będziemy musieli porozmawiać ponownie.

- Doprawdy?

- Musisz mi pokazać, jak dostać się do informacji o Ziemi.

- Tych o genetyce?

- I o wędrówkach kontynentów. Zapominasz, że zabrałam z sobą nasiona, by przywrócić do życia wymarłe ziemskie gatunki. Muszę przestudiować rzeźbę terenu. I wiele innych faktów.

Przytaknął.

- Mogę ci to pokazać. Ale musisz wziąć poprawkę na to, że wszystkie dane to jedynie ekstrapolacje sprzed czterdziestu milionów lat pokazujące, co mogło, lecz wcale nie musiało się zdarzyć przez czterdzieści milionów lat. Możliwe że te prognozy są bardzo dalekie od prawdy, najmniejsza pomyłka we wstępnych założeniach mogła urosnąć do rozmiarów poważnego błędu.

- Jestem naukowcem, wiesz? - zadrwiła.

- A ja bibliotekarzem - przypomniał. - Z chęcią pokażę ci, jak się dostać do tych ziemskich informacji. To coś jakby tylne wejście, taka furka. Trudno uwierzyć, ale znalazłem tę ścieżkę w danych o rolnictwie, o hodowli świń. A teraz usiądź naprzeciw mnie i połóż dłonie na Indeksie. Mam nadzieję, że jesteś podatna na niego?

- Wystarczająco. Wetchik i Nafai pomagali mi, gdy szukałam w nim pewnych danych.

Zwykle jednak używam własnego komputera, bo myślałam, że wiem już wszystko, co jest w Indeksie na temat mojej dziedziny.

Usiadła naprzeciwko Zdoraba, oboje pochylili się do przodu, opierając łokcie na kolanach, po czym położyli dłonie na złotej kuli. Dotknęli się rękami, ale on nie cofnął swoich, co więcej - Shedemei nie czuła ich drżenia. Miał chłodne, spokojne dłonie, jak gdyby w ogóle nie zdawał sobie sprawy z jej bliskości.

Od razu podchwyciła głos Indeksu, jak odpowiadał na pytania Zdoraba i kierował do odpowiednich ścieżek i nagłówków, podtytułów i katalogów w pamięci Nadduszy. Gdy jednak chmara nazw zaczęła szybko przemykać przez jej myśli, straciła orientację, ponieważ dotykali się dłońmi. Nie to, żeby coś do niego czuła, ale trapiło ją, że on nie czuł zupełnie nic do niej. Od przeszło miesiąca wiedział, że miała zostać jego żoną, że tego po niej oczekiwano; przez ten czas z pewnością jej się przyglądał. A mimo to nie okazywał nawet cienia pożądania. Bez żalu przystał na jej obostrzenia co do stosunków seksualnych. Do tego potrafił znieść jej dotyk, nie zdradzając nawet odrobiny seksualnego napięcia.

Shedemei jeszcze nigdy nie czuła się tak brzydka i niepociągająca. To śmieszne - zaledwie przed kilkoma minutami miała tak wielką pogardę dla tego mężczyzny, że gdyby pokazał, iż ma na nią chętkę, chwyciłyby ją mdłości. Teraz patrzyła na niego inaczej - był znacznie bardziej interesującym, inteligentnym mężczyzną obdarzonym umysłem i wolą. I choć nie doznała nagłego przypływu miłości czy nawet pożądania, zabolą ją, że on nie pożąda jej wcale.

Kolejna rana w tym samym miejscu co dawniej, na powrót otwierająca wszystkie wrażliwe blizny. Shedemei znowu cierpiała zawstydzona, że jest kobietą, której żaden mężczyzna nie pragnie.

- Nie uważasz - upomniał ją Zdorab.

- Przepraszam.

Nie odpowiedział. Otworzyła oczy. Patrzył na nią.

- To nic - wyjaśniła, ocierając łzę, która przyłgnęła do dolnej rzęsy. - Nie chciałam cię dekoncentrować. Możemy zacząć od początku?

Nie spuścił wzroku.

- To nie tak, że ciebie nie pożadam, Shedemei.

Jak to? Czyżby jej serce było obnażone, że mógł ot tak przeniknąć przez te wszystkie pozory i sięgnąć do źródła jej bólu?

- Ja po prostu nie pożadam żadnej kobiety - odpowiedział.

Trwało to chwilę, zanim zrozumiała sens tych słów. Potem się roześmiała.

- Jesteś zhopem.

- To jest archaiczne określenie ludzkiego odbytu - odparł cicho. - Niektórzy mogliby się obrazić, gdybyś tak ich nazwała.

- Ale nikt się nie domyślił.

- I naprawdę zrobiłem wiele, żeby tak zostało - rzekł Zdorab - a teraz oddałem życie w twoje ręce, zdradzając się przed tobą.

- Och, nie dramatyzuj.

- Dwóch moich przyjaciół straciło życie w Psim Rewirze.

Tam musieli w Basilice mieszkać mężczyźni, którzy nie mieli kobiety, ponieważ prawo zabraniało kawalerom mieszkać lub nawet zostawać na noc w mieście.

- Jednego napadła hałastra, którą doszły słuchy, że jest zhopem. Pidarem. Powiesili go za stopy z okna na pierwszym piętrze, odcięli genitalia, a potem nożami zadźgali go na śmierć. Drugi dał się uwieść mężczyźnie udającemu... jednego z nas. Aresztowali go, ale w drodze do więzienia przydarzył mu się wypadek. Dziwny wypadek. Ponoć próbował uciekać i się potknął, a gdy upadał, jakimś trafem jajka mu się urwały i wepchnęły do gardła - zapewne z pomocą kija od miotły albo trzonka włóczni - i udławił się nimi.

- Aż tak...?!

- Och, ja to doskonale rozumiem. W Basilice mężczyznom nie było łatwo. My mamy wrodzoną potrzebę dominowania, ale w Basilice musieliśmy jakoś pogodzić się z faktem, że nie posiadamy żadnej władzy. Chyba że mieliśmy wpływ na jakąś kobietę. A mężczyźni mieszkających poza murami, w Psim Rewirze, właśnie z racji tego, że nie mieli domu w mieście, piętnowało się jako margines, mężczyzn niepożądanych przez kobiety. Na każdym kroku słyszało się oszczerstwa, że facetom z Psiego Rewiru brakuje męskości i nie potrafią zaspokoić kobiety. Podawano w wątpliwość samą ich męską tożsamość. Wskutek tego ich lęk i nienawiść wobec zhopów - wypowiedział to słowo z wyraźną pogardą - osiągnęły szczyty, o jakich nigdzie indziej nie słyszałem.

- Ci twoi przyjaciele... byli twoimi kochankami?

- Ten aresztowany... był mi bliski przez kilka tygodni. Chciał ciągnąć nasz romans, ale nie pozwoliłem mu, bo gdyby to potrwało choć trochę dłużej, ludzie zaczęliby podejrzewać, co my za jedni. Tu chodziło o życie, moje i jego, a ja wolałem nie ryzykować, więc odmówiłem następnych spotkań. Opuściwszy mój dom, wszedł prosto w pułapkę. Sama więc widzisz, że nie tylko Nafai i Elemak mają życie człowieka na sumieniu.

Shedemei nagle zdała sobie sprawę, że oddając się pasji nauki, żyła z dala od prawdziwego świata, niemal pod kloszem.

- Kiedy to się stało?

- Miałem wtedy dwadzieścia lat. A zatem dziewięć lat temu. Nie, dziesięć. Zapomniałem, że mam teraz trzydziestkę.

- A ten drugi?

- Kilka miesięcy przed tym jak... opuściłem miasto.

- On też był twoim kochankiem?

- Och, nie. Nie był do mnie podobny w tym względzie. Miał dziewczynę w mieście, tyle że ona chciała utrzymać to w sekrecie, więc się tym nie chwalił. Ona męczyła się w małżeństwie i odliczała już dni do jego zakończenia, więc on nic o niej nie mówił. I dlatego pojawiła się plotka, że jest zhopem. Umarł, nie zdradzając prawdy swoim oprawcom.

- Postąpił chyba... szlachetnie.

- Raczej niewiarygodnie głupio - poprawił ją. - A nie chciał mi uwierzyć, gdy mówiłem mu, jak strasznie się żyje w Basilice takim ludziom jak ja.

- Zdradziłeś mu, kim jesteś?

- Uznałem, że potrafi dochować tajemnicy. I dowiedział, że miałem rację. Myślę sobie, że on tak jakby... zginął za mnie. Bym pożył do czasu, gdy Nafai przybył zabrać Indeks z miasta.

To dalece wykraczało poza bagaż życiowych doświadczeń Shedemei. A nawet jej wyobraźni.

- Dlaczego wciąż tam mieszkasz? Czemu nie przeprowadziłeś się gdzieś, gdzie nie jest tak... strasznie?

- Po pierwsze, nie znam miejsca, w którym ktoś taki jak ja mógłby się czuć naprawdę bezpiecznie. Po drugie, w Basilice był Indeks. A teraz, gdy jest tutaj, mam nadzieję, że to miasto pójdzie z dymem. Szkoda tylko, że Moozh nie powybił do nogi tych pyszałków z Psiego Rewiru.

- Indeks był dla ciebie aż tak ważny, że zostałeś w mieście?

- Dowiedziałem się o jego istnieniu w młodości. To była opowieść, jakich wiele, o magicznej kuli, że gdy się ją trzyma, można rozmawiać z Bogiem, a On wtedy musi odpowiedzieć na każde zadane pytanie. Myślałem: cud! A potem zobaczyłem na ilustracji Indeks Palwashantu. Wyglądał dokładnie tak, jak wyobrażałem sobie tę magiczną kulę.

- Ale to przecież żaden dowód. Jedynie dziecięca mrzonka.

- Wiem. I wtedy też to wiedziałem, ale mimowolnie zacząłem się przygotowywać na dzień, gdy wezmę tę magiczną kulę do ręki. Zmiarkowałem, że staram się wymyślić pytania, które warto byłoby zadać Bogu. I, nadal mimowolnie, podejmowałem decyzje, które zbliżały mnie do Basiliki, do miasta, gdzie Palwashantu trzymali swój święty Indeks. A dzięki temu,

że oddałem się nauce, udało mi się ukryć moją... przypadłość. Mój ojciec mawiał: „Powinieneś czasem oderwać się od książek, iść na miasto i znaleźć przyjaciół. I dziewczynę! Jak ty chcesz się kiedyś ożenić, skoro nie znasz żadnych dziewczyn?”. Gdy byłem już w Basilice, nieraz pisałem do niego o mych miłosnych podbojach, by go uspokoić, choć cały czas mi powtarzał, że to, iż basilikanie za każdym razem zawierają związki małżeńskie jedynie na rok, jest wbrew naturze... a on naprawdę nie znosił żadnych aberracji.

- I to cię pewnie bolało.

- Niezupełnie. Bo to jest wbrew naturze. Jestem odcięty od drzewa życia, które widział Volemak, nie jestem ogniwem łańcucha. Stanowię ślepą uliczkę genetyki. Chyba czytałem kiedyś, w pewnym artykule studentki genetyki, że rozsądna wydaje się teza, iż homoseksualizm może być mechanizmem, za którego pomocą natura odsiewa wybrakowane geny. Że organizm potrafi wykryć pewne w inny sposób niedostrzegalne skazy genetyczne i rozpoczyna proces powodujący niedorozwój podwzgórza, wskutek czego homoseksualiści odczuwają silny pociąg seksualny, ale nie potrafią ukierunkować go ku płci przeciwnej. Coś jakby samozasklepiająca się rana w puli genowej. Jesteśmy, jeśli dobrze pomnę określenie użyte w tym artykule, defektem gatunku ludzkiego.

Shedemei oblała się gorącym rumieńcem - co było dla niej niezwykle rzadkim doznaniem. I bardzo nie lubianym.

- To praca studencka. Nigdy nie rozpowszechniałam jej poza środowiskiem akademickim. I to były zwykłe spekulacje.

- Wiem - uspokoił ją.

- Jakim cudem się do tego dogrzebałeś?

- Gdy zmiarkowałem, że mam się z tobą ożenić, przeczytałem wszystko, co napisałaś. Starałem się zrozumieć, co mogę ci powiedzieć, a co powinienem zataić.

- I do jakich wniosków doszedłeś?

- Że najlepiej zachować to w tajemnicy. Dlatego wcale się do ciebie nie odzywałem. I dlatego tak bardzo mi ulżyło, że mnie nie chcesz.

- A jednak odkryłeś się przede mną.

- Bo widziałem, jakie sprawiam ci cierpienie tym, że cię nie pożądam. A nie miałem zamiaru cię krzywdzić. Ale nie wydawałaś mi się osobą, która w ogóle pragnęłaby miłości takiego żalostnego robaka jak ja.

Coraz gorzej.

- Moje nastawienie było aż tak widoczne?

- Wprost przeciwnie. Celowo pograżałem się w swojej odrażającej roli. Czego ja nie

robiłem, by stać się najobrzydliwszą, najtchórzliwszą, najbardziej bezbarwną istotą w tej grupie.

Shedemei, przypominając sobie, jaki los spotkał jego dwóch przyjaciół, pojęła jego zamiar.

- Kamuflujesz się. By pozostać kawalerem, ale nie wzbudzać podejrzeń, musiałeś stać się bezpłciowy.

- Bezbarwny.

- Czemu? Przecież nie jesteśmy już w Basilice.

- Ale ona wciąż pozostaje w naszych sercach i umysłach. Tylko spójrz na tutejszych mężczyzn. Spójrz na Obringa, na Meba. Oni są, przez wyjątkowy brak talentów, z góry skazani na zajmowanie dolnych szczebli każdej możliwej hierarchii. Obaj są agresywni, acz tchórzliwi - pragną być na górze, ale nie mają jaj, by wygrać rywalizację. Są przeto zmuszeni podążać za mężczyznami pokroju Elemaka, Volemaka, nawet Nafaia, choć on jest najmłodszy. Nie potrafią podjąć ryzyka. Wyobraź sobie nagromadzony w nich gniew. A potem wyobraź sobie, co by zrobili, gdyby dowiedzieli się o tym obrzydlistwie, o tym wybryku natury, tym zniewieściałym mężczyźnie - idealnym odzwierciedleniu ich lęków, że sami są tacy sami.

- Volemak nie pozwoliłby zrobić ci krzywdy.

- On nie będzie żył wiecznie. A ja nie powierzam moich tajemnic osobom, które ich nie dochowają.

- Aż tak mi ufasz? - zapytała Shedemei.

- Oddałem życie w twoje ręce. Ale nie, nie ufam ci do końca. Jednak, chcąc czy nie chcąc, jesteśmy zmuszeni być razem. Zrobiłem więc prosty rachunek i podjąłem świadome ryzyko. Postanowiłem powiedzieć ci o tym, bym choć jednej osoby tutaj nie musiał wciąż okłamywać.

- Nakłonię ich, by przestali traktować cię tak... tak nieludzko.

- Nie! - zagrmiał. - Nie możesz. Jako małżeństwo będziemy oboje w lepszej sytuacji, tu miałaś rację. Ale musisz pozwolić mi pozostać niewidzialnym. Uwierz mi, ja wiem najlepiej, jak sobie radzić. Sama mówiłaś, że nawet nie przyszło ci do głowy, że taki jestem. Nie wtrącaj się więc w moją strategię przetrwania i nie próbuj niczego zmieniać, bo inaczej mnie przez ciebie zabiją. Rozumiesz? Jesteś mądra, jesteś jednym z najwybitniejszych umysłów naszych czasów, ale o tych sprawach nie masz zielonego pojęcia i możesz tylko zaszkodzić. Więc się nie wtrącaj!

Mówił z niewiarygodną pasją i siłą. Nie sądziła, że jest do tego zdolny. Nie cierpiała,

jak ktoś tak stanowczo ją strofował. Ale gdy to przemyślała, zamiast reagować emocjonalnie, uświadomiła sobie, że on ma rację. Że w tej dziedzinie naprawdę jest ignorantką i najlepiej będzie, jeśli pozwoli mu nadal radzić sobie z tym tak, jak on uzna za stosowne.

- Dobrze - zgodziła się. - Nic nie powiem i nic nie zrobię.

- Nikt nie oczekuje, że będziesz dumna z takiego męża jak ja - stwierdził bez ogródek.

- Wprost przeciwnie, wszyscy uznają to za szlachetne poświęcenie z twojej strony. Związek ze mną wcale nie nadszarpnie twojej pozycji. Ba, dla nich będziesz kimś w rodzaju bohatera.

Zaśmiała się cierpko.

- Och, Zdorabie, ja sama tak o sobie myślałam.

- Wiem, ale ja to widziałem inaczej. Mieć przywilej obcowania w cztery oczy w tym samym namiocie z jednym z najwybitniejszych umysłów nauki na Harmonii... co noc... nie mając nic innego do roboty poza rozmową!

To było słodkie pochlebstwo, chociaż - z powodów, których do końca nie pojmowała - dostrzegała w tym również tragizm.

- To też pewnego rodzaju małżeństwo, nie uważasz? - ciągnął.

- Nie będziemy mieli dzieci jak reszta, ale będziemy płodzić myśli. Ty możesz mówić mi o swojej pracy, a jeśli czegoś nie zrozumiem, obiecuję, że poduczę się za pomocą Indeksu, aż pojmem. A może i ja będę mógł powiedzieć ci o niektórych moich odkryciach.

- Z miłą chęcią.

- A zatem możemy zostać przyjaciółmi - stwierdził. - To sprawi, że będziemy lepszym małżeństwem niż większość tamtych. Wyobrażasz sobie, o czym rozmawiają Obring z Kokor?

Zaśmiała się.

- Sądysz, że w ogóle rozmawiają?

- Albo weźmy Mebbekewa i Lal: oboje grają komedię, a skrycie gardzą sobą nawzajem.

- Nie, nie sędzę, żeby Lal Mebbekewem gardziła. Ona raczej wierzy w rolę, którą odgrywa.

- Pewnie masz rację. Ale są okropną parą, nie sądzisz? A oni będą mieli dzieci!

- Na samą myśl aż mnie ciarki przechodzą.

Śmiali się, długo i głośno, aż łzy pociekły im po policzkach.

Drzwi namiotu się rozchyliły. Zajrzał Nafai.

- Klasnąłem przy wejściu - rzekł - ale nie słyszeliście. Słyszałem śmiechy i uznałem, że mogę wejść.

Zdorab i Shedemei natychmiast spowaźnieli.

- Jasna sprawa - odparł Zdorab.

- Właśnie omawialiśmy nasze małżeństwo - dodała Shedemei.

Dostrzegła, jak ulga rozlała się po obliczu Nafaia, zupełnie jakby wynurzył się z cienia obłoku.

- A więc jednak bierzecie się do dzieła - ucieszył się.

- Po prostu byliśmy tak uparci, że chcieliśmy poczekać, aż sami wpadniemy na ten pomysł - wytłumaczył Zdorab ze śmiechem.

- W to nie wątpię - stwierdził Nafai.

- A skoro już o tym mowa - ciągnął Zdorab - powinniśmy pójść powiedzieć o tym Rasie i Volemakowi. Zresztą i tak chciałeś skorzystać z Indeksu.

- Chciałem, ale wy jeszcze nie skończyliście.

- Indeks może poczekać - ucięła Shedemei.

Wyszli z namiotu. Zdorab wziął ją za rękę i poprowadził ku ognisku.

- Lal miała pilnować ognia, ale zazwyczaj urywa się wcześniej. Bo wiesz, musi sobie uciąć drzemkę. Ale to nic, kiedyś pozwoliłem Yobarowi dotknąć kociołka i najwidoczniej przekazał reszcie, jakie to uczucie, bo teraz pawiany w ogóle nie podchodzą do ogniska, nawet gdy pachnie tu tak ładnie jak teraz.

Zapach rzeczywiście miło kręcił w nosie.

- Jak nauczyłeś się gotować? - spytała.

- Mój ojciec był kucharzem. Na tyle dobrym, że mógł sobie pozwolić na wysłanie mnie na studia do Basiliki, a wcześniej sporo się od niego nauczyłem o kucharzeniu. Pewnie byłby dumny, wiedząc, co jestem w stanie ugotować w tych nędznych warunkach.

- Chyba że chodzi o wielbłądzi ser.

- Znalazłem zioło, które poprawi jego smak. - Zdorab uniósł pokrywkę kociołka. - Dzisiaj się przekonamy. Dodałem do tego dwa razy więcej sera niż zwykle, ale sądzę, że nikt nie zauważy.

Uniósł łyżkę, z której grudkami spłynęła serowata breja.

- Aż ślinka cieknie - stwierdziła Shedemei.

Zdorab wyczuł ironię w jej głosie.

- Owszem, człowiek ma wystarczające powody, by nieufnie spoglądać na coś, co choćby wygląda jak wielbłądzi ser. Ale skoro przez tyle lat wszyscy lubiliśmy ser, a zbrzydził nam dopiero kilka miesięcy temu, powinno mi się udać ponownie was do niego przekonać, jeśli odpowiednio go przyrządzę. A przecież będziemy potrzebowali sera - to zbyt dobre

źródło białek zwierzęcych dla przyszłych matek i ich pociech, by z niego zrezygnować.

- Widzę, że już wszystko rozplanowałeś - odparła.

- Mam sporo czasu na refleksję.

- W pewnym sensie to ty jesteś prawdziwym przywódcą tej grupy.

- W pewnym sensie lepiej, żebyś nie mówiła tego nikomu innemu, inaczej uznają, że kompletnie ci odbiło.

- Ale to ty decydujesz, co i kiedy będziemy jedli, gdzie będziemy się wypróżniać, co będziemy sadzić w ogrodzie, a do tego służysz nam za przewodnika po meandrach Indeksu...

- I jeśli służę dobrze, nie rzucam się w oczy.

- Bierzesz na siebie odpowiedzialność za nas wszystkich. Nawet nie licząc na pochwały.

- Tak robią wszyscy dobrzy ludzie - odparł. - Właśnie po tym poznać dobrego człowieka. A ja jestem dobrym człowiekiem, Shedy.

- Już to wiem. I powinnam to zrozumieć znacznie wcześniej. Oceniałam wszystkie twoje poczynania jako przejaw słabości, a powinnam wiedzieć, że to mądrość i siła dobrowolnie oddana na użytek nas wszystkich, nawet tych, którzy na to nie zasługują.

Teraz jemu oczy zaszkliły się łzami. Zauważyła to. I wiedziała, że on wie, że zauważyła. Przyszło jej na myśl, że ich małżeństwo będzie czymś o wiele więcej niż tylko fikcją, którą dla nich zaplanowała. Mogło przerodzić się w prawdziwą przyjaźń między dwojgiem ludzi, którzy najmniej spodziewali się znaleźć przyjaciół i towarzyszy podczas tej wyprawy.

Zdorab zamieszał zupę i na powrót nałożył pokrywkę, odwieszając łyżkę na brzeg kociołka.

- To chyba najbezpieczniejsze miejsce, gdzie możemy się spotykać i rozmawiać, jeśli chcemy być z dala od wścibskich uszu - zauważyła. - Bo trudno mi sobie wyobrazić, by ktoś z własnej woli podszedł do ogniska. Bałby się, że zaprzęgna go do pracy.

Zdorab zachichotał.

- Z radością powitam twoje towarzystwo, pod warunkiem że zrozumiesz, iż kucharzenie to sztuka, a ja czasem naprawdę muszę się skupić.

- Może uda mi znaleźć tak inspirujące tematy, że zdarzy ci się przypalić zupę.

- Jeśli będziesz robić to za często, zaczną nas błagać, żebyśmy się rozwiedli.

Roześmiali się.

- Pójdę i powiem cioci Rasie, co ty na to? - zaproponowała Shedemei. - Na pewno już dziś zechce udzielić nam ślubu. Ulży jej jeszcze bardziej niż Nafaiowi.

- A my chcemy jak najwięcej świadków - odparł.

Zrozumiała od razu.

- Zadbamy o to, by wszyscy zobaczyli, że niewątpliwie jesteście mężem i żoną.

W jej słowach kryła się cicha obietnica: Nigdy nikomu nie powiem, że wcale nie jesteście mężem i żoną.

Już się odwróciła, by odejść, ale Zdorab jeszcze ją zatrzymał.

- Shedy... Mów mi Zodya, proszę.

- Oczywiście - odparła. Pierwszy raz słyszała to zdrobnienie. Nikt tak do niego nie mówił.

- I jeszcze jedno.

- Tak?

- Ta twoja praca studencka... Myliłaś się. Co do genetycznych defektów.

- Mówiłam już, że to tylko spekulacje...

- Chodziło mi o to, że wiem, że się myliłaś, bo rozumiem, kim jesteście. Według starożytnych koncepcji, ziemskiej nauki, którą zgłębiałem za pośrednictwem Indeksu, to nie jest żaden wewnętrzny mechanizm ludzkiego ciała. To nie zależy od genów. Tylko od poziomu męskich hormonów w krwiobiegu matki w momencie, gdy podwzgórze przechodzi fazę aktywnego różnicowania i wzrostu.

- Ale to przecież niemal przypadkowe - zauważyła. - To nie miałoby żadnego znaczenia, to byłby czysty przypadek, gdyby ten poziom akurat był niski przez tych kilka dni.

- Nie do końca przypadkowe - odparł. - Ale tak czy inaczej to zbieg okoliczności. Nic nieznaczący, tyle że rodzimy się kalecy.

- Jak Issib.

- Sądzę, że gdy Issib widzi, jak chodzę i jak sprawne mam ręce, z ochotą by się ze mną zamienił. Inna sprawa, że gdy ja widzę go z Hushidh, w dodatku brzemienną, i jak z tego powodu inni darzą go prawdziwym szacunkiem i uznają go za jednego ze swoich, to są takie chwile - tylko chwile, zaznaczam - gdy z ochotą zamieniłbym się z nim.

Pod wpływem impulsu Shedemei ścisnęła mu dłoń, choć raczej nie miała skłonności do takich czułych gestów. To jednak wydało jej się stosowną reakcją, przyjacielską. On odpowiedział tym samym, więc widać postąpiła słusznie. Potem odeszła poszukiwać lady Rasy.

Po drodze naszła ją refleksja: Kto by pomyślał, że tak ucieszą mnie wieści, iż mój przyszły mąż jest zhopem, i że przez to bardziej go polubię? Ostatnimi czasy świat rzeczywiście stoi na głowie.

*

Nafai, zostawszy sam w namiocie po wyjściu Zdoraba i Shedemei, od razu chwycił Indeks - wciąż ciepły od ich rąk - przyciągnął blisko siebie i przemówił wściekle do Nadduszy:

- Cały czas mi powtarzałeś, że to nie ty zesłałeś ojcu sen o drzewie, ale nawet nie raczyłeś wspomnieć, że masz jego odczucia zapisane w pamięci.

- Pewnie, że mam - odparł Indeks. - Byłoby to rażące zaniedbanie z mojej strony, gdybym nie zarejestrował czegoś tak ważnego.

- I wiedziałeś, jak bardzo pragnę snu od Opiekuna Ziemi. Wiedziałeś to!

- Tak - przyznał Indeks.

- Dlaczego więc nie pokazałeś mi snu ojca?

- Ponieważ to był sen twego ojca.

- Przecież już nam go opowiedział, teraz to żadna tajemnica! Chcę zobaczyć, co on widział!

- To niedobry pomysł.

- Dość już mam twojego decydowania, co jest dobrym pomysłem, a co nie. Według ciebie zabicie Gaballufixa było świetnym pomysłem.

- Bo było.

- Dla ciebie. Ty nie masz krwi na rękach.

- Ale mam twoje wspomnienia o tym. I nie najgorzej ci się przysłużyłem, gdy Elemak knuł spisek przeciw tobie.

- Ocaliłeś mi życie, bo chciałeś zachować moje geny w tej twojej żalosnej puli genów.

- Jestem komputerem, Nafaiu. Oczekujesz, że ocalę ci życie, bo cię lubię? Moje pobudki są znacznie bardziej racjonalne niż ludzkie emocje.

- Akurat sympatii od ciebie nie wymagam! Chcę tylko snu od Opiekuna.

- I w tym cały sęk. Bo sen włożony ci do głowy przeze mnie to nie to samo co sen zesłany przez Opiekuna. To tylko zwykła, odtwórcza relacja z pamięci.

- Chcę zobaczyć te ziemskie stworzenia, które widzieli inni. Te szczury i anioły.

- Które oni uważają za ziemskie stworzenia.

- Chcę poczuć smak owocu z drzewa życia!

Nawet wtedy, gdy usta bezgłośnie wyartykułowały słowa, a w jego umyśle sformował się krzyk psychicznego bólu, wiedział, że zachowuje się jak dzieciak. Ale tak bardzo pragnął dowiedzieć się tego, co wiedział jego ojciec, chciał zobaczyć to, co widziała Luet, co przyśniło się Hushidh, co widział nawet generał Moozh i dziwaczna matka Luet, Spragniona.

Chciał wiedzieć, i nie z drugiej ręki, ale jak rzeczywiście to wyglądało, jak brzmiało, jak pachniało, jak smakowało i jakie budziło odczucia. Chciał, musiał to dostać, domagał się tego.

Przeto Naddusza, uznając za niepożądane, by samiec, którego namaścił na docelowego przywódcę tej wyprawy, trwał w tak niespokojnym, a więc nieprzewidywalnym stanie ducha, w końcu przystał na jego żądania.

Na Nafaia to wszystko spłynęło jednocześnie, gdy trzymał Indeks. Mrok z opowieści ojca, postać, która poprosiła, by za nią podążał, długa wędrówka. Tyle że było coś jeszcze, coś, o czym ojciec nie wspomniał - okropne, dokuczliwe poczucie nieprawidłowości, wir niechcianych, nierealnych myśli kłębiących się we wzburzonym, gwałtownym prądzie podprogowym. To nie było tylko pustkowienie, to było mentalne piekło, a pozostanie w nim równało się psychicznej udręce nie do zniesienia.

- Pomiń tę część - polecił. - Poprowadź mnie dalej, zabierz mnie stąd.

Wszystkie odczucia ustały jak na komendę.

- Nie ze snu - zniecierpliwiał się Nafai. - Po prostu pomiń ten nudny fragment.

- Nudny czy nie, Opiekun przesłał go wraz z całą resztą - odparł Indeks.

- Przeskocz do końca, do momentu, gdy coś zaczyna się dziać.

- To nieuczciwe, ale niech ci będzie.

Nafai nie cierpiał, gdy Indeks go pouczał. Naddusza zauważył, że ludzie interpretowali opór i następującą po nim uległość jako droczenie się, przeto od pewnego czasu przekomarzał się z użytkownikami Indeksu, próbując symulować naturalne zachowanie ludzi. Ponieważ jednak Nafai wiedział, że droczy się z nim zwykły komputer, a nie człowiek, nie było to wcale zabawne, lecz nużące. Ale gdy zaczął się na to skarżyć, Indeks oznajmił po prostu, że reszta to lubi i Nafai nie powinien być takim ponurakiem.

Sen powrócił, a Nafai natychmiast pogrążył się we wspomnieniach mroku, wędrówki, pleców przewodnika i tym okropnym strumieniu podświadomości, tak dotkliwym i niepokojącym. Wtem jednak posłyszał głos ojca błagającego tę postać, by mu coś powiedziała, by wywiodła go z tego miejsca. Lecz to wcale nie był głos ojca, tylko obcy tembr, którego Nafai nigdy nie słyszał, choć w myślach postrzegał go jako własny. Ale to była przecież myśl ojca, więc to był jego głos, a nie Nafaia, bo głos Nafaia wcale nie brzmiał podobnie - głos ojca też nie. W końcu Nafai zmiarkował, że to, co słyszy, jest wyobrażeniem jego ojca na temat brzmienia własnego głosu. Rzecz jasna, we śnie ojciec nie słyszałby tego samego głosu, który słyszeli inni. Słyszaliby głos, który wydaje mu się, że słyszy, gdy otwiera usta. Tyle że to nie jest nawet ten głos, lecz znacznie młodszy, głos, który ojciec uznał za

własny, gdy tworzył swą męską tożsamość. Głębszy niż jego prawdziwy tembr, bardziej męski, młodszy.

Sęk w tym, że Nafai nie mógł wyzbyć się głębokiego przekonania, iż jednak to był jego własny głos, a nie ojca. Raptem zrozumiał, że skoro Indeks odtwarza mu własną pamięć odczuć, które sen wywołał u Volemaka, z natury rzeczy ten głos został przefiltrowany przez jego świadomość, będzie przeto nierozzerwalnie związany z tym, jak on postrzega ojca.

Taki był ten podprogowy prąd niepokojących, nonsensownych, zagmatwanych, przerażających myśli. Strumień świadomości ojca, bezustannie oceniającej i ogarniającej, interpretującej i reagującej na sen. Myśli, których ojciec nawet sobie nie uświadamiał, bo jeszcze się nie ujawniły - łącznie z ich strzępami w rodzaju: „To jest sen”, „To pochodzi od Nadduszy” albo „Naprawdę jestem martwy” i „Wcale nie śnię”. Do tego mnóstwo innych sprzecznych myśli, kłębiących się i nakładających na siebie. Gdy nachodziły ojca, wyłaniały się z jego podświadomości, woła porządkowała je, a one reagowały na nią, przestając być myślami, gdy tylko zapragnął przejść do kolejnej. Jednak w umyśle Nafaia, pełnym odtwarzanych przeżyć ojca, te myśli nie reagowały na jego wolę, lecz nakładały się na jego własny strumień świadomości. W głowie przeto huczało mu dwa razy więcej niewypowiedzianych myśli niż zwykle, a połowa z nich w żaden sposób nie reagowała na jego wolę, były więc zarazem rozbiegane i przerażające, albowiem jego umysł nie miał na nie żadnego wpływu.

Postać ze snu uparcie milczała, więc ojciec przestał do niej mówić i głośno wzywał Nadduszę, prosząc o wstawiennictwo. Nafai czuł wstyd, słysząc lęk, niepokój, lament w głosie ojca. Co prawda ojciec wszystkim mówił, że apelował do Nadduszy, ale Nafai nigdy nie słyszał, by jego ojciec zwracał się do kogoś tak błagalnym tonem. To niemal jak zobaczyć ojca w toalecie. Podglądam go. Postrzegam go tak, jak on sam siebie widzi w chwilach największej słabości, zamiast widzieć w nim człowieka, którego pokazuje przed światem, przed synami. Odzieram go z jego jestestwa - źle robię. A może jednak powinienem wiedzieć, jak jest słaby. Nie mogę na nim polegać, na człowieku, który tak poniża się przed Nadduszą, skomle o pomoc, zupełnie jak dziecko...

Ale ja sam błagałem Indeks, by pokazał mi sen ojca! Pewnie wszyscy mężczyźni przeżywają podobne chwile, tylko nikt inny o nich nie wie, bo na zawsze pozostają w granicach ich snów i koszmarów. A ja dowiedziałem się tego o ojcu tylko dlatego, że go podglądam.

W tej właśnie chwili, gdy Nafai miał już poprosić Indeks, by przerwał sen, raptem znalazł się na łące z opowieści ojca. Chciał czym prędzej odszukać drzewo, ale oczywiście

mógł spoglądać jedynie tam, gdzie ojciec wodził wzrokiem podczas snu, i mógł je zobaczyć dopiero wtedy, gdy i ojciec je dostrzegł.

Rzeczywiście było piękne i dawało wielką otuchę po chwilach mroku i szarości. Tyle że Nafai czuł nie tylko własną ulgę, ale także tę narzuconą przez wolę ojca, przeto wcale mu nie ulżyło, poczuł za to większe napięcie, większy zamęt i dezorientację. Jakby tego było mało, ojciec, zamiast podejść do drzewa w normalny sposób, nie wiedzieć jak po prostu się przy nim znalazł. Myślał, że idzie, ale tak naprawdę - szast-prast i już był pod drzewem.

Nafai poczuł, że ojciec pragnie owocu, że rozkoszuje się jego zapachem. Ponieważ jednak trochę kręciło mu się w głowie od tego raptownego przemieszczenia w stronę drzewa i od nieustannego prądu podświadomości w myślach ojca, zapach ten nie obudził w nim żadnego pragnienia. Już prędzej zrobiło mu się niedobrze. Ojciec zerwał owoc i skosztował. Nafai czuł, że ojcu zdał się przepyszny, a przez chwilę, gdy ten smak pojawił się w umyśle Nafaia, rzeczywiście był taki, wyśmienity, wprost wyborny, z intensywnością słodczy przekraczającą wszelkie wyobrażenia. Lecz niemal natychmiast to odczucie ustąpiło miejsca reakcji ojca, jego skojarzeniom względem smaku i zapachu owocu. Reakcje były tak silne, ojciec tak bardzo rozpływał się nad tym smakiem, że jego uczucia wymknęły się spod kontroli, a Nafai nie potrafił ich opanować. Sprawiały mu fizyczny ból. Był przerażony. Krzyknął do Indeksu, by przerwał sen.

Tak też się stało. Osunął się na dywan, łkając, próbując wyprzeć obłąd z umysłu.

I po chwili uwolnił się od natłoku myśli.

- Teraz rozumiesz, jaki mam problem, chcąc wyrażnie komunikować się z ludźmi? - usłyszał. - Muszę formułować swoje pomysły w jasnych i głośnych słowach, a nawet wtedy większość z nich sądzi, że słyszy własne myśli. Indeks umożliwia prawdziwą wyrazistość komunikacji z ludźmi. Tylko z tobą i z Luet porozumiewam się lepiej niż z resztą. - Głos Indeksu zamilkł na chwilę. - Myślałem, że zwariujesz. Bardzo niedobrze się działo w twojej głowie.

- Ostrzegłeś mnie.

- Ale nie ostrzegłem cię przed tym wszystkim, bo nie wiedziałem, że tak będzie. Nigdy wcześniej nie wkładałem snu jednej osoby do głowy kogoś innego. I już tego nie powtórzę, nawet jeśli ktoś się pogniewa, że odmówiłem.

- Popieram. W całej rozciągłości - odparł Nafai.

- Nieładnie się zachowałeś, oceniając ojca w ten sposób. On jest bardzo silnym i dzielnym człowiekiem.

- Wiem. Jeśli przysłuchiwałeś się temu, wiesz, że to zrozumiałem.

- Chciałem się upewnić, że nie zapomniałeś. Ludzka pamięć jest bardzo zawodna.

- Zostaw mnie samego - jęknął Nafai. - Nie chce mi się teraz rozmawiać ani z tobą, ani z nikim.

- To puść Indeks. Zawsze możesz po prostu odejść.

Nafai odsunął ręce od Indeksu, przeturlał się, podniósł na nogi. Zrobiło mu się słabo.

Chwiejnym krokiem opuścił namiot. Na zewnątrz natknął się na Issiba i Mebbekewa.

- Właśnie idziemy na kolację - oświadczył Issib. - Jak poszło z Indekssem? Udana sesja?

- Nie jestem głodny - wystękał Nafai. - Nie czuję się najlepiej.

Mebbekew parsknął znacząco. Dla Nafaia brzmiało to niemal jak dźwięk wydawany przez pawiany - sapanie i pisk w jednym.

- No nie, nie mówcie, że i Nafai zamierza wymigiwać się od pracy, cały czas tłumacząc się chorobą. Ale cóż, Luet się udało, więc najwidoczniej uznał, że i jemu nie zaszkodzi spróbować, nie?

Nafaiovi nawet nie chciało się odpowiadać. Słaniając się na nogach, powlókł się w stronę swojego namiotu. Muszę się przespać, pomyślał. Właśnie tego mi trzeba.

Jednak gdy już opadł na posłanie, zdał sobie sprawę, że nie zaśnie, choćby próbował. Był zbyt pobudzony, zbyt oszołomiony, wirowało mu w głowie i nie mógł myśleć, ale zarazem nie potrafił przestać.

Wybiore się na polowanie, postanowił. Wyjdę z obozu i znajdę jakieś bezbronne zwierzątko, zabiję je, obedrę ze skóry i wyrwę mu flaki, a na pewno poczuję się lepiej, bo takim właśnie jestem człowiekiem. A może, gdy odór bebechów zakręci mi w nosie, zwymiotuję i dopiero wtedy poczuję się lepiej.

Nikt nie zauważył, jak opuszczał obóz - gdyby go widzieli, zataczącego się, z pulsatorem w dłoni, najpewniej by go zawrócili. Przemierzył strumień i podszedł pod wzgórze po drugiej stronie. W ogóle nie wybierali się na łowy w tym kierunku, ponieważ nieopodal, na urwiskach, sypiały pawiany, a jeśli zapuściliby się zbyt daleko w tę stronę, zbliżyliby się do wioski w dolinie zwanej Luzha i mogliby kogoś spotkać. Nafai jednak nie myślał teraz logicznie. Pamiętał tylko, że kiedyś był już na drugim brzegu strumienia i stało się coś cudownego, a teraz chciał to doświadczenie powtórzyć. Albo zginąć. Bez różnicy.

Powinienem poczekać, upominał się raz po raz, gdy w jego umyśle przejaśniło się na tyle, że wiedział, o czym myśli. Gdyby Opiekun Ziemi chciał wysłać mi sen, tak by zrobił. A nawet gdyby nie wysłał, powinienem uzbroić się w cierpliwość. Przepraszam. Chciałem po prostu sam się o tym przekonać, ale powinienem czekać. Teraz już potrafię znieść

oczekiwanie, tyle że na pewno już nie wyślesz mi snu, prawda? Bo nie byłem uczciwy, posłużyłem się oszustwem i nie jestem godzien... więcej, już na zawsze pozostanę chory na umyśle i ani ty, ani Naddusza, ani Luet, ani nikt inny nie będzie miał ze mnie żadnego pożytku. Równie dobrze mogę więc rzucić się gdzieś z urwiska i umrzeć.

Zapadał już zmrok, gdy zmiarkował, że nie ma pojęcia, gdzie się znajduje ani jak daleko zawędrował. Wiedział tylko tyle, że siedzi na jakiejś skale na grzbiecie wzgórza - z czego łatwo mógłby skorzystać jakiś bandyta szukający ofiary albo myśliwy polujący na zdobycz. I choć trzymał głowę w dłoniach i wbijał wzrok w ziemię, przeczuwał, że naprzeciwko ktoś siedzi. Ktoś, kto nie odezwał się ani słowem, ale uważnie go obserwował.

- Powiedz coś - wymamrotał Nafai. - Albo mnie zabij i miejmy to już z głowy.

- Uu. Uu-uu - ozwał się nieznajomy.

Nafai podniósł wzrok.

- Yobar!

Małpa zakołysała się z lekka i kilka razy wydarła się po swojemu, najwyraźniej szczęśliwa, że ją rozpoznało.

- Nie mam dla ciebie nic do jedzenia - westchnął Nafai.

- Uu! - radośnie zahuczał Yobar. Zapewne po prostu cieszył się, że ktoś poświęca mu trochę uwagi, skoro stado go wypędziło.

Nafai wyciągnął rękę ku pawianowi, a Yobar podszedł śmiało i położył przednią łapę na dłoni człowieka.

I w tej chwili Yobar przestał być pawianem. Nafai widział go teraz jako uskrzydłone zwierzę, o obliczu zarazem groźniejszym i inteligentniejszym niż małpy. Jedno skrzydło napięło się i rozpostarło, a drugie nie, ponieważ była nim łapa spoczywająca w dłoni Nafaia. Skrzydlate zwierzę, które zajęło miejsce Yobara, przemówiło, lecz Nafai nie rozumiał tego języka. Stworzenie - anioł - ozwało się ponownie, ale teraz Nafai zrozumiał, że ostrzegało go przed niebezpieczeństwem.

- Co mam uczynić? - zapytał.

Anioł rozejrzał się wokół, poruszył się niespokojnie i wtem, chyba przerażony, puścił dłoń Nafaia, wzbił się w górę i jął zataczać kręgi w powietrzu.

Nafai usłyszał skrobanie o skałę. Spojrzał w dół na otaczające go kamienie i zobaczył sześć dużych, groźnych stworzeń. Szczurów ze snów, które przyśniły się innym. Cięższych i na oko silniejszych niż pawiany, a Nafai wiedział z opowieści pustynnych wędrowców, że te małpy zdecydowanie przewyższają siłą rosnącego człowieka. Zębiska szczurów wyglądały groźnie, lecz ręce - bo to były ręce, a nie szczurze łapki - wręcz straszne, zwłaszcza że kilka

tych stworzeń dzierżyło kamienie i było gotowych nimi rzucić.

Nafai pomyślał o pulsatorze. Ile zdążyć zabić, nim trafią mnie kamieniem i powalą? Dwa? A może trzy? Lepiej umrzeć, walcząc, niż dać się pokonać bez walki, nie zadając im żadnych strat.

Lepiej? A to niby dlaczego? Dość, że zabiję jednego. Cóż osiągnę, uśmiercając ich więcej, poza tym że tylko je upewnię, że słusznie zrobiły, zabijając mnie?

Położył przeto pulsator na ziemi przed sobą, oparł dłonie na kolanach i czekał.

One również. Nie odłożyły kamieni. Anioł nadal krążył w górze, wydając przenikliwe wrzaski.

Raptem Nafai uświadomił sobie, że ma coś w dłoni. Rozwarł palce i zobaczył, że trzyma jakiś owoc. Rozpoznał jeden z owoców z drzewa życia. Podniósł go do warg i skosztował. I... ach! Było dokładnie tak, jak mówił ojciec, jak Nafai czuł wcześniej ledwie przez chwilę, najwyśmienitsze doznanie, jakie potrafił sobie wyobrazić. Tym razem jednak nie towarzyszyły mu dezorientacja, zamęt, dysonans; czuł wewnętrzny spokój - był uleczony.

Odjął owoc od ust i wyciągnął go ku najbliższemu szczurowi.

Zwierz popatrzył na rękę Nafaia, potem w górę na jego twarz i znowu spuścił wzrok.

Nafai chciał położyć owoc przed szczurem i pozwolić mu go podnieść, ale uzmysłowił sobie, że źle by zrobił, gdyby pozwolił zetknąć się tej słodczy z ziemią, gdyby zmusił szczura do podniesienia jej, niczym przejrzałego gnijącego owocu samoistnie opadłego z drzewa. Należało go wziąć z ręki. Ten owoc zawsze powinno się brać prosto z gałęzi albo z czyjejś dłoni.

Szczur poruszył nosem, podszedł bliżej i dalej węszył. Potem wziął owoc z dłoni Nafaia i wgryzł się w soczysty miąższ. Ovoc trysnął sokiem - kilka kropli opryskało twarz Nafaia - i zwierz zastygł w bezruchu jak skamieniały. Czyżbym go otruił? - pomyślał Nafai. Czyżbym jakimś trafem zabił go tym owocem? Przecież nie chciałem.

Nie, szczur nie był otruty, tylko osłupiały z wrażenia. Nagle z jego gardła dobył się nagły dźwięk, a zaraz potem zwierz pomknął do najbliższego pobratymca, który zębami wyjął owoc z jego zębów. I tym sposobem jeden owoc krążył pomiędzy szczurami, aż po zatoczeniu pełnego koła wrócił do pierwszego, który podszedł do Nafaia i wyciągnął ku niemu pysk z ogryzkiem owocu, wciąż niedojedzonym.

Nafai sięgnął po owoc ręką i natychmiast wsadził go do ust przerażony myślą, jak będzie teraz smakował, jednak nie mógł postąpić inaczej. Na szczęście okazało się, że owoc w ogóle nie ucierpiał. Jeśli już, stał się jeszcze słodszy, bo się nim podzielono.

Nafai połknął. Wówczas dopiero reszta poszła za jego przykładem i również

przełknęła sok i kawałki owocu.

Stworzenia zbliżyły się i złożyły u stóp Nafaia kamienie, które dotąd trzymały w pogotowiu. Zrobił się z tego okazały stos. Czternaście kamieni. Potem szczury rozpierzchły się pomiędzy skałami.

W okamgnieniu anioł zanurkował w dół, okrążył Nafaia z wściekłym skrzekiem, gwałtownie łopocząc skrzydłami, wylądował mu na ramionach i otulił go skrzydłami.

- To znaczy, że jesteś zadowolony, mam nadzieję.

Anioł nie odpowiedział nic i odleciał.

Nafai wstał. Wcale nie znajdował się na zboczu skalistego szczytu, ale na polanie, opodal drzewa. Zobaczył, że blisko płynie rzeka, a wzdłuż niej biegnie ścieżka otoczona żelazną balustradą. Widział wszystko to, co zobaczył jego ojciec we śnie, łącznie z gmachem na drugim brzegu.

Wtem, gdy spodziewał się, że sen się skończy, perspektywa uległa zmianie. Widział teraz siebie stojącego pośród wielkiej rzeszy ludzi, aniołów i szczurów, a wszyscy wodzili oczami za jasnym światłem zstępującym z niebios. Oni czekali, zrozumiał Nafai. I się doczekali, bo właśnie przybył Opiekun Ziemi.

Nafai chciał podejść bliżej, ujrzeć oblicze Opiekuna Ziemi. Lecz światło było zbyt jaskrawe. Dostrzegł zarys czterech kończyn i głowy, lecz poza tym nic, bo blask go oślepiał, zupełnie jakby Opiekun Ziemi był gwiazdą, słońcem.

Musiał wreszcie przymknąć powieki, pomrugać, by uśmierzyć ból od patrzenia w słońce. Gdy je otworzył, wiedział, że jest wystarczająco blisko, by ujrzeć oblicze Opiekuna.

- Uu.

Patrzył wprost w pysk Yobara.

- Sam jesteś „uu” - wyszeptał Nafai.

- Uu-uu.

- Już prawie ciemno - rzekł Nafai. - Nieźle zgłodniałeś, co?

Yobar przysiadł wyczekująco.

- Spróbuję coś dla ciebie znaleźć.

Nie było to trudne, nawet o wieczorze, gdyż po tej stronie doliny zajęcy było pod dostatkiem. Gdy noc zapadła na dobre, Yobar szarpał truchło zębami, wylizywał kosteczki, rozłupał nawet czaszkę kamieniem, by dobrać się do mózgu. Ręce i twarz miał całe we krwi.

- Jeśli masz choć trochę rozsądku - stwierdził Nafai - to w te pędy wrócisz do swoich z resztą mięsa i ubrudzony krwią, by jakaś samica się z tobą zaprzyjaźniła i pozwoliła ci pobawić się z jej dzieckiem. Może znowu zostaniesz pełnoprawnym członkiem stada.

Mało prawdopodobne, że Yobar go zrozumiał, ale starał się ukryć resztki zająca przed Nafaiem, przygotowując się, by je zabrać i wziąć nogi za pas. Nafai ułatwił mu zadanie, odwracając się nieco. Yobar skorzystał z okazji i uciekł.

- Dobrze wykorzystaj tę zajączą krew, przyjacielu - rzekł Nafai pod nosem. - Dziś ujrzałem Opiekuna Ziemi, i to ty nim jesteś.

Pożałowawszy od razu tej lekceważącej myśli, przemówił w myślach do Opiekuna Ziemi - albo do Nadduszy, albo do nikogo, sam nie wiedział. Dziękuję, że pozwoliłeś mi zobaczyć to, co widział ojciec. Dziękuję, że pozwoliłeś mi być jednym z tych, którzy wiedzą.

A teraz nie obraziłbym się, gdyby ktoś mi pomógł znaleźć drogę do domu.

Czy to za sprawą Nadduszy, czy raczej dzięki własnej pamięci i tropicielskim talentom wrócił do obozu, jeszcze zanim na niebie pojawił się księżyc. Luet zamartwiała się o niego - podobnie jak inni. Odroczyli nawet ślub Shedemei i Zdoraba, ponieważ uznali, że nie powinno się przeprowadzać ceremonii, gdy Nafai może znajdować się w niebezpieczeństwie. Teraz jednak, gdy powrócił, nic nie stało na przeszkodzie zaślubin, a nikt nie pytał go, gdzie się podziewał ani co robił, jakby wiedzieli, że było to coś zbyt dziwnego, cudownego bądź okropnego, by o tym mówić.

Dopiero później, gdy leżał już w łóżku przy Luet, opowiedział o wydarzeniach tego wieczoru. Najpierw o tym, jak nakarmił Yobara, a później o śnie.

- Wygląda na to, że wszyscy zasną dziś zadowoleni - stwierdziła Luet.

- Nawet ty? - zapytał.

- Wróciłeś do mnie cały i zdrowy, więc nie mogę narzekać.

Pulsatory

Obóz w Dolinie Mebbekewa opodal Rzeki Elemaka był ich domem dłużej, niż pierwotnie planowali. Najpierw musieli poczekać na zakończenie żniw. Potem, pomimo przeciwwymiotnych ziół, o których Shedemei dowiedziała się z Indeksu, Luet była bardzo osłabiona i Rasa uważała, że wędrówka by naraziła jej życie. A zanim Luet przestały doskwierać poranne nudności i odzyskała nieco wigoru, wszystkie trzy ciężarne - czyli ona, Hushidh i Kokor - miały już na tyle pokaźne brzuchy, że podróż byłaby dla nich prawdziwym utrapieniem. Do grona ciężarnych dołączyły tymczasem Sevet, Eiadh, Lal i sama lady Rasa. Co prawda żadna nie chorowała tak jak Luet, ale nie paliły się też do tego, by dosiąść wielbłądów i całe dnie na nich jeździć, a potem nocą rozbijać namioty i rano z powrotem je zwijać, żyjąc o twardych sucharach i wodzie, suszonym mięsie i takimże arbuzie.

Pozostali w obozie przeszło rok, póki cała siódemka dzieci nie przyszła na świat. Tylko dwie pary doczekały się synów. Volemak i Rasa nadali swemu imię Oy kib, po ojcu Rasy, a Elemak i Eiadh nazwali pierworodnego Protchnu, co znaczyło „wytrzymały”. Eiadh nie omieszkła napomknąć, że tylko Elemak okazał się równie męski jak Volemak, gdyż dał jej syna, biorąc przykład z ojca, który spłodził samych mężczyzn. Reszta puszczała jej przechwałki mimo uszu i cieszyła się z córek.

Luet i Nafai ochrzczili swoje maleństwo imieniem Chveya, gdyż zespoliła ich w jedność. Pierworodna Hushidh i Issiba była pierwszym potomkiem nowego pokolenia i otrzymała proste imię Dza, ponieważ stanowiła odpowiedź na wszystkie pytania ich życia. Kokor i Obring wybrali dla córki imię Krasata, oznaczające „piękność”, modne w Basilice. Z kolei Vas i Sevet postanowili nazwać córkę Vasnaminanya, po części dlatego, że oznaczało „wspomnienie”, ale również ze względu na podobieństwo do imienia Vasa; rodzice zdrobniale zwali ją Vasnya. A Mebbekew i Lal dali córce imię Basilikya, na pamiątkę miasta, które wciąż nosili w sercu i o którym marzyli. Wszyscy wiedzieli, że zgodnie z zamiarem Meba to imię miało być dokuczliwym cierniem w boku tych, którzy siłą wyciągnęli go na pustynię, przyjęło się więc używać przydomku, który wymyślił dla niej Volemak - Syelsika, czyli „wieśniaczka”. To oczywiście złościło Meba, ale szybko zrozumiał, że nie ma sensu oponować, bo dawał tylko reszcie powód do śmiechu.

I tak Oy kib i Protchnu, Chveya i Dza, Krasata, Vasnya i Syelsika pewnego chłodnego poranka, przeszło rok po tym, jak ich rodzice zebrali się w Dolinie Mebbekewa, zostali owinięci w luźne ubrania podróżne i ułożeni w nosidełkach przewieszonych na ramionach matek. Kobiet, z wyjątkiem Shedemei, chwilowo nie angażowano w zwijanie obozu, choć wkrótce, gdy dzieci trochę podrosną, będą musiały powrócić do dawnych obowiązków. Mężczyźni zaś, teraz już krzepcy, ogorzali i zahartowani przez rok życia i pracy na pustyni, trochę popisywali się przed żonami, dumni z potomków, czując wielką odpowiedzialność za życie i zdrowie rodziny.

Wszyscy prócz Zdoraba, rzecz jasna, który jak zwykle był cichy i nie rzucał się w oczy. Jego żona nie miała dziecka. Ta para czasem zdawała się znikać z pola widzenia. Jako jedyni w tej wspólnocie nie byli związani z Rasą i Volemakiem - ani przez krew, ani przez rodzinę; oni jedyni nie mieli dzieci; byli też znacznie starsi od reszty przedstawicieli ich pokolenia, z wyjątkiem Elemaka; nikt nie ośmieliłby się powiedzieć, że nie są równorzędnymi uczestnikami tej wyprawy, ale zarazem nikt tak naprawdę nie uważał, że są.

Gdy grupa zbierała się do wyjazdu, Luet, z Chveyą śpiącą w nosidełku, wzięła przejrzałego arbuza, położyła go na ramieniu i zaniósła do stada pawianów. Małpy zdawały się pobudzone i niespokojne, co nie dziwiło, bo z obozu ludzi dobiegała wrzawa. Gdy Luet przekroczyła granicę ich żerowiska, zaczęły ją z zaciekawieniem obserwować. Niektóre samice podeszły do niej, by zobaczyć dziecko. Już wcześniej pozwalała im dotykać Chveyi, choć oczywiście nie mogła pozwolić, by bawiły się z nią tak jak ze swoim potomstwem - Chveya była zdecydowanie zbyt delikatna dla ich nieostrożnych pieśczoł.

Jednak Luet szukała konkretnego samca. Zauważyła go, jak tylko odeszła od zaciekawionych samic. Yobar, niespełna rok temu wyrzutek, blisko zaprzyjaźnił się z najstarszą córką nestorki stada; osiągnął najwyższe uznanie, jaki zdobyć mógł samiec w tym mieście kobiet. Luet podeszła do niego z arbuzem. Potem, odwracając się nieco, by Yobara nie wystraszyć, rozłupała owoc o skałę.

Tak jak się spodziewała, Yobar odskoczył do tyłu, ale zaraz podszedł zainteresowany. Mogła mu teraz pokazać to, co tak skrzętnie skrywali przed pawianami przez rok obozowania tutaj. Sięgnęła po kawałek skórki, do której wciąż przylegało sporo mięszu, i wpiła się w niego zębami, głośno mlaszcząc.

Odgłos jedzenia zwabił inne pawiany. Yobar - tak jak się spodziewała - poszedł za jej przykładem i zaczął jeść kawałek arbuza. Skórka czy miąższ - było mu obojętne, pożarł wszystko z równym apetytem. Gdy się najadł, zaczął skakać dokoła, wydając małpie odgłosy i radośnie powrzaskując, czym przekonał inne - szczególnie młode samce - by podeszły i

skosztowały owocu.

Luet wycofała się powoli i odeszła.

Usłyszała za sobą miękki tupot. Obejrzała się; to Yobar szedł za nią. Tego się nie spodziewała, lecz Yobar zawsze ją zaskakiwał. Był naprawdę inteligentny i ciekawski i to go wyróżniało nawet wśród zwierząt, które inteligencją tylko trochę ustępowały ludziom, a pod względem ciekawości i chęci do nauki czasem nawet ich przewyższały.

- Skoro chcesz, to chodź - powiedziała.

Poprowadziła go w górę rzeki, do ogrodu, gdzie pawianom dotychczas odmawiano wstępu. Na pnączach wciąż wisiały ostatnie arbuzy z trzeciego siewu, niektóre dojrzałe, inne dopiero dojrzewające. Na skraju ogrodu Yobar przystanął niepewny, małpy bowiem już dawno temu nauczyły się respektować tę niewidzialną granicę. Lecz Luet dała mu znak ręką i ostrożnie wkroczył do ogrodu.

- Jedzcie je dopiero, gdy będą tak wyglądać - tłumaczyła Luet. - Gdy będą tak pachnieć.

Podsunęła mu pod nos dojrzałego arbuza. Obwąchał owoc, zerwał z łodygi, a potem grzmotnął nim o ziemię. Zjadł kęs i radośnie zahuczał.

- To jeszcze nie koniec lekcji - upomniała Luet mentorskim tonem. - Musisz się skupić.

Podsunęła mu kolejnego arbuza, tym razem niedojrzałego, pozwoliła mu go obwąchać, ale nie dała do ręki.

- Nie, tych nie jedzcie. Nasiona są jeszcze niedojrzałe, a jeśli będziecie jedli arbuzy, gdy wyglądają tak jak ten, to zapomnijcie o następnych zbiorach.

Odłożyła niedojrzały owoc za siebie i wskazała roztrzaskany, leżący w kawałkach wokół stóp Yobara.

- Jedzcie tylko dojrzałe. Shedemei twierdzi, że nasiona przejdą w całości przez wasz układ trawienny, zakiełkują w waszych odchodach i pięknie urosną. Arbuzów już nigdy wam nie zbraknie, o ile nauczysz innych, by jedli dojrzałe. Jeśli nauczysz ich czekać.

Yobar uważnie jej się przyglądał, choć minę miał nietęgą.

- Ni w ząb nie rozumiesz, co do ciebie mówię - stwierdziła. - Co nie znaczy, że nie rozumiesz lekcji, prawda? Bystry jesteś. Ogarniesz to. I nauczysz innych, zanim przeniesiesz się do innego stada, co? To jedyny podarek, który możemy wam zostawić. Niech to będzie nasz czynsz za korzystanie z waszej doliny przez ostatni rok. Proszę, przyjmij go od nas i zrób z tego dobry użytek.

Wydał z siebie krótki małpi wrzask.

Luet podniosła się i odeszła. Wielbłądy były już gotowe, wszyscy czekali już tylko na nią.

- Pokazywałam Yobarowi ogród - tłumaczyła się.

Kokor oczywiście przewróciła oczami, ale Luet ją zignorowała - dla niej znaczenie miały uśmiech Nafaia, skinienie głowy Hushidh i lakoniczna pochwała Volemaka.

Na komendę wielbłądy chwiejnie podniosły się z ziemi, dźwigając namioty i zapasy, suche skrzynie oraz chłodziarki pełne nasion i embrionów, a przede wszystkim nie szesnaścioro, lecz już dwadzieścioro troje ludzi. Jak zeszłej nocy zauważył Elemak, byłoby dobrze, gdyby Naddusza przywiódł ich do celu, zanim dzieci tak urosną, że nie będą mogły jeździć razem z matkami, w przeciwnym razie lepiej niech znajdzie im więcej wielbłądów po drodze.

*

Przez pierwsze dwa dni podążali na północny wschód, tym samym szlakiem, którym wcześniej uchodzili z Basiliki. Minął już jednak rok od momentu, gdy obrali tę drogę, i nic nie wydawało się znajome.

Późnym popołudniem drugiego dnia podróży Mebbekew jechał jakiś czas obok Elemaka.

- Minęliśmy miejsce, gdzie skazałeś go na śmierć, nie?

Elemak odpowiedział dopiero po chwili.

- Nie, nie minęliśmy i nie miniemy w ogóle.

- Zdawało mi się, że je widziałem.

- No właśnie, zdawało ci się.

Jechali w ciszy przez kilka kolejnych chwil.

- Elemaku, kto by nas zatrzymał, gdybyśmy zabrali nasze namioty i zapasy na trzy dni, a potem zawrócili ku Basilice?

Czasem Elemak odnosił wrażenie, że krótkowzroczność Mebbekewa zakrawa na głupotę.

- Widać zapomniałeś, że nie mamy żadnych pieniędzy. Zapewniam cię, że już lepiej być biedakiem tu, na pustyni, niż w Basilice, bo tam to, czy przeżyjesz, czy nie, będzie obchodziło Nadduszę tyle, co zeszłoroczna burza piaskowa.

- A tutaj dba o nas wprost świetnie! - zadrwił Meb.

- Przez ponad rok żyliśmy w miejscu, gdzie wody było pod dostatkiem, i ani razu żaden podróżny, rabusie, uciekające pary czy rodziny na wakacjach nawet się do nas nie zbliżyli.

- Wiem, wiem, równie dobrze moglibyśmy żyć na innej planecie, i to kompletnie odludnej. A powiem ci, gdy Lalya była tak ciężarna, że ledwo się ruszała, nawet samice pawianów zaczęły mi się podobać.

Mebbekew zawsze wydawał się miernotą, ale teraz już przechodził samego siebie.

- Czemu mnie to nie dziwi? - zakpił Elemak.

Meb rzucił mu gniewne spojrzenie.

- Tylko żartowałem, ty głupi pizduku.

- A ja nie.

- A więc zaprzedałeś duszę, czy tak? Jesteś teraz synalkiem tatusia? I nagle polubiłeś Nafaia, tak?

Niechęć Mebbekewa wobec Nafaia była w pełni zrozumiała, skoro chłopak tak wiele razy go wystrychnął na dudka. Elemak jednak już dawno temu postanowił tolerować Nafaia, dopóki dzieciak nie będzie się wychylał i będzie przydatny. Tylko to w tej chwili naprawdę obchodziło Elemaka - czy dana osoba przyczynia się do przetrwania ogółu. Żony Elemaka i jego dziecka. I nie zaszkodziłoby, gdyby Mebbekew raczył sobie przypomnieć, że Nafai udowadniał swoją przydatność o wiele częściej niż on.

- Ponad rok przeżyliśmy razem - odparł Elemak. - Przez ten czas jadałeś mięso zwierząt, które Nafai zabijał, tydzień w tydzień, przez cały rok, i nadal uważasz, że jest tylko ulubieńcem ojca?

- Och, wiem przecież, że jest kimś więcej. Wszyscy to wiedzą. Ba, większość z nas ma świadomość, że on jest wart więcej od ciebie.

Mebbekew najwyraźniej dostrzegł coś w oczach Elemaka, bo oddalił się i przez pewien czas jechał w jednej linii tuż za bratem.

Elemak wiedział, że Meb starał się go obrazić i rozsierdzić, lecz nie miał zamiaru dać mu tej satysfakcji. Doskonale rozumiał, czego Mebbekew pragnie - ucieczki od małżeństwa i płaczu dziecka oraz powrotu do miasta, bo tęsknił za łaźniami i toaletami, tamtejszą kuchnią i sztuką, a nade wszystko - za niezliczonymi łatwymi kobietami. Meb zapewne poradziłby sobie w Basilice i bez pieniędzy; Lal także znalazłaby tam dostatnie życie, korzystając ze swej niemal legendarnej sławy jako aktorki. Dla nich obojga Basilika byłaby o wiele lepsza niż wszystko, co czekało całą grupę koczowników w najbliższej przyszłości.

Ale to już nierealne, pomyślał Elemak. Klamka zapadła z chwilą, gdy Naddusza mnie ośmieszył. Aluzja była jasna: tylko spróbuj podnieść rękę na Nafaia, a sprawię, że będziesz bełkotał i mamrotał jak przygłup, nie potrafiąc zawiązać nawet prostego węzła. A gdybym teraz chciał zmienić kierunek wyprawy, musiałbym poradzić sobie z nowym oporem. Nie ze

strony Nafaia, tylko ojca. O nie, nie ma odwrotu. Zresztą w Basilice nie miałbym żadnych perspektyw. Mnie nie zadowala skakanie z kwiatka na kwiatek, z łóżka na łóżko i życie na koszt tej czy innej kobiety. Ja chcę wiedzieć, że gdy mówię, ludzie słuchają. A bez pieniędzy akurat na to nie mam szans.

Co więcej, Elemak kochał Eiadh i był dumny z ich małego Proyi, i lubił życie na pustyni. A gdyby powrócił jednak do Basiliki, prędzej czy później Eiadh nie odnowiłaby z nim kontraktu małżeńskiego. Wówczas na powrót znalazłby się w niegodnej mężczyzny sytuacji - musiałby szukać żony tylko i wyłącznie po to, by utrzymać się w mieście. To byłaby czysta udręka. Mężczyźni powinni żyć właśnie tak jak teraz, w trwałym związku, z żoną i dziećmi. Nie zamierzał rozbijać własnej rodziny. Przestał marzyć o Basilice, tęsknić za nią, ponieważ godne życie w tym mieście było dla niego nieosiągalne.

Tylko Meb i Lalya wciąż żyli głupią nadzieją na powrót. A byli tak bezużyteczni, że cała grupa nic by nie straciła, gdyby odeszli.

Gdy więc tego dnia wraz z ojcem rozglądali się za dogodnym miejscem do noclegu, Elemak poruszył tę kwestię.

- Meb i Lalya wciąż chcą wrócić do Basiliki.

- Zupełnie mnie to nie dziwi - odparł Volemak. - Niektórzy mają tylko jeden cel w życiu i nie potrafią o nim zapomnieć.

- Nie mamy z nich prawie żadnego pożytku.

- Więcej niż z Kokor.

- Tak, no cóż, ona jest bezkonkurencyjna.

- Żadne z nich nie jest tak całkiem do niczego - stwierdził ojciec. - Może nie pracują tak ciężko jak inni, ale potrzebujemy ich genów. Potrzebujemy ich dzieci w naszej wspólnocie.

- Żyłoby nam się o wiele łatwiej... byłoby mniej konfliktów i powodów do irytacji... gdyby...

- Nie.

Elemak się zagotował. Jak ojciec śmie przerywać mu w pół zdania!

- Nie ja tu decyduję - przypomniał Volemak. - Gdyby to ode mnie zależało, pozwoliłbym wrócić każdemu, kto tego chce. Ale tych ludzi wybrał Naddusza.

Elemak poddał się natychmiast, jak tylko ojciec wspomniał o Nadduszy. To bowiem zawsze oznaczało, że sensowna część dyskusji dobiegła końca.

Gdy rozbili obóz na noc, Elemak postanowił, że gdyby podczas jego zmiany na warcie Meb i Lalya chcieli uciec, postara się tego nie zauważyć. Drogę znaleźliby bez większego

trudu - trasa przez pustynię w tych stronach nie stanowiła wielkiego wyzwania, a z całej podróży właśnie teraz mieli największą szansę, by powrócić na łono cywilizacji. Szansę nie aż tak dużą, co prawda, bo jak zawsze istniało ryzyko natknięcia się na bandytów. Może nawet większe niż wcześniej, skoro teraz w Basilice rządził Moozh, który zapewne przepędził oprychów i warcholów poza mury miasta. Może Naddusza ustrzeże tych dwoje od złego, a może nie. Cokolwiek miało się stać, Elemak nie zamierzał ich powstrzymywać. Jeśli podejmą próbę ucieczki.

Ale nie podjęli. Elemak nawet stał na warcie dłużej niż zwykle, ale tamci nie wymknęli się cichaczem z namiotu i nie próbowali ukraść wielbłąda czy dwóch. W końcu, znudzony oczekiwaniem, obudził Vasa, który miał zmienić go na warcie, i poszedł spać przepełniony jeszcze większą pogardą dla Meba. Gdybym ja chciał żyć gdzie indziej, myślał, zabrałbym żonę i dziecko, i bym to zrobił. Mebbekew za łatwo godzi się z odmową.

Późnym porankiem trzeciego dnia podróży dotarli w miejsce, gdzie wystarczyło skrócić na północ, by zawrócić w stronę Basiliki. Elemak je rozpoznał, Volemak także, rzecz jasna, ale nikt poza nimi. Nikt nie zwrócił uwagi na to, że jeśli skierują się dalej na wschód, zamiast zawrócić prosto na północ, zaprzepaszczą ostatnią szansę na powrót do dawnego życia.

Elemak wcale nie żałował. Nie był taki jak Mebbekew - jego życie od początku kręciło się wokół pustyni. Niegdyś powracał do Basiliki tylko po to, by sprzedać towar i znaleźć żonę, choć oczywiście cenił uroki tego miasta, tyle że nigdy za nim nie tęsknił, nie wzdychał, nie płakał. Ale i to się zmieniło, gdy Eiadh urodziła, gdy trzymał w rękach Proyę, usłyszał mocny, głośny krzyk chłopca i zobaczył jego uśmiech. Wówczas namiot, w którym spała jego nowa rodzina, stał się dla niego domem. Teraz Basilika nie była mu już do niczego potrzebna.

Jeśli jednak ta karawana miała być dla niego całym światem przez kilka następnych lat, to zamierzał dołożyć wszelkich starań, by zapewnić sobie możliwie jak najwyższą pozycję. W dolinie, gdzie połowa żywności pochodziła z ogrodu Zdoraba, a Nafai okazał się sprawnym łowcą, nie miał możliwości w pełni zabłysnąć i skonsolidować władzę w swoich rękach. Teraz jednak, gdy ponownie dosiedli wielbłądów, nawet ojciec stosował się do jego sugestii w wielu, naprawdę wielu kwestiach. Naddusza nadał im ogólny kierunek, jednak Elemak decydował o drodze do wyznaczonego celu. W każdej chwili mógł obejrzeć się za siebie i poszukać wzrokiem Eiadh, która wpatrywała się w niego jak urzeczona, chyba że akurat karmiła dziecko. Przypomniła sobie, jak ważny jest jej mąż dla powodzenia całego przedsięwzięcia, a on napawał się dumą, którą ona czuła z tego powodu.

Naddusza powiedział ojcu, że jeśli znajdą dobrą, bezpieczną ścieżkę i nie zabraknie im

zapasów, po sześćdziesięciu dniach nieprzerwanej podróży dotrą do miejsca przeznaczenia. Ale z oczywistych względów sześćdziesięciodniowa wyprawa nie wchodziła w rachubę. Dzieciaki nie przetrwałyby tak długiego okresu upału, duchoty i braku stabilizacji. Nie, będą musieli znaleźć kolejne bezpieczne obozowisko i zregenerować siły. A potem może jeszcze jedno. A w każdym z tych miejsc będą musieli zapewne zostać na tyle długo, by obsiać ziemię i zebrać plony, bo muszą mieć co jeść podczas kolejnego etapu podróży. Rok. Rok w każdym miejscu, a więc w sumie jakieś trzy lata, by odbyć podróż, która miała potrwać ledwie sześćdziesiąt dni. Tak czy owak, przez cały czas jej trwania ja będę prawdziwym przywódcą, myślał Elemak. A u jej kresu wszyscy we mnie będą widzieć wodza, ojciec będzie starym mądrym doradcą. Ale nie prawdziwym przywódcą, już nie.

Przywódcą będę ja. Jeśli wówczas postanowię, że określony przez Nadduszę cel podróży pokrywa się z miejscem, gdzie ja chcę doprowadzić grupę, to tam się udamy, bezpiecznie i odpowiednio szybko. A jeśli zdecyduję inaczej, Naddusza może się wypchać.

*

Nividimu nie była rzeką okresową - brała swój początek z naturalnych źródeł wśród falistych szczytów Gór Lyudy, położonych na tyle wysoko, że zimą przykrywał je śnieg. Nurt nigdy nie był szczególnie silny, a gdy rzeka opadła stromo w pustynną Dolinę Krutohn, wsiąkała w piasek i wysychała wiele kilometrów przed ujściem do Morza Abrazyjnego.

Wielki szlak karawanowy z północy na południe z powodu tej rzeki wspinał się stromo po zboczach Gór Lyudy, a potem wiódł jej brzegiem w dół do miejsca, gdzie zanikała. Było to najpewniejsze źródło wody pitnej między Basiliką na północy a Miastami Ognia na południu. Co roku mniej więcej dwanaście karawan podróżowało wzdłuż koryta Nividimu, więc nikt się nie zdziwił, gdy Indeks polecił im zatrzymać się na tydzień u podnóża Gór Lyudy, podczas gdy zmierzająca na północ karawana pod silną wojskową eskortą wspinała się zboczem doliny, a potem udała się w dół krętą drogą wychodzącą z gór.

Najgorsze w tym całym czekaniu było to, że nie mogli rozpalać ognisk. Indeks poinformował, że wojskowi z eskorty mają nerwy napięte jak postronki i tylko wyglądają wroga. Najmniejszą smugę dymu niechybnie uznaliby za sygnał rabusiów i najpierw dokonaliby prewencyjnej rzezi, a dopiero potem zadawali pytania. Wędrowcy spożywali przeto racje podróżne i patrzyli na siebie wilkiem, wyczekując dnia, gdy Volemak powie im w końcu, że Indeks zadecydował, iż mogą wyruszyć.

Traf chciał, że drugiego dnia, gdy Elemak i Vas razem wybrali się na polowanie - ten ostatni miał pewną smykałkę do tropienia zwierząt - stracili pierwszy pulsator. Vas nie powinien go dostać, ale poprosił o broń, a odmowa byłaby dla niego upokorzeniem. Zresztą

istniało ryzyko, że mógłby przypadkiem natknąć się na niebezpiecznego drapieżnika tropiącego tę samą zwierzynę, a wtedy potrzebowałby pulsatora do obrony.

Zwykle nie był niezdara. Lecz gdy szedł bokiem po wąskiej półce skalnej nad parowem, potknął się, a gdy próbował się czegoś złapać, pulsator wyslizgnął mu się z ręki. Przekoziółkował po skale, wyleciał w powietrze i poszybował w dół kanionu. Nie było słychać odgłosu uderzenia o dno. „To mogłem być ja” - powtarzał Vas w kółko, gdy tej nocy opowiadał o tym zdarzeniu.

Elemak nie miał serca, by powiedzieć mu, że może dla wszystkich byłoby lepiej, gdyby to rzeczywiście był on. Mieli tylko cztery pulsatory i w żaden sposób nie mogli zdobyć kolejnych. Prędzej czy później stracą one zdolność podładowywania się energią słoneczną - dlatego Elemak przezornie ukrywał dwa. A teraz musieli wyjąć jeden z tych ukrytych i przeznaczyć go do polowań.

- Czemu w ogóle wybrałeś się na polowanie? - dopytywał się Volemak, rozumiał bowiem, co utrata pulsatora może oznaczać w przyszłości. Pytanie skierował do Elemaka, czyli do właściwej osoby, gdyż to on zdecydował, by tego dnia zabrać na pustynię dwa pulsatory.

Elemak odpowiedział tak lodowato, jakby uważał, że Volemak nie ma prawa kwestionować jego decyzji.

- By zdobyć świeże mięso. Nasze żony nie wykarmią odpowiednio dzieci na twardych sucharach i mięsie suszonym.

- Ale skoro nie możemy mięsa upiec, to co według ciebie miałyby z nim zrobić, zjeść na surowo?

- Sądziłem, że zdołam przysmażyć je pulsatorem - bronił się Elemak. - Byłoby krwiste, ale...

- Byłoby to zarazem marnotrawstwo energii, na co nie możemy sobie pozwolić.

- Mięso jest nam potrzebne.

- A może powinienem skoczyć za pulsatorem? - zapytał Vas z przekąsem.

- Akurat tego byśmy nie chcieli - protekcyjnie odparł Elemak. - Tu już nawet nie chodzi o ciebie.

Hushidh przysłuchiwała się rozmowie w milczeniu, jak zawsze, gdy dochodziło do waśni. Obserwowała, jak łączące ludzi nitki się zmieniają. Wiedziała, że linie, które dostrzega między ludźmi, nie są realne, stanowią jedynie wizualną metaforę podsuwaną jej przez mózg - coś jakby iluzoryczny diagram. Lecz płynące z nich wnioski co do zależności i lojalności, nienawiści i miłości były prawdziwe.

Vas, nie wiedzieć czemu, stanowił wyłom w tej grupie - i to od samego początku. Nikt go nie nienawidził, nikt nie czuł do niego urazy. Ale też nikt go nie kochał. Mocne więzi lojalności nie łączyły ani nikogo z nim, ani jego z nikim. Z wyjątkiem specyficznej relacji między nim a żoną, Sevet, i jeszcze dziwniejszej między nim a Obringiem. Sevet nie żywiła miłości ani szacunku do męża - ich małżeństwo było tylko umownym związkiem, zawartym dla wygody, pozbawionym nawet przyjaźni.

Wydawało się jednak, że Vas darzy ją bardzo silnym, nieokreślonym uczuciem, którego Hushidh nie rozumiała i nigdy wcześniej nie widziała. A jego więź z Obringiem była niemal identyczna, tylko trochę słabsza. Dziwne, bo Vas nie miał żadnego powodu, by do Obringa czuć sympatię. Bo czy to nie jego Kokor przyłapała w łóżku z Sevet i omal nie zabiła siostry? Dlaczego więc Vas czuje silną więź z Obringiem? Jej intensywność, którą Hushidh oceniła po grubości łączącego ich węzła, dorównywała sile najsilniejszych małżeństw w całej wspólnocie, na przykład Volemaka i Rasy, albo temu, co Elemak czuł wobec Eiadh, albo rozwijającej się więzi między samą Hushidh a jej ukochanym Issibem, jej oddanym, uroczym i mądrym mężem, którego głos był dla niej muzyką, źródłem jej radości...

Wiedziała, że nie takim uczuciem Vas darzył Sevet czy Obringa, a wobec innych był niemal obojętny. Dlaczego jednak Sevet i Obring, a nikt inny? Nic ich nie łączyło oprócz jednorazowego skoku w bok...

Czyżby to było podstawą tego osobliwego związku? Czyżby silne powiązanie Vasa z tymi dwójgim oznaczało obsesję zdradzonego męża na punkcie ich przelotnego romansu? Przecież to absurd. Vas od początku wiedział o zdradach Sevet; ich małżeństwo było dość luźnym związkiem. A Hushidh bez trudu rozpoznałaby łączącą ich więź, gdyby sprowadzała się do gniewu lub nienawiści - takie widywała często.

Nawet teraz, gdy Vas powinien być złączony z każdym uczestnikiem tej wyprawy nitką wstydu, potrzeby zadośćuczynienia i zyskania aprobaty, praktycznie żadnej nie było widać. Nie zależało mu. Wprost przeciwnie - zdawał się niemal zadowolony.

- O wiele łatwiej mogliśmy sobie pozwolić na utratę energii, by upiec mięso, gdy mieliśmy jeszcze cztery pulsatory - stwierdziła Sevet.

Hushidh zdziwiła się, że żona Vasa zarzuciła mu winę.

Ale nie było żadnym zaskoczeniem, że Kokor zawtórowała siostrze, atakując jednak wprost i bez ogródek.

- Trzeba było chociaż patrzeć pod nogi.

Vas odwrócił się do Kokor i posłał jej pogardliwe spojrzenie.

- Może powinienem nauczyć się pracować ostrożnie i wydajnie, idąc za twoim

przykładem.

Podobne kłótnie wybuchały zdecydowanie zbyt łatwo i zazwyczaj trwały stanowczo za długo. Nie trzeba być więzostрукторką jak Hushidh, by się domyślić, dokąd prowadziłyby ta scysja, gdyby jej nie przerwali.

- Skończcie już - burknął Volemak.

- Nie mam zamiaru brać na siebie winy za to, że nie mamy pieczonego mięsa - odpowiedział spokojnie Vas. - Zostały nam trzy pulsatory, a to nie moja wina, że nie możemy rozpać ognia.

Elemak położył mu dłoń na ramieniu.

- Ojciec wini mnie i ma rację. To ja podjąłem błędną decyzję. Na jedno polowanie nie powinniśmy zabierać dwóch pulsatorów. Gdy ciebie będziemy obwiniać za brak mięsa, na pewno się zorientujesz.

- Co trudne nie będzie, bo zaczniemy jeść ciebie - zakpił Obring.

Żart był na tyle zabawny, że kilkoro ludzi wybuchło śmiechem, by rozładować napięcie. Vasowi jednak wyraźnie się podobała drwina Obringa. Hushidh zauważyła, że ta dziwna więź między nimi zamigotała i zgrubiała.

Nadal obserwowała w milczeniu, chcąc zrozumieć, co ich łączy, ale w tym momencie wtrąciła się Shedemei.

- Nic nie stoi na przeszkodzie, byśmy jedli mięso na surowo, jeśli tylko będzie świeże, a zwierzę było zdrowe - stwierdziła. - Lekkie przypieczenie go z zewnątrz przed spożyciem pomogłoby wyeliminować powierzchniowe zanieczyszczenia bez nadmiernego zużycia energii. Gdyby jednak ktoś się rozchorował, mamy spory zapas antybiotyków, a nawet jeśli się wyczerpie, możemy przygotować niezgorsze zastępniki z dostępnych nam ziół.

- Surowe mięso, ble! - jęknęła Kokor z odrazą.

- Nie wiem, czy zdołam to przełknąć - poparła ją Eiadh.

- Po prostu trzeba dłużej żuć - odparła Shedemei. - Albo pokroić na mniejsze kawałki.

- Ale ten smak! - ciągnęła Eiadh.

- I sama myśl! - dopowiedziała Kokor, wzdrygając się.

- To tylko bariera psychologiczna - tłumaczyła Shedemei - którą z łatwością przełamię dla dobra swych dzieci.

- Nie rozumiem, czemu ktoś, kto nie ma dzieci, miałby mówić innym, co jest dla nich dobre - fuknęła Kokor.

Hushidh zauważyła, jak bardzo te słowa dotknęły Shedemei. To było jedno z najpoważniejszych zmartwień Hushidh związanych z ich wspólnotą - fakt, że genetyczka

coraz bardziej odgradzała się od innych kobiet. Hushidh często rozmawiała o tym z Luet i obie robiły, co mogły, by temu zaradzić, ale nie było łatwo. Shedemei wydatnie przyczyniła się do powstania tej bariery - przekonała samą siebie, że nie chce mieć dzieci. Lecz tak bardzo dbała o wszystkie dzieci w ich grupie, że Hushidh wywnioskowała, iż genetyczka podświadomie oceniała swoją wartość przez pryzmat własnej bezdzietności. A gdy ktoś niemądry i niewrażliwy jak Kokor otwarcie wypominał Shedemei jej braki, Hushidh dostrzegała, że kruszeją więzy genetyczki z resztą grupy.

Na domiar złego po uwadze Kokor zapadła niezręczna cisza. Większość zamilkła, bo właśnie tak ludzie reagują, gdy ktoś palnie straszną gafę w towarzystwie - odpowiadali na nią na tyle długim milczeniem, by dało to impertynentowi do myślenia, a potem jak gdyby nigdy nic wracali do rozmowy. Hushidh jednak była pewna, że Shedyja zupełnie inaczej tłumaczy sobie tę ciszę. W końcu nie orientowała się w konwenansach, a była też boleśnie świadoma własnej bezdzietności, przeto dla niej ta cisza niewątpliwie oznaczała, że wszyscy zgadzają się z Kokor, a milczą tylko przez grzeczność. Kolejna rana zadana Shedemei.

Gdyby nie bliska przyjaźń między Shedemei a Zdorabem i zażyłość, którą Luet i Hushidh z nią podtrzymywały, oraz wielka miłość i szacunek Shedyi w stosunku do Rasy, genetyczka nie miałaby w ogóle żadnej pozytywnej więzi z resztą grupy. Pozostałaby tylko zazdrość i uraza.

Ciszę w końcu przerwała Luet.

- Skoro nasze dzieci tak bardzo potrzebują mięsa, to oczywiście będziemy je jadły przypieczone, a nawet surowe. Ale czy już zagłada nam w oczy groźba niedożywienia? Nie damy rady przeżyć tygodnia bez mięsa?

Elemak zmroził ją wzrokiem.

- Ze swoim dzieckiem możesz robić, jak chcesz. Nasze zaś będą zawsze karmione mlekiem z dodatkiem białka zwierzęcego, i to świeżego, sprzed trzech dni, nie więcej.

- Och, Elemaku, czy naprawdę muszę to jeść? - zajęczała Eiadh.

- Tak - odburknął Elemak.

- Bez obaw - stwierdził Nafai. - W ogóle nie zauważycie różnicy.

Wszyscy odwrócili się w stronę głosu - jego komentarz brzmiał zgoła absurdalnie.

- Chyba potrafię odróżnić surowe od pieczonego - oburzyła się Eiadh.

- Wszyscy znaleźliśmy się tutaj, gdyż jesteśmy mniej lub bardziej podatni na wpływy Nadduszy - ciągnął Nafai. - Więc po prostu zapytałem Nadduszę, czy nie mógłby sprawić, by smak mięsa był dla nas znośny. Odpowiedział, że może to uczynić, jeśli nie będziemy się opierać. A zatem jeśli nie będziemy rozmyślać nad tym, że jemy surowe mięso, Naddusza

wpłynie na nas tak, że nie pocujemy różnicy.

Przez chwilę nikt nie odpowiedział. Hushidh dostrzegła, że szczególnie bliskie stosunki Nafaia i Nadduszy działają niektórym na nerwy - także Volemakowi, który rozmawiał z Nadduszą tylko w samotności albo za pośrednictwem Indeksu.

- Poprosiłeś Nadduszę, by poprawił smak naszych potraw? - nie dowierzał Issib.

- Widzieliśmy już na własne oczy, że Naddusza potrafi ogłupić ludzi - odparł Nafai. - Sami przez to przeszliśmy, Issya. Czemu więc mu nie pozwolić, by trochę nas ogłupił, znieczulił na smak surowego mięsa?

- Nie podoba mi się pomysł, żeby Naddusza mieszał mi w głowie - stwierdził Obring.

Meb spojrzał na Obringa i uśmiech mu się poszerzył.

- Nie martw się. Jestem pewien, że sam z siebie potrafisz być odpowiednio głupi.

Następnego dnia Nafai upolował nolyena - małe zwierzę płowe. Pokroili mięso, przypieklili i zjedli, z początku ostrożnie, aż zorientowali się, że surowe wcale nie jest złe. Albo że Naddusza spisał się na tyle dobrze, że nie zauważyli różnicy. Jakoś poradzili sobie bez ognia.

Mimo wszystko stracili jeden pulsator, a Naddusza nie mógł im dać nowego.

Kolejne dwa stracili podczas przeprawy przez Nividimu. Była to głupia, niepotrzebna strata, której z łatwością mogli uniknąć. Wielbłądy opierały się przed wejściem do rzeki, choć bród był szeroki i płytki, do tego trochę zderzały się ze sobą, kiedy pędzili je na drugi brzeg. Mimo to, gdyby ładunki przymocowano starannie, nie poluzowałyby się, a ich zawartość nie wysypałaby się do lodowatej wody.

Dopiero po kilku minutach Elemak się zorientował, że wypadek dotyczył wielbłąda niosącego dwa pulsatory; zajął się resztą zwierząt, chcąc najpierw przeprowadzić je na drugi brzeg, a potem spróbować wyłowić zamoczony ładunek. Zanim odnaleźli pulsatory, ukryte w małej torbie i zawinięte w tkaninę, broń leżała w rzece już od dobrych trzydziestu minut. Uszczelki nie wytrzymały, a to znaczyło, że wewnętrzny mechanizm szybko pokryje rdza. Elemak oczywiście nie wyrzucił pulsatorów, mając nadzieję, że jednak nie skorodują, choć wiedział, że na to raczej nie ma co liczyć.

- Kto objuczał tego wielbłąda?! - wściekł się.

Wyglądało na to, że nikt sobie nie przypominał, by to robił.

- I w tym cały problem - rzekł Volemak. - Najwyraźniej wielbłąd sam się objuczył i nie umiał zaciągnąć węzłów.

W grupie podniósł się nerwowy śmiech. Elemak odwrócił się gwałtownie w stronę ojca, gotów skarcić go za strojenie sobie żartów w tak poważnej sytuacji. Gdy jednak

napotkał spojrzenie Volemaka, zrezygnował, dostrzegł bowiem, że ojciec traktuje tę sprawę śmiertelnie poważnie. Przeto tylko skinął mu głową na znak, że zostawia to w jego gestii.

- Ktokolwiek objuczył tego wielbłąda, wie, że zawinił - zaczął Volemak. - A znalezienie winnego nie będzie trudne. Wystarczy, że zapytam Indeks. Nie zamierzam nikogo karać, bo i tak nic by nam to nie dało. Jeśli uznam, że jest taka potrzeba, ujawnię, czyja niedbałość kosztowała nas utratę broni, lecz na razie twoja tchórzliwa odmowa przyznania się pozostaje bezkarna.

Ale i tak nikt się nie odezwał.

Volemak skinął głową na Elemaka, który wstał i wysunął ostatni pulsator przed siebie.

- To jest ten, z którego korzystaliśmy najczęściej - odezwał się. - Więc ma najmniej energii, lecz tylko on nam został, tylko nim możemy zdobywać mięso. Pewnie mógłby zachować sprawność jeszcze przez kilka lat - pulsatory już nieraz działały tak długo - ale gdy ten przestanie nadawać się do użytku, będziemy zdani wyłącznie na własne siły.

Podszedł do Nafaia i wręczył mu broń. Nafai chwycił ją ostrożnie, niemal z namaszczeniem.

- Ty zrobisz z tej broni najlepszy użytek - rzekł Elemak. - Dbaj o nią i pilnuj jak oka w głowie. Nasze życie i życie naszych dzieci zależą od tego, jak dobrze będziesz wykonywał to zadanie.

Nafai skłonił głowę ze zrozumieniem. Elemak odwrócił się do reszty.

- Jeśli ktoś zobaczy, że ten pulsator znalazł się w jakimkolwiek niebezpieczeństwie, musi zrobić wszystko, by go ochronić. Ale w żadnym innym wypadku nikomu oprócz Nafaia nie wolno go tknąć. Nie będziemy go używać nawet do przypiekania mięsa, na niebezpiecznych odcinkach podróży będziemy jedli surowe. A teraz już wyjdźmy z tej doliny, zanim ktoś nas zauważy.

Jeszcze przed zachodem dotarli do rozwidlenia szlaku, gdzie karawany mogły albo iść dalej na południe, ku zamieszkanym dolinom, gdzie miasta Dowoda i Neeshtchy z trudem walczyły o przetrwanie między pustynią a morzem, albo skrócić na południowy wschód ku Góróm Razoryat i dalej w dół ku północnym rubieżom Doliny Płomieni. Volemak poprowadził ich ku szczytom Razoryat. Lecz wielu z nich zorientowało się, że gdyby udali się na południe do Dowody lub Neeshtchy, mogliby tam kupić pulsatory i jakieś przyzwoite jadlo na dodatek. A przede wszystkim byłyby tam nowe twarze, nowe głosy. Pośród nich chyba wszyscy marzyliby o tym, by mogli zajechać tam przynajmniej na chwilę. A może i zostać na zawsze.

Lecz Volemak powiodł ich ku góróm, gdzie tej nocy obozowali bez rozpalania ognia,

w obawie że mógłby ich zauważyć jakiś mieszkaniec miast mających w oddali.

*

Odtąd podróżowali już wolniej, gdyż Indeks ostrzegł Volemaka przed trzema karawanami zmierzającymi na północ przez Dolinę Płomieni - dwiema z Miast Ognia i jedną z Miast Gwiazd, leżących jeszcze dalej na południu. Dla większości ich grupy były to nazwy mityczne, miasta nawet starsze i częściej opiewane niż Basilika. Miało się wrażenie, że baśni o pradawnych bohaterach zawsze zaczynały się od słów: „Dawno, dawno temu, w Miastach Gwiazd...” albo „Oto jak drzewiej bywało w Miastach Ognia...”. Wielu z nich miało nadzieję: może właśnie tam Naddusza nas prowadzi, do wielkich pradawnych miast rodem z legend.

Lecz by uniknąć karawan, musieli podróżować z dala od utartego szlaku. Na pustyni było to łatwe - droga prawie się nie odróżniała od reszty pustyni, a nie stanowiło wielkiej różnicy, jaką dokładnie się obierze, byle zmierzać w określonym kierunku. Ale tu miało to niebagatelne znaczenie, teren był bowiem trudniejszy i bardziej pokrętny niż gdziekolwiek indziej na Harmonii. Zeszli z gór i od razu znaleźli się wśród zieleni - gdziekolwiek spojrzeć, tam trawa, winorośle i krzaki, nawet kilka drzew. Ziemia była skalista i dziwacznie kaskadowa, jakby ktoś zsunął razem stoły o różnej wielkości i wysokości, więc każda płaszczyzna była równa, ale na różnych poziomach. A te trawiaste stoły rozdzielały urwiska, niektóre raptem metrowe, inne zaś przepastne nawet na pięćset metrów.

A gdy zeszli w Dolinę Płomieni, było jeszcze dziwaczniej, zdarzały się tam bowiem takie miejsca, gdzie z otworów w ziemi lub szczelin w urwiskach buchał straszliwy fetor. Wszyscy krzywili się i starali oddychać przez usta, choć Elemak i Volemak z rozwagą wybierali określone trasy wokół zięjących otworów. Dopiero gdy Zdorab odkrył, że Indeks może podać analizę spektralną danego gazu, przynajmniej za dnia, zyskali pewność, który z fotorów można bezpiecznie wdychać.

Jeszcze bardziej przerażały ich - choć Elemak zapewnił, że są znacznie bezpieczniejsze - płomienie i dymy dobywające się z ziemi. Były widoczne z daleka. Shedemei zapewniała, że na pewno nie wybuchną, więc obozowali opodal płomieni i piekli mięso, a nawet świeży chleb, choć tylko Zdorab, Nafai i Elemak zdolni byli podbiec blisko ognia, by zostawić mięso i bochny w odpowiednim miejscu. Cała grupa pomagała przyrządzić mięso zwierząt ustrzelonych przez Nafaia, kładli je na zaimprovizowanych rusztach, a potem dopingowali Nafaia, Zdoraba lub Elemaka, którzy pędzili w stronę ognia, stawiali ruszt na ziemi, a potem odbiegali na bezpieczną odległość. Przynieść mięso z powrotem było jeszcze trudniej, gdyż podniesienie rozgrzanego rusztu trwało dłużej niż postawienie zimnego, i czasami gdy wracali, z ich ubrań unosił się dym.

„To tylko pot z nas paruje” - uspokajał Nafai, gdy Luet oświadczyła, że wolałaby surowe mięso od pieczonego męża.

Jednak zwykle spożywali posiłki na zimno, bo ognie rzadko występowały w pobliżu wody.

Dolina Płomieni była piękna, wręcz olśniewająca, lecz i przerażająca. Na każdym kroku widzieli przejaw potwornych sił drzemających w trzewiach planety, na której przyszło im żyć - potężnych na tyle, by unieść litą skałę setki metrów w górę.

Dolina była piękna, przerażająca, a także trudna do przebycia - co uświadomili sobie, gdy doszli do miejsca, gdzie droga obrona przed kilkoma dniami zaczęła się zwężać, kończąc się głębokim gorącym jeziorem okolonym urwiskami wznoszącymi się na pięćset metrów w górę. Nie sposób było pokonać go w bród ani obejść dokoła. Musieli więc wrócić, Volemak i Elemak obrali inną trasę, jeszcze bardziej oddaloną od ubitego szlaku karawanowego, zdecydowanie bliższą morzu.

- Czy Naddusza nie mógł tego przewidzieć? - zgryźliwie zapytał Mebbekew.

- Indeks pokazał nam to jezioro - odparł Volemak. - I dlatego wybraliśmy tę drogę. Naddusza nie wiedział jednak, że z żadnej strony nie da się go przebyć.

- A więc ostatnie trzy dni podróży poszły na marne? - marudziła Kokor.

- Było nam dane widzieć cuda, o których nawet nie śnią w Basilice - odparła lady Rasa.

- Chyba że w koszmarach - odfuknęła Kokor.

- Artyści już nieraz opiewali takie widoki w pieśniach - stwierdziła Rasa. - A właśnie, już od ponad roku nie słyszeliśmy, byście śpiewały, ani ty, ani Sevet, tylko nucicie dzieciom. Eiadh też nie śpiewa. Nigdy nie miała okazji, by spróbować sił na scenie, jak me córki, ale ma iście anielski głos.

Hushidh mogła powiedzieć Rasie, że mówi do ściany - nie będzie żadnych śpiewów, dopóki między siostrami coś się nie zmieni. Chodziło o starą waśń między Sevet i Kokor, rzecz jasna. Sevet albo nie mogła, albo nie chciała śpiewać po ciosie w krtań - tam uderzyła ją Kokor, gdy przyłapała siostrę w łóżku z Obringiem, A póki Sevet nie śpiewała, póty Kokor nie odważyła się śpiewać w obawie przed zemstą. Eiadh zaś strasznie bała się narazić obu siostram, które cieszyły się sławą w Basilice. Kokor już wcześniej dała wyrażnie do zrozumienia, że skoro ona nie śpiewa, to nie chce słyszeć żalosego głosiku Eiadh, będącego kpina z prawdziwej muzyki. Co mijało się z prawdą - Eiadh rzeczywiście miała talent, a jej wysoki głos można było określić jako nadzwyczaj czysty, pod warunkiem że oceniałby ktoś inny, a nie Kokor. Lecz zawsze gdy Eiadh próbowała coś zanucić, Kokor odstawiała taką

scenę, demonstracyjnie krzywiąc się i cierpiąc, że Eiadh szybko straciła do tego serce. Tak więc w ich grupie nie będzie żadnych pieśni wysławiających piękno i majestat Doliny Płomieni.

Był za to inny gatunek poezji - Hushidh i Luet chętnie się przysłuchiwały zachwytom Shedemei nad siłami natury.

- Dwa wielkie łądy, niegdyś złączone, teraz osobne - opowiadała. - Napierały na siebie niczym dwie dłonie ułożone obok siebie na stole. Naraz zaczęły się obracać w przeciwnych kierunkach, wokół centrum, czyli tam gdzie stykają się kciuki. Teraz napierają na siebie w okolicy opuszków palców, miażdżąc się nawzajem, choć zarazem odpychają się u nasady dłoni.

Tłumaczyła to, siedząc na dywanie w namiocie Luet, trzymając córeczki obu siostr na kolanach. Maluchy wydawały się naprawdę zafascynowane - w barwie głosu Shedyi było coś, co pociągało wszystkie dzieci w ich grupie. Shedemei często potrafiła uciszyć grymasnego niemowlaka, choć nie udawało się to jego matce. A to znaczyło, że zazdrosne Kokor i Sevet w ogóle nie dopuszczały jej w pobliże swoich córek. Lal zaś nieustannie oddawała Syelsikę pod opiekę Shedemei i przychodziła dopiero, gdy piersi tak ją bolały, że musiała nakarmić dziecko, by sobie ulżyć.

Wydawało się, że jedynie Luet i Hushidh zabiegają o towarzystwo Shedemei, ale nawet one musiały korzystać z dzieci w charakterze wymówki - czy mogłabyś zaopiekować się naszymi szkrabami, a my tymczasem się wykapiemy? I tym sposobem Shedy siedziała teraz na dywanie w namiocie Luet, podczas gdy obie siostry ścierały sobie nawzajem brud kilkudniowej podróży z pleców i myły sobie włosy.

- To miażdżenie na opuszkach palców wypiętrza wielkie pasmo górskie na północy - ciągnęła Shedemei. - Równocześnie to rozstępowanie u nasady dłoni utworzyło Morze Abrazyjne, a potem Morze Dymu. Dolina Płomieni jest w środku. Pewnego dnia, gdy kontynenty się rozdzieliły, Potokgavan znajdzie się pod wodą, a Dolina Płomieni stanie się wyspą na oceanie. Wówczas będzie najcudowniejszym i najbardziej odizolowanym punktem na całej Harmonii, miejscem najlepiej uosabiającym bogactwo, straszliwą siłę i piękno tej planety.

Chveya, córka Luet, zagruchała gardłowo. Brzmiało jak warkot.

- Zgadłaś, Veyevniya - odparła Shedemei, używając śmiesznego zdrobnienia, które sama wymyśliła dla Chveyi. - Miejscem dla takich dzikich zwierząt jak ty.

- A co z kciukami? - dopytywała się Hushidh. - Co tam się dzieje?

- Kciuki, punkt podparcia, środek to Basilika. Stabilne centrum świata. Istnieją inne

kontynenty, ale na nich próżno szukać miejsca, gdzie woda jest tak głęboka, ciepła i zimna, a ląd tak stary i niezmienny. W Basilice Harmonia jest w największej równowadze.

- Przynajmniej z geologicznego punktu widzenia - zauważyła Hushidh.

- A czymże są zawirowania ludzkich losów? - retorycznie zapytała Shedemei. - Najmniejsza jednostka czasu, która się liczy, to pokolenie - nie minuta, nie godzina, nie dzień, nawet nie rok. Pokolenie - w tym czasie zachodzą prawdziwe zmiany, wtedy świat naprawdę żyje.

- Czy ludzkość umarła, skoro przeżyliśmy czterdzieści milionów lat bez ewolucji? - indagowała Luet.

- A nie sądzisz, że te dzieci są przykładem ciągłego postępu ewolucji? Specjacja, czyli proces powstawania gatunków, pojawia się w okresach genetycznego stresu, gdy gatunek - nie jeden osobnik ani nawet plemię - staje na krawędzi zagłady. Wówczas szeroki wachlarz możliwości wśród tego gatunku przechodzi naturalną selekcję i zawęża się do tych kilku różnic, które są szczególnie korzystne dla zdolności przetrwania. Tak więc gatunek może się wydawać niezmienny przez czterdzieści milionów lat, a gdy zajdzie potrzeba, ulec naglej zmianie. Prawda jest taka, że zmiany zachodzą cały czas, po prostu ich nikt nie zauważył i nie opisał.

- Mówisz tak, jakby to był jakiś wspaniały plan - zauważyła Luet.

- Tak uczą o tym wśród kobiet, czyż nie? Plan Nadduszy. Cykl pokoleniowy: kopulacja, zapłodnienie, ciąża, narodziny, wzrost, dojrzewanie i znów kopulacja - wszystko według planu Nadduszy. Ale my wiemy swoje, prawda? Ta maszyna w niebiosach jest jedynie emanacją woli ludzkości - po części powodem, dla którego przez czterdzieści milionów lat nie zazналиśmy tego stresu wywołującego specjację. Narzędziem, które utrzymuje możliwie największą różnorodność wśród naszego gatunku, nie pozwalając nam osiągnąć wystarczającej potęgi, byśmy zniszczyli samych siebie i nasz świat, tak jak stało się na Ziemi. Tego dowiedzieli się Nafai z Issibem. Dlatego jesteśmy tutaj. To nie jest plan Nadduszy, bo ona cały czas traci moc poskramiania zapędów ludzkości. Mimo to nie mogę się oprzeć wrażeniu, że dobrze byśmy zrobili, gdybyśmy pozwolili Nadduszy szczeznąć i umrzeć. Może wtedy, w ciągu następnych pokoleń, poddana potężnemu stresowi ludzkość zdołałaby znów przejść ewolucję i powstałoby coś nowego.

Pochyliła się ku małej Dzy i dmuchnęła jej w twarz, co zawsze małą rozśmieszało.

- Może ty jesteś tym nowym czymś, co powstanie z ludzkości. Dobrze mówię, Dazyitnikiya?

- Ależ ty kochasz dzieci - westchnęła Luet rzewnie.

- Kocham dzieci innych - poprawiła Shedemei. - Zawsze mogę je zwrócić rodzicom i potem mam czas na pracę. Ale dla was, biedactwa, to nigdy się nie kończy.

Hushidh nie dała się zwieść. Nie żeby Shedemei nie wierzyła w to, co mówi - skądże znowu. Była święcie przekonana, że w jej bezdzietności nie ma nic niezwykłego - że po prostu woli nie mieć dzieci. Naprawdę tak myślała, a przynajmniej myślała, że tak myśli.

Jednak Hushidh była pewna, że mocne więzy między Shedemei a każdym dzieckiem w obozie są podświadomą reakcją niemowlaków na niezaspokojone pragnienie Shedemei. Ona pragnęła mieć dzieci. Chciała być ogniwem nieustannej rotacji pokoleń na tym świecie. A nawet więcej, widząc, jak miłość Zdoraba i Shedemei przemienia się w serdeczną przyjaźń, Hushidh coraz bardziej się upewniała, że Shedemei chce urodzić Zdorabowi potomka, więc trzymała kciuki, żeby to pragnienie się spełniło.

Pytała nawet Nadduszę, czemu Shedemei nie poczęła dziecka, ale nigdy nie dostała odpowiedzi. A Luet mówiła jej, że gdy ona zadała to pytanie, usłyszała, że to nie jej sprawa, co dzieje się między Zdorabem a Shedemei.

Może i nie, pomyślała Hushidh, ale to nie znaczy, że nie możemy jej życzyć, by dostała szczęścia. Czyż Naddusza nie zebrała nas w tej grupie, bo wszystkie nasze geny są jej potrzebne? Czy to możliwe, że Naddusza popełniła błąd i Zdorab albo Shedemei są bezpłodni? Jeśli tak, straszna z niej oferra.

A skoro już mowa o Zdorabie, Shedemei tłumaczyła właśnie, jak udało mu się odkryć geologiczną historię Doliny Płomieni.

- On korzysta z Indeksu z łatwością, z jaką wirtuoz gra na instrumencie. Odnalazł w pamięci Nadduszy informacje o przeszłości, o których nie miała nawet pojęcia. O rzeczach, które rozumieli tylko pierwsi osadnicy z zamierzchłych czasów. Obdarzyli Nadduszę pamięcią, ale potem zaprogramowali ją tak, by nie potrafiła samodzielnie dotrzeć do tych danych. Zdorab znalazł jednak wiele określonych dróg, ukrytych przejść, dziwnych powiązań, które prowadzą do mnóstwa tajemnic.

- Wiem - odparła Hushidh. - Issib nie może mu się nadziwić, choć przecież sam potrafi sporo wydobyć z Indeksu.

- Wcale nie wątpię - odrzekła Shedemei. - Zdorab cały czas powtarza, że z Issiba jest badacz jak się patrzy.

- A Issib mówi, że to tylko dlatego, że ma więcej wolnego czasu, bo do niczego więcej się nie nadaje - stwierdziła Hushidh.

- Zupełnie jakby obaj musieli szukać powodów, czemu drugi jest lepszy. Myślę, że naprawdę się zaprzyjaźnili.

- Ja to wiem na pewno - odparła Shedemei. - Issib potrafi dostrzec, jakim wartościowym człowiekiem jest mój Zdorab.

- Wszyscy go doceniamy - oświadczyła Luet.

- Doprawdy? Bo czasem mi się wydaje, że wszyscy uważają go za kogoś w rodzaju wszechstronnego służącego.

- Uważamy go za kucharza, bo jest w tym najlepszy - wytłumaczyła Hushidh. - I za naszego bibliotekarza, z tego samego powodu.

- Niby tak, ale tylko garstkę obchodzą jego talenty archiwistyczne. Większość grupy zauważa tylko kulinarne.

- I ogrodnicze - dodała Luet.

Shedemei się uśmiechnęła.

- Ale nawet za to ludzie go nie szanują.

- Niektórzy może i nie - odparła Hushidh. - Ale inni szanują go bardzo.

- Na pewno Nafai - potwierdziła Luet. - I ja.

- Ja też. Oraz Issib. I na pewno Volemak - dodała Hushidh.

- I czy to już nie wszyscy, których zdanie się liczy? - zagadnęła Luet.

- Tak mu powtarzam - odezwała się Shedemei - ale on upiera się przy robieniu za służącego.

Hushidh zauważyła, że w tej chwili Shedemei jest bliska tego, by otworzyć się przed kimś. Nie wiedziała jednak, jak skłonić ją do dalszych zwierzeń. Czy zachęcić pytaniem, czy raczej milczeć, by jej nie spieszyć?

Milczała.

Shedemei również.

Aż w końcu Shedemei pociągnęła nosem.

- Czyżby nasza mała wytwórnia kaka wyprodukowała kolejny ładunek? O właśnie, dlatego lepiej być ciotką. Mamusiu, dziecię cię wzywa.

Hushidh i Luet roześmiały się - bo wiedziały, że Shedemei sama chętnie zmieniałaby pieluszkę. To przedstawienie z oddawaniem dziecka matce, gdy opieka nad nim stawała się uciążliwa, było tylko żartem.

O nie, nie tylko. Było też dotkliwym przypomnieniem dla niej samej, że nie jest prawdziwą kobietą, podobnie jak jej mąż Zdorab nie jest prawdziwym mężczyzną. Hushidh wiedziała, że przed chwilą Shedemei miała coś na końcu języka, coś ważnego... ale okazja przepadła.

Luet myślała dziecko, Shedemei się temu przyglądała, a Hushidh przyglądała się, jak ona

się temu przygląda. Po kąpieli Luet miała na sobie cienką sukienkę, kształt jej matczynego ciała - ciężkie piersi, brzuch wciąż obwisły po ciąży - odznaczył się pod materiałem. Ciekawe, co Shedemei widzi, gdy spogląda na Luet, której figura była niegdyś tak smukła i chłopięca jak jej obecnie? Czy naprawdę chciałaby aż tak się zmienić?

Najwyraźniej jednak myśli Shedemei podążyły w innym kierunku.

- Luet, gdy byliśmy wczoraj nad jeziorem, czy nie przypomniało ci się Jezioro Kobiet w Basilice?

- Och, tak - tęsknie odparła Luet.

- Byłaś wodną wieszczką. Nie chciałaś położyć się na wodzie, dać się ponieść na środek i śnić?

Luet przez chwilę się wahała.

- Tam nie było żadnej łódki. I niczego, z czego można by ją zrobić. A woda była za gorąca.

- Czyżby?

- Tak, Nafai to sprawdził. Wiesz, on też przebył Jezioro Kobiet.

- Ale czy nie miałaś ochoty, by choć przez chwilę być tą samą osobą co kiedyś?

Tęsknota w głosie Shedemei była tak wyraźna, że Hushidh od razu zrozumiała, o co jej chodzi.

- Przecież Luet jest tą samą osobą - odezwała się. - Wciąż jest wodną wieszczką, nawet jeśli spędza dnie na grzbiecie wielbłąda, noc w namiocie, a każdą godzinę z dzieckiem przy piersi.

- Czy jest wodną wieszczką? - dopytywała się Shedemei. - Była, ale czy jest? Czy określa nas to, co teraz robimy? Czy tak właściwie nie jesteśmy tylko tym, za kogo uważają nas ludzie, z którymi żyjemy?

- Nie - zaprzeczyła Hushidh. - Bo inaczej znaczyłoby to, że w Basilice byłam tylko więzostroktorką, Luet - tylko wodną wieszczką, a ty - tylko genetyczką. To nieprawda. Zawsze jest coś ponad, poza i pod rolą, którą gramy na oczach innych. Im może się wydawać, że trzymamy się odgórnego scenariusza, ale my nie musimy w to wierzyć.

- Kim więc jesteśmy? - zapytała Shedemei. - Kim ja jestem?

- Naukowcem, to przede wszystkim - odparła Luet - bo twoje myśli ciągle zaprzęta nauka. O ile nie śpisz.

- I naszą przyjaciółką - zawtórowała Hushidh.

- I osobą w tej grupie, która najlepiej rozumie, jak wszystko się kręci - dodała Luet.

- I żoną Zdoraba - odpowiedziała Luet. - Chyba właśnie ta rola jest dla ciebie

najważniejsza.

Ku ich zdziwieniu i konsternacji Shedemei położyła Dżę na dywanie i bez słowa wybiegła z namiotu. Hushidh dostrzegła w przelocie jej twarz. Zalaną łzami. Co do tego nie było wątpliwości. Shedemei płakała, bo usłyszała, że najważniejsza dla niej jest rola żony Zdoraba. Tak mogłaby się zachować kobieta, która wątpi w miłość męża. Ale jak ona może w to wątpić? Przecież nawet ślepy by zauważył, że całe życie Zdoraba kręci się wokół niej. W całej grupie nie ma bliższych sobie przyjaciół niż Zodya i Shedy - może poza Luet i Hushidh, ale one są siostrami, więc nie ma co porównywać.

Cóż złego mogło się dzieć między Zdorabem a Shedemei, że tak silna kobieta stała się tak drażliwa w tej kwestii? Jedna wielka niewiadoma. Wręcz tajemnica. Hushidh bardzo chciała zapytać o to Nadduszę, wiedziała jednak, że nie otrzyma odpowiedzi. Albo taką jak Luet - zajmij się własnymi sprawami.

*

Najlepsze, a zarazem najgorsze w tym, że zawrócili i obrali inną drogę na południe, było to, że teraz widzieli morze. A konkretnie - Zatokę Dorova, wschodnią odnogę Morza Abrazyjnego. Podczas bezchmurnych nocy - a innych nie było - na odległym krańcu zatoki mogli zobaczyć światła miasta Dorova.

Wszyscy wiedzieli, że nie jest podobne do Basiliki. Nędzna miejscina na skraju pustyni, siedlisko hołoty i cwaniaków, bandytów i nieudaczników obojga płci. I tak sobie powtarzali na okrągło, przywołując opowieści o pustynnych miastach i o tym, że nie warto ich odwiedzać.

Lecz Dorova była ostatnim miastem na świecie - na ich świecie. Ostatnim, które kiedykolwiek zobaczą. Mogli je odwiedzić przeszło tydzień temu, ale Volemak poprowadził ich znad Nividimu ku górcom i już wtedy pożegnali się z ostatnią nadzieją na powrót do cywilizacji albo, zdaniem niektórych, ostatnim zagrożeniem.

Nafai widział, jak inni spoglądali na te światła, gdy gromadzili się nocami, pozbawieni ognia, zmarznięci, z opatulonymi niemowlakami przyssanymi do piersi matek, gdy pili zimną wodę i żuli suszone mięso, twarde suchary oraz suszone arbuzy. Jak łzy napływały do oczu Obringa - łzy! I czymże było dla niego miasto? Mógł tam jedynie ulżyć swoim żądom i tyle. A tu łzy! Sevet zresztą nie była lepsza, z kamiennym wyrazem twarzy utkwiała wzrok w mieście. Dziecko przy piersi, a ona myślała tylko o tej miejscinie, tak małej i brudnej, że jeszcze dwa lata temu nie miałaby ochoty postawić w nim stopy. Gdyby wówczas zaoferowano jej dwudziestokrotność normalnej gaży, by przybyła tutaj i zaśpiewała, wyśmiałyby taką propozycję.

Na szczęście tęskne spojrzenia to wszystko, co mogli zrobić. Widzieli to miasto, ale nie mieli na czym przepłynąć zatoki, a żadne z nich nie umiało pływać na tyle dobrze, by pokonać ją wpraw. Zresztą nie byli na plaży, lecz co najmniej kilometr nad nią, na krawędzi urwistej pochyłości, która nie mogła się zdecydować, czy być klifem, czy zboczem. Może i znalazłby się sposób, by sprowadzić wielbłądy na dół, ale było to mało prawdopodobne, a nawet gdyby, musieliby poświęcić kilka dni na okrążenie plaży wraz z wielbłądami dźwigającymi wodę do picia. Nie, nikt nie zdoła odłączyć się ukradkiem od grupy i dotrzeć do Dorovy. Jeśli cała grupa by się tam udała, wówczas musieliby pewnie zawrócić po własnych śladach, co zajęłoby co najmniej półtora tygodnia, a możliwe że po drodze musieliby jeszcze omijać jakąś karawanę. Ale to i tak czcze rozważania, bo ojciec nie miał zamiaru odwiedzać Dorovy.

Nafai jednak nie mógł przestać myśleć o tym, jak bardzo ci ludzie chcieli iść do miasta.

Jak bardzo on tego pragnął.

Właśnie to go niepokoiło. On też pragnął iść do miasta. Ale nie z tych samych powodów co oni. Nie marzyła mu się inna żona niż Luet; byli rodziną, i to się nie zmieni, nieważne, gdzie przyjdzie im żyć, postanowił to już dawno temu. Nie, Nafai pragnął czystego miękkiego łóżka dla Chveyi. Szkoły dla niej. Domu dla Luet, Chveyi i następnych dzieci. Sąsiadów i przyjaciół - przyjaciół, których sam mógłby wybrać, a nie tej przypadkowej zbieraniny ludzi, z których większości nawet nie bardzo lubił. Właśnie to znaczyły dla niego te światła. Gdy przymknął powieki, mógł udawać przed sobą, że wystarczy spacerować przez łąkę, a potem krótka przeprawa łódką przez wody zatoki i już byłby w domu, podróż dobiegłaby końca, mógłby wykapać się i zasnąć w łóżku, potem obudzić się nęcony zapachem przygotowywanego śniadania, z żoną w objęciach, a gdy usłyszałby gaworzenie budzącej się córeczki, podszedłby do kołyski, wziął dziecko w ramiona i zaniósł do żony, która sennie wyjęłaby pierś spod koszuli nocnej i podała ją dziecku, i położyłby się obok nich, wsłuchał w ssanie i mlaskanie szkraba, drugim uchem łowiąc trele ptaków za oknem i poranny gwar miasta, krzyki handlarzy zachwalających swój towar. Jajka. Jagody. Śmietanę. Ciasta i słodkie bułeczki.

Nadduszo, czemu nie mogłeś zostawić nas w spokoju? Czemu nie mogłeś poczekać do następnego pokolenia? Zwlekałeś z tym czterdzieści milionów lat, a nie mogłeś wstrzymać się z tą wielką przygodą do czasu narodzin naszych prawnuków? Nie mogłeś pozwolić mnie i Issibowi, byśmy wymyślili, jak zbudować te pradawne maszyny latające, które do celu zaniósłby nas w kilka godzin? Czasu, tylko tego było nam trzeba. Czasu, by pożyć, nim na

zawsze stracimy nasz świat.

Przestań marudzić, odezwał się głos Nadduszy w głowie Nafaia. Choć może to wcale nie Naddusza, lecz rozsądek podpowiadał Nafaiowi, że zbytnio się zagalopował.

Był akurat poranek, tuż przed świtem, a oni nocowali opodal strumienia, który według Indeksu zwał się Shazer, choć Nafai nie miał pojęcia, czemu komuś miałoby się chcieć nazwać cokolwiek na takim odludziu i czemu Nadduszy chciało się to zapamiętać. Vas trzymał ostatnią wartę tej nocy, a potem przyszedł obudzić Nafaia, by wspólnie wybrali się na polowanie. Od trzech dni nie jedli mięsa, a to było dobre obozowisko, mogli więc poświęcić nawet dwa dni na łowy. Vas znajdzie świeży trop; Nafai podąży tym śladem i gdy zwierzyna znajdzie się blisko, cicho podkradnie się na odległość strzału. Potem chwyci w ręce bezcenny pulsator, bardzo starannie przymierzy, starając się odgadnąć, w którą stronę poruszy się zwierzę, jak daleko i jak szybko, po czym naciśnie spust, a wiązka światła wypali dziurę w sercu stworzenia, przypali je tak, że rana nie będzie krwawić - tylko gorąca, wilgotna smuga zabarwi piasek i kamienie tam, gdzie upadnie ofiara, na czerwono i czarno.

Nafai miał już tego dość. Lecz to był jego obowiązek, a zatem gdy usłyszał skrobanie w materiał namiotu blisko swej głowy, natychmiast się zbudził - choć w zasadzie już nie spał, unosił się na granicy snu - ubrał się, nie budząc Luet i Chveyi, wyjął pulsator z pojemnika i wyszedł w chłodny mrok przedświt.

Vas skinął głową na powitanie - starali się nie mówić, by nie zbudzić dzieci - potem odwrócił się powoli w stronę opadającego w dół zbocza. Nie ku miastu, lecz ku morzu. Na dół. Zwykle Nafai taką decyzję uważałby za głupią, bo potem trzeba będzie wnosić upolowane zwierzęta na górę do obozu. Tym razem jednak chciał udać się w dół. I choć ani myślał zrezygnować z wyprawy, choć nie miał zamiaru sprzeniewierzyć się ojcu czy Nadduszy, w głębi serca marzył, by pójść nad brzeg morza.

Gdy odeszli już dość daleko od obozu, zatrzymali się, by sobie ulżyć, a potem rozpoczęli trudne zejście na skalne rumowisko. Cały stok przed nimi tonął w mroku, bo słońce wschodziło za ich plecami. Lecz Vas był tropicielem, i to dobrym, i bardzo dumnym ze swojej biegłości, więc lepiej się działo, gdy Nafai nie próbował z nim polemizować.

Droga była niełatwa, choć ciemności ustępowały. Tutaj brzask zdawał się rozświeć całe niebo o wiele szybciej niż w Basilice. Czy to efekt szerokości geograficznej? A może suchego pustynnego powietrza? Tak czy inaczej teraz Nafai widział już całkiem wyraźnie mętlik klifów i grani, półek i wychodni stanowiących wyzwanie nawet dla najzwinniejszych zwierząt. Jakie stworzenie chcesz tu znaleźć, Vas? Jakie zwierzę mogłoby tu żyć?

Ale takie wątpliwości nachodziły go za każdym razem - obawiał się najgorszego, choć

wiedział, że jest tu dużo roślin i bez trudu coś upolują. Jak zawsze jedynym problemem było zanieśenie zwierzyny do obozu. I to był kolejny powód, dla którego Elemak zawsze wysyłał na łowy myśliwego wraz z tropicielem albo Nafaia z Vasem, albo - gdy mieli jeszcze do dyspozycji więcej niż jeden pulsator - Elemak sam chwycił za broń i brał z sobą Obringa. Jeśli im się poszczęściło, obie pary myśliwych coś upolowały, a każdy niósł na ramionach połowę zdobyczy. Częściej jednak zdarzało się to Nafaiovi i Vasowi, gdyż Nafai strzelał najcelniej, a Obring nie umiał całkiem skupić się na śladach, więc Elemak musiał dzielić uwagę między oba zadania.

Vas jednak nie miał żadnych problemów z koncentracją. Mógł przez długie godziny niezmordowanie podążać za jednym tropem. Był niczym pies szkolony do walki, który wgryza się w upatrzoną ofiarę i nigdy nie odpuszcza. Po części dlatego Nafai zwykle wracał z mięsem, ponieważ Vas niemal zawsze podprowadzał go do ofiary. Reszta była jednak już jego zasługą. Nikt inny nie potrafił tak bezszelestnie zbliżyć się do zwierzyny, nikt nie strzelał tak pewnie i precyzyjnie. Stanowili dobrany zespół. A kiedyś nawet by nie pomyśleli, że tak dobrze razem będą sobie radzić na polowaniu.

Vas szybko znalazł ślad. Nafai dał się prowadzić, wyglądając drapieżników, które mogłyby uznać ludzi za zagrożenie lub przysmak. Tropy wiodły coraz dalej w dół zbocza. Jeszcze przed południem dostrzegł wyraźną i prostą trasę, którą mogliby zejść na plażę. Z powodów, z których nie był dumny, chciał podążyć tą ścieżką i chociaż zamoczyć stopy w morskiej wodzie. Lecz Vas miał inny plan - prowadził ich wzdłuż ściany coraz bardziej stromej i niebezpiecznej klifu.

Czemu jakieś zwierzę miałoby wybrać akurat tę drogę? - zastanawiał się Nafai. Cóż to za stworzenie? Ale oczywiście nic nie powiedział; zachowanie idealnej ciszy przez cały czas polowania było dla nich powodem do dumy.

W końcu dotarli do najbardziej niebezpiecznego fragmentu przeprawy, przez przewężenie, gdzie trzeba było poruszać się powoli w poprzek gładkiej powierzchni bez żadnego występu, gdzie jedynie zmysł równowagi mógł zapobiec upadkowi z wysokości pięćdziesięciu metrów. Dopiero wtedy Vas zatrzymał się i gestem dłoni wskazał, że zwierzyna czeka po drugiej stronie wąskiego gzymsu. A to była zła nowina. Oznaczała bowiem, że Nafai będzie musiał precyzyjnie się tam z pulsatorem gotowym do strzału - że, praktycznie biorąc, będzie musiał przymierzyć i wystrzelić właśnie z tego wąskiego przejścia.

Ale po tylu godzinach tropienia nie mógł ot tak zrezygnować i zaczynać wszystkiego od początku tylko dlatego, że natrafił na jakieś trudności.

Vas przywarł do ściany klifu, a Nafai precyzyjnie się za nim, potem wyciągnął pulsator

z pokrowca i przesunął się ku wąskiemu gzymsowi.

W tej chwili naszła go myśl: Nie idź dalej. Vas ma zamiar cię zabić.

To głupie. Co innego bać się tej półki - w końcu jestem tylko człowiekiem. Lecz jeśli Vas naprawdę chce mnie zabić, wystarczyło, że trąciłby mnie łokciem, gdy przed chwilą go mijałem.

Ani kroku dalej.

I co? Mam zostawić swoją rodzinę bez mięsa, bo nagle obleciał mnie strach? Po moim trupie.

Stłumił lęk i przesunął się wzdłuż ściany. Wygiął nieco tułów, by zyskać największy możliwy nacisk, a tym samym największe możliwe tarcie na podeszwach butów. Mimo to czuł, że ziemia osuwa mu się spod stóp - to naprawdę była bardzo niebezpieczna przeprawa, a oddanie strzału z tego punktu będzie prawie niemożliwe.

Dotarł do miejsca, z którego mógł zobaczyć cały wcześniej zasłonięty obszar, zatrzymał się więc i rozejrzał za zwierzęciem. Żadnego nie spostrzegł. To się czasem zdarzało. Vas nieraz już podprowadzał go do stworzenia mającego dobry naturalny kamuflaż, a gdy Nafai zbliżał się na zasięg strzału, zwierzę zauważało go lub wyczuwało i zamierało w bezruchu, stając się niemal zupełnie niewidzialne. Czasem mijało dużo czasu, nim się poruszyło. Może i tym razem będzie to jedna z tych prób cierpliwości. Nafai zżymał się w duchu, że musi czekać na tym gzymsie, ale był teraz widoczny jak na dłoni, więc gdyby się poruszył, zwierzę rzuciłoby się do ucieczki i cały wysiłek poszedłby na marne.

Ostrożnie przesunął ręce w taki sposób, by cały ciężar ciała opierał się na stopach i dłoni bez pulsatora, potem uniósł broń tak, by móc łatwo przymierzyć w dowolny punkt na ścianie przeciwległej góry. Czyżby zwierzę ukrywało się w tamtych krzakach? A może za skałą, gotowe pokazać się w każdej chwili?

Nafaiowi nie brakowało ani siły, ani cierpliwości, przywykł do trwania nieruchomo przez długi czas - ale jeszcze nigdy nie musiał wytrzymywać w takiej pozycji. Czuł pot ściekający mu z czoła. Jeśli wpadnie do oka, wymieszany z kurzem na twarzy, zacznie niemiłosiernie piec. Ale nie można go otrzeć, nie płosząc zwierzyny.

Zwierzyny, której jak dotąd nawet nie zauważyłem.

Zapomnij o niej. Zejdź ze ściany, ale już.

Nie, dam sobie radę. Muszę zdobyć jedzenie - nie mam zamiaru wrócić i oświadczyć, że nie będziemy dziś mieli mięsa, bo bałem się czekać na skale.

Usłyszał, że Vas przesuwa się po gzymsie. To głupie - czemu Vas to robi?

By mnie zabić.

Dlaczego nie mógł pozbyć się tej natrętnej myśli? Nie, Vas idzie tu z pomocą, bo się domyślił, że nie dojrzałem jeszcze zwierzęcia, i chce mi je wskazać. Ale jak to zrobić? Nie zdoła precyzyjnie się obok mnie, by widzieć to samo.

Och, nie. Vas chciał tylko porozmawiać.

- To zbyt niebezpieczne - rzekł. - Ześlizgniesz się.

I wykrakał, bo dokładnie w tej chwili prawa stopa Nafaia wykrzywiła się i osunęła. W wyniku gwałtownego ruchu także lewa stopa straciła oparcie i zaczęła się ześlizgiwać. Zapewne zdarzyło się to bardzo szybko, lecz Nafai miał wrażenie, że minęły całe wieki; próbował wbić się w skałę, najpierw ręką, potem kolbą pulsatora, ale obie jedynie otarły się o kamień. Już się nie ześlizgiwał - spadał, leciał w dół, wiedząc, że umrze.

- Nafai! - krzyknął Vas. - Nafai!

*

Luet prała ubranie nad strumieniem, gdy nagle naszła ją wyraźna myśl: On nie umarł.

Nie umarł? Ale kto? I dlaczego miałby umrzeć?

Nafai nie umarł. Wróci do domu.

Od razu domyśliła się, że to Naddusza do niej przemawia. Uspokaja ją, pociesza, że Nafaiovi nic się nie stało. Ona jednak musiała wiedzieć, wprost żądała od Nadduszy, by jej to wyjaśniła. Spadł.

Jak?

Jego stopa ześlizgnęła się z półki skalnej.

Nafai pewnie trzyma się na nogach. Czemu więc się poślizgnął? Czego mi nie mówisz?

Obserwowałam Vasa uważnie w obecności Sevet i Obringa. Cały czas miałam go na oku. On w głębi duszy jest mordercą.

Czy miał coś wspólnego z upadkiem Nafaia?

Dopiero gdy przesuwali się wzdłuż skały, dojrzałam plan w jego głowie. Udało mu się zniszczyć już trzy pulsatory. Wiedziała, że ma zamiar zniszczyć także ten ostatni, ale to mnie nie niepokoiło, bo istnieje alternatywa. W ogóle nie zauważyłam tego w jego umyśle - aż do chwili, gdy było już za późno - że najprostszy sposób zniszczenia ostatniego pulsatora to poprowadzić Nafaia w niebezpieczne miejsce, a potem trącić mu nogę, by spadł.

Jakim cudem coś takiego uszło twojej uwagi?

Przez całą drogę na dół Vas myślał o drodze ku morzu. Jak zejść do zatoki, by pójść do Dorovy. Tylko tyle miał w głowie, gdy prowadził Nafaia tropem nieistniejącej zwierzyny. Vas ma zdumiewającą zdolność koncentracji. Aż do ostatniej chwili nie myślał o niczym poza

ścieżką do morza.

I nie ostrzegłaś Nafaia?

Słyszał mnie, ale nie zdawał sobie sprawy, że to mój głos. Sądził, że podpowiada mu to jego własny lęk, i go zdusił.

A zatem Vas jest mordercą.

Vas jest, jaki jest. Zrobi wszystko, by zemścić się na Obringu i Sevet za zdradę, której dopuścili się w Basilice.

Ale wydawał się taki spokojny.

Potrafi udawać obojętność.

Co teraz? Co teraz, Nadduszo?

Będę obserwować.

Robisz to nie od dziś, a i tak nie dałaś nam żadnego wglądu w to, co zobaczyłaś. Wiedziałaś, co Vas zamierza. Hushidh dostrzegła nawet mocne więzi między nim a Sevet i Obringiem, ale nie raczyłaś jej wyjaśnić, co oznaczają.

Tak mnie zaprogramowano. By obserwować, a nie ingerować, przynajmniej dopóki zagrożenie nie szkodzi moim celom. Gdybym powstrzymywała każdego człowieka przed czynieniem zła, któż cieszyłby się wolnością? Jak wtedy ludzie byłiby sobą? Pozwalam im więc planować i obserwuję. Często rezygnują ze swych zamiarów, i to bez mojej ingerencji.

A nie mogłaś ogłupić Vasa albo sprawić, by o tym zapomniał?

Już ci mówiłam. Vas posiada wysoką zdolność koncentracji.

I co teraz? Co teraz?

Będę obserwować.

Powiedziałaś o tym Volemakowi?

Powiedziałam tobie.

A czy ja powinnam komuś powiedzieć?

Vas wszystkiemu zaprzeczy. A powiedziałam ci o tym, bo nie ufam już własnej zdolności do przewidywania jego zamiarów.

I cóż ja mogę począć?

To ty jesteś człowiekiem. To ty jesteś zdolna myśleć o rzeczach, które wykraczają poza ramy twojego programowania.

Nie, nie wierzę ci. Nie wierzę, że nie masz żadnego planu.

Jeśli mam jakiś plan, uwzględnia on, że sama podejmiesz decyzje, co z tym zrobić.

Hushidh... Muszę powiedzieć siostrze!

Jeśli mam jakiś plan, uwzględnia on, że sama podejmiesz decyzje.

To znaczy, że nie wolno mi omawiać tego z Hushidh, bo wtedy moje decyzje nie będą naprawdę moimi? Czy raczej że omówienie tego z siostrą jest jedną z decyzji, którą muszę podjąć na własną rękę?

Jeśli mam jakiś plan, to uwzględnia on, że sama podejmiesz decyzje co do swoich decyzji względem swoich decyzji.

Naddusza zamilkła.

Wszystkie ubrania leżały na trawie nad brzegiem strumienia, oprócz jednej piżamy Chveyi, którą Luet prala; tę wciąż trzymała w wodzie. Tak była zaaferowana rozmową z Nadduszą. Ręce jej przemarzły.

Muszę porozmawiać z Hushidh, to pierwsza decyzja, którą podejmuję. Porozmawiam z Hushidh i z Issibem.

Ale najpierw dokończę pranie. Tym sposobem nikt się nie zorientuje, że coś jest nie tak. To chyba właściwe podejście, nie dać nic po sobie poznać.

W końcu Nafaiowi nic się nie stało. Nie zginął. Ale Vas jest zabójcą w głębi duszy. A Obringowi i Sevet grozi niebezpieczeństwo z jego strony. Oraz Nafaiowi, jeśli Vas choć zacznie podejrzewać, że mój mąż wie, jakie miał zamiary. I mnie, jeśli Vas się domyśli, że ja również to wiem.

Jakim cudem Naddusza pozwoliła zabrać sprawom aż tak daleko? Czy to aby nie jej wina? Czy ona nie wie, że zabrała na tę wyprawę kilkoro okropnych ludzi? Jak mogła pozwolić, byśmy podróżowali i obozowali przez wiele miesięcy, przez ponad rok w towarzystwie zabójcy?

Ponieważ miała nadzieję, że on jednak nie posunie się do morderstwa, no jasne. Ponieważ musi pozwolić ludziom być sobą, nawet teraz. Zwłaszcza teraz.

Ale tu chodzi o mego męża. Tego już za wiele, Nadduszo. Podjęłaś zbyt wielkie ryzyko. Gdyby on zginął, nigdy bym ci tego nie wybaczyła. Nie chciałabym nadal ci służyć.

Od Nadduszy nie przyszła żadna odpowiedź. Przyszła za to z głębi jej serca: Jednostka może ponieść śmierć w każdej chwili. Zapobieganie temu nie należy do zadań Nadduszy. Jej zadaniem jest przeciwdziałanie śmierci całego świata.

*

Nafai leżał oszołomiony w trawie. Na półce skalnej niewidocznej z góry z powodu specyficznego wybrzuszenia klifu. Spadł jedynie pięć czy sześć metrów, najpierw zsuwając się przez chwilę po skalnej ścianie. To wystarczyło jednak, by pozbawić go tchu, zemdlął. Ale nie odniósł poważniejszych obrażeń - poza obitym biodrem.

Gdyby nie wylądował na tej półce, zleciałby kolejnych sto metrów albo i więcej. Z

pewnością by zginął.

Nie mogę uwierzyć, że przeżyłem. Nie powinienem próbować strzelać z tego miejsca. To było głupie. Słusznie się bałem. Powinienem zaufać swoim obawom, a gdybyśmy przez to nie upolowali tego zwierzęcia, mała strata, bo mogliśmy znaleźć inne. Nie możemy jednak znaleźć innego ojca dla Chveyi, innego męża dla Luet, innego łowcy.

Ani innego pulsatora.

Rozejrzał się wokoło. Broni nie było na półce. Ani nigdzie indziej w zasięgu wzroku. Musiał ją upuścić, gdy spadał. Najpewniej przekoziółkowała po skałach. Gdzie jej teraz szukać?

Podczołgał się do krawędzi półki i wyjrzał za nią. Tak jak przypuszczał, prosta droga w dół, nie licząc kilku małych wychodni - gdyby pulsator w nie uderzył, odbiłby się i poleciał na dno. Nigdzie indziej nie mógł wylądować i się zatrzymać, dopiero na samym dole. A jeśli tak, nie było szans go stąd zobaczyć - wpadł w gęszcz.

- Nafai! - zakrzyknął Vas.

- Tu jestem!

- Dzięki Bogu! Jesteś ranny?

- Nie. Spadłem na półkę. Myślę, że uda mi się wejść na górę od południa. Jestem jakieś dziesięć metrów pod tobą. Też przesun się na południe, dobrze? Może będę potrzebował twojej pomocy.

- Masz pulsator?

Musiał o to zapytać, a jakże. Nafai zaczerwienił się ze wstydu.

- Nie, pewnie upuściłem go, gdy spadałem. Może ty go widzisz z góry?

- Nie. Miałeś go w ręku podczas upadku.

- A więc leży na dnie. Przesuwam się na południe.

Nafai szybko się zorientował, że łatwiej było powiedzieć, niż zrobić. Wprawdzie przez upadek nic sobie nie połamał, ale przerażenie, które czuł w tamtej chwili, w jakimś stopniu odbiło się na nim, to na pewno - nie potrafił się zmusić, by wstać, lękając się, że runie na dno.

Nie spadłem z powodu utraty równowagi, pomyślał Nafai. Spadłem, bo skała była gładka i podeszwa się ześlizgnęła. Ta półka jest inna. Tu mogę bezpiecznie stać.

Stanął więc, plecami do klifu, przekonując samego siebie, by się poruszyć, by przesunąć się wzdłuż półki za róg, gdzie mogła się znajdować droga na górę. Lecz im dłużej to sobie powtarzał, tym częściej skupiał wzrok na pustce poza krawędzią klifu, niecały metr od swoich stóp. Jeśli choć trochę się wychyle, spadnę. Gdybym teraz przechylił się do przodu, jak nic poleciałbym w przepaść.

Nie, tłumaczył sobie. Nie mogę tak myśleć. Setki razy dawałem sobie radę z podobnymi półkami. To żadne wyzwanie. Łatwizna.

Odwrócił się więc i zaczął ostrożnie przesuwając się wzdłuż półki, przylegając do ściany klifu. Z każdym kolejnym krokiem nabierał pewności siebie.

Pokonawszy załom klifu, zobaczył, że zbliża się do końca półki - lecz teraz raptem dwa metry dzieliły ten gzyms od tego na górze, a stamtąd już z łatwością wspiąłby się do miejsca, którędy schodzili z Vasem przed niespełną godziną.

- Vas! - zawołał.

Przesuwał się dalej, aż stanął tuż pod miejscem, gdzie było najbliżej do górnej półki. Mało brakowało, a sięgnąłby wystarczająco daleko, by podciągnąć się tam na własnych rękach, ale niczego nie mógł się złapać, a z krawędzi osuwała się ziemia. Byłoby bezpieczniej, gdyby pomógł mu Vas.

- Vas, tu jestem! Potrzebuję twojej pomocy!

Lecz jego krzyk pozostał bez odpowiedzi. I wtedy przypomniała mu się myśl, która naszła go, gdy zaczął przesuwając się po tamtym niebezpiecznym gzymsie: Nie idź dalej. Vas ma zamiar cię zabić.

Czy możliwe że to było ostrzeżenie od Nadduszy?

Nonsens.

Nie czekał beczynn timer na odpowiedź Vasa. Na tyle, na ile mógł, wyciągnął ręce ku górnej półce i wbił palce w sypkie, trawiaste podłoże. Osuwało się i odrywało, ale chwytając coraz dalej, uczipiając się coraz mocniej, zdołał znaleźć dość oparcia, by łokciami sięgnąć za krawędź półki, a potem już poszło jak z płatka - zarzucił nogę na gzyms i podciągnął się na górę. Przetoczył się na plecy i leżał, dysząc z ulgi. Wprost nie mógł uwierzyć, że zrobił coś tak karkołomnego tak szybko po upadku - gdyby podczas wspinaczki na półkę choć raz się poślizgnął, miałby niemały problem, by złapać się półki na dole. Naraził się na śmierć, ale ryzyko się opłaciło.

Vas pojawił się po chwili.

- O, a ty już na górze. Patrz, tędy wrócimy.

- Muszę odszukać pulsator.

- Na pewno jest zepsuty i do niczego. Nie wytrzymał takiego upadku.

- Nie mogę wrócić i powiedzieć, że nie mam pulsatora - sprzeciwił się Nafai. - Że go straciłem. Nawet jeśli rozpadł się na czterdzieści kawałków, zamierzam wszystkie przynieść do obozu.

- Lepiej powiedzieć im, że go zepsułeś, niż że go straciłeś?

- Owszem. Inaczej do końca życia by się zastanawiali, czybym nie znalazł broni, gdybym tylko poszukał. Nie rozumiesz, że tu idzie o zdobywanie mięsa dla naszych rodzin?

- Och, wiem przecież - odparł Vas. - Skoro tak stawiasz sprawę, to oczywiście rozumiem, że musimy go poszukać. Spójrz, możemy zejść tędy, to dość prosta droga.

- O tak, prosto do morza.

- Myślisz?

- Tamtędy w dół i w lewo... widzisz?

- No, chyba dałoby radę.

Nafai lekko się zawstydził. On się zorientował, że tamta droga prowadzi ku morzu, choć Vas wcale o morzu nie myślał.

Zamiast nad morze zeszli w dół w stronę zarośli, gdzie musiał upaść pulsator. Znaleźli go dość szybko - przełamanego dokładnie pośrodku. Tu i ówdzie w krzakach rozsiało się kilka wewnętrznych podzespołów - na pewno nie znaleźli wszystkich. Ten pulsator nie nadawał się już do naprawy.

Mimo to Nafai włożył kawałki, te małe i te duże, do pokrowca, który własnoręcznie zrobił do noszenia pulsatora, i mocno zawiązał. Potem zaczęli z Vasem długą wspinaczkę na szczyt urwiska. Nafai zaproponował, by Vas poszedł przodem, bo z pewnością lepiej pamięta drogę, a Vas zgodził się bez wahania. Nafai nie dał mu odczuć, że nie chciał iść pierwszy, by nie mieć Vasa za plecami.

Nadduszo, czy to było ostrzeżenie od ciebie?

Nie dostał żadnej odpowiedzi, a przynajmniej nie takiej wprost. Naszła go za to wyraźna myśl, by po powrocie do obozu jak najszybciej porozmawiać z Luet. A skoro i tak chciał to zrobić - zwłaszcza po takich przeżyciach, po tym, jak otarł się o śmierć - uznał, że były to jego własne myśli i że Naddusza w ogóle się do niego nie odezwał.

Łuk

Utrata ostatniego pulsatora była tak dotkliwym ciosem, że ani Volemak, ani Elemak nawet nie starali się uspokoić wzburzenia wędrowców - do czasu, aż sytuacja niemal wymknęła się spod kontroli. Kawałki strzelby leżały na płachcie materiału; tuż obok spoczywały dwa pulsatory zniszczone przez wodę, które Elemak zachował na wszelki wypadek. Zdorab, z Indekssem na kolanie, odczytywał numery seryjne zepsutych części. Niemal cała reszta grupy stała - tylko garstka była dość opanowana, by siedzieć - czekając, obserwując, kręcąc się w tę i w tę, utyskując, podczas gdy Zdorab próbował ustalić, czy z tych części udałoby się złożyć jeden kompletny pulsator.

- Nie da rady - orzekł Zdorab. - Nawet gdybyśmy mieli wszystkie części, Indeks twierdzi, że brak nam narzędzi, a ich nie wytworzymy, bo musielibyśmy najpierw poświęcić pięćdziesiąt lat na osiągnięcie odpowiedniego poziomu technologicznego.

- Cóż za genialny plan miał ten Naddusza - zirytował się Elemak. - Utrzymywać ludzkość na tak niskim poziomie rozwoju technologii, że choć potrafimy konstruować pulsatory, nie rozumiemy, jak działają, i nie umiemy ich naprawić, gdy się zepsują.

- To nie był plan Nadduszy - zauważył Issib.

- A co za różnica? - wtrącił się Mebbekew. - I tak tu zginiemy.

Lal wybuchła płaczem i choć raz zabrzmiało to szczerze.

- Przepraszam - rzekł Nafai.

- Cóż, bardzo cieszy nas twoja skrucha - stwierdził Elemak.

- Ale coś ty w ogóle robił w tak niebezpiecznym miejscu? Miałeś jeden, jedyny sprawny pulsator i tak o niego dbałeś?

- Tam była zwierzyna - bronił się Nafai.

- A gdyby rzuciła się w przepaść, skoczyłbyś za nią? - zagadnął Volemak.

Nafai był zdruzgotany, że ojciec przyłączył się do połajanki Elemaka. A brat dopiero się rozkręcał.

- Powiem ci wprost: gdybyś miał wtedy wybór, czy ty, czy pulsator macie wylądować na półce, zamiast spadać na dno, byłoby lepiej dla wszystkich, gdybyś się postarał, żeby to był pulsator!

Niesprawiedliwość tych słów była nie do zniesienia.

- Nie przeze mnie straciliśmy pierwsze trzy.

- Ale gdy straciliśmy pierwsze trzy, mieliśmy jeden w zanadru, więc nie było jeszcze dramatu - wyjaśnił ojciec. - Wiedziałeś, że to nasz ostatni pulsator, a mimo to podjąłeś takie ryzyko.

- Dość! - zakrzyknęła Rasa. - Wszyscy, łącznie z Nafaiem, zgadzamy się, że narażenie pulsatora na takie ryzyko było fatalnym błędem. Lecz to już się stało, nie można go naprawić, a my zostaliśmy tutaj, w tym obcym miejscu, bez możliwości zdobycia mięsa. Może ktoś z was pomyśli, co mamy teraz zrobić, poza obwinianiem Nafaia.

Dziękuję, matko, rzekł Nafai w myślach.

- Czy to nie oczywiste? - odezwał się Vas. - To koniec wyprawy.

- Nie - szorstko odciął się Volemak. - Jedynym celem Nadduszy jest ocalenie Harmonii przed takim samym zniszczeniem, które spotkało Ziemię czterdzieści milionów lat temu. Czy chcemy się poddać, bo straciliśmy broń?

- Nie broń - poprawiła Eiahd. - Tylko mięso. Musimy je jakoś zdobywać.

- I nie jest to tylko kwestia zrównoważonej diety - dodała Shedemei. - Nawet gdybyśmy rozbili tutaj obóz i już dziś obsiali ziemię - a teraz nie pora na to, więc i tak nie da rady - nawet gdybyśmy to zrobili, zanim doczekalibyśmy się plonów bogatych w podstawowe białka, już byśmy chorowali z powodu poważnego niedożywienia.

- Co masz na myśli, mówiąc „poważne niedożywienie”? - zapytał Volemak.

- Przypadki śmierci głodowej, przede wszystkim wśród dzieci.

- To straszne! - załkała Kokor. - Zabiliście mi dziecko!

Jej histeryczny krzyk wywołał chór jęków. Pośród wrzawy Nafai w myślach zwrócił się do Nadduszy: Czy jest jakiś inny sposób?

A masz jakąś propozycję?

Starał się wymyślić broń łowiecką, którą można byłoby wykonać z dostępnych im materiałów. Przypomniawszy sobie, że żołnierze Gorayni są uzbrojeni we włocznie, łuki i strzały. Czy ta broń nadawałaby się do polowania, czy jest przydatna jedynie na wojnie?

I zaraz miał odpowiedzieć: Wszystko, co zabija człowieka, zabije też zwierzę. Do polowania z użyciem włóczni trzeba grupy łowców naganiających zwierzynę - w przeciwnym razie rzadko udaje się zbliżyć do niej na tyle, by ją zabić, nawet jeśli ma się miotacz zwiększający zasięg.

A łuk i strzały?

Dobry łuk ma czterokrotnie większy zasięg niż pulsator. Ale bardzo trudno go

wykonać.

A taki gorszy, o zasięgu mniej więcej równym pulsatorowi? Możesz nauczyć mnie, jak taki zrobić?

Tak.

A czy twoim zdaniem uda mi się z niego ustrzelić zwierzynę, czy też zdobycie odpowiedniej wprawy trwa zbyt długo?

Trwa tyle, ile trwa.

Odpowiedź Nadduszy wcale nie była najgorsza. Dawła nadzieję.

Gdy Nafai ponownie skupił uwagę na rozmowie, Volemak był doprowadzony do szału.

- Myślicie, że to ja zaplanowałem to wszystko?! Myślicie, że to ja prosiłem Nadduszę, by wywiódł nas na pustynię, by nasze dzieci rodziły się pośród jałowych piasków i byśmy błądzili przez pustkowia, nie mając dość pożywienia? Myślicie, że ja sam nie wolałbym być teraz w domowym zaciszu? I spać w łóżku?

Nafai zauważył, że Volemak zaskoczył wszystkich, dołączając do narzekań. Ale to ich wcale nie uspokoiło, niektórzy nawet wydawali się przerażeni - ich ostoja zaczęła się sypać. A oblicze Elemaka ledwie skrywało pogardę dla ojca. Nie był to najbardziej chwalebny moment w życiu Volemaka, Nafai widział to wyraźnie. Czemu ojciec nie zadał Nadduszy tego samego pytania co on? Przecież istniało wyjście z sytuacji.

Ponownie odezwał się Vas:

- Mówię wam, to wszystko bez sensu. Nafai i ja znaleźliśmy dość łatwą drogę w dół klifu. Może nie uda nam się sprowadzić tam wielbłądów, ale jeśli brzegiem zatoki pójdziemy ku Dorovie, musielibyśmy wziąć jedynie prowiant i wodę na jeden dzień.

- Mamy porzucić wielbłądy? - zapytał Elemak. - Namioty?

- Chłodziarki i suche skrzynie? - dodała Shedemei.

- Więc niektórzy z was tu zostaną - odparł Mebbekew - i poprowadzą wielbłądy naokoło dłuższą drogą. Bez kobiet i dzieci zajmie to raptem tydzień, a reszta będzie już w mieście. Za kilka miesięcy dotrzemy z powrotem do Basiliki. Albo tam gdzie reszta z was będzie chciała się udać.

Odpowiedział mu pomruk aprobaty.

- Nie - wtrącił się Nafai. - Tu nie chodzi o nas, tylko o Harmonię, o Nadduszę.

- Mnie nikt nie pytał, czy dobrowolnie zgłaszam się do tej szczytnej sprawy - zadrwił Obring - a tak się składa, że mam już serdecznie dosyć słuchania o niej.

- Miasto jest niedaleko - zawtórowała Sevet. - W mig bylibyśmy na miejscu.

- Głupcy - orzekł Elemak. - To, że widzicie miasto, że widzicie plażę, po której będziecie ku niemu szli, nie znaczy jeszcze, że dotrzecie tam bez trudu. W jeden dzień niby? Śmiechu warte. Nabraliście siły przez ostatni rok, pewnie, ale nikt z was nie jest w stanie iść tak daleko, niosąc dziecko, a co dopiero wiele litrów potrzebnej wam wody, i jedzenie na dodatek. Po piasku idzie się trudno, a im bardziej będziecie obciążeni, tym wolniej będziecie się poruszać, co oznacza, że będziecie musieli dźwigać więcej prowiantu, by przetrwać dłuższą wyprawę, a to z kolei, że będziecie jeszcze bardziej obciążeni i powolni.

- A więc utknęliśmy tu, aż pomrzemy? - lamentowała Kokor.

- Stul dziób! - fuknęła Sevet.

- Nie utknęliśmy - odezwał się Nafai - i nie musimy przerywać wyprawy. Zanim pojawiły się pierwsze pulsatory, ludzie jakoś zabijali zwierzynę.

- Udusisz je własnymi rękami czy jak? - zakpił Mebbekew.

- A może użyjesz woltażetu Gaballufixa, by odciąć im głowę?

Nafai nie dał się ponieść gniewowi rozbudzonemu szyderstwem Meba.

- Łuk. Strzały. Naddusza wie, jak się je robi.

- Niech więc Naddusza je robi - odparł Obring. - Ale to nie znaczy jeszcze, że ktoś z nas umie ich używać.

- Choć raz Obring ma rację - stwierdził Elemak. - By dobrze strzelać z łuku, potrzeba lat treningu. Jak myślisz, dlaczego zabrałem pulsatory? Łuki są lepsze, mają większy zasięg, nigdy się nie rozładowują i mniej uszkadzają mięso. Ale nie wiem, jak z nich korzystać, a co dopiero jak je zrobić.

- Ja też nie wiem - przyznał Nafai. - Ale Naddusza mnie naucz.

- W miesiąc, może i tak - oponował Elemak. - Nie mamy aż tyle czasu na zbyciu.

- W jeden dzień - zapewnił Nafai. - Dajcie mi czas do jutrzejszego zmroku. Jeśli do tej pory nie wrócę z mięsem, zgodzę się z Vasem i Mebem, że musimy iść do Dorovy, przynajmniej na jakiś czas.

- Jeśli tam pójdziemy, koniec z tą błazeńską wyprawą - oświadczył Mebbekew. - W życiu nie wsiądę już na wielbłąda, chyba że po to, by wrócić do domu.

Kilka osób przyznało mu rację.

- Dajcie mi dzień, a potem zgodzę się z wami - odparł Nafai.

- Jeszcze nie zaczęło nam brakować zapasów, możemy poczekać dzień.

- Szkoda czasu - orzekł Elemak. - To nie może się udać.

- Co wam szkodzi pozwolić mi to udowodnić? Twierdzą jednak, że zdołam to zrobić z pomocą Nadduszy. Indeks zawiera całą potrzebną wiedzę. A zwierzynę łatwo tu znaleźć.

- Weź mnie na tropiciela - zaproponował Vas.

- Nie! - krzyknęła Luet, która do tej pory nie odezwała się nawet słowem. - Nafai sam sobie poradzi. Z pomocą Nadduszy.

Ona coś wie, pomyślał Nafai. Wtem przypomniał sobie myśli, które naszły go tam na klifie - że Vas próbował go zabić. Że Vas spowodował jego upadek. Czy Naddusza wyraźnie do niej przemawia? Czyżby moje obawy były uzasadnione? Czy dlatego Luet chce, żebym poszedł sam?

- A więc wyruszysz z rana? - zapytał Volemak.

- Nie, już teraz. Mam nadzieję, że dziś zrobię łuk, bym cały jutrzejszy dzień mógł poświęcić na polowanie. Przecież nie od razu będę trafiał do celu.

- To głupota! - żółdkował się Meb. - Za kogo się Nafai uważa, za jednego z herosów Pyiretsiss?

- Nie pozwolę, by ta wyprawa się nie powiodła! - wrzasnął Nafai. - Taki już jestem. A skoro nie pozwolę, by zatrzymał nas zepsuty pulsator, to możesz się założyć o wszystkie smarki w nosie, że nie pozwolę, byś ty mi przeszkodził.

Meb się zaśmiał.

- Zakład stoi, braciszku. Wszystkie smarki w moim nosie mówią, że przegrasz.

- Zgoda.

- Tylko że nie ustaliliśmy, co ty mi dasz, gdy przegrasz.

- To nie ma znaczenia - odparł Nafai. - Bo nie przegram.

- Lecz jeśli jednak... będziesz moim sługą.

Wielu obecnych z drwiną przyjęło te słowa.

- Smarki przeciw służbie - szydziła Eiadh. - Dokładnie tego się spodziewałam po tobie, Meb.

- Jak nie chce, nie musi przyjmować zakładu - odparował Meb.

- Ustalmy, na jak długo - odezwał się Nafai. - Powiedzmy... na miesiąc.

- Na rok. Cały rok będziesz na moje rozkazy.

- To się nie godzi - sprzeciwił się Volemak. - Zabraniam wam.

- Ty rzuciłeś wyzwanie, Nafaiu - przypomniał Mebbekew.

- Jeśli teraz się wycofasz, wszyscy uznają, że twoje słowo jest nic niewarte.

- Gdy złożę u twych stóp mięso, Mebie, zdecydujesz, ile warte jest moje słowo, ale ja nie rzucam słów na wiatr, tego możesz być pewien.

I na tym stanęło. Poczekają na powrót Nafai do jutrzejszego zmroku.

Pospieszył do namiotu kuchennego i spakował trochę prowiantu. Potem skierował się

do źródła, by napelnić bukłak. Oprócz noża przy boku nie potrzebował niczego więcej.

Gdy przyklęknął z bukłakiem nad sadzawką, pojawiła się Luet.

- A gdzie Chveya? - zapytał.

- Z Shuyą - odparła. - Już wcześniej chciałam z tobą pomówić. Ale mieliśmy to... zebranie.

- Ja też chciałem z tobą pomówić. Ale wszystko się pokreśliło i teraz nie mam czasu.

- Chyba jednak znajdziesz czas, by przyjąć to.

W jej dłoni spoczywała szpulka.

- Ponoć łuki nie działają bez cięciwy - wyjaśniła. - A Naddusza twierdzi, że ten sznurek będzie najlepszy.

- Zapytałaś?

- Miała wrażenie, że chcesz popędzić bez niego i wkrótce byś tego żałował.

- Święta racja. - Wziął szpulkę i zapakował do torby. Potem objął żonę i pocałował. - Zawsze o mnie dbasz.

- Staram się. Nafai, gdy byłeś na polowaniu, Naddusza przemówiła do mnie. Bardzo wyraźnie.

- Tak?

- Czy Vas był blisko ciebie, gdy spadłeś?

- Był.

- Na tyle blisko, że mógł to spowodować? Na przykład popychając ci nogę?

Nafai od razu przypomniał sobie tę straszną chwilę, gdy prawa stopa zaczęła się ześlizgiwać. Przesunęła się w lewo, ku drugiej stopie. Gdyby przyczyną była utrata przyczepności, to czy nie osunęłyby się w dół?

- Tak - orzekł Nafai. - Naddusza próbował mnie ostrzec, ale...

- Ale pomyślałeś, że to jakiś twój irracjonalny lęk i zlekceważyłeś to.

Nafai przytaknął. Ona wiedziała, jak to jest, gdy słyszy się głos Nadduszy, jakby słyszało się własne myśli, własne obawy.

- To znaczy, że wciąż boisz się bać - ciągnęła. - Nie wiesz, że strach jest podstawowym narzędziem, za pomocą którego ewolucja utrzymuje gatunek przy życiu? A mimo to lekceważysz go, zupełnie jakbyś chciał umrzeć.

- No cóż, testosteron robi ze mną, co chce, nic nie mogę na to poradzić. A ty o wiele mniej cieszyłabyś się z naszego małżeństwa, gdybym w ogóle go nie miał.

Uśmiechnęła się, ale zaraz spoważniała znowu.

- Naddusza powiedziała mi coś jeszcze. Że Vas ma zamiar...

W tej chwili nadeszła Kokor z Obringiem.

- Bijesz się z myślami, braciszku? - zadrwiła Kokor.

- Moje zawsze nadchodzą trójkami lub czwórkami - odciął się Nafai. - A nie pojedynczo, jak twoja.

- Chciałam ci tylko życzyć powodzenia. Naprawdę mam nadzieję, że wrócisz do nas z jakimś zajęczkiem do zjedzenia. Bo w przeciwnym razie będziemy musieli iść do miasta i jeść wszystko na ciepło, a to byłaby po prostu zgroza, nie sądzisz?

- Coś mi się zdaje, że nie mówisz szczerze.

- Gdybym sądził, że masz choć cień szansy na sukces - włączył się Obring - to złamałbym ci rękę.

- Gdyby ktoś taki jak ty zdołał złamać mi rękę - odgryzł się Nafai - to naprawdę nie miałbym żadnych szans.

- Proszę, nie kłóćcie się - uspokajała Luet. - Czy nie mamy już dość problemów?

- Słodka rozjemczyni - szydziła Kokor. - Urody to ty nie masz za dużo, ale może ładnie się zestarzejesz.

Nafai nie mógł się powstrzymać. Kpiny Kokor były tak dziecinne, że musiał się roześmiać.

Kokor się to nie spodobało.

- Śmiej się do woli. Ale ja mam głos, który da mi majątek, a matka wciąż ma domy w Basilice, które mogę odziedziczyć. A co ma twój ojciec dla ciebie? I jaki niby dom w Basilice stworzy dla ciebie ta twoja sieroca żonka?

Luet dała krok do przodu i stanęła przed Kokor; Nafai dopiero teraz zauważył, że obie są niemal tego samego wzrostu, a to znaczy, że przez ostatni rok Luet urosła. Ona naprawdę wciąż jeszcze jest dzieckiem, pomyślał.

- Koya, zapominasz, do kogo mówisz - powiedziała Luet.

- Może ci się wydawać, że Nafai jest tylko twym młodszym bratem. Jednak zapamiętaj sobie, że jest także mężem wodnej wieszczki.

- A jakie to ma tutaj znaczenie? - wyzywająco zapytała Kokor.

- Tutaj absolutnie żadnego. Ale gdybyśmy mieli wrócić do Basiliki, ciekawe jak wysoko byś zaszła, gdyby rozeszła się wieść, że masz wodną wieszczkę za wroga.

Kokor zbladła.

- Nie zrobiłabyś tego.

- Masz rację. Nie zrobiłabym. W życiu nie wykorzystywałam swoich wpływów w takim celu. A zresztą i tak nie wrócimy do Basiliki.

Nafai pierwszy raz widział, by Luet zachowywała się tak wyniosłe. Był basilikaninem na tyle, że do godności wodnej wieszczki odnosił się z nabożnym szacunkiem; czasem łatwo było zapomnieć, że kobieta, z którą co noc dzielił łóżę, była tą samą niewiastą, której słowa w Basilice szeptem przekazywano sobie od domu do domu. Niegdyś pomimo wielkiego ryzyka przyszła do niego, opuszczając mury miasta w środku nocy, by zbudzić go i ostrzec, że jego ojcu grozi niebezpieczeństwo - i tej nocy w ogóle nie dała po sobie poznać, że jest świadoma swej wysokiej pozycji w mieście. Niegdyś wzięła go za rękę, gdy uciekał przed pościgiem ludzi Gaballufixa, i poprowadziła w dół ku wodom Jeziora Kobiet, gdzie żaden mężczyzna nie miał prawa się znaleźć i wrócić żywy - i nawet wtedy, gdy poskramiała kobiety, które z pewnością by go zabiły, nie wpadała w ten ton, mówiła spokojnie, półgłosem.

Raptem go olśniło - Luet odgrywała to wyniosłe dostojeństwo dlatego, że tak postąpiłaby Kokor, gdyby miała choć odrobinę władzy. Luet mówiła do przyrodniej siostry Nafaia w języku, który mógł do niej trafić. I trafił, a Kokor uczepiła się rękawa Obringa i oboje odeszli.

- Jesteś w tym naprawdę dobra - stwierdził Nafai. - Chętnie posłucham, jak użyjesz tego tonu wobec Chveyi, gdy po raz pierwszy ci odpyskuje.

- Wychowam ją na kobietę, wobec której nigdy nie będzie trzeba używać podobnego tonu.

- Nawet nie wiedziałem, że potrafisz.

Uśmiechnęła się.

- Ja też nie. - Znów go pocałowała.

- Mówiłaś mi coś o Vasie - przypomniał.

- Coś, co zauważyła Hushidh, ale nie rozumiała; Naddusza mi to wytłumaczyła. Vas nie zapomniiał, że Sevet zdradziła go z Obringiem i publicznie upokorzyła. Naddusza twierdzi, że on zamierza ich zabić.

Nafai parsknął lekceważąco.

- Vas? Przecież on jest uosobieniem spokoju. Matka mówiła, że w życiu nie widziała, by ktoś tak godnie zniósł zdradę.

- Pewnie zachowuje zemstę na później. Teraz mamy już sporo dowodów na to, że Vas nie jest aż tak spokojny i uczynny, jak się wydaje.

- Nie, nie jest... Meb i Lal, Obring i Kokor jęczą i marudzą, że chcą wrócić do miasta. Ale nie Vas. On milczy, udaje, że się godzi z losem, a potem postanawia zniszczyć pulsatory, żebyśmy do miasta wrócić musieli.

- To był przebiegły plan, trzeba mu przyznać.

- A jeśli przy okazji zdarzy mu się mnie zabić, cóż, trudno. Gdyby Gaballufix był tak subtelny jak Vas, już dawno zostałby królem Basiliki.

- Nie, Nafaiu. Byłby martwy.

- Czemu?

- Ponieważ i tak Naddusza powiedziała ci, żebyś go zabił, by odzyskać Indeks.

Nafai spojrzał na nią wzburzony.

- Ty też mi to wypominasz?

Stanowczo pokręciła głową.

- Przypominam ci, byś nie zapomniał, jaki jesteś silny. Potrafisz być bardziej bezwzględny oraz przebiegły niż Vas, gdy wiesz, że służyysz sprawie Nadduszy. A teraz już idź. Masz tylko kilka godzin do zmroku. Powiedzie ci się.

Z dotykiem jej ręki na policzku wciąż żywym w pamięci skóry, z jej głosem nadal rozbrzmiewającym w uchu, z jej zaufaniem i szacunkiem ciągle rozgrzewającym mu serce naprawdę czuł się jak jeden z herosów Pyirestesiss. Jak Velikodushnu, który zjadł bijące serce boga Zaveesta, by mieszkańcy Pyirestesiss mogli żyć w pokoju, zamiast bezustannie spiskować przeciwko sobie nawzajem. Ilustracja w tej wersji legendy, którą czytał Nafai, przedstawiała Velikodushnu z głową w trzewiach boga, podczas gdy Zaveest darł plecy herosa swymi długimi pazurami. Był to jeden z najbardziej przejmujących obrazów dzieciństwa, które utkwiły mu w pamięci, ta scena przedstawiająca człowieka, który, nie zważając na rozdzierający ból, niszczył zło trawiące jego lud.

Według Nafaia tym właśnie cechował się bohater, to właśnie wyróżniało dobrego człowieka, a gdyby tylko potrafił sobie wyobrazić Gaballufixa jako Zaveesta, zabicie go uznałby za czyn ze wszech miar dobry i słuszny.

Ta myśl jednak tylko na chwilę dodała mu otuchy; potem na powrót poczuł trwogę, bo przecież zamordował człowieka pijanego i bezbronnego. I uświadomił sobie, że to wspomnienie, to poczucie winy, ta hańba, ta trwoga - to była jego własna wersja rozdzierania pleców przez pazury Zaveesta, podczas gdy szarpał zębami serce najbardziej okrutnego z bogów.

Mniejsza z tym. Umieść to z powrotem we wspomnieniach i nie zaprzataj sobie teraz tym głowy. Zamordowałeś Gaballufixa, owszem, ale teraz musisz sporządzić łuk, zabić jakieś zwierzę i powrócić z nim do obozu przed jutrzejszym zmrokiem, bo inaczej Naddusza będzie musiał zacząć wszystko od początku.

*

Obring dał nura do namiotu Vasa i Sevet. Po raz pierwszy, odkąd Kokor przyłapała ich

na igraszkach w Basilice, znalazł się z Sevet na osobności. No, nie do końca, bo był z nimi też Vas. Ale ponieważ on sam zezwolił na to spotkanie, więc to oznaczało, iż długi okres ochłodzenia stosunków dobiegł końca.

- Dzięki, że wpadłeś - odezwał się Vas.

W jego głosie pobrzmiwało dość ironii, by Obring się zorientował, że musiał coś zrobić źle. Och, może faktycznie zbyt długo musieli na niego czekać.

- Powiedziałeś, żebym przyszedł bez Kokor, a ja nie zawsze mogę ot tak się oddalić. Ona zawsze mnie pyta, gdzie idę. A potem obserwuje, by się upewnić, że tam pójde.

Wnosząc po pogardliwym skrzywieniu ust, Obring się domyślił, że Sevet napawa się myślą o kagańcu, który założyła mu Kokor. Kto jak kto, ale ona powinna rozumieć jego kłopotliwe położenie - bo czy sama nie znajdowała się pod nieustannym nadzorem Vasa? Może i nie, Vas nie był tak mściwy jak Kokor. Tamtej nocy, przeszło rok temu, nawet się nie gniewał.

Obring nie potrafił sobie przypomnieć, dlaczego tak bardzo chciał ją posiąść. Jej ciało, dawniej apetycznie krągłe, sflaczało. Niewątpliwie po części zawdzięczała to urodzeniu dziecka - wiszący brzuch, zbyt pełne piersi - ale widać to było także na jej twarzy, pewne zwiotczenie policzków, cienie pod oczami. Nie była piękną. Ale cóż, to nie jej ciało mnie urzekło, prawda? Raczej po trosze jej sława jednej z czołowych śpiewaczek Basiliki, po trosze - powiedzmy sobie szczerze - to, że jest siostrą Koyi. Chciałem utrząść nosa swej ładniutkiej, seksownej, butnej żonce i pokazać jej, że mogę zdobyć lepszą kobietę od niej, gdybym tylko chciał. Jednak niczego tym nie udowodniłem, gdyż Sevet przespała się ze mną z podobnych powodów - nawet by na mnie nie splunęła, gdybym nie był mężem Kokor. Nam obojgu zależało na tym, by zranić Kokor, i udało nam się, a od tego czasu za to pokutujemy.

Mimo to na zaproszenie Vasa spotkali się razem i wydawało się, że może teraz wszystko zmieni się na lepsze, że Obring może w końcu zostanie zaangażowany do czegoś w tej żalosnej grupce tak bardzo zdominowanej przez dzieci Volemaka i Rasy.

- Sądzę, że już czas położyć kres tej całej durnej wyprawie, a jak ty uważasz? - zaczął Vas.

Obring zaśmiał się gorzko.

- Były już takie próby, a wtedy Nafai wykręcał te swoje magiczne numery.

- Niektórzy z nas jedynie czekali na właściwy moment - odparł Vas. - To jest ostatnia szansa, ostatnia realna. Dorowę widać jak na dłoni. Nie potrzebujemy Elemaka, by nas tam poprowadził. Wczoraj znalazłem drogę w dół góry. Nielatwą, ale damy radę.

- Jak to? Damy? Kto?

- Ty, Sevet i ja.

Obring spojrział na ich śpiącą córeczkę.

- Niosąc dziecko? W środku nocy?

- Księżyc świeci, a ja znam drogę - uspokajał Vas. - I nie bierzemy z sobą dziecka.

- Nie bierzecie?

- Nie rźnij głupa, Obringu. Pomyśl trochę. Naszym celem nie jest oderwanie się od grupy, tylko zmuszenie jej, by porzuciła wyprawę. Nie robimy tego dla siebie, ale dla nich, by uchronić ich przed absurdalnymi zamiarami Nadduszy. Wyruszamy do Dorovy, by musieli za nami podążyć. Nie możemy zabrać z sobą dzieci, bo nas spowolnią, a taka podróż może odbić się na ich zdrowiu. A więc je zostawiamy. Wtedy reszta będzie zmuszona zaprowadzić Vasnę do mnie i Sevet, a Kokor i Krasę - do ciebie. Z tym że oni pójda dłuższą drogą naokoło, więc dzieci będą bezpieczne.

- Ma to... jakiś sens - ocenił Obring.

- Miło z twojej strony, że przyznajesz mi rację.

- A więc jeśli Nafai powróci bez mięsa, uciekamy jutro w nocy?

- Aż taki z ciebie naiwniak? Łudzisz się, że oni dotrzymają umowy? Nie, znajdą jakąś inną wymówkę, by iść dalej, narażając nasze dzieci, z każdym krokiem oddalając nas od ostatniej nadziei na przyzwoite życie. Musimy ich ubiec, zanim Nafai i Naddusza wytną kolejny numer.

- A zatem... kiedy się ulatniamy? Po kolacji?

- Wówczas zauważyliby to, podążyli za nami i od razu nas zawrócili - przekonywał Vas. - Dziś zgłoszę się na przedostatnią wartę przed świtem, a ty na ostatnią. Jakiś czas po rozpoczęciu mojej obudzę Sevet, a potem poskrobie płótno twego namiotu. Kokor pomyśli, że wstajesz, by objąć wartę, i znów zaśnie. Będziemy w drodze już od kilku godzin, nim ktokolwiek się obudzi.

Obring skinął głową.

- Brzmi rozsądnie - przyznał.

Spojrział na Sevet. Jej twarz jak zwykle nie zdradzała żadnych emocji. Chciał dostać się pod tę maskę, więc powiedział:

- Nie będą cię bolały piersi, jeśli zostawisz dziecko? I kto je nakarmi?

- Hushidh ma tyle mleka, że starczy na cztery bobaski - zadrwiła Sevet. - Po to się urodziła.

Jej słowa trudno było uznać za czułe, ale przynajmniej się odezwała.

- Idę z wami - postanowił Obring.

Lecz od razu naszły go wątpliwości. Obiekcje co do pobudek kierujących Vasem.

- Ale czemu zwróciłeś się z tym akurat do mnie?

- Bo nie jesteś jednym z nich - wytłumaczył Vas. - Masz gdzieś Nadduszę, nienawidzisz takiego życia i nie ogranicza cię głupia lojalność wobec rodziny. Komu innemu miałem to zaproponować? Gdybyśmy zrobili to sami, niewykluczone że postanowiliby zatrzymać nasze dziecko i ruszyć dalej. Musimy zabrać z sobą kogoś jeszcze, by rozdzielić kolejną rodzinę, a kto nam pozostał prócz ciebie? Jedyni ludzie, poza nami, którzy nie są potomkami Volemaka lub Rasy, to Zdorab i Shedemei, ale oni nie mają dziecka, więc na nic nam się zdadzą, oraz Hushidh i Luet, a one są bliżej Nadduszy niż ktokolwiek inny. Och, i Lal, oczywiście, ale ona jest po uszy zadurzona w Mebbekewie, nie wiadomo dlaczego, a do tego straszny z niej tchórz, więc i tak nie chciałaby pójść z nami, a gdyby chciała, to my byśmy jej nie wzięli. A zatem zostajesz ty, Obringu. I wierz mi, proponuję ci to tylko dlatego, że mierzisz mnie odrobinę mniej niż Lalya.

Nareszcie pobudka, w którą Obringu potrafił uwierzyć.

- No to piszę się na to.

*

Shedemei ujrzała Zdoraba zmierzającego do namiotu Volemaka. Miał zamiar pożyczyć Indeks, rzecz jasna - skoro ostatnimi czasy gotowanie było zabronione, miał więcej czasu na badania. Usprawiedliwiła się przeto i odłączyła od grupy piorającej ubrania, prosząc Hushidh, by zabrała rzeczy Zdoraba i jej z krzaków, gdy wyschną. Gdy Zdorab pojawił się w ich wspólnym namiocie, z Indekssem ostrożnie wciśniętym pod pachę, Shedemei już na niego czekała.

- Chciałaś być sama? - zapytał.

- Chciałam z tobą porozmawiać.

Zdorab usiadł, potem położył Indeks z boku, by nie pomyślała, że nie może się już doczekać, by z niego skorzystać - choć ona oczywiście wiedziała, że jest przeciwnie.

- Dorova to nasza ostatnia szansa, by wrócić na łono cywilizacji - stwierdziła.

Skinął głową - nie na znak zgody, ale że zrozumiał.

- Zodya, my tu nie pasujemy - ciągnęła. - Ciebie tutaj czeka życie wiecznego sługi, a mnie takie, w którym cała moja praca pójdzie na marne. Przez rok służyliśmy dobrze. Powodem tej przysięgi, którą Nafai na tobie wymusił, było to, żebyś nie mógł wrócić do Basiliki i komuś opowiedzieć, co zrobił, bo wtedy by go pojmano. Cóż, teraz to już mało prawdopodobne, nie sądzisz?

- Nie ta przysięga mnie tu trzyma, Shedyu.

- Wiem - przyznała, a potem, wbrew sobie, rozpląkała się.

- Myślisz, że nie wiem, jak bardzo tu cierpisz? - rzekł. - Oboje się łudziliśmy, że zadowolisz się tym pozorowanym małżeństwem, ale tak nie jest. Czujesz potrzebę przynależności do grupy, a to niemożliwe, póki nie urodzisz dziecka.

Wściekła się, słysząc, że tak ją analizuje - widocznie już wcześniej ją obserwował i zdecydował, na czym polega „jej problem”. I mylił się. A raczej nie do końca miał rację.

- Tu nie chodzi o przynależność - odcięła się gniewnie. - Tylko o życie. Tu jestem nikim, ani naukowcem, ani matką, ani nawet dobrym służącym jak ty. Nie potrafię zgłębiać tajemnic Indeksu, zresztą on nie przemawia do mnie aż tak wyraźnie. Często łapię się na tym, że powtarzam twoje mądrości w rozmowie z innymi, bo nikt nie potrafi zrozumieć nawet tego, co ja wiem. A gdy widzę dzieci, to pragnę mieć własne, bardzo pragnę, nie dlatego, by być taka jak inni, ale dlatego, że chcę być częścią łańcucha życia, chcę przekazać dalej geny, widzieć, jak dorasta dziecko podobne do mnie. Rozumiesz? Nie jestem prokreacyjnie upośledzona jak ty, jestem odcięta od mej biologicznej tożsamości, bo utknęłam w tej grupie, a jeśli nie wydostanę się z niej, umrę, nie przynosząc żadnego pożytku temu światu.

Gdy skończyła tę płomienną przemowę, w namiocie zaległa taka cisza, że można by nożem kroić. Co on teraz myśli? Co sądzi o mnie? Zraniłam go, wiem - właśnie powiedziałam, że znieść nie mogę małżeństwa z nim, co w zasadzie nie jest prawdą, bo on jest mi prawdziwym przyjacielem. Przed kim innym w całym mym życiu mogłam się wyżalić?

- Nie powinnam była się odzywać - szepnęła. - Ale widziałam światła miasta i pomyślałam, że oboje moglibyśmy powrócić do świata, który nas ceni.

- Tamten świat nie ceni mnie ani trochę bardziej niż ten - stwierdził. - I zapominasz... jak mógłbym zostawić Indeks?

Czyżby nie rozumiał sugestii?

- Weź go - zaproponowała. - Możemy zabrać Indeks i uciec. Nie zdołają nas złapać. Nie mamy dzieci, które by nas spowalniały. Z Indeksem na pewno będziesz miał dostęp do wiedzy, którą można sprzedawać, podobnie jak ja. Zbierzemy dość pieniędzy, by opuścić Dorowę i skierować się ku szerokiemu światu na północy, nim oni zdążą zawrócić tę karawanę, by nas ścigać. Oni nie potrzebują Indeksu. Luet, Nafai, Volemak i Hushidh rozmawiają z Nadduszą bez jego pomocy. Oni tak naprawdę nie potrzebują Indeksu, więc zabierając go, nie jesteśmy tak naprawdę złodziejami.

- Oczywiście, że jesteśmy. Ale złodzieje kradnący to, czego inni nie potrzebują, mogą pogodzić się z tym występkiem troszkę łatwiej niż ci, którzy biednym odejmują chleb od ust.

- Tylko waga występku decyduje o tym, czy przestępca może z tym żyć, czy nie? Moim zdaniem to zależy od naturalnej dobroci tej osoby. Zabójcy często czują mniej wyrzutów sumienia z powodu popełnionych zbrodni niż uczciwi ludzie z powodu niewinnego kłamstwa.

- A ty jesteś taki uczciwy...

- Jestem uczciwy. I ty również.

- Żyjemy w kłamstwie każdego dnia, który spędzamy w tej grupie - odcięła się.

Była okrutna, ale rozpaczliwie pragnęła zmiany, jakiegokolwiek zmiany, więc walczyła wszelkimi argumentami, które przychodziły jej na myśl.

- Tak uważasz? Czy to wielkie kłamstwo? - Zdorab wydawał się nie tyle urażony, ile... zamyślony. - Hushidh kiedyś mi wspomniała, że ciebie i mnie łączy jedna z najściślejszych więzi pośród uczestników tej karawany. Nie mamy przed sobą tajemnic. Nawzajem darzymy się najgłębszym szacunkiem. Kochamy się, to właśnie zauważyła, a ja jej wierzę. I tak właśnie jest, prawda?

- Tak - odszepnęła.

- A zatem kłamiemy jedynie, że jestem twym partnerem w prokreacji. I tyle. Gdyby to kłamstwo stało się prawdą i zaszłabyś w ciążę, byłabyś naprawdę szczęśliwa, czyż nie? To kłamstwo przestałoby ciążyć ci na sumieniu, gdyż byłabyś tym, kim teraz tylko się wydajesz w oczach innych - żoną - i mogłabyś stać się ogniwem łańcucha życia.

Uważnie przyjrzała się jego twarzy, szukając tam drwiny, ale na próżno.

- A podołałbyś?

- Nie wiem. Nigdy nie byłem na tyle zainteresowany, by spróbować, a nawet gdyby, nie znalazłbym chętnej partnerki. Lecz... skoro mogę czerpać trochę przyjemności z własnej wyobraźni, gdy jestem sam, to dlaczego nie mógłbym... przekazać daru miłości mej najdroższej przyjaciółce? Nie dlatego, że ja tego pragnę, ale dlatego, że ona pragnie tego tak bardzo.

- Z litości.

- Z miłości - poprawił. - Miłości silniejszej niż mogą z siebie wykrzesać tamci mężczyźni, którzy bzykają swe żony z pożądania, głębokiego jak podrapanie się po swędzącym miejscu czy wypróżnienie pęcherza.

Tego, co jej proponował - że zostanie ojcem jej dziecka - nigdy nie brała pod uwagę.

- Czy miłość nie objawia się w tym - ciągnął - że zaspokajasz potrzeby ukochanej osoby, mając na względzie jedynie dobro jej samej? Który z tych mężów może powiedzieć tak o sobie?

- Ale czy kobiece ciało... nie jest wam wstrętne?

- Dla niektórych, być może. Jednak dla większości z nas jest po prostu obojętne. Tak jak męskie ciało dla zwykłych facetów. Ale mogę ci powiedzieć, co mnie podnieca; może zdołam sobie wyobrazić innych partnerów z przeszłości, oczywiście jeśli wybaczysz mi taką... niewierność... w imię podarowania ci dziecka.

- Ależ Zdorabie, nie chcę, żebyś podarował mi dziecko. Chcę, żebyśmy razem mieli potomka.

- Tak, ja też chciałem to powiedzieć. Będę ojcem dla naszego dziecka, tego nie będę musiał udawać. Moja przypadłość nie jest, w gruncie rzeczy, dziedziczna. Jeśli doczekamy się syna, to on niekoniecznie będzie... taki jak ja.

- Ach, Zodya, nie wiesz, że chciałabym, żeby nasi synowie pod wieloma względami byli dokładnie tacy jak ty?

- Synowie? - zdziwił się. - Nie łap ryb, nim wypłyniesz w morze, moja droga Shedyo. Nie wiemy jeszcze, czy zdołamy zrobić to choć raz, a co dopiero wystarczająco często, by spłodzić jedno dziecko. Może to będzie dla nas tak okropne przeżycie, że już nigdy nie spróbujemy ponownie.

- Ale spróbujesz ten jeden raz?

- Będę próbował aż do skutku, chyba że każesz mi przestać.

- Nachylił się i pocałował ją w policzek. - Dla mnie najtrudniejsze w tym wszystkim może być to, że w głębi serca myślę o tobie jako o mej najukochańszej siostrze. Dzielenie z tobą łoża może wydać mi się kazirodztwem.

- Och, postaraj się nie patrzeć na to w ten sposób. Jedyny problem tego rodzaju pojawi się, jeśli dziecko Luet zakocha się w dziecku Hushidh - cioteczni kuzyni po dwakroć! Nas z genetycznego punktu widzenia nic nie łączy.

- A jednak prawie nic nie dzieli - odparł. - Pomóż mi dopomóc sobie. Jeśli się nam uda, przyniesie nam to wiele radości. A gdybyśmy uciekli, okradli przyjaciół, przeciwstawili się Nadduszy - cóż za radość może nam to sprawić? Zostań tu ze mną, Shedya. To najlepszy sposób.

*

Nafai znalazł drewno bez większego trudu - Naddusza miał niezłe pojęcie o tym, jaka roślinność i gdzie porastała ten obszar, i oczywiście doskonale wiedział, jakie drewno wybierają na łuki rzemieślnicy z różnych miast i kultur. Inna sprawa, że nie mógł dać Nafaiowi odpowiednich zdolności manualnych. Nie to, żeby Nafai był niezdarny, tyle że nigdy nie zajmował się obróbką drewna, a z nożami miał tyle wspólnego, że za ich pomocą

patroszył i oprawiał zwierzynę. Ciosał i ciosał, dwa potencjalne łuki zdążył już zepsuć, zbliżał się wieczór, a on nawet nie zaczął robić strzał.

Nie nabędziesz w godzinę umiejętności, których wypracowanie innym zajmuje całe życie.

Czy to Naddusza odezwał się w jego umyśle, gdy naszła go ta myśl? Czy był to raczej głos rozpacz?

Nafai zniechęcony siedział na płaskim kamieniu. Na udach miał trzeci kawałek drewna na łuk, a w ręce dopiero co naostrzony nóż. O obróbce drewna wiedział niewiele więcej niż na początku, miał jedynie całą listę sposobów, w jakie nóż może się omsknąć i zepsuć materiał, względnie - jak drewno może popękać w złych miejscach lub pod złym kątem. Nie czuł takiej frustracji od czasu, gdy Naddusza umieścił sen ojca w jego umyśle, i to niemal doprowadzało go do szału.

Na wspomnienie tamtych chwil przeszedł go dreszcz. Ale potem, myśląc o tym, uświadomił sobie, że to może być sposób na...

Nadduszo, na tej planecie nie brakuje mistrzów łuczniczego rzemiosła. Nawet teraz, w tej chwili, któryś z nich ociosuje drewno, by nadać mu odpowiedni kształt.

Ale żaden nie robi tego tak prymitywnymi narzędziami jak twoje, odezwał się Naddusza.

Znajdź zatem jakiegoś i podsuń mu pomysł ciosania łuku za pomocą zwykłego noża. Potem umieść jego myśli, jego ruchy, w mym umyśle. Daj mi to poczuć.

To ci pomiesza w głowie.

Znajdź w pamięci rękodzielnika, który zawsze pracował w ten sposób. W ciągu czterdziestu milionów lat musiał żyć taki, który uwielbiał czuć nóż w ręku, który potrafił ciosać łuk bez rozmyśłu.

Ach... bez rozmyśłu, mówisz... czysta rutyna, niemal odruch...

Ojciec mocno skupiał się na wszystkim w swoim śnie i dlatego nie mogłem ścierpieć jego kłębiących się wspomnień. Ale mistrz, którego ręce poruszają się bez namysłu... Włóż we mnie te zdolności. Pozwól mi się przekonać, jakie to uczucie, bym również nabył tych odruchów.

Nigdy czegoś takiego nie robiłem. Nie po to mnie zaprojektowano. Mimo wszystko możesz przez to oszaleć.

Ale mogę też zrobić łuk. A jeśli mi się nie uda, będzie to koniec tej wyprawy.

Postaram się. Daj mi chwilę. Potrzeba czasu, by w pamięci tych wszystkich lat ludzkiej egzystencji na Harmonii odszukać konkretnego człowieka, który pracował

machinalnie...

Nafai więc czekał. Minutę, dwie. Raptem naszło go osobliwe uczucie. Mrowienie, ale nie w rękach, o nie, tylko w wyobrażeniu rąk. Przemozna potrzeba, by poruszyć mięśniami, by zabrać się do pracy. To działa! - pomyślał. Pamięć mięśniowa, pamięć nerwowa. Muszę nauczyć się, jak ją przyjąć, jak oddać ciało we władanie obcych palców, dłoni, nadgarstków i ramion.

Zmieniał ułożenie noża w ręce tak długo, aż wydało mu się wygodne. A potem zaczął przesuwając ostrzem po młodym drewnie, delikatnie, nie pozwalając mu się zagłębić, jedynie muskając powierzchnię. Dopiero wtedy zrozumiał - a raczej poczuł - gdzie drewno zachęca do wgryzienia się głębiej, do ściosania cienkiej kory. Ostrze zanurzało się w drewno ze swobodą ryby w odmętach, a Nafai wyczuwał opór materiału i uczył się od niego, rozpoznając twarde miejsca i łamliwe, i starannie je ociosywał, zmniejszając nacisk tam, gdzie łatwo spowodowałby pęknięcie, a wrzynając się głębiej tam, gdzie drewno wprost domagało się poddania dyscyplinie noża.

Gdy skończył, słońce już zaszło, a księżyc dopiero wschodził. Łuk był piękny i gładki.

Z młodego zielonego drewna, więc niedługo zachowa sprężystość.

Skąd to wiem? - zastanawiał się Nafai, a potem zaśmiał się sam z siebie. A skąd niby wiedziałem, jak zrobić łuk?

Możemy wybrać młode drzewa i z początku robić łuki z ich zielonego drewna, ale też zachować go trochę i wysuszyć na powietrzu, by łuki sporządzone później służyły długo. Po drodze na południe znajdziemy wiele zagajników. Nie musimy drewna zebrać akurat tutaj.

Ostrożnie zrobił pętelkę, zaczepił koniec sznurka na wąskim nacięciu, które zrobił na jednym z ramion łuku. Potem przeciągnął cięciwę ku drugiemu ramieniu, zapętlił wokół nacięcia i ścieśnił więzy. Mocno, by w momencie wypuszczenia strzały cięciwa się nie kołysała, lecz powróciła do idealnego naprężenia, gwarantując, że strzała polecą prosto. Miał wrażenie, że właśnie o to chodzi, jakby robił to już tysiące razy. Łatwo i zręcznie zawiązał pętelkę i odciął nadmiar sznurka.

Jak o tym myślę, nie mogę tego zrobić.

Bo odruch jest głębszy niż myśl, usłyszał odpowiedź.

Ale czy będę to pamiętał? Czy zdołam nauczyć innych?

Zapamiętasz co nieco. Z początku będziesz popełniał błędy, ale tę wiedzę masz głęboko zakodowaną w swym umyśle i łatwo do niej dotrzesz. Może nie będziesz potrafił wytłumaczyć, dlaczego robisz tak a nie inaczej, ale inni mogą cię obserwować i w ten sposób się uczyć.

Zdjął cięciwę, a potem zabrał się do strzał. Naddusza przywiódł go w miejsce, gdzie gnieździło się wiele ptaków, piór było więc pod dostatkiem. Tworzywo na krótkie, proste drzewce strzał dostarczyły twarde łodygi trzciny porastających sadzawkę. A groty można było wyciosać z obsydianowych łupków osuwających się ze skał. Nafai zebrał wszystkie te materiały, nie mając pojęcia, co dalej z nimi zrobić; lecz nagle wiedza zaczęła wylewać mu się z palców, nie docierając do świadomości. Nim świt nastanie, będzie już miał strzały i łuk, może nawet starczy czasu, by kilka godzin się przespał. Po wschodzie słońca nadejdzie chwila prawdziwej próby: będzie musiał wytropić zwierzynę, ustrzelić ją i zanieść do domu.

A jeśli mi się uda, co wtedy? Niczym bohater, triumfalnie wmaszeruję do obozu zboczony krwią. Będę tym, który zdobył mięso, gdy inni zawiedli. Będę tym, dzięki któremu ta wyprawa ruszy dalej. Będę Velikodushnu, zbawcą mej rodziny i przyjaciół i wszyscy będą wiedzieć, że podczas gdy nawet mój ojciec nosił się z myślą o zakończeniu podróży, to ja znalazłem sposób, by ją kontynuować, a gdy znajdziemy się wśród gwiazd i ludzkie stopy ponownie staną na Ziemi, to będzie moje zwycięstwo, gdyż to ja zrobiłem ten łuk, te strzały i przyniosłem mięso czekającym w obozie matkom...

Raptem pośród tego wymaginanego tryumfu zaświtała mu kolejna myśl. To mnie będą odtąd obarczać odpowiedzialnością, jeśli coś pójdzie nie tak. Mnie będą winić za każde niepowodzenie podczas tej podróży. To będzie moja wyprawa, nawet ojciec zacznie oczekiwać ode mnie decyzji. Tego dnia autorytet ojca raz na zawsze osłabnie. I któż wtedy będzie nas prowadził? Dotychczas odpowiedź była jasna: Elemak. Kto mógłby się z nim mierzyć? Kto podążyłby za kimś innym, poza garstką tych, którzy pójdą za wskazaniem Nadduszy? Teraz jednak, jeśli wrócę jako bohater, będę mógł walczyć z Elemakiem. Lecz nie zdołam z nim wygrać. Spowoduję rozłam w grupie. Może nawet poleje się krew. Tego mi zrobić nie wolno, jeśli ta wyprawa ma się powieść.

A zatem nie mogę powrócić jako bohater. Muszę znaleźć sposób, by zanieść do domu mięso, którego potrzebujemy, by przeżyć, by nakarmić dzieci, a mimo to nie osłabić władzy ojca.

Gdy tak rozmyślał, dłonie nie zaprzestały pracy, z wprawą wyszukując najprostsze trzciny, robiąc w nich nacięcia na cięciwę i spiralne żłobki na pióra, tnąc i rozczepiając nasadę, by przytrzymała kamienny grot.

*

Zdorab leżał obok Shedemei spocony i wyczerpany. Wysilek, jaki musiał w to włożyć, niemal go wykończył. Jak coś, co przyniosło im obojgu tak niewiele przyjemności, mogło być tak ważne dla niej... i - w pewnym stopniu - także dla niego? A jednak podołali, choć jego

ciało początkowo nie okazywało nawet śladu zainteresowania. Przypomnił sobie, co niegdyś powiedział mu jeden z kochanków - że gdy przychodzi już co do czego, ludzkie samce są w stanie spółkować ze wszystkim, co nie ucieka szybko i mocno nie gryzie. Może coś w tym jest...

Przez wiele lat gdzieś w głębi serca miał nadzieję, że gdy w końcu posiadzie jakąś kobietę, ten czy inny gruczoł przebudzi się i rzeknie: „Ach, więc tak to się robi”. Wówczas zakończyłby się okres izolacji, a jego ciało znalazłoby swoje miejsce w porządku natury. Ale prawda jest taka, że natura nie ma określonego porządku. Wszystko sprowadza się do ciągu przypadków. Dany gatunek „radzi sobie”, jeśli wystarczająca liczba jego przedstawicieli rozmnaża się na tyle często, by zapewnić mu ciągłość; a więc co z tego, że jakiś nieznacznym procent - mój procent, pomyślał z przekąsem - nie przyczyni się do tego celu? Natura to nie przyjęcie urodzinowe dla dziecka; nie poczuwa się do zaproszenia wszystkich do zabawy. Tak czy owak tryby życia przemielą ciało Zdoraba, niezależnie od tego, czy jego geny przypadkiem zostaną przekazane dalej, czy nie.

A jednak... Choć jego ciało nie zaznało w tym szczególnej przyjemności (a już na pewno ciało Shedemei w końcu wyczerpały wysiłki zadowolenia jego), znaleźli zaspokojenie na innym poziomie. Przekazał jej dar nowego życia. Koniec końców samo tarcie i pobudzanie nerwów przewyciężyło wszelkie trudności, inicjując odruch, który zdeponował miliony potencjalnych zaczątków człowieka w macicy, a ona utrzyma je przy życiu przez dzień czy dwa wyścigu ku ich drugiej połówce, wszechmatce, Wiekuistemu Jajeczku. Co jego geny obchodzi to, czy pożądał Shedemei, czy zrobił to z poczucia obowiązku, rozpaczliwie próbując wyobrazić sobie, że prokreacyjnie uprawia bezproduktywną miłość z kochankiem? One żyły w innym wymiarze - i właśnie tam ich dwoje splotło wielką sieć życia, którą Shedemei otaczała nabożną czcią.

W końcu wpadłem w tę sieć z powodów nieprzewidywalnych dla żadnego genu; w chwili narodzin los namaścił mnie tak, bym do końca życia wyslizgiwał się z tych siideł, a jednak w nie wpadłem, dałem się złapać z własnej, nieprzymuszonej woli. Kto wie, czy moje ojcostwo nie jest lepsze od innych, bo zrobiłem to z czystej miłości, a nie z powodu instynktu, który mną zawładnął. Ba, działałem wbrew instynktowi. To już coś. Bohater kopulacji, prawdziwy ogier, ha, gdyby tylko inni wiedzieli. Przy dobrym wietrze każdy może dopłynąć łodzią do brzegu; ja przybiłem tam na przekór dmącym w twarz wichrom namiętności, wiosłując pod fale odpływu.

Niech więc plemniki dotrą do jajeczka. Shedemei powiedziała, że to dla nich dobry czas na walkę o przetrwanie. Niechże więc jeden z nich, krzepki i zdrowy, osiągnie swój

mikroskopijny cel, przebije otoczkę jaja, połączy swój spiralny kwas dezoksyrybonukleinowy z jego DNA i stworzy dziecko już za pierwszym podejściem, bym nie musiał znów tego robić.

Ale jeśli będę musiał, zrobię to. Dla Shedemei.

Wyciągnął rękę, odnalazł jej dłoń. Shedemei się nie przebudziła, ale i tak splotła z nim palce w czułym geście.

*

Luet nie mogła zasnąć. Nie mogła przestać myśleć o Nafaiu, zamartwiała się o niego. Na nic się zdały zapewnienia Nadduszy: Świetnie sobie radzi, wszystko będzie dobrze. Było już późno w nocy, a Chveya już dawno spała po ostatnim nocnym karmieniu, zanim Luet pogrążyła się we śnie.

Ale i wtedy nie zaznała wytchnienia. Ciągłe śnił jej się Nafai przesuwający się po skalistych półkach, wdrapujący się na niemal pionowe ściany, czasem z łukiem w rękę, innym razem z pulsatorem. W jej snach urwisko się coraz bardziej przechylało, aż odwracało się bez mała poziomo, a Nafai niczym robak trzymał się spodu klifu, w końcu spadał...

Za każdym razem budziła się, uświadamiała sobie, że to tylko sen, zniecierpliwiona odwracała przepoconą poduszkę i znów próbowała zasnąć.

Póki nie przyśnił jej się sen, w którym Nafai nie umierał. Widziała pomieszczenie połyskujące srebrem, chromem, platyną i lodem. W jej śnie Nafai spoczywał na bloku lodu, ciepłem ciała wtapiał się w niego, zanurzał się w nim coraz głębiej, aż w końcu zapadł się całkiem, a lód zamknął się nad nimi i zamarzł. Co to za sen? - pomyślała. A potem zastanowiła się: Skoro wiem, że to sen, to już się obudziłam. Ale dlaczego sen się nie kończy?

Nie skończył się. Teraz dostrzegła, że Nafai wcale nie ugrzązł w lodzie, tylko przenika go coraz głębiej. Teraz jego plecy i pośladki wyginały się w dół na dnie lodowego bloku, a Luet pomyślała: Co utrzymuje ten lód w powietrzu? Czemu nie utrzymało również Nafaia? Jego ciało wyrzuszało się coraz bardziej w dół, a potem Nafai uwolnił się z lodu i spadł na błyszczącą podłogę jakiś metr poniżej. Otworzył oczy, jakby spał w czasie tego przejścia przez lód. Wytoczył się spod bloku, spod rzucanego przezeń cienia, a gdy wstał i opromieniło go światło, Luet dostrzegła, że jego ciało nie jest takie jak przedtem. Teraz w świetle jego skóra jasno lśniła, jakby pokryta warstwą tego samego metalu, który pokrywał ściany. Niczym pancerz. Ta nowa skóra iskrzyła się tak... Luet zdała sobie sprawę, że jego skóra wcale nie odbija światła, tylko żarzy się własnym. To coś czerpało energię z jego ciała, a gdy poruszał kończynami, jego ręce i nogi lśniły jaśniej.

Spójrzcie na niego, pomyślała Luet. Stał się bogiem, nie tylko bohaterem. Lśni niczym Naddusza. On jest jej ciałem.

Ale to przecież bzdura. Naddusza to komputer, nie potrzebuje ciała z kości i krwi. Wprost przeciwnie - zamknięta w ludzkim ciele utraciłaby swą rozległą pamięć i szybkość światła.

Tak czy owak, w ruchu ciało Nafai jaśniało blaskiem, a Luet nie miała wątpliwości, że przyoblekł się w ciało Nadduszy, choć nie potrafiła się w tym doszukać sensu.

We śnie zobaczyła, że Nafai podchodzi do niej i bierze ją w objęcia, a gdy przyłgnęła do niego, poczuła, że otaczający go lśniący pancerz powiększył się, by ją objąć, i ona również zaczęła się skrzyć. W jej skórę jakby wstąpiło nowe życie, jak gdyby każdy nerw połączył się z mikroskopijnie cienką metaliczną powłoką, która oblepiła ją niczym pot. I zauważyła, że każdy punkt połyskuje w miejscu, w którym nerw łączy się z tą świetlną osłoną. Oderwała się od Nafaia, ale nie utraciła nowej skóry, choć nie przeprawiła się przez lód. Teraz noszę skórę Nafaia, pomyślała; a mimo to pomyślała też: Mnie również przyobleka ciało Nadduszy i po raz pierwszy w życiu czuję, że żyję.

Co oznacza ten sen?

Skoro jednak zadała to pytanie we śnie, otrzymała jedynie senną odpowiedź. Widziała, jak wysniony Nafai i wysniona ona uprawiają miłość. Tak namiętnie, że zapomniała, iż to sen, i poddała się ekstazie. A gdy skończyli, zobaczyła, jak jej wysnionej rośnie brzuch, a potem dziecko wyłania się z jej krocza i lśniące wpada w ręce Nafaia. Noworodka również pokrywała warstwa roziskrzona blaskiem. Ach, jakie piękne było to dziecko, jakie piękne...

Zbudź się!

Usłyszała to niczym krzyk, tak bardzo było donośne i wyraźne.

Zbudź się!

Szarpnięciem poderwała głowę z posłania, starając się dojrzeć, kto do niej mówił.

Wstawaj!

To wcale nie był głos. Tylko Naddusza. Ale dlaczego ją budziła, skoro zesłała jej taki sen?

Wstawaj, wodna wieszczko, podnieś się cicho i przejdź się w świetle księżyca do miejsca, gdzie Vas ma zamiar zabić swą żonę i rywala. Na półce, która ocaliła życie Nafaia, musisz na nich poczekać.

Ale ja nie mam dość siły, by go powstrzymać, jeśli nosi się z zamiarem zabójstwa.

Wystarczy, że tam będziesz. Musisz tam być. Idź natychmiast. On trzyma teraz wartę i myśli, że tylko on i Sevet nie śpią... wkrótce poskrobie płótno namiotu Obringa, a wtedy będzie za późno.

Luet wyszła z namiotu, tak rozespana, że wciąż czuła się jak we śnie.

Dlaczego muszę tam iść? - zapytała zdezorientowana. Czemu po prostu nie ostrzeżemy Obringa i Sevet, co Vas chce im zrobić?

Bo jeśli ci uwierzą, Vas będzie skończony jako uczestnik tej wyprawy. A jeśli ci nie uwierzą, Vas stanie się twym wrogiem i już nigdy nie będziesz bezpieczna. Zaufaj mi. Zrób, jak mówię, a wszyscy przeżyją.

Jesteś tego pewna?

Oczywiście.

Potrafisz przewidzieć przyszłość nie lepiej niż każdy z nas. Jak bardzo jesteś tego pewna?

Prawdopodobieństwo sukcesu wynosi jakieś sześćdziesiąt procent.

Och, cudownie. A co z czterdziestoprocentowym ryzykiem niepowodzenia?

Inteligentna z ciebie kobieta, w razie czego będziesz improwizować, dasz sobie radę.

Chciałabym mieć tyle wiary w ciebie, ile ty najwyraźniej pokładasz we mnie.

Nie masz jej tylko dlatego, że nie znasz mnie tak dobrze, jak ja ciebie.

Potrafisz czytać mi w myślach, droga Nadduszo, ale w życiu mnie nie zrozumiesz, bo nie możesz czuć tego co ja albo myśleć na mój sposób.

Uważasz, że tego nie wiem, mądralo? Musisz mi to wypominać? Idź w dół zbocza. Tylko ostrożnie, ostrożnie. Ścieżka jest widoczna w świetle księżyca, ale zdradliwa. Obring właśnie się zbudził; zdążyłaś w ostatniej chwili. Trzymaj się przed nimi, ale pilnuj, żeby nikt cię nie posłyszał ani nie zauważył.

*

Elemak się zorientował, że Sevet i Obring zabrali dodatkowe buklaki z magazynu. Od razu zrozumiał, co to oznacza - zamierzają czmychnąć do Dorovy. Ale zarazem nie wierzył, że akurat tych dwoje wspólnie obmyśliłoby jakiś plan - w ogóle nie rozmawiali z sobą na osobności, Kokor pilnowała, by nie mieli ku temu okazji. O nie, ktoś jeszcze musiał w tym uczestniczyć, ktoś bardziej podstępny, skoro Elemak nie spostrzegł kradzieży dodatkowego buklaka.

Potem, tuż przed zmrokiem, Vas zgłosił się na ochotnika do objęcia znienawidzonej późnej warty, przedostatniej przed świtem. A już wcześniej Obring wziął ostatnią. Nie trzeba być geniuszem, by skojarzyć fakty - zamierzali uciec podczas warty Vasa. Głupcy. Czyżby im się zdawało, że zdołają zejść w dół zbocza i uciec plażą wokół zatoki z dwoma buklakami świeżej wody na łebka? Nie podołaliby, nawet nie zabierając dzieci.

Nie zamierzają zabierać dzieci.

Ta myśl była tak nedorzeczna, że Elemak wprost nie mógł uwierzyć. Ale wnet

zrozumiał, że to musi być prawda. Jego pogarda wobec Obringa tylko się wzmogła. A Vas... czy mógłby zrobić coś takiego? Córeczka była jego oczkiem w głowie. Nawet nazwał ją własnym imieniem - i miałby ją zostawić?

Nie. Nie, nie miał zamiaru jej porzucać. Obring i owszem. Ten to nawet chętnie porzuciłby dziecko i Kokor - małżeństwo z nią było dla niego jedynie pasmem udręk. Ale Vas nie zrobiłby tego swojej córeczce. Ma jakiś inny powód. Nie zamierza uciec do miasta z Sevet i Obringiem. Wprost przeciwnie. Zamierza powiedzieć nam, że oni wyruszyli do miasta, gdy on już odsypiał wartę, i podążył za nimi z nadzieją, że ich zatrzyma, i znalazł ich ciała na dnie przepaści.

Skąd to wszystko wiem? Dlaczego jest to dla mnie tak oczywiste? A jednak na pewno mam rację.

Przydzielił sobie środkową wartę, a odstawszy swoje, obudził Vasa i wrócił do namiotu. Nie dał sobie zasnąć, choć leżał bez ruchu z zamkniętymi oczami, oddychając niby w głębokim śnie, na wypadek gdyby Vas przyszedł, by to sprawdzić. Ale nie przyszedł. Nie tylko nie przyszedł, nawet nie podchodził do namiotu Obringa. Warta ciągnęła się w nieskończoność i w końcu Elemak przysnął. Może tylko na chwilę, ale musiał spać, gdyż poderwał się zaniepokojony, a serce waliło mu jak młotem. Usiadł w ciemności, nasłuchując. Obok słyszał oddech Edhyi i Proyi; poza tym jego ucho nie potrafiło wyłowić niczego. Wstał cicho i wyszedł z namiotu. Vasa - ani nikogo innego - nie było na warcie.

Zakradł się pod jego namiot. Vas zniknął, a z nim Sevet - ale mała Vasnaminanya wciąż tam spała. Elemak zawrzał świętym gniewem. Cóż za bezduszość! Cokolwiek Vas zamierzał - czy porzucić córkę, czy też zabić matkę dziecka - było to odrażające, wprost nie do pojęcia!

Znajdę go, pomyślał Elemak, a gdy wpadnie mi w ręce, pożałuje. Wiedziałem, że w tej wyprawie uczestniczą głupcy, głupcy i mięczaki, ale w życiu bym nie przypuszczał, że znajdzie się ktoś tak bezwzględny. Nawet bym nie podejrzewał, że Vas jest do tego zdolny. Chyba wcale go nie znałem. I już nigdy nie poznam, bo jak go znajdę, zabiję jak psa.

*

Łatwo było prowadzić ich w dół zbocza. Ufali mu bezgranicznie. To jego nagroda za rok udawania, że nie ma im za złe zdrady. Gdyby okazał choć cień gniewu, poza pewną oziębłością, Obring nie zaufałby mu na tyle, by pójść niczym prosię prowadzone na rzeź. Ale Obring mu ufał, Sevet także.

Ścieżka nie była wcale łatwa - nieraz musiał im pomóc pokonać co trudniejsze fragmenty. Lecz w świetle księżyca nie mogli dojrzeć, jak bardzo niebezpieczna jest ta

przeprawa, a za każdym razem, gdy robiło się trudno, Vas im pomagał, ostrożnie biorąc Sevet za rękę i prowadząc ją w dół, szepcząc do Obringa: „Widzisz występ, którego musisz się chwycić?”. I w odpowiedzi skinienie głową, widzę, dam sobie radę, Vasie, bo jestem mężczyzną. Boki zrywać. Jak pięknie odrwiłem Obringa dumnego, że został włączony do tego wspaniałego planu. Och, jakże zapłacę, gdy zejdziemy na dół po ich ciała. Jakże inni będą płakać nade mną, gdy wezmę córkę w ramiona i powiem jej, że jest sierotą. Sierotą - ale noszącą imię po ojcu. I wychowam ją tak, by nie zostało w niej nic z puszczańskiej matki. Będzie kobietą honorową - nigdy nie zdradzi zaufania mężczyzny, który wybaczyłby jej wszystko, tylko nie oddanie się mężowi własnej siostry, oblesnemu fagasowi. Pozwoliłaś mu wypróżnić się w tobie, Sevet, ma kochana, i wkrótce drogo mi za to zapłacisz.

- Oto miejsce, które ja i Nafai próbowaliśmy przebyć - oznajmił im szeptem. - Widzicie, którądy musimy przesuwac się po tej nagiej skale, lśniącej w świetle księżyca?

Obring skinął głową.

- Właściwa droga wiedzie przez tę półkę, która uratowała mu życie - dodał Vas. - Jeden odcinek jest trudny, trzeba tam zejść dwa metry w dół, ale potem musimy już tylko pokonać w poprzek ścianę klifu, by dotrzeć wprost na plażę, a dalej już łatwo.

Podążyli za nim, mijając miejsce, gdzie Vas w milczeniu przyglądał się wysiłkom Nafaia i dopiero gdy stało się jasne, że chłopak jednak sobie poradzi, odezwał się i ruszył z pomocą. Teraz pomoże im dostać się na dolną półkę. Tyle że nie zejdzie za nimi. Kopnie Obringa w głowę, zepchnie go poza krawędź. Wtedy Sevet zrozumie. Domyśli się, czemu ją tu przyprowadził.

I - nareszcie - będzie go błagać o wybaczenie. Prosić o zrozumienie, płakać i szlochać ku jego uciechu. Ale on będzie rzucał kamieniami, przeganiając ją wzdłuż półki, aż w końcu ta wywłoka potknie się albo straci równowagę. I wtedy spadnie, krzycząc, a on to usłyszy i na zawsze zachowa w sercu.

Potem oczywiście zejdzie na dół prawdziwą ścieżką i znajdzie ich ciała. Gdyby któreś z nich jakimś cudem jeszcze żyło, skreśli mu kark - nikt się nie zdziwi, że złamali kręgosłup przy zderzeniu z ziemią. Ale wątpił, by to przeżyli. Pulsator roztrzaskał się w drobny mak. To samo spotkałoby tego pizduka Nafaia, gdyby przypadkiem nie spadł na tę niewidoczną półkę. Ale cóż, Nafai był nieistotny - Vas miał w nosie, czy ten szczeniak przeżyje, czy zginie, o ile wszystkie pulsatory zostaną zniszczone, przez co ich grupa będzie musiała wrócić do cywilizacji. A teraz, zanim zawrócą, miał szansę wyrzucić zemstę, a mimo to nie wzbudzić niczyich podejrzeń. „Chyba usłyszeli, że za nimi idę, bo szli zdecydowanie za szybko, szczególnie jak na wspinaczkę w nocy. A potem ujrzałem, że kierują się ku tej półce. Tam jest

niebezpiecznie, więc zawołałem do nich, ale chyba nie zrozumieli, że ich ostrzegam. A może po prostu mieli to gdzieś. Boże dopomóż, jakże ja ją kochałem! Matka mojego dziecka!”. Nawet uronię za nich łzę i reszta mi uwierzy. Bo cóż innego im pozostanie? Wszyscy wiedzą, że już dawno temu przebaczyłem i puściłem w niepamięć ich cudzołóstwo.

Ja naprawdę nie wymagam wiele. Od nikogo nie oczekuję, że będzie ideałem. Ale gdy ktoś traktuje mnie jak robaka, jakbym nie istniał, jakbym nic nie znaczył, wtedy nie zapominam, o nie, nie zapominam nigdy, nigdy też nie wybaczam, po prostu czekam na właściwy moment, a gdy nadejdzie, udowadniam, że trzeba się ze mną liczyć, a pogardzanie mną było najgorszym błędem. Właśnie tak będzie myślała Sevet, gdy zasypie ją grad kamieni, gdy nie będzie miała dokąd uciec, chyba że ku przestworzom na spotkanie śmierci. Będzie myślała: Gdybym tylko była mu wierna, żyłabym dość długo, by wychować córkę.

- Tutaj - odezwał się. - Stąd musimy zejść.

Sevet wyraźnie się bała, a Obring udawał zuchwałość, choć na jego twarzy malował się strach tak czytelny, jak gdyby narobił w portki i skomlał. Wkrótce to zrobi.

- Łatwizna - stwierdził buńczucznie.

- Najpierw Sevet - zaproponował Vas.

- Czemu ja?

- Bo nas dwóch o wiele bezpieczniej opuści cię na dół - wytłumaczył Vas. A przede wszystkim dlatego, że dzięki temu będę mógł kopnąć Obringa w głowę, jak tylko go opuszczę, a ty, już w potrzasku, będziesz mogła tylko biernie się temu przyglądać.

Wszystko szło zgodnie z planem. Sevet przycupnęła na krawędzi przygotowana, by się odwrócić i opuścić się na dół. Wtem usłyszeli:

- Sevet, Naddusza zabrania ci schodzić na dół.

Odwrócili się i zobaczyli ją, lśniąca w świetle księżyca, w białej koszuli nocnej łopoczącej z lekka na wietrze.

Skąd wiedziała? - pomyślał Vas. Czemu tu przyszła? Sądziłem, że Naddusza zgodzi się, na ten.... akt sprawiedliwości! Gdyby Naddusza nie chciał, bym to zrobił, bym odpłacił Obringowi i Sevet za ich występki, to czemu nie powstrzymał mnie wcześniej? Czemu teraz, gdy jestem już tak blisko? O nie, nie dam jej się powstrzymać. Na dnie klifu spoczną trzy ciała, nie dwa. A zamiast wspinać się z powrotem, wezmę trzy bukłaki z wodą i ruszę ku Dorovie. Dotrę tam i udam się w dalszą drogę, na długo przed tym, zanim dogonią mnie jakiegokolwiek oskarżenia. A w Seggidugu lub w Potokgavan, gdziekolwiek trafię, zaprzeczę wszystkiemu. Nie będzie żadnych świadków, więc i tak nikt z tych ludzi nie miałby prawa mnie o nic posądzić. Co prawda przez to stracę córkę, ale to będzie odpowiednia i

sprawiedliwa kara za zabicie Luet. Wszystkie rachunki się wyrównają. Ja nie będę się domagał zemsty od świata, a świat ode mnie. Będziemy kwita.

- Znasz mnie, Sevet - odezwała się Luet. - Mówię do ciebie jako wodna wieszczka. Jeśli zejdziesz na tę półkę, nigdy już nie ujrzysz swej córki, a w oczach Nadduszy nie ma większej zbrodni nad występki matki opuszczającej swe dziecko.

- Twoja matka opuściła ciebie i Hushidh! - zakrzyknął Vas.

- Daruj sobie te kłamstwa o zbrodniach w oczach Nadduszy. To tylko komputer, któremu jakiś daleki przodek nakazał nas pilnować, nic więcej. Nawet twój mąż tak twierdzi. Moja żona nie jest aż tak zabobonna, by uwierzyć w te bajeczki.

Nie, nie, nie powinienem tyle mówić. Powinienem działać. Powinienem zrobić trzy kroki do przodu i zepchnąć ją ze skały. Nie miałyby ze mną żadnych szans. A potem Sevet i Obring, przerażeni zabójstwem, o wiele chętniej by mi się podporządkowali i ruszyliby w drogę - ku bezpieczeństwu, ku miastu, jak im się zdawało. Dyskusja z nią była głupotą. Moim błędem.

- Zostaliście wybrani przez Nadduszę do tej grupy - przekonywała Luet. - Mówię wam tu i teraz, że jeśli zejdziecie na dół, żadne z was nie doczeka świtu.

- Przepowiednia? - zadrwił Vas. - Nie wiedziałem, że to jeden z wielu twych darów.

Zabij ją, natychmiast! - rozkazał sobie w myślach, ale coś go powstrzymywało.

- Naddusza mówi mi, że Nafaiowi udało się już sporządzić łuk i strzały. Ta wyprawa ruszy dalej, a wraz z nią także i wy - ciągnęła. - Jeśli wrócicie teraz do obozu, wasze córki nigdy się nie dowiedzą, że kiedyś je porzuciliście. Naddusza spełni złożone wam obietnice: odziedziczycie krainę dostatku, a wasze dzieci staną się wielkim narodem.

- A kiedy to mi coś takiego obiecywano, he? - wtrącił się Obring. - Synom Volemaka i owszem, ale nie mnie. Ja mam przyjmować rozkazy i wysłuchiwać nagan, bo nie robię wszystkiego tak, jak chciałby tego Jego Ekscelencja Elemak.

- Przestań jęczeć! - skarcił go Vas. - Nie widzisz, że ona próbuje nas usidlić?

- Naddusza przysłała mnie tu, by ocalić wam życie - odparła Luet.

- Łżesz! - zaperzył się Vas. - To wierutna bujda. Mojemu życiu nawet przez chwilę nie groziło niebezpieczeństwo.

- Powiadam ci, Wasie, że gdybyś dopiął swego, nie pożyłbyś nawet pięciu minut.

- A niby jak miałyby się to stać?

Właśnie wtedy Vas zrozumiał, że wszystko stracone, bo za jego plecami odezwał się Elemak:

- Sam bym cię zabił. Gołymi rękami.

Vas gwałtownie odwrócił się w jego stronę, wściekły, tym razem nie potrafiąc powściągnąć gniewu. Czemu miałby dłużej dusić go w sobie? I tak praktycznie był już trupem, skoro pojawił się Elemak, po co więc nadal ukrywać swą pogardę?

- Doprawdy?! - zakrzyknął. - Zdaje ci się, że możesz się ze mną równać?! Nigdy mi nie dorastałeś do pięt! Cały czas ci bruździłem, przy każdej okazji! A ty nic nie podejrzewałeś. Ty głupcze, zadzieraszą nosa i chełpisz się, że tylko ty jeden wiesz, jak prowadzić karawanę - a kto zrobił to, czego tobie się nie udało, kto nas zawrócił?

- Zawrócił? Przecież to nie ty... - Nagle Elemak zamilkł. Zrozumiał, kto zniszczył pulsatory. - Tak. Tchórzliwie i podstępnie, bo taki już jesteś, naraziłeś nas wszystkich, ściągnąłeś niebezpieczeństwo na moją żonę i mojego syna, a nie przyłapaliśmy cię na tym, bo nikomu nawet przez myśl nie przeszło, że ktoś z naszej grupy może być tak zakłamanym i nikczemnym...

- Dość - przerwała mu Luet. - Ani słowa więcej, bo rzucisz oskarżenia, którymi trzeba będzie się zająć publicznie, a wciąż możemy rozwiązać to po cichu.

Vas w mig zrozumiał. Luet nie chciała, by Elemak wprost oskarżył Vasa o zniszczenie pulsatorów, nie w obecności Obringa i Sevet, w przeciwnym razie nie uszedłby kary. A ona tego nie chciała. Nie chciała, by go zabito. Luet, wodna wieszczka, przemawiała w imieniu Nadduszy. Czyli ten komputer chce go zachować przy życiu.

Zgadza się.

Ta myśl była wyraźnym głosem w jego głowie.

Chcę cię żywego. Chcę żywą Luet. Żywych Obringa i Sevet. Nie zmuszaj mnie, bym wybrał, które z was umrze.

- Wracajcie na górę - rozkazał Elemak.

- Ja nie chcę wracać - sprzeciwił się Obring. - Nic tu po mnie. Chcę iść do miasta.

- O tak - odparł Elemak - w mieście twą słabość, twoje lenistwo, twoje tchórzostwo i twoją głupotę można ukryć za piękną szatą i kilkoma żartami, a ludzie pomyślą, że jesteś mężczyzną. Na to będziesz miał jeszcze sporo czasu. Gdy Nafai zawiedzie i powrócimy do miasta...

- Ona mówi, że Nafai zrobił łuk - przypomniał Obring.

Elemak spojrzał na Luet i najwyraźniej wyczytał z jej oczu, że to była prawda.

- Zrobić łuk to nie to samo, co umieć z niego skorzystać - stwierdził. - Jeśli przyniesie do obozu mięso, będę wiedział, że Naddusza naprawdę mu sprzyja i jest potężniejsza, niż mi się wydawało. Ale to się nie stanie, wodna wieszczko. Twój mąż będzie się starał, ale mu się nie uda, i nie dlatego, że zadanie go przerosło, lecz po prostu jest niewykonalne. A gdy

powróci z niczym, ruszymy do miasta. Sami widzicie, że nie musieliście tego robić.

Vas słuchał i rozumiał znaczenie tych słów. Niezależnie od tego, czy Elemak naprawdę wierzył, że Nafai zawiedzie, mówił tak, by Sevet i Obring się nie domyślili, że mogło tu chodzić o coś więcej poza próbą ucieczki do miasta. Nie chciał mówić, że Vas zamierzał ich zabić.

A może nie wie. Może Luet nie wie. Może mówiąc, że wszyscy troje zginiemy, chodziło jej o to, że Elemak zabije nas, by uniemożliwić ucieczkę. Może to nadal jest moja słodka tajemnica.

- Wracajcie - rzekł Elemak. - Nie spotka was żadna kara. Do świtu jeszcze tyle czasu, że nikt poza nami nie musi wiedzieć, co się stało.

- Dobra - zgodził się Obring. - Ja wracam, przepraszam i dziękuję.

Ależ z niego mięczak, pomyślał Vas.

Obring minął Elemaka i zaczął wdrapywać się po ścieżce. Sevet bez słowa poszła za nim.

- Idź przodem, Luet - zaproponował Elemak. - Dobrze się spisałaś. Nawet nie mam zamiaru pytać wodnej wieszczki, skąd wiedziała, że powinna się tu pojawić. Powiem tylko tyle, że gdybyś ich nie wstrzymała, ktoś by zginął tej nocy.

Czy tamtych dwoje jest już za daleko, by to usłyszeć? - zastanawiał się Vas. Czy też Elemak wciąż myśli tylko o tym, że sam by kogoś zabił, że przyłapałby ich na próbie ucieczki i ich za to ukarał?

Luet ruszyła za parą cudzołożników. Vas i Elemak zostali sami.

- Jaki miałeś plan? - zapytał Elemak. - Chciałeś ich pchnąć podczas opuszczania na półkę?

A więc on wie.

- Gdybyś ich skrzywdził, rozerwałbym cię na strzępy - dokończył.

- Doprawdy? - zadrwił Vas.

Elemak błyskawicznym ruchem chwycił go za gardło i przydusił do skalnej ściany. Vas uczepił się jego ręki, próbując rozewrzeć palce. Nie mógł złapać tchu, i to bolało, Elemak nie żartował, nie demonstrował jedynie swej siły, miał zamiar go zabić. Vasa ogarnęła panika. Gdy miał już wrazić mu palce do oczu - byle tylko go puścić - Elemak drugą ręką złapał go za krocze i ścisnął. Zabolało potwornie, a mimo to Vas nie mógł wrzasnąć ani zaczerpnąć powietrza przez gardło w stalowym uścisku. Zakrztusił się i zebrało mu się na wymioty, trochę treści żołądkowej przecisnęło się przez zwężony przełyk. Poczł smak wymiocin w ustach. Tak smakuje śmierć, pomyślał.

Elemak ścisnął raz jeszcze i gardło Vasa, i genitalia, jakby chciał udowodnić, że dotąd nie wkładał w to całej siły. A potem go puścił.

Vas zarzęził, jęknął. Ból w kroczu nie minął, stał się pulsujący, a w gardle paliło przy oddychaniu.

- Nie zrobiłem tego przy innych - odezwał się Elemak - bo chcę mieć jeszcze z ciebie jakiś pożytek. Nie zamierzam cię upokarzać na oczach reszty. Ale chcę, żebyś wbił to sobie do głowy. Gdy zaczniesz planować kolejne zabójstwo, pamiętaj, że Luet cię obserwuje, Naddusza cię obserwuje, a co najważniejsze, ja cię obserwuję. Od teraz ci nie popuszczę, Vasa, koleżko. Jeśli zacznę podejrzewać, że planujesz kolejny sabotaż albo kolejne dyskretne morderstwo, nie będę się biernie przyglądał, tylko przyjdę w środku nocy i skręcę ci kark. Wiesz już, że zdołam. Wiesz też, że mnie nie powstrzymasz. Póki żyję, nie zemścisz się na Obringu i Sevet. Ani na mnie. Nie żądam od ciebie żadnych obietnic, bo twoje słowo i tak warte jest tyle co szczyny. Po prostu oczekuję, że zrobisz, co ci każę, bo jesteś przebiegłym tchórzem, który panicznie boi się bólu, i nigdy, przenigdy mi się nie sprzeciwisz, bo na zawsze zapamiętasz, jak czujesz się w tej chwili.

Vas słuchał uważnie i wiedział, że Elemak ma rację, nigdy nie odważy się mu sprzeciwić, nie zniósłby takiego bólu i strachu, jakiego właśnie doznał, wciąż doznawał.

Lecz będę cię nienawidził, Elemaku. I kiedyś... kiedyś... gdy będziesz już stary, niedołężny i bezsilny, wyrównam rachunki. Zabiję Sevet i Obringa i nie dasz rady mnie powstrzymać. Nawet się nie domyślisz, że to moja sprawka. Pewnego dnia stanę przed tobą i oznajmię, że zrobiłem to, tobie na przekór. Uniesiesz się gniewem, a ja się tylko zaśmieję, ponieważ będziesz bezradny, i ja sprawię, że odczujesz tę bezradność, poczujesz to, co ja poczułem przez ciebie - ból, lęk, panikę, gdy nie będziesz mógł nawet zaczerpnąć dość powietrza, by wydać ostatni krzyk... o tak, poczujesz to. A gdy będziesz już zdychał, wyjawię ci prawdziwy rozmiar mej zemsty - że zabiję też twe dzieci, twą żonę i wszystkich, których kochasz, a ty nie zdołasz temu zapobiec. Potem wydasz ostatnie tchnienie i dopiero wtedy będę zadowolony, wiedząc, jak się męczyłeś przed śmiercią.

Mnie się nie spieszy, Elemaku. Co noc będę o tym śnić. Na zawsze zachowam to w pamięci. Ty zapomnisz. Aż nadejdzie dzień, w którym ci to przypomnę.

Gdy Vas odzyskał dość sił, by chodzić, Elemak pchnął go w stronę ścieżki prowadzącej do obozu.

*

O świcie wszyscy byli już na miejscu. Nikt poza uczestnikami nie wiedział, co się działo w świetle księżyca gdzieś na zboczu góry.

Słońce ledwie weszło, gdy Nafai przez łąkę ruszył w kierunku obozu. Zdorab szykował suchary na śniadanie. Luet była już na nogach - choć ślaniała się ze zmęczenia - i karmiła piersią Chveyę. Ujrzała męża z włosami rozświetlonymi pierwszymi promykami słońca. Przypomniła jej się ten dziwny sen, w którym Nafai błyszczał i jarzył się światłem metalicznego pancerza. Cóż to mogło oznaczać? - zastanawiała się. Ale zaraz pomyślała: A jakie to ma znaczenie?

- Czemu wróciłeś? - zapytał go Issib ze swego krzesła. Trzymał Dazyę na kolanach. Widocznie Hushidh poszła za potrzebą.

W odpowiedzi Nafai podniósł do góry łuk i pięć strzał.

Luet zerwała się na nogi i podbiegła do niego. Dziecko puściło pierś i zaczęło głośno protestować, lecz nie zwracała na nie uwagi. Ucałowała męża i objęła go wolną ręką.

- Masz łuk.

- Łuk jak łuk - odparł. - Naddusza nauczył mnie, jak go wykonać. To nie wymagało żadnego talentu z mojej strony. To zaś, co tobie udało się osiągnąć...

- A więc wiesz?

- Naddusza ukazał mi to we śnie. Gdy się obudziłem, natychmiast przyszedłem tutaj.

- Wiesz więc, że o tym nie wspominamy.

- Chyba że między sobą. Chyba że po to, by powiedzieć ci, jak jesteś wspaniała, silna, odważna.

Ucieszyła się, słysząc te słowa, choć wiedziała, że dalekie były od prawdy - wcale nie była mężna, lecz przerażona, że Vas ją zabije. Że niemal się rozpląkała z ulgi, gdy pojawił się Elemak. Wkrótce powie mężowi to wszystko, ale teraz bardzo radowała ją te słowa miłości i szacunku i to, że ją obejmował, gdy razem szli do obozu.

- Widzę, że masz łuk, ale nie mięso - zauważył Issib, gdy się zbliżyli.

- A więc zrezygnowałeś? - zagadnął Mebbekew z nadzieją w głosie.

- Mam czas do zmroku - przypomniał Nafai.

- Co więc cię tu sprowadza? - zapytał Elemak.

Wszyscy powychodzili już z namiotów i teraz przysunęli się z zaciekawieniem.

- Przyszedłem, bo sam łuk to jeszcze nic. Naddusza mógłby nauczyć każdego z nas, jak go zrobić. Teraz muszę zapytać ojca, gdzie szukać zwierzyny.

Volemak nie ukrywał zdziwienia.

- A skąd miałbym to wiedzieć, Nafaiu? Żaden ze mnie myśliwy.

- Powiedz mi, gdzie znajdę zwierzynę tak niepłochliwą, bym mógł blisko się do niej zakraść. I gdzie jest jej pod dostatkiem, bo będę chybiał przy pierwszych próbach.

- Zabierz więc z sobą Vasa, by tropił - zaproponował Volemak.

- Nie - natychmiast zaproponował Elemak. - Nie, Nafai ma rację. Ani Vas, ani Obring nie będą dziś mu pomagać.

Luet doskonale wiedziała, dlaczego Elemak nalegał na to, Volemak zaś zdawał się zupełnie zbity z tropu.

- Zapytaj więc Elemaka, gdzie znaleźć taką zwierzynę.

- Elemak zna tę krainę nie lepiej ode mnie - upierał się Nafai.

- A ja nie znam jej wcale.

- Mimo to zapoluję tylko tam, gdzie mi wskażesz. To zbyt ważne, by zdać się na przypadek. Wszystko od tego zależy, ojczy. Powiedz mi, gdzie mam się udać, albo przepadnie nadzieja.

Volemak milczał, wpatrując się w syna. Luet nie rozumiała, dlaczego Nafai to robi - nigdy wcześniej nie radził się ojca, gdzie szukać zwierzyny. A mimo to czuła, że ma to zasadnicze znaczenie - z jakiegoś powodu pomyślność tej wyprawy zasadzała się na tym, że Volemak zdecyduje, gdzie udać się na polowanie.

- Poradzę się Indeksu - zdecydował Volemak.

- Dziękuję, ojczy - odparł Nafai i podążył za nim do namiotu.

Luet rozejrzała się po ludziach. Jak oni to widzą? Napotkała spojrzenie Elemaka. Posłał jej lekki uśmiešek. Odpowiedziała mu tym samym, nie rozumiejąc jednak, jak on tłumaczy sobie dziwne zachowanie Nafaia.

Hushidh jej to wyjaśniła.

- Ale z niego spryciarz - szepnęła.

Luet odwróciła się zaskoczona - nie zauważyła, że siostra podeszła do niej.

- Powracając z łukiem i strzałami, osłabił pozycję Volemaka. W dodatku już wczoraj osłabioną, gdy to Nafai upierał się, by kontynuować podróż. Nadwreżył wtedy wszystkie więzy, które spajały tę grupę. Zauważyłam to, gdy wstałam dziś rano. Rozłam. Narastający chaos. I coś strasznego pomiędzy Vasem a Elemakiem - nienawiść, której nie rozumiem. Teraz Nafai oddał władzę w ręce ojca. Z powodzeniem mógł ją przejąć i tym samym na zawsze nas poróżnić, ale tego nie zrobił, oddał ją z powrotem. Już teraz widzę, że wszystko wraca do normy.

- Są chwile, Shuya, gdy chciałabym mieć twój dar zamiast mojego.

- Mój bywa bardziej poręczny i praktyczny - przyznała Hushidh. - Ale to ty jesteś wodną wieszczką.

Chveya na dobre przyssała się do piersi, siorbiąc głośno, jakby chciała szybko się

najeść, zanim matka znów gdzieś popędzi, więc Luet nie mogła brać swego wielkiego powołania na poważnie. Zaniosła się śmiechem. Jej rozbawienie nie uszło uwagi tych, którzy nie mogli dosłyszeć, o czym szeptały sobie siostry; wielu odwróciło wzrok w jej stronę. Co ją tak rozbawiło, zastanawiali się, w ten poranek, gdy rozstrzyga się cała nasza przyszłość?

Nafai i jego ojciec wyłonili się z namiotu. Wcześniejsza konsternacja Volemaka gdzieś ulotniła. Teraz nie było już wątpliwości, że on tu rządzi; uściskał syna i wskazał ręką w kierunku południowego wschodu.

- Tam znajdziesz zwierzynę, Nafaiu. Wracaj prędko, a pozwolę usmażyć to mięso. Niechaj ludzie w Dorovie głowią się, czemu po drugiej stronie zatoki unosi się słup dymu! Zanim tutaj dotrą, by to wybadać, już dawno będziemy znów w drodze na południe.

Luet wiedziała, że wielu przyjęło te optymistyczne słowa bardziej z rozpaczą niż nadzieją - ale tęsknota za miastem była ich słabością, a nie powodem do dumy czy zachcianką, którą należałoby spełnić. Sabotaż Vasa mógł ich zawrócić z obranej drogi, wtedy ich życie straciłoby sens, przynajmniej w porównaniu z tym, co osiągną, gdy Nafaiowi się powiedzie.

O ile mu się powiedzie.

Wtem Elemak zwrócił się do Nafaia:

- Umiesz dobrze z tego strzelać?

- Nie wiem - odparł Nafai. - Jeszcze nie próbowałem. Zeszłej nocy było za ciemno. Wiem jedno, te strzały daleko nie polecą. Nie mam wyćwiczonych odpowiednich mięśni, by mocno naciągnąć łuk. - Wyszczrzył zęby w szerokim uśmiechu. - Muszę więc znaleźć zwierzę nie dość, że głupie, to jeszcze powolne, tudzież głuche, ślepe i po zawietrznej.

Nikt się nie zaśmiał. Wszyscy w ciszy patrzyli, jak Nafai oddala się od obozu, śmiało zmierzając wprost w kierunku wskazanym przez ojca.

Reszta poranka upłynęła im w napięciu. Nie z powodu ledwie powściąganych kłótni - te zdarzały im się dość często ostatnimi czasy - ale gorączkowego oczekiwania. Nie było bowiem nic do roboty poza doglądaniem dzieci i gubieniem się w domysłach, czy Nafai, na przekór wszelkiemu prawdopodobieństwu, zdoła coś upolować.

Jedyny wyjątek od powszechnego nastroju ponurego rozdrażnienia stanowili Shedemei ze Zdorabem. Nie to, że się cieszyli, o nie - jak zwykle po cichu zajmowali się swoimi sprawami. Ale Luet nie mogła nie zauważyć, że dziś wydawali się bardziej... jakby świadomi siebie nawzajem. Co rusz wymieniali znaczące spojrzenia, jakby coś ukrywali i nie mogli już tego wytrzymać.

Luet doznała olśnienia dopiero późnym rankiem, gdy Shedemei trzymała w rękach

golusieńką Chveyę, a ona prała drugi kaftanik i pieluszkę, które córka zdążyła zabrudzić tego ranka. Podczas zabawy z Chveyą Shedemei wciąż chichotała, a gdy Luet zastanawiała się nad przyczyną tej niezwykle dla niej pogody ducha, nagle zrozumiała: Shedy jest w ciąży! Po wielu miesiącach, choć już wszyscy zdążyli uznać ją za bezpłodną, w końcu, nareszcie będzie mieć dziecko.

A Luet nie byłaby sobą, gdyby nie zapytała o to wprost - w końcu były same, a żadna kobieta nie miała tajemnic przed wodną wieszczką.

- Mylisz się - odparła Shedemei wyraźnie zaskoczona. - To znaczy... mogę być, ale skąd miałabym wiedzieć tak wcześnie?

I dopiero wtedy Luet się domyśliła, że Shedemei nie zaszła w ciążę aż do teraz, bo wcześniej nie uprawiali ze Zdorabem miłości. Zapewne więc wzięli ślub dla wygody, by mogli mieszkać w jednym namiocie. Przez cały czas przyjaźnili się, troszczyli o siebie nawzajem, a Shedemei była dziś tak szczęśliwa, ponieważ zeszłej nocy skonsumowali swoje małżeństwo.

- Tak czy inaczej, gratuluję - rzekła.

Shedemei zarumieniła się i spuściła wzrok na dziecko, z lekka je łaskocząc.

- Może to będzie już niedługo. Niektóre kobiety zachodzą od razu. Ja chyba zaszłam. Tylko nie mów nikomu.

- Hushidh i tak zauważy, że coś się zmieniło.

- A zatem jej powiedz, ale nikomu innemu.

- Obiecuję.

W uśmiechu Shedemei Luet dojrzała, że choć poznała część tajemnicy, kryje się za tym coś więcej, jakieś niedopowiedzenie. Mniejsza z tym, pomyślała. Nie muszę wszystkiego wiedzieć od razu. Co dzieje się między tobą a Zdorabem to nie moja sprawa, chyba że sama mi o tym powiesz. Ale tak czy owak wiem jedno - dzisiaj jesteś szczęśliwa. Takiej jeszcze cię nie widziałam podczas naszej podróży.

A może to ja patrzę na świat z większą nadzieją niż wcześniej, bo dziś rano przetrwaliśmy tak poważny kryzys. I, co najlepsze, Elemak opowiedział się po stronie Nadduszy. Co z tego, że Vas jest nikczemnikiem i mordercą w głębi serca? Co z tego, że Obring i Sevet chcieli porzucić swoje dzieci? Skoro Elemak przestał być wrogi Nadduszy, wszystko się ułoży.

Nafai wrócił przed południem. Nikt nie zauważył, że nadchodzi, bo nikt nie spodziewał się go tak szybko. Ni stąd, ni zowąd, jakby spod ziemi, pojawił się w obozie.

- Zdorabie! - zawołał.

Archiwista wyłonił się z namiotu Volemaka, gdzie wraz z Issibem korzystali z Indeksu.

- Wróciłeś, jak widzę.

Nafai niósł obdarte ze skóry truchło zająca w jednej ręce, a w drugiej pokrwawiony zewłok yozha.

- Ani to, ani to za wiele mięsa nie ma, ale ojciec obiecał, że jeśli wrócę dość wcześnie, będziemy mogli zrobić gulasz, więc rozpalaj ogień, Zodya! Dzisiaj napelnimy brzuchy białkiem i tłuszczem zwierzęcym, a jakże!

Nie każdy uradował się na wieść o dalszym ciągu wyprawy, ale wszystkich bez wyjątku ucieszyło duszone mięso, pikantna potrawka i kres niepewności. Volemak był wręcz jowialny, gdy wieczorem czynił honory podczas posiłku. Luet dziwiła się - czy nie łatwiej byłoby mu teraz wypuścić z rąk ster władzy, przekazać go komuś z synów? Ale nie. Jakkolwiek Volemaka przytłaczało brzemie przywództwa, i tak było zdecydowanie lżejsze niż nieznośny ciężar jego utraty.

Poczuła, że Nafai cuchnie po dzisiejszych trudach. To w zasadzie nie było nic nowego - tutaj nikt nie mógł sprostać basilikańskim standardom higieny - ale pachniał bardzo nieprzyjemnie.

- Śmierdzisz - wyszeptała do niego, gdy inni przysłuchiwali się, jak Mebbekew recytuje sprośny stary wiersz, którego nauczył się w czasach swej kariery aktorskiej.

- Przyznaję, kąpiel byłaby wskazana.

- Dziś sama cię umyję.

- Miałem nadzieję, że to powiesz. Gdy widzę, jak kąpiesz Veye, wprost umieram z zazdrości.

- Byłeś dziś wspaniały.

- Tylko trochę sobie postrugałem, gdy Naddusza pompował wiedzę do mej głowy. A potem pozabijałem zwierzęta zbyt głupie, by czmychnąć.

- Tak, i we wszystkim tym byłeś wspaniały. I nie tylko w tym. To, jak potraktowałeś ojca, też było wspaniałe.

- To był jedyny właściwy sposób. I tyle. Bez porównania z tym, co ty zrobiłaś. Powiem więcej, to ty zasłużyłaś, by cię dzisiaj rozpieszczęć i niańczyć.

- Wiem, wiem - przyznała. - Ale najpierw muszę cię wyszorować. To żadna frajda być niańczonym przez kogoś, kto pachnie tak okropnie, że człowiek się dusi.

W odpowiedzi objął ją, wciskając jej nos pod pachę. Połaskotała go, by się uwolnić.

Rasa, przyglądając się im z drugiej strony ogniska, pomyślała: Ależ z nich dzieci!

Cieszę się, że wciąż potrafią tak figlować. Kiedyś, gdy spoczną na nich prawdziwe dorosłe obowiązki, skończy się czas niewinności. Na razie mogą zapomnieć o troskach i uświadomić sobie, jak dobrze jest być żywym. Na pustyni czy w mieście, w domu czy w namiocie, to właśnie oznacza szczęście, czyż nie?

Obfitość

Następnego poranka objuczyli wielbłądy i ruszyli na południowy wschód. Nikt nic nie powiedział, ale wszyscy rozumieli, że obrali taką trasę, by oddalić się od Zatoki Dorova. Niełatwo było jednak znaleźć właściwą drogę przez Dolinę Płomieni, przeto kilka razy musieli się cofać, choć teraz przodem zazwyczaj jechał Elemak, często w towarzystwie Vasa, by wyszukać ścieżkę. Przyjęło się, że Volemak z rana informował najstarszego syna, co radził Indeks, a Elemak wyznaczał trasę przez najdogodniejsze wzniesienia i zejścia, od jednego płaskowyżu do następnego.

Po kilku dniach znaleźli kolejne źródło wody pitnej, któremu nadali nazwę Strelay, ponieważ czas tam spędzony zamierzali poświęcić na wyrób strzał. Nafai pierwszy udał się na zwiad i znalazł drzewa, które według Nadduszy najlepiej nadawały się na łuki; wkrótce zebrali kilkadziesiąt kawałków młodego drewna. Z niektórych od razu sporządzili łuki, do ćwiczeń i do polowania; resztę zabiorą ze sobą, by je wysuszyć, uzyskując materiał dłużej zachowujący sprężystość. Wykonali też setki strzał i ćwiczyli strzelanie do celu, zarówno mężczyźni, jak i kobiety, bo jak powiedział Elemak: „Może nadejść dzień, gdy życie wszystkich zależeć będzie od strzeleckiej biegłości naszych żon”.

Ci, którzy celnie strzelali z pulsatora, równie dobrze radzili sobie z łukiem, kiedy nabrali już pewnej wprawy, ale prawdziwym wyzwaniem było wyćwiczenie mięśni na tyle, by pewnie naciągnąć cięciwę. Przez pierwszy tydzień wszyscy mieli obolałe ramiona i plecy. Kokor, Lal i Rasa szybko zrezygnowały. Sevet i Hushidh osiągnęły wprawę, choć musiały używać mniejszych łuków niż mężczyźni.

Issib wpadł na pomysł farbowania drzewców strzał na jaskrawy kolor, dzięki czemu łatwiej było je znaleźć.

Potem wznowili wędrówkę, po drodze ćwicząc się w strzelectwie. Rosnąca siła w rękach zaczęła napawać ich dumą. Mężczyźni rywalizowali między sobą zaciekle; kobiety zauważyły, ale wspominały jedynie między sobą, że ich mężów interesują tylko i wyłącznie cele na tyle dalekie, że nie mogą ich osiągnąć mniejsze łuki Sevet i Hushidh. „A niech się popisują do woli - stwierdziła ta ostatnia. - Tylko wstydu by się najedli, gdyby przegrali z kobietą”.

Niebawem, chcąc nie chcąc, jechali równolegle do szlaku karawanowego, i to dość blisko - przez jakiś czas musieli się na nowo przyzwyczaić do surowego mięsa. Pewnego poranka Volemak wyszedł przed namiot z Indekssem w ręku i oznajmił:

- Naddusza powiada, że musimy teraz skierować się na zachód ku górą, aż dotrzemy nad brzeg morza.

- Niech zgadnę - rzucił Obring drwiąco. - Tam nie będziemy już widzieć miasta.

Odpowiedziało mu powszechne milczenie. Nikt też słowem się nie zająknął o ich ostatnim pobycie w pobliżu Morza Abrazyjnego.

- Czemu mamy teraz skręcać na zachód? - zapytał Elemak.

- Przebyliśmy ledwie połowę długości Doliny Płomieni. Szlak karawanowy schodzi nad morze dopiero tam, gdzie osiąga Morze Ognia, prosto na południe stąd. Skręcając na zachód, jedynie nadłożymy drogi.

- Na zachód stąd są jakieś rzeki - odparł Volemak.

- Nie, nie ma. Gdyby były, wędrowcy z przejeżdżających tędy karawan już dawno by je znaleźli i z nich korzystali. A wzdłuż nurtu powstałyby miasta.

- Tak czy siak, ruszamy na zachód - zawyrokował Volemak. - Naddusza powiada, że znów musimy rozbić obóz na dłużej, by zasiać uprawy i poczekać na żniwa.

- A to czemu? - wtrącił się Mebbekew. - Podróżujemy w dobrym tempie. Dzieci prawidłowo się rozwijają. Czemu więc mamy rozbijać kolejny obóz?

- Shedemei jest przy nadziei - wytłumaczył Volemak - i z każdym dniem coraz bardziej niedomaga.

Wszyscy spojrzeli na Shedemei z zaskoczeniem. A ona zapalała rumieńcem i wydawała się nie mniej zaskoczona od reszty.

- Sama zaczęłam to podejrzewać dopiero dziś rano - broniła się. - Skąd Naddusza wie na pewno to, co ja tylko przypuszczam?

Volemak wzruszył ramionami.

- To już tylko on raczy wiedzieć.

- Kiepski moment sobie wybrałaś, Shedy - odezwał się Elemak. - Pozostałe kobiety wstrzymują się z kolejnymi dziećmi, gdyż nadal karmią pierwsze, a teraz musimy czekać na ciebie.

Odpowiedział mu Zdorab, niezwykłym jak na niego ostrym tonem:

- Niektórych spraw nie da się przewidzieć, Elya, więc nie doszukuj się winy tam, gdzie nie było złych intencji.

- Nie mam takiego zwyczaju. - Elemak zmroził go wzrokiem, nie drażył jednak tego

tematu i wkrótce pierwszy wyruszył w drogę, przecierając karawanie szlak na zachód.

Zmierzali ku zboczom prawdziwych gór - wulkanicznych, poznaczonych strumykami lawy, które jeszcze nie stopiły się z glebą. Issib za pomocą Indeksu zdobył trochę informacji o tej okolicy. Okazało się, że w tym łańcuchu górskim piętrzącym się nad Morzem Abrazyjnym znajduje się co najmniej pięćdziesiąt czynnych i uśpionych wulkanów.

- Do ostatniej erupcji doszło raptem w zeszłym roku - poinformował - ale o wiele dalej na południe.

- Może właśnie dlatego Naddusza prowadzi nas ku morzu tak daleko na północ - zauważył Volemak.

Choć wspinaczka nie należała do łatwych, o wiele trudniejsze było zejście po drugiej stronie łańcucha - zbocza były tam bardziej strome i zarośnięte. Las przypominał dżunglę pnącą się po stokach gór.

- Wiatry zawiewają od morza - rzekł Issib - a chmury, spiętrzone na szczytach górskich, ochładzają się w zimniejszych partiach atmosfery i oddają każdą kropelkę wilgoci. Stąd ten las deszczowy w górach. W dole, nad brzegiem morza nie będzie tak mokro.

Zaczynali się już przyzwyczajać, że to Issib zgłębia archiwa Indeksu; w trakcie podróży tylko on nie miał innych obowiązków, zawsze trzymał Indeks przy sobie i nigdy nie odrywał od niego ręki, stale poszukując przydatnych informacji. Zdorab mu pokazał tak wiele ukrytych ścieżek, że Issib poruszał się po zakamarkach Indeksu niemal z taką samą wprawą jak bibliotekarz. A nikt nie umniejszał znaczenia informacji, które im przekazywał, bo tylko tyle mógł im dać.

Podczas wymagającej przeprawy w dół zawilego wąwozu nagle poczuli, że ziemia drży im pod stopami. Dwa wielbłądy się przewróciły, reszta, zdeorientowana, skakała na boki.

- Uciekajcie z wąwozu! - wrzasnął Issib.

- Ale dokąd?! - zawołał Volemak.

- Gdziekolwiek! Indeks mówi, że te wstrząsy osunęły brzegi jeziora wysoko w górach. Wszystko w tym wąwozie zmiecie woda!

To był wyjątkowo niesprzyjający dzień na takie komplikacje - Elemak i Vas wysforowali się daleko do przodu, przecierając szlak, a Nafai z Obringiem polowali wysoko w górach. Volemak miał jednak dużo więcej doświadczenia w podróżach niż Elemak i był zaradny. Szybko zmierzył wzrokiem ściany wąwozu i wypatrzył ścieżkę biegnącą w górę przez kamienne usypisko ku bocznemu kanionowi.

- Ja pójdę przodem - zakomenderował - bo wiem najlepiej, na co stać wielbłądy. Luet,

ty poprowadzisz za sobą kobiety i dzieci. Meb, ty i Zdorab popędzicie stado w ślad za nami. Najpierw zwierzęta z zapasami, na końcu te z suchymi skrzyniami i chłodziarkami. Issib, trzymaj się blisko nich i pozostań w kontakcie z Indekssem. Ostrzegaj, gdy zbliży się niebezpieczeństwo. Wtedy niech zostawia wielbłądy i sami rzucają się do ucieczki. Muszą ocaleć, tak jak i ty, Issya, to najważniejsze. Jasne?

Pytanie było skierowane do wszystkich i wszyscy jak jeden mąż skinęli głowami, choć ich szeroko rozwarte oczy wyrażały przerażenie.

- Elemak jest w wąwozie - jęknęła Eiadh. - Ktoś musi go ostrzec.

- Elya sam jest zdolny posłyszeć głos Nadduszy - przypomniał Volemak. - A nikt nie zdołałby go dogonić, ścigając się z nadciągającym żywiołem. Uchowaj jego dziecko i żonę, Edhya. Ruszamy! - Zawrócił wielbłąda i skierował go w górę wąwozu.

Wielbłądy nie były stworzone do chodzenia po pochyłościach. Ich ślamazarność doprowadzała do szału, lecz krok za krokiem wspinały się coraz wyżej. Ziemia znów zadrgała, i jeszcze raz - wstrząsy wtórne nie były już tak silne jak ten pierwszy. Volemak i kobiety zdołali wdrapać się na górę. Volemakowi przemknęło przez myśl, by popędzić w dół na pomoc, ale Luet mu przypomniła, że w kilku miejscach ścieżka nie jest dość szeroka dla dwóch wielbłądów - zamiast pomóc, jedynie opóźniłby ewakuację.

Wszystkie wielbłądy były już ponad dnem wąwozu, gdy Issib zakrzyknął:

- Teraz! Uciekajcie! W nogi!

Kiedy tylko się upewnił, że Meb i Zdorab go usłyszeli, zawrócił wielbłąda i wepchnął się między zwierzęta juczne. Nie potrafił jednak kierować swoim wierzchowcem na tyle energicznie, by wyprzedzić stado. Meb go dogonił, przejął wodze z wątpliwą ręką Issiba, a potem zaczął poganiać wielbłąda, szybciej i szybciej. Wnet dotarli do zwężenia wąwozu, za ciasnego dla dwóch zwierząt kroczących obok siebie, szczególnie ze względu na gabaryty krzesła Issiba. Bez wahania - nie czekając nawet, aż wielbłąd się pochyli, by umożliwić mu zejście - Meb zsunął się na ziemię i pociągnął za cugle zwierzę Issiba przez szczelinę.

Chwilę później Zdorab przecisnął się przez to samo zwężenie.

- Indeks! - zakrzyknął.

Issib wskazał worek na swym kolanie.

- Przywiązany do łąku!

Zdorab podprowadził wielbłąda bliżej, sięgnął do siodła Issiba, zręcznie odwiązał worek, a potem - unosząc go nad głowę niczym trofeum - pomknął do przodu.

- Możesz mnie już puścić! - zawołał Issib do Meba.

Meb jednak dalej ciągnął wielbłąda pod górę, mijając wolniejsze zwierzęta juczne.

Niedługo potem dotarli tam, gdzie Zdorab, Luet, Hushidh, Shedemei, Sevet i Eiadh czekali już na własnych nogach.

Mebbekew zorientował się, że jest blisko szczytu - Zdorab zapewne zostawił Indeks Volemakowi, a Rasa i reszta kobiet pilnują niemowląt na wzniesieniu.

- Przejmij Issiba! - zakrzyknął Meb, oddając wodze Zdorabowi, i popędził w dół po najbliższe zwierzę juczne. Gdy powrócił, wcisnął wodze w ręce Luet. - Ciągnij!

Potem każdej kobiecie po kolei przekazywał wodze jednego zwierzęcia. Słyszeli już wzbierający ryk wody, czuli dudnienie ziemi.

- Szybciej! - wrzasnął.

Było ich akurat tylu, by chwycić wodze wszystkich objuczonych stworzeń. Teraz pozostała już tylko wielbłądzica Meba. Huk wody i drganie ziemi ją wystraszyły, nie trzymała się blisko stada, została daleko z tyłu.

- Glupost! No chodź! - nawoływał ją Meb. - Rusz się, Glupost!

Wciąż ciągnął za wodze ostatnie zwierzę juczne, wiedząc, że na dłuższą metę dźwigane przez nie suche skrzynie okażą się ważniejsze niż jego wierzchowiec.

- Puść, Mebie! - krzyknął Zdorab. - Uciekaj stamtąd!

Wąwóz wypełniła woda, przelewała się przez jego ściany.

Wędrowcom na górze nie groziło porwanie przez nurt, bo nie sięgał aż tak wysoko.

Jednak woda wdarła się też do bocznego kanionu, którym uciekała karawana, i z takim impetem, że podniosła się powyżej poziomu nurtu w wąwozie. Porwała dwa najbliższe wielbłądy, a potem uderzyła w Meba, zwała go z nóg i poniosła. Usłyszał jeszcze kobiece krzyki - czy to Lalya wykrzykiwała jego imię? - a potem poczuł, że woda opada szybko, zasysając go w dół. Przez chwilę myślał, by puścić wodze i ocalić własne życie; ale szybko się zorientował, że zwierzę zaparło się i stało na nogach o wiele pewniej niż on. Dzięki temu, że trzymał wodze, nie porwał go prąd. Lecz gdy tak wisiał bezwładnie, przyciśnięty do boku zwierzęcia, które uratował, a które teraz ratowało jego, ujrzał, jak fala podcięła nogi Glupost i zniosła ją ku wrzącej kipieli.

Nagle poczuł na sobie dotyk wielu rąk, prowadzących go w górę, drżącego i przemoczonego. Volemak objął go ze łzami w oczach.

- Już myślałem, że cię straciłem, synu.

- A co z Elyą? - zawodziła Eiadh. - Jak on mógł przeżyć coś takiego?

- W takim samym niebezpieczeństwie jest Vas - dodała Rasa łagodnie.

Kilkoro ludzi spojrzało na Sevet, której twarz nie zdradzała żadnych emocji.

- Nie każdy okazuje strach w ten sam sposób - wymamrotała Luet, kładąc kres

wszelkim surowym osądom, które ktoś mógłby chcieć wygłosić względem odmiennych reakcji Eiadh i Sevet. Wiedziała, że Sevet ma niewiele powodów, by przejmować się losem męża, choć zastanawiało ją, ile tak naprawdę Sevet wie.

Nafai i Obring prawie na pewno znajdowali się wysoko, w bezpiecznym miejscu, ale martwili się niezmiernie.

Powiedz mu, że jesteśmy cali i zdrowi, poprosiła Luet w myślach Nadduszę. I powiedz mi, czy Elemak przeżył? I Vas?

Przeżyli, usłyszała odpowiedź.

Przekazała innym dobrą nowinę. Niektórzy zareagowali radością, a niektórzy powątpiewaniem.

- Przeżyli - powtórzyła. - Tylko tyle powiedziała mi Naddusza. Mało wam?

Woda opadała błyskawicznie. Volemak i Zdorab zeszli razem po zboczu kanionu. Po drodze widzieli bezładną płataninę powyrywanych z korzeniami drzew i krzewów - nawet głązy nie zostały na swoich miejscach.

Ale to było nic w porównaniu z dnem wąwozu. Tu woda spustoszyła dosłownie wszystko. Przed kwadransem rosła tu istna dżungla - tak bujna, że trudno było się przez nią przedrzeć, a często musieli prowadzić wielbłądy korytarzem strumienia, by ominąć gęste chaszczce. Teraz do ścian wąwozu nie przywierała nawet pojedyncza roślinka. Woda wypłukała glebę i poniosła z nurtem, odsłaniając gołą skałę. A na dnie pozostało tylko kilka głazów i osad naniesiony przez żywioł.

- Patrz, misa wąwozu to goła skała - odezwał się Volemak. - Ale pośrodku, w pobliżu wody, dominuje głęboki nanos rzeczny.

Miał rację, już teraz strumień - większy niż poprzednio - drążył kanał głębokości metra przez gęste błoto. Wkrótce nowe brzegi strumienia osuną się tu i ówdzie, zwały błota opadną do wody. Trochę potrwa, zanim dno wąwozu się unormuje.

- Za sześć tygodni będzie tu zielono znowu - orzekł Zdorab.

- A za pięć lat człowiek nawet się nie domysli, co tu się wydarzyło.

- Jak sądzisz, jeśli będziemy iść po tej nagiej skale, dojdziemy bezpiecznie do morza?

- Szliśmy tym wąwozem dlatego, że według Elemaka górą nie dalibyśmy rady, tam drogę często przecinają głębokie urwiska lub blokują strome ściany.

- A zatem idziemy po skale - zdecydował Volemak. - I się modlimy.

Wrócili górą. Minęło trochę czasu, zanim grupa sprawdziła ładunek wielbłądów i upewniła się, że nic się nie poluzowało podczas gorączkowej ucieczki przed wodą.

- Jeden wielbłąd to mniejsza strata, niż w ogóle mogliśmy przypuszczać - ocenił

Volemak.

Zdorab pociągnął swojego wierzchowca i wręczył wodze Mebowi.

- Nie - rzekł Meb.

- Proszę - upierał się Zdorab. - Każdy krok, który postawię, idąc na piechotę, będzie wyrazem wdzięczności wobec mego dzielnego druha.

- Weź - szepnął Volemak.

Meb przejął wodze od Zdoraba.

- Dziękuję - odparł. - Dziś jednak nie było tu żadnych tchórzy.

Zdorab uściskał go szybko, po czym poszedł pomóc Shedemei i kobietom z dziećmi dosiąść wielbłądów.

Okazało się, że ani Zdorab, ani Meb, ani Volemak nie jechali długo. Niemal cały czas szli na piechotę wzdłuż karawany, pilnując, by wielbłądy nie zboczyły w stronę grząskiego mułu pośrodku wąwozu. Oczami wyobraźni widzieli, jak nieuważne zwierzę pograża się w błocie. Podłoże było mokre, śliskie i niepewne, ale utrzymując wolne tempo, wkrótce doszli do wylotu wąwozu, gdzie strumień wpadał do szerokiej rzeki.

Żywiół tu również dokonał spustoszeń - brzegi rzeki przypominały pobojuwisko pełne błota i porozrzucanych głazów, było wiele powalonych drzew i szerokich połaci gołej skały. Czekala ich trudna przeprawa przez rumowisko.

- Chodźcie, pójdziemy tędy!

To z góry zawołał Elemak, za którego plecami wyłonił się Vas. Byli na piechotę, ale wielbłądy czekały nieopodal. Od karawany dzieliło ich dość strome, acz nie niebezpieczne zbocze.

- Znaleźliśmy ścieżkę, która biegnie górą! - zakrzyknął Elemak.

Kilka minut później wszyscy wędrowcy spotkali się na dróżce wiodącej przez las, mężowie i żony wpadli sobie w objęcia. Issib zauważył, że ten zagajnik był znacznie rzadszy niż knieja wyżej w górach.

- Widać jesteśmy już blisko poziomu morza - skonstatował.

- Rzeka ostro skręca na zachód - oznajmił Vas, jedną ręką obejmując Sevet, drugą tuląc do siebie córkę. - Stamtąd widać już Morze Abrazyjne. Pomiędzy tą rzeką a tamtą na południu rozciąga się rozległy step, z rzadka porośnięty drzewami. Dość wysoko, dziękować Nadduszy. Poczuliśmy wstrząsy, ale gdy ustały, machnęliśmy na to ręką, martwiąc się jedynie, że tam, gdzie wy byliście, mogło być gorzej. Potem Elya z nagłą się uparł, byśmy podeszli na wzgórze i spojrzeli na okolicę - ledwie tam dotarliśmy, a usłyszeliśmy osobliwy ryk, rzekę zaś opanowało istne szaleństwo. Wyobraźnia podsuwała nam wizję, że zaraz

ujrzymy niesione nurtem wielbłądy wciąż z wami na grzbietach.

- Naddusza ostrzegła Issiba za pośrednictwem Indeksu - wytłumaczył Volemak.

- Dobrze, że nie byliśmy razem - zauważył Issib. - Cztery wielbłądy dodatkowo... na pewno byśmy je postradali. A tak tylko Meb stracił swego wierzchowca, i to dlatego, że ratował nasze zapasy.

- Relacje mogą poczekać - rzekł Elemak. - Damy radę dojść do tego miejsca pomiędzy rzekami przed zmrokiem. Księżyc jest w pierwszej kwadrze, więc trzeba rozbić namiot przed zachodem słońca.

Tej nocy długo się nie kładli. Czekali, aż ugotuje się jedzenie, ale też byli zbyt podekscytowani, by zasnąć, i ciągle mieli nadzieję, iż Nafai z Obringiem już dziś odszukają ich obóz. Właśnie wtedy nadszedł czas opowieści o wydarzeniach minionego dnia. A gdy Hushidh życzyła siostrze kolorowych snów w namiocie, gdzie Luet miała spać dziś sama wraz z dzieckiem, powiedziała:

- Chciałabym, żebyś mogła spojrzeć na to moimi oczami. Ta powódź doprowadziła do tego, co się nikomu nie udało - wzmocniła łączące nas wszystkich więzy. A Meb... sława, która teraz na niego spływa...

- Miła odmiana - rzuciła Luet.

- Mam tylko nadzieję, że nie będzie się tym chełpił, inaczej ją zmarnuje.

- Kto wie, może dojrzewa.

- A może po prostu trzeba mu było właściwych okoliczności, by odkryć w sobie najlepsze cechy. Issya twierdzi, że on nawet się nie zawahał. Zaryzykował własne życie, by zaciągnąć Issiba w bezpieczne miejsce.

- Zdorab zaś przejął Indeks, a potem poprowadził nas...

- Wiem, i wcale nie twierdzę, że tylko Meb zasłużył na pochwałę. Ale sama wiesz, jak to jest ze Zdorabem. Ten gest, który uczynił, oddając swego wielbłąda Mebowi, to był szlachetny uczynek, który zspolił grupę. Lecz wskutek tego w niepamięć poszedł udział Zdoraba w ratowaniu nas. Wszyscy skupili się tylko na Mebbekewie.

- Cóż, może właśnie tego życzył sobie sam Zodya.

- My nie zapomnimy - oświadczyła Hushidh.

- Jasne - odparła Luet. - A teraz idź już spać. Dzieciom będzie wszystko jedno, czy się wyśpiemy, rankiem zbudzą się głodne jak zawsze.

Nafai i Obring powrócili kilka godzin przed świtem. Podczas przejścia fali znajdowali się daleko, ale zarazem po nieodpowiedniej stronie, przeto by dotrzeć do obozu, musieli znaleźć sposób na przekroczenie albo wąwozu, albo rzeki. Koniec końców przeciągnęli za

sobą wielbłądy przez nurt w górze strumienia, obierając okreśną drogę wokół najbardziej zniszczonych miejsc w wąwozie, a potem przeszli rzekę pośród płytkich moczarów i piaszczystych mierzei opodal morza - akurat był odpływ.

- Wielbłądom coraz mniej podobają się przeprawy przez wodę - ironizował Nafai.

- Ale przynieśliśmy dwa jelenie - dodał radośnie Obring.

Skoro grupa była już w komplecie, Volemak wygłosił krótką przemowę, proklamując powstanie nowego obozowiska.

- Rzekę na północy nazwiemy Oy kib, imieniem pierwotnego tej wyprawy. Tę na południu zaś ochrzczymy Protchnu na cześć pierwszego chłopca nowego pokolenia.

- A czemu nie nazwać ich Dza i Chveya, honorując pierwsze dzieci zrodzone podczas tej podróży? - oburzyła się Rasa.

Volemak spojrzał na nią spokojnie i nie odpowiedział.

- Skoro tak, mam nadzieję, że opuścimy to miejsce, zanim chłopcy podrosną na tyle, by zrozumieć, że przyznałeś im ten zaszczyt tylko dlatego, że mają penisy - ciągnęła Rasa.

- Gdybyśmy mieli tylko dwie dziewczynki i dwie rzeki, ojciec ochrzciłby te rzeki ich imionami - odezwał się Issib, próbując załagodzić spór.

Wszyscy jednak wiedzieli, że to nieprawda. Przez kilka tygodni Rasa nalegała, by zwać je rzekami Północną i Południową; Volemak z równym uporem nazywał je imionami chłopców. Skoro jednak mężczyźni częściej wyprawiali się poza obóz, a zatem częściej przekraczali te rzeki i łowili w nich, i nie mogli się powstrzymać, by nie dzielić się między sobą opowieściami, co się zdarzyło w górę i w dół rzek, przyjęło się nazywać je Oy kib i Protchnu. Inna sprawa, że - niezależnie od tego, czy ktoś inny to zauważył - Luet dostrzegła, że Rasa w ogóle nie posługiwała się nazwami wymyślonymi przez Volemaka, a nawet milkła i zastygała w bezruchu, gdy ktoś inny je wypowiadał.

Nafai i Luet tylko raz omawiali tę kwestię. Nafai był osobiście i jednostronnie nieprzychylny.

- Jakoś Rasa nie miała nic przeciw temu, gdy kobiety decydowały o wszystkim w Basilice, a mężczyznom zakazywano nawet spojrzeć na jeziora.

- To było święte miejsce dla kobiet. Jedyne takie na całym świecie.

- A o co teraz chodzi? Przecież to tylko dwie nazwy dwóch rzek. Gdy ruszymy dalej, nikt poza nami nie będzie pamiętał, jak je nazwaliśmy.

- Czemu więc nie Północna i Południowa?

- Matka niepotrzebnie robi problemy - zżymał się Nafai.

- Ale nie pozwólmy, by i nas to poróżniło.

- Ja chcę tylko się dowiedzieć, czemu ty się z tym godzisz!

Nafai westchnął.

- Rozważ przez chwilę, co by to znaczyło, gdybym ja nazwał je Północną i Południową. Co by to znaczyło dla ojca. I dla innych mężczyzn. Wtedy rzeczywiście doszłoby do podziałów. I bez tego wystarczająco wiele dzieli mnie od reszty.

Przez chwilę Luet przetrwiała tę kwestię.

- No dobrze - zgodziła się. - Powiedzmy, że rozumiem. - Potem, po dłuższej refleksji, dodała: - Ale nie widziałeś w tych nazwach nic zdrożnego, póki matka nie zwróciła na to uwagi, prawda?

Nie odpowiedział.

- Powiem więcej, nawet teraz nie widzisz w tym nic zdrożnego, prawda?

- Kocham cię - odparł Nafai.

- To żadna odpowiedź.

- Ależ tak.

- A jeśli nigdy nie urodzę ci syna?

- Wówczas będę się z tobą kochał, aż spłodzimy sto córek.

- W twoich snach - rzuciła złośliwie.

- Chyba w twoich - przekomarzał się.

Luet powzięła przemyślaną decyzję, by za długo nie gniewać się na niego z tego powodu, a gdy się kochali, była tak ochocza i namiętna jak zawsze. Ale po wszystkim, gdy mąż już spał, zaczęła się martwić. Do czego by to doprowadziło, gdyby mężczyźni zdominowali tę grupę tak, jak kobiety dominowały w Basilice?

Dlaczego musimy to robić? - zastanawiała się. Mielśmy szansę stworzyć społeczność odmienną od reszty świata. Sprawiedliwą i zrównoważoną. A mimo to nawet Nafai i Issib wydają się gotowi, by zachwiać równowagę. Czy rywalizacja między mężczyznami a kobietami zawsze musi sprowadzać się do tego, że jedna płeć zyskuje przewagę kosztem drugiej? Czy mamy to w genach? Czy każdą społecznością musi rządzić albo jedna płeć, albo druga, nigdy wspólnie?

Może i tak, skonstatowała. Może jesteśmy podobni do pawianów. Gdy żyjemy w ustabilizowanych i cywilizowanych społecznościach, kobiety decydują o ważnych sprawach, zakładają domostwa, ustalają wzajemne powiązania, tworzą sąsiedztwa i przyjaźnie. Gdy jednak stajemy się koczownikami, prowadząc żywot na granicy przetrwania, rządzą nami mężczyźni i się nie godzą, by jakakolwiek kobieta wtrącała się w ich sprawy. Może właśnie to oznacza cywilizację - ta dominacja kobiet nad mężczyznami. A jak tylko cywilizacja zanika,

określamy pokłosie tych zmian jako niecywilizowane, barbarzyńskie... męskie.

*

Spędzili cały rok w międzyczeczu, czekając, aż narodzi się dziecko Shedemei. A był to syn; nazwali go Padarok - co oznaczało „dar” - a zdrobniale Rokya. Grupa pewnie ruszyłaby w dalszą drogę, gdyby nie to, że zanim urodził się mały Rokya, trzy kobiety zaszły w ciążę - w tym Rasa i Luet, których siły najbardziej nadwątlał stan błogosławiony. Zostali zatem na kolejne żniwa, a potem jeszcze kilka miesięcy, aż wszystkie kobiety - z wyjątkiem Sevet - wydały potomstwo na świat. Przeto kolejny etap podróży podjęło już trzydziestu uczestników, małych i dużych. Starsze dzieci chodziły o własnych siłach, a wiele z nich wypowiedziało swe pierwsze słowa, zanim karawana znalazła się na szlaku.

Były to pomyślne dwa lata. Zamiast jałowej pustyni mieli do dyspozycji żyzne pola nawadniane deszczami. Ich zasiewy przynosiły obfite plony, polowania dostarczały więcej mięsa. Doczekali się też przychówku - mieli piętnaście młodych wielbłądów. Trudniej było sporządzić siodła - żaden uczestnik nie miał w tym wprawy - ale znaleźli sposób, by usadzić dwa maluchy na każdym z czterech najbardziej potulnych wierzchowców, niezmiennie krocących w kolumnie z wielbłądami kobiet. Zrazu dzieciaki były wystraszone, jadąc w siodle wysoko nad ziemią, ale wkrótce się przyzwyczały, a nawet cieszyły z tego.

Bez trudu przemierzali sawannę; pokonywali kolejne kilometry szybciej niż kiedykolwiek dotąd, nawet wtedy, gdy poruszali się po płaskiej pustyni na zachód i południe od Basiliki. W trzy dni dotarli do zatoki, doskonale znanej mężczyznom, którzy łowili tam i polowali przez ostatnie dwa lata. Lecz rankiem Volemak wprowadził wszystkich w trwożną konsternację, oznajmiając, że ich kurs nie wiódł od teraz ku południu, jak oczekiwali, ale ku zachodowi.

Ku zachodowi?! Prosto w morze?!

Volemak wskazał im skalistą wyspę wyłaniającą się z fal bez mała dwa kilometry od brzegu.

- Za nią znajduje się kolejna wyspa, i to wielka. Czekaj nas tam podróż równie długa jak ta, którą odbyliśmy, odkąd opuściliśmy Dolinę Mebbekewa.

W czasie odpływu Nafai i Elemak podjęli próbę przepłynięcia się w bród przez cieśninę między stałym lądem a wyspą. Daliby radę, pokonując wpływ krótki dystans pośrodku. Ale wielbłądy zaparły się i za nic nie chciały wejść w głęboką wodę, przeto koniec końców wędrowcy zdecydowali się zbudować tratwy.

- Zdarzyło mi się już to robić - oznajmił Elemak. - Nigdy z myślą o przepłynięciu przez morze, ale woda jest tu dość spokojna.

Ścięli drzewa i spuścili bale na wodę, związując je razem postronkami z trzciny porastających nadbrzeżne mokradła. Przygotowanie tratw trwało tydzień, kolejne dwa zajęło przewiezienie wielbłądów - po jednym naraz - potem ładunków, na końcu kobiet i dzieci. Obozowali na wybrzeżu, a tymczasem mężczyźni za pomocą tyczek przepchali tratwy na południowo-zachodni kraniec wysepki, skąd mogli przetransportować całą karawanę na wielką wyspę. W ciągu tygodnia cała ich grupa przemierzyła wszerz wysepkę i przeprawiła się na drugi brzeg. Potem zepchnęli tratwy do wody i obserwowali, jak znosi je prąd.

Północny szpic dużej wyspy był górzysty i gęsto zalesiony. Stopniowo jednak góry przechodziły we wzgórza, a te z kolei w rozległe tropikalne stepy. W tym miejscu wyspa była tak wąska, że stojąc na wzniesieniu, mogli dostrzec Morze Abrazyjne na zachodzie, a zarazem Morze Ognia na wschodzie. Im dalej szli na południe, tym lepiej rozumieli, dlaczego to drugie zyskało taką nazwę. Z morskich fal wyrastały wulkany, a od czasu do czasu wędrowcy dostrzegali majaczące w oddali pióropusze dymu.

- Przed pięcioma milionami lat ta wyspa stanowiła część kontynentu - wyjaśnił im Issib. - Łączyła się z nim Doliną Płomieni. Teraz ogień wciąż tli się w wodach morza, które wypełniło prawie całą dolinę.

Wychowując się w Basilice, większość z nich w ogóle nie pojmowała sił natury - Basilika była niezmienna i dumna ze swojej wielowiekowej historii. A w tym miejscu, choć upływ czasu należało tu mierzyć milionami lat, wędrowcy doskonale widzieli przejawy olbrzymich sił drzemiących pod skorupą Harmonii, w porównaniu z którymi ludzkie życie na jej powierzchni mogło się wydać błahostką.

- A mimo to nie jesteśmy błahostką - ciągnął Issib. - Ponieważ to my dostrzegamy te zmiany i badamy je, i rozumiemy, że są zmianami, że niegdyś bywało inaczej. Wszystko inne na tym świecie, każda istota żywa i rzecz nieożywiona, trwa w nieskończoności wiekuiście niezmiennej. Tylko my zdajemy sobie sprawę z upływu czasu, z następstwa zdarzeń, i wiemy, że przeszłość nas odmienia, my zaś zmieniamy przyszłość.

Dalej wyspa się rozszerzała, a teren stawał się pofalowany. Wszyscy poznali, że rzeźba terenu przypominała Dolinę Płomieni, tylko panował tu większy spokój - ani razu nie natknęli się na miejsce, gdzie podziemne gazy wydostawały się żywym ogniem na powierzchnię. I było tu coraz bardziej sucho.

- To pasmo górskie zostało nazwane Dalatoi - poinformował ich Issib, czerpiąc wiedzę z Indeksu. - Ludzie zamieszkiwali te tereny, jeszcze zanim wyspa oderwała się od kontynentu. Co więcej, znajdowały się tu największe i najbardziej prądawne z Miast Ognia.

- Skudnooy? - zapytała Luet, przypominając sobie legendę o mieście skąpców, którzy

odcięli się od świata i złożyli lwią część złota całej Harmonii w tajemnych skarbcach pod ziemią swego ukrytego przed światem miasta.

- Nie, Raspyatny - odpowiedział Issib.

Wszyscy powrócili pamięcią do legend o grodzie z kamienia i mchu, gdzie krynica przepływała przez każde pomieszczenie wielkiego miasta tak strzelistego, że górne izby coraz to zamarzały, a ich mieszkańcy musieli rozpalać ogień, by stopić lód skuwający strumienie, ażeby ludzie na dole mieli dostęp do wody.

- Zobaczmy je? - pytali jeden przez drugiego.

- To, co się z niego ostało. - Issib przygasił ich entuzjazm.

- Nikt go nie zamieszkuje od dziesięciu milionów lat, ale w końcu zrobiono je z kamienia. Tam prowadziła ta pradawna droga, którą teraz podążamy.

Dopiero teraz zdali sobie z tego sprawę. Kroczyli po pradawnej ścieżce, pozbawionej choćby resztek bruku, czasami poprzecinanej wąwozami lub silnie zerodowanej. Kilka razy zauważyli, że wzgórza wyłobiono ludzką ręką z myślą o poprowadzeniu drogi, a niektóre doliny wyścielano po części kamieniami, które nie zdążyły się jeszcze rozpaść w pył.

- Gdyby częściej tu padało - odezwał się Issib - nie zostałby nawet kamień na kamieniu. Na szczęście wyspa przemieściła się na południe, wskutek czego ta ziemia znajduje się teraz na tej samej szerokości geograficznej co Wielka Pustynia Południowa, więc mamy tu suche, niemal pustynne powietrze i słabą erozję. A niektóre dzieła ludzkich rąk pozostawiają po sobie ślad, którego nie zmaże upływ czasu.

- Ktoś musiał korzystać z tej drogi w ciągu dziesięciu milionów lat - powiedział Elemak.

- Mylisz się. Na tej wyspie nie stanął żaden człowiek, od kiedy oderwała się od kontynentu.

- A skąd ty to możesz wiedzieć?! - zadrwił Mebbekew.

- A stąd, że Naddusza powstrzymywał ludzi przed przyjściem tutaj. Nikt nawet nie pamięta, że ta wyspa istnieje. Tak zamyślił sobie Naddusza. Zachować to miejsce w spokoju i gotowości... na nasze przyjęcie, jak przypuszczam.

Raspyatny majaczyło im z oddali, ale dopiero po całym dniu marszu ukazało się w pełnej krasie. Zrazu zdawało się jedynie dziwnie porzeźbioną górą, ale im bardziej się zbliżali, tym wyraźniej widzieli, że te osobliwe nierówności są oknami wybitymi w skale. A była to wysoka góra, toteż miasto wykute w jej ścianie musiało być ogromne.

Rozbili obóz na północny wschód od miasta, opodal strumienia, który wypływał z miasta, gdzie tworzył kaskady, a okalające go ściany pokrywał gęsty mech; było tu znacznie

chłodniej niż na dachu.

Na zmianę wypuszczali się do miasta w większych grupach, powierzając pozostałym pieczę nad dziećmi i zwierzętami. Mozolnie pięli się po ruinach. Tam, gdzie nie sięgał strumień, wnętrza nie były aż tak podniszczone, choć żadne pomieszczenie nie zachowało się w tak dobrym stanie jak zewnętrzny mur. Zrozumieli dlaczego, gdy odkryli pozostałości po systemie akweduktów, który - tak jak głosiła legenda - niósł wodę do każdej izby. Jedno ich jednak zaskoczyło - brak wewnętrznych korytarzy. Pokoje przechodziły bezpośrednio jeden w drugi.

- Jak oni mogli tak żyć? - zapytała Hushidh z niedowierzaniem. - Jak znajdowali intymność, skoro każde pomieszczenie było przechodnie niczym ruchliwa aleja?

Nikt nie znalazł odpowiedzi.

- Mieszkało tu przeszło dwieście tysięcy ludzi, ale to zamierzchłe czasy - opowiadał Issib. - Wówczas ten obszar znajdował się dalej na północ i był o wiele lepiej nawodniony. Ziemię wokół przeznaczono pod uprawy. Wrogowie nie mogli wyrządzić większych szkód, bo tutejsi mieszkańcy trzymali wewnątrz murów zapasy na dziesięć lat, a wody im nie brakowało. Wraże siły mogły puścić z dymem ich pola i oblegać miasto, ale wówczas zmorzyłby je głód na długo przed tym, nim komukolwiek w Raspyatny zaburzałoby w brzuchu. Tylko natura była władna wyludnić to miejsce.

- Jakim cudem to wszystko uszło cało z trzęsień ziemi, które nawiedzają Dolinę Płomieni? - dopytywał się Nafai.

- Nie widzieliśmy jeszcze wschodniego zbocza. Indeks twierdzi, że połowę miasta zniszczyły dwa kataklizmy, gdy trzewia ziemi się rozwarły, a przez rozpadlinę wlało się morze.

- Ach, jakże cudownie byłoby zobaczyć taką powódź - westchnął Zdorab. - Oczywiście stojąc w bezpiecznym miejscu.

- Cała wschodnia ściana miasta runęła - ciągnął Issib. - Teraz jest tam nagie zbocze. Ale po tej stronie budowle się ostały. Dziesięć milionów lat. Aż trudno uwierzyć. Rzecz jasna strumienie niszczą miasto od wewnątrz, przez co zewnątrz coraz bardziej przypomina wydrążoną skorupę. Wcześniej czy później i tak się zawali. Może wszystko naraz. Jeden fragment się złamie, a to zwiększy nacisk na resztę i cała konstrukcja runie jak zamek z piasku.

- Dane nam było zobaczyć jedno z miast opiewanych w legendach - ozwała się Luet.

- A opowieści okazały się prawdziwe - podchwycił Obring. - Co skłania mnie do zastanowienia się, czy przypadkiem gdzieś w pobliżu nie leży miasto Skudnooy.

- Indeks zaprzecza - odparł Issib. - Już pytałem.
- Szkoda. - Obring spochmurniał. - Tyle złota się marnuje!
- Gdzie byś je sprzedał? - wtrącił się Elemak. - A może zamierzałeś je połknąć? Albo nosić na sobie?

- Nie wolno mi nawet marzyć o niewyobrażalnych bogactwach? - wyzywająco odciął się Obring. - Przyzwalasz jedynie na realistyczne fantazje?

Elemak wzruszył ramionami i dał spokój.

Nazajutrz wyruszyli w dalszą drogę. Poświęcili cały kolejny dzień, by ominąć zachodnie rubieże miasta, które naprawdę zdawało się pokrywać całe zbocze góry. Potem pokonali wysoką przełęcz, ona też zdawała się przykrojona do szerokości drogi.

- Niegdyś był to główny trakt łączący Miasta Ognia z Miastami Gwiazd - oznajmił Issib. - Teraz prowadzi donikąd.

Rozpościerał się przed nimi rozległy suchy step. W tym miejscu wyspa ponownie się zwężała, na wschodzie widoczne było Morze Gwiazd, a hen, daleko po przeciwnej stronie skrzyło się lazurowym blaskiem Morze Abrazyjne. Gdy schodzili ze stoku, stracili z oczu zachodnie morze; za namową Nadduszy trzymali się blisko wschodniego wybrzeża, ponieważ padały tam obfitsze deszcze i mogli łowić ryby.

Była to trudna przeprawa - trzy razy musieli wykopać studnie, do tego dokuczał lejący się z nieba tropikalny skwar. Ale mieli tu do czynienia z terenem, jaki Elemak i Volemak dobrze poznali w czasach młodości, przeto karawana szybko zmierzała naprzód. Dziesięć dni po tym, jak zeszli z przełęczy prowadzącej przez Góry Dalatoi, Naddusza polecił im odbić na południe w miejscu, gdzie linia brzegowa skręcała na południowy wschód. Na lekko pofałdowanych wzgórzach trawa coraz bardziej gęstniała, rosło coraz więcej drzew. Potem poszli doliną rzeczną i przez kolejne wzgórza, a za nimi ujrzeli przepiękną krainę.

Były tu zagajniki i rozległe łąki, pszczoły bzyczały nad polami dzikiego kwiecica - wystarczyło poszukać miodu. Krystalicznie czyste strumienie wpadały do szerokiej rzeki.

Shedemei zsiadła z wielbłąda i roztarta ziemię w dłoniach, by ocenić jej żyzność.

- Zupełnie inna niż na pustynnym stepie - stwierdziła. - Tu są nie tylko same korzenie, to prawdziwa gleba próchnicza. Możemy uprawiać te łąki bez obawy, że je szybko wyjałowimy.

Po raz pierwszy podczas całej podróży Elemak nie zadał sobie trudu, by pojechać przodem i naradzić się z Volemakiem, gdzie rozłożyć obóz. Na tych łąkach wszędzie mogliby się zatrzymać na noc.

- Ta kraina by wyżywiła całe zastępy Seggidugu, a i tak każdy człowiek żyłby

dostatnio - rzekł Elemak. - Podzielasz moje zdanie, ojczu?

- A prócz nas nie ma tu nikogo - odparł Volemak. - Naddusza przygotował to miejsce dla nas. Dziesięć milionów lat czekało na nasze przybycie.

- Zostajemy tu zatem? Tutaj zmierzaliśmy od początku?

- Zostaniemy co najmniej kilka lat. Naddusza nie jest jeszcze gotów, by zabrać nas do gwiazd, z powrotem na Ziemię. Tu zamieszkamy.

- Na jak wiele lat? - dopytywał się Elemak.

- Dość długo, byśmy postawili domy z drewna. Nasze sfatygowane namioty w końcu posłużą nam za markizy i zasłony. Tu jest kres naszych wędrówek przez lądy i morza. Opuścimy tę krainę dopiero, gdy wzniesiemy się do gwiazd. Nazwijmy ją więc Dostatok, gdyż aż nadto zaspokoi nasze potrzeby. Rzekę nazwiemy Rasa, bo ona tutaj daje życie.

Rasa lekko skinęła głową w podzięcie za ten zaszczyt; na jej ustach pojawił się ledwie dostrzegalny uśmiešek - była świadoma, że jej mąż próbuje odkupić część swych win.

Osadę założyli na przylądku, gdzie rzeka Rasa wpadała do Oceanu Południowego, albowiem aż tak daleko na południe zawędrowali, pożegnawszy się na zawsze z Morzem Abrazyjnym i Morzem Gwiazd.

Nim minął miesiąc, wszyscy mieszkali już w domach z drewna pokrytych strzechami. Na tej szerokości geograficznej okres wegetacyjny trwał okrągły rok, przeto termin zasiewu nie miał większego znaczenia; niemal każdego dnia padało, a burze przetaczały się szybko, nie czyniąc żadnych zniszczeń.

Żyjące tu zwierzęta nie były płochliwe. Dzikie kozy, które wyraźnie miały tych samych przodków co ich krewniacy z okolic Basiliki, łatwo dały się oswoić. Dzięki nim wielbłądzie mleko w końcu stało się podstawą diety jedynie wielbłądziątek, a „wielbłądzi ser” przerodził się w eufemistyczne określenie tego, co dobrze odżywione maluchy pozostawiały w pieluszkach.

Rodziły się dzieci. Po upływie sześciu lat było ich trzydzieścioro pięcioro. Dorośli pospołu uprawiali ziemię i po równo dzielili się owocami swej pracy; od czasu do czasu mężczyźni wspólnie wyprawiali się na polowanie, powracając z mięsem, które potem suszono i solono, i ze skórą do garbowania. Rasa, Issib i Shedemei założyli szkołę.

Mylne jednak byłoby wrażenie, że ich żywot był nieprzerwanym pasmem radości i spokoju. Zdarzały się konflikty - przykładowo przez rok Kokor nie odzywała się do Sevet z powodu jakiegoś trywialnego despektu, a Obring tak się pokłócił z Mebem, że postawił swój dom z dala od osady. Nie brakowało animozji - niektórzy posądzali innych, że za mało przykładają się do pracy; niektórzy czuli, że ich praca ma większą wartość niż robota innych.

Do tego wciąż dawało o sobie znać tarcie pomiędzy kobietami, które szukały przywództwa u Rasy, a mężczyznami, którzy zdawali się przyjąć założenie, że żadna decyzja nie była ostateczna, dopóki nie została zaaprobowana przez Volemaka tudzież Elemaka. Jednak przetrwali każdy kryzys, odnajdując równowagę władzy gdzieś pomiędzy lojalnością Volemaka wobec zamysłów Nadduszy, rozważnym, acz czasem też romantycznym miłosierdziem Rasy oraz pragmatycznym zapatrywaniem Elemaka na to, czego im było trzeba, by przetrwać. Ewentualne niezadowolenie utrzymywali w ryzach, przyduszali brzemieniem pracy, która wyznaczała rytm ich życia, a potem samo z siebie wyparowywało jak kamfora w chwilach ekstatycznej radości i bezgranicznej miłości.

Przez lata wiedli życie na tyle szczęśliwe, że wśród nich nie znalazłby się nikt, kto nie życzył sobie, jeśli już w ogóle o tym pomyślał, by Naddusza zapomniał o mieszkańcach Dostatoku i zostawił ich samych sobie, pozwalając dokonać żywota w błogim spokoju.

Granica

Jeszcze zanim Chveya skończyła siódmy rok życia, rozumiała już doskonale, jak urządzono ten świat. Teraz miała lat osiem i zaczęła zadawać pytania.

Podobnie jak wszystkie dzieci w Dostatoku, rozumiała proste relacje rodzinne. Przykładowo Dazya oraz jej młodszy bracia i siostry należeli do Hushidh i Issiba. Krassya i Nokya oraz ich młodsze rodzeństwo - do Kokor i Obringa. A Vasnya i jej brat oraz siostra - do Sevet i Vasa. I tak dalej, każde rodzeństwo przynależało do jednej matki i jakiegoś ojca.

Jedyny wyjątek od tego przejrzystego obrazu wszechświata, przynajmniej póki Chveya nie skończyła ośmiu lat, stanowili dziadek i babcia. Volemak i Rasa prócz tego, że mieli dwoje dzieci - braci Okyę i Yayę, którzy, jak niegdyś zauważyła Vasnya, dzielili z sobą jeden wspólny mózg - byli również, w pewien niejasny sposób, matką i ojcem pozostałych rodziców. Słyszała, jak dorośli zwracają się do babci słowami „lady Raso” czy „matko”; a jej ojciec oraz tata Proyi, Elemak, i Skiyyi, Mebbekew, nazywali dziadka ojcem.

Według jej rozumienia Volemak i Rasa byli Pierwszymi Rodzicami, którzy dali początek całej ludzkości. Teraz jednak czuła, choć nie potrafiła tego logicznie wyjaśnić, że to nie do końca zgodne z prawdą. Shedemei bowiem wytłumaczyła im na zajęciach w szkole, że za górami, za lasami żyło wiele milionów innych ludzi, i rzecz jasna dziadek i babcia nie wydali ich wszystkich na świat. Ten odległy świat owiany był jednak legendą. Nigdy go nie widzieli. Ich świat ograniczał się do bezpiecznej i urokliwej krainy Dostatok, a tutaj się zdawało, że wszyscy wywodzą się od małżeństwa Volemaka i Rasy.

Dla Chveyi świat dorosłych był na tyle niepojęty, by w pełni zaspokoić wszelki głód osobliwości; nie czuła potrzeby rozmyślenia o mitycznych krainach o nazwie Basilika, Potokgavan, Gorayni bądź Ziemia czy Harmonia, z których część była planetami, inne miastami, a jeszcze inne - narodami, choć Chveya zupełnie nie mogła pojąć, które określenie pasuje do danej nazwy. O nie, ton jej świata nadawała nieustanna walka o dominację wśród dzieci między Dazyą a Proyą.

Dazya była Najstarszym Potomkiem, co przekładało się na jej ogromny autorytet, którego beztrąsko nadużywała, wyzyskując młodszych przy każdej nadarzającej się okazji, żądając osobistych przysług i „dobrych uczynków”, niezmiennie przyjmowanych bez

podziękowania. Za każdym razem, gdy któreś z młodszych dzieci nie zastosowało się do jej poleceń, Dazya wykluczała je z zabaw, oznajmiając, że jeśli „to dziecko” będzie uczestniczyć w grze lub zawodach, ona nie weźmie udziału. Do swoich niemal rówieśniczek odnosiła się w zasadzie w ten sam, acz bardziej finezyjny sposób - nie nalegała na poniżające osobiste przysługi, ale oczekiwała, że gdy zdecyduje, iż pewne rzeczy należy robić w określony sposób, dziewczęta poprą ją bez gadania, a każdego, kto się temu sprzeciwiał, spotykał uprzejmy ostracyzm. Jako że Chveya, zaledwie trzy dni młodsza, była Drugim Potomkiem, nie widziała powodu, by godzić się na rolę drugorzędną. W rezultacie miała dużo wolnego czasu dla siebie, gdyż Dazya nie lubiła dzielić się władzą, a żadna z pozostałych dziewczynek nie miała odwagi, by wstawić się za rywalką.

W tym samym czasie, gdy Dazya zbudowała swe udzielne księstwo pośród młodszych dzieci i starszych dziewcząt, Proya - najstarszy syn Elemaka i Drugi Chłopiec - koronował się na księcia wszystkich książąt. On jedyny mógł drwić z Dazy i naśmiewać się z jej nakazów, a reszta chłopców szła za jego przykładem. Dazya oczywiście od razu skazywała chłopców na towarzyską banicję, ale im zależało tylko na aprobachie Proyi i grach przez niego nadzorowanych. Największym upokorzeniem dla Dazy było to, że jej rodzony brat Xodhya dołączył do grupy Proyi i przekuł jego wpływy na osłonę własnej niezależności od władzy starszej siostry. Młodszy brat Chveyi, Zhyat, a czasem nawet o rok młodszy od niego i przeto nie do końca akceptowany przez starszych chłopców Motya, regularnie trzymali stronę Proyi, lecz Chveya nie miała nic przeciwko, gdyż to jeszcze bardziej pograżało Dazę.

Rzecz jasna w chwilach wzmożonej walki Chveya wraz ze starszymi dziewczętami wyszydzała i lekce sobie ważyła wstrętnych chłopców, ale w głębi serca gorąco pragnęła zaciągnąć się do orszaku Proyi. To oni bowiem brali udział w brutalnych i cudownych zabawach wiążących się z polowaniem i śmiercią. Zgodziłaby się nawet grać rolę łani, gdyby tylko ją zaprosili, pozwoliłaby im na siebie polować i razić tępo zakończonymi strzałami, gdyby tylko mogła zostać członkiem ich paczki, zamiast być żałośnie uwięziona we włościach królowy Dazy. Gdy napomknęła o tym pragnieniu Zhyatowi, odstawił niezłą szopkę, udając, że się krztusi i zbiera mu się na wymioty, toteż dała spokój tym marzeniom.

Największą zawiść żywiła wobec Okyi i Yayi, dwóch synów babci i dziadka. Okya był Pierwszym Chłopcem, a Yaya - Czwartym Chłopcem. Z łatwością mogliby odsunąć despotycznego Proyę od władzy, bo wszystko robili wspólnie i za pomocą siły argumentów, a raczej argumentów siły, zdołaliby zmusić resztę do posłuchu. Nie zależało im jednak, skoro i tak brali udział w zabawach Proyi, gdy akurat nasza ich ochota, zupełnie nie zważając, kto dowodził. Uważali się bowiem za pełnoprawnych dorosłych. „My jesteśmy z tego samego

pokolenia co twoi rodzice” - oświadczył jej pewnego razu Yaya wyniośle. A wówczas Chveya poczyniła uwagę, iż Yaya jest od niej o głowę niższy i między nogami zwisa mu wciąż „tycia pycia” jak u zajączka, co wzbudziło wesołość u reszty dzieci, choć Yaya napawał ich nabożnym lękiem. Sam Yaya natomiast jedynie prychnął pogardliwie i poszedł sobie. Chveya zauważyła jednak, że od tej pory przestał sikać przy innych dzieciach.

W chwilach brutalnej szczerości wobec samej siebie musiała przyznać, że powód, dla którego tak często spotykało ją wykluczenie, był dziecinnie prosty - jej niewyparzona buzia. Strofowała każdego, kto znęcał się nad słabszymi, był niesprawiedliwy lub samolubny. Nic to, że odzywała się niepytana także wtedy, gdy kto inny wykazywał się cnotą, dobrocią lub uprzejmością - o pochwałach szybko zapominano, zniewag zaś nie wybaczano nigdy. Toteż Chveya nie przyjaźniła się z żadnym dzieckiem - ich uwagę zbyt zaprzętały próby przypodobania się Dazyi lub Proyi, by mogli zaoferować Chveyi prawdziwą przyjaźń, oprócz Okyi i Yayi, ma się rozumieć, ale oni byli jeszcze bardziej powściągliwi i udawali dorosłych.

Gdy miała ósme urodziny, obeszło to tylko jej rodziców, a trzy dni wcześniej dla Dazyi urządzono wielką uroczystość. Wówczas zupełnie straciła nadzieję, że kiedykolwiek osiągnie znaczącą pozycję na tym świecie, a raczej leż padole, bo ogarnęła ją iście czarna rozpacz. Czy nie dość źle się działo, skoro Dazya tak bezwstydnie tyranizowała wszystkich? Czy dorośli musieli świętować urodziny Dazyi tak hucznie, z wielką pompą? Ojciec wyjaśnił jej, że te uroczystości nie były poświęcone samej tylko Dzy, lecz upamiętnieniu swoistej cezury, rocznicy narodzin nowego pokolenia, ale jakie to miało znaczenie, że dorośli tak na to patrzą? Pozostawało faktem, że tymi uroczystościami afirmowali rządy żelaznej ręki Dazyi względem pozostałych dzieci, a nawet więcej - przyznawali jej tymczasową władzę nad samym Proyą. Okya i Yaya dąsali się przez całe przyjęcie, bo posadzono ich pośród dzieci, co uważali za nietakt, skoro nie mieli nic wspólnego z młodszym pokoleniem. Jakim prawem dorosłym wolno było majstrować w tak nieprzemyślany i destrukcyjny sposób przy dziecięcej hierarchii? Zupełnie jakby wydawało się im, że dziecięce życie nie jest prawdziwe.

Dopiero wtedy Chveya zyskała gruntowne zrozumienie tego, że świat dzieci i świat dorosłych prawdopodobnie urządzono na identycznych zasadach, tyle że dzieci są skazane na wieczną podrzędność wobec dorosłych. Olśnienia doznała, gdy matka czesała jej włosy po kąpieli.

- Im chłopcy są młodszy, tym bardziej obrzydliwi - zaczęła Chveya, mając na myśli swego drugiego brata Motyę, który dopiero co odkrył, jakie zamieszanie może spowodować, gdy podłubie w nosie i wytrze gile o ubranie którejś z siostr; tego procederu Chveya nie zamierzała tolerować, niezależnie czy spotykało to ją, czy małą, bezbronną Zuyę.

- To nie do końca prawda - odparła matka. - Oni po prostu z wiekiem odkrywają nowe sposoby, jak być wstręciuchami.

Matka rzuciła tę uwagę mimochodem, żartem, ale dla Chveyi był to moment wielkiego olśnienia. Starła się wyobrazić sobie, że przykładowo ojciec Krassyi, Obring, dłubie w nosie i wyciera smarki o matkę, i wiedziała, że to by się nigdy nie stało. Niewykluczone jednak, że znalazłyby się inne wstrętne sposoby, dorosłe sztuczki, z których Obring mógł skorzystać. Muszę go obserwować, pomyślała Chveya.

Nie miała wątpliwości, że właśnie jego powinna obrać za cel - już nieraz widziała, jak matka się niecierpliwi, gdy Obring zabiera głos podczas posiedzeń i narad. Nie miała do niego za grosz szacunku, podobnie jak ojciec, choć on lepiej to maskował. Toteż z pewnością Obring stanowił najlepszy przykład obrzydliwego zachowania dorosłych mężczyzn.

Od tej pory Chveya skupiała całą uwagę na dorosłych, obserwując ich, by się przekonać, która z matek najbardziej przypomina Dazyę, a który z ojców - Proyę. Zaczęła pojmywać sprawy, których wcześniej zupełnie nie rozumiała. Świat wcale nie był tak prosty i jasny, jak jej się wydawało.

Najbardziej szokującego odkrycia dokonała w dzień, gdy porozmawiała z rodzicami o małżeństwie. Zaświtało jej w głowie, że wcześniej czy później wszystkie dzieci wydorosłają, a potem dobiorą się w pary, będą miały dzieci i na nowo zapoczątkują cały ten cykl - wszystko przez paskudną uwagę poczynioną przez Toyę, co Proya tak naprawdę chciałby zrobić Dazyi. Toya chciała zapewne wywołać zgorszenie i zgrozę, ale Chveya zmiarkowała, iż zdecydowanie bliżej jej było do proroczej wizji. Bo czyż Proya i Dazya nie byli dla siebie stworzeni? Proya wyrośnie na drugiego Elemaka, a Dazya najpewniej będzie słać mu uśmiechy pełne nabożnej czci, zupełnie jak Eiadh swemu mężowi. Czy może jednak Dazya wrodzi się w swą matkę Hushidh, która jest o niebo silniejsza od swego męża Issiba, nawet nosi go na rękach i kąpie go niczym dziecko? Czy też raczej Proya i Dazya ciągnąć będą walkę o supremację, póki nie pogodzi ich śmierć, a swą wrogość przełożą własnym dzieciom?

Ta myśl zrodziła kolejną - którego chłopca ona poślubi? Czy będzie to jeden z potomków z pierwszego rocznika, w jej wieku? Wtedy wybór ograniczałby się do Proyi i Okyi, a obaj budzili w niej odrazę. A zatem może ktoś z drugiego z kolei rocznika? Mały brat Dazyi, Xodhya, braciszek Proyi, Nadya, albo „dorosły” Yaya - toż ci wyborowa grupa! A dzieci z trzeciego rocznika były rówieśnikami jej odrażającego braciszka Motyi, jakże mogłaby marzyć o poślubieniu aż takiego młodzika?

Poruszyła ten temat w obecności rodziców, przy śniadaniu pewnego ranka, gdy ojciec

nie wybierał się na polowanie, mogli więc zasiąść wspólnie przy stole.

- Będę musiała poślubić Xodhyę, jak wam się wydaje? - palnęła, zdecydowała bowiem, że Xodhya był najmniej odrażający spośród innych potencjalnych kandydatów.

- O nie, wykluczone - odparła matka bez zastanowienia.

- Powiem więcej - włączył się ojciec - zabronilibyśmy ci.

- To kogo? Okyę? Yaye?

- Prawie tak samo źle - zawyrokował ojciec. - A co? Czyżbyś zamierzała założyć rodzinę w najbliższym czasie?

- Oczywiście, że się nad tym zastanawia, Nyef - stwierdziła matka. - Dziewczynki w tym wieku myślą już o takich sprawach.

- Skoro tak, mogłaby chociaż wziąć pod uwagę to, że nie ma mowy, by wyszła za męża za wujka w prostej linii, a już zdecydowanie nie za brata stryjecznego i ciotecznego zarazem.

Dla Chveyi te słowa nie miały najmniejszego sensu, lecz przynajmniej uchylały rąbka mrocznych tajemnic. Cóż tak potwornego zrobił Xodhya, by zasłużyć na miano „brata stryjecznego i ciotecznego zarazem”? Przeto zapytała.

- Nie chodzi o to, co zrobił - wyjaśniła matka. - Tylko o to, że jego matka, Hushidh, jest moją rodzoną siostrą, obie mamy tę samą matkę i tego samego ojca. A ojciec Zaxodha, Issib, jest rodzonym bratem twego ojca - obaj mają tych samych rodziców, czyli babcię i dziadka. A to oznacza, że macie wspólnych wszystkich przodków - to najbliższe pokrewieństwo pośród całego grona dzieci, więc małżeństwo między wami jest wykluczone.

- O ile zdołamy tego uniknąć - dodał ojciec.

- Czego jak czego, ale tego musimy uniknąć - odparła matka.

- Podobną rezerwę mam wobec Oykiba i Yasaia, bo oni także są synami Rasy i Volemaka.

Chveya słuchała ze spokojem, przynajmniej na zewnątrz, bo w środku wrzała. Hushidh i matka są rodzonymi siostrami, ale nie córkami babci i dziadka! A ojciec i Issib są rodzonymi braćmi, podobnie jak Oy kib i Yasai, a ta „rodzoność” ich braterstwa brała się stąd, że oni wszyscy są synami babci i dziadka. Lecz użycie określenia „rodzony” sugerowało, że pośród żyjących tu ludzi zdarzali się i tacy, którzy nie byli rodzonymi braćmi, a więc nie byli synami zarówno Volemaka, jak i Rasy. Jak to możliwe?

- Coś nie tak? - zapytał ojciec.

- Ja tylko... to kogo właściwie wolno mi poślubić?

- A nie za wcześnie jeszcze...

Wtrąciła się matka:

- Z wiekiem chłopcy, którzy dzisiaj cię odpychają, wydadzą ci się o wiele bardziej interesujący. Musisz mi zaufać, moja kochana, ponieważ uwierzysz w te prorocze słowa dopiero wtedy, gdy się spełnią. Lecz gdy nadejdzie ten cudowny dzień...

- Chyba koszmarny - wtrącił Nafai z przekąsem.

- ...to możesz rzucić okiem na przykład na Padaroka, nie jest bowiem spokrewniony z nikim poza swą siostrzyczką Dabrotą i swymi rodzicami, Zdorabem i Shedemei.

Chveya po raz pierwszy zdała sobie sprawę, że Zdorab i Shedemei nie są skoligaceni z resztą ludzi. Dawno temu znieubiła Padaroka za to, że zawsze mówił o babci i dziadku jako o Rasie i Volemak, co wydało jej się nietaktowne. Teraz zrozumiała, że nie miało to nic wspólnego z brakiem szacunku, tylko oni nie byli jego dziadkami.

- Co więcej - dodał ojciec - ponieważ mamy jednego Rokyę, a to za mało, by obsłużyć wszystkie młode panienki w Dostatoku...

- Nyef! - ostro skarciła go matka.

- ...pozostaje ci... jak to określiłaś, moja kochana wodna wieszczko? Aha, rzucić okiem także na Protchnu albo na Nadezhny'ego, bo ich matka, Eiadh, nie jest spokrewniona z nikim innym pośród nas, a ich ojciec, Elemak, jest tylko moim przyrodnim bratem. To samo tyczy się Umenego, którego ojciec, Vas, nie jest z nami skoligacony, a matka, Sevet, jest moją siostrą tylko w połowie.

Mniejsza o Proye, Nadyę i Umyę, pomyślała skonsternowana Chveya.

- A jak to się stało, że Sevet jest twoją siostrą tylko w połowie? - dopytywała się. - Czy dlatego, że masz tylu braci, nie może być twoją siostrą w pełni?

- Och, toż to istny koszmar! - jęknęła matka. - Czy naprawdę musimy dziś o tym rozmawiać?

Jednak ojciec wyjaśnił, że Volemak ożenił się z dwiema innymi kobietami z Basiliki, które urodziły Elemaka i Mebbekewa, potem związał się z Rasą i spłodził Issiba; następnie Rasa „nie odnowiła” małżeństwa i poślubiła niejakiego Gaballufixa, który był przyrodnim bratem Elemaka, bo jego matka to jedna z poprzednich żon Volemaka, i z Gaballufixem lady Rasa doczekała się dwóch córek, Sevet i Kokor, a potem nie „odnowiła” tego małżeństwa i na powrót poślubiła Volemaka, tym razem już ostatecznie, i dzięki temu pojawił się na świecie Nafai, a później także Okya i Yaya.

- Wszystko jasne? - zapytał po wszystkim.

Chveya była tak oszołomiona, że mogła jedynie przytaknąć. Jej cały świat właśnie stanął do góry nogami. Nie tylko z powodu mętliku rodzinnych koneksji, ale również z powodu koncepcji, że ci sami ludzie nie musieli trwać w małżeństwie przez całe życie - że

czyjś ojciec i matka mogli się związać z innymi ludźmi i mieć dzieci, które uważały tylko jednego z nich za matkę, a drugiego miały za zupełnie obcego człowieka! To ją przeraziło. W nocy przyśnił się jej okropny sen, w którym do ich domu przyszły wielkie szczury i wyniosły śpiącego ojca, a gdy matka się obudziła, nawet nie zauważyła jego nieobecności, tylko przyprowadziła małego Proyę - tyle że wyrośniętego i dorosłego, bo to był sen - i oznajmiła: „On będzie ci teraz ojcem, póki szczury nie zabiorą i jego”.

Obudziła się cała we łzach.

- Co to był za sen? - zapytała matka, gdy ją tuliła i pocieszała. - Powiedz mi, Veya, czemu płaczesz?

Powiedziała więc.

Matka zaniósła ją do pokoju, który dzieliła z ojcem, obudziła go i kazała Chveyi opowiedzieć ten sen również jemu. Zdawało się, że w ogóle nie zainteresowała go najokropniejsza część, czyli to, że Proya przyszedł do ich domu i zajął jego miejsce. Wypytywał tylko o te wielkie szczury. Raz po raz prosił, by mu je opisała, choć ona nie wiedziała, co ma powiedzieć poza tym, że były szczurami, i to naprawdę wielkimi, i że wynosząc ojca w nieznane, zdawały się chichotać między sobą zadowolone z własnego sprytu.

- Tak czy siak - rzekł w końcu ojciec - to pierwszy raz w nowym pokoleniu. I nie od Nadduszy, tylko od Opiekuna.

- Może to przypadek - odparła matka. - Może usłyszała o którymś z poprzednich snów.

Gdy jednak zapytali, czy słyszała opowieści o wielkich szczurach, zanim miała ten sen, Chveya zupełnie nie rozumiała, o czym mowa. Jedynymi znanymi jej szczurami były te bezustannie myszkujące po stodołach. Czyżby innym ludziom też śniły się szczury? Dorośli byli tacy dziwni - zupełnie ich nie obchodziły podzielone rodziny, dzieci mające przyrodnie siostry i przyrodnich braci i inne tego typu potworności, lecz sen o wielkich szczurach - proszę, to dopiero dla nich nie lada gratka.

Ojciec nawet powiedział:

- Jeśli znów przyśnią ci się szczury lub inne dziwne zwierzęta, musisz niezwłocznie nam o tym powiedzieć. To może być bardzo istotne.

Dopiero gdy Luet przykrywała ją kołdrą, układając do snu, Chveya zdołała wydusić z siebie pytanie, które ją dręczyło.

- Jeśli nie odnowisz kiedyś ojca, to kto będzie naszym nowym tatusem?

Na twarzy matki natychmiast odmalował się wyraz zrozumienia i współczucia.

- Och, Veya, moja ty kochana mała swatko, czyżby to cię właśnie martwiło? Takie

zwyczaje odrzuciliśmy po opuszczeniu Basiliki. Tutaj małżeństwa są wieczne. Aż do śmierci. Tak więc ojciec zawsze będzie tatusiem w naszej rodzinie, a ja zawsze będę mamą, i koniec. Masz na to moje słowo.

Pokrzepiona na duchu Chveya zapadła w sen. A tuż przedtem naszło ją kilka refleksji. Najpierw: Jakie to musiało być okropne mieszkać w Basilice i nigdy nie mieć pewności, kto będzie twoim rodzicem w kolejnych latach - równie dobrze można by mieszkać w domu, w którym dzisiejsza podłoga jutro stałaby się sufitem. A potem: To mnie pierwszej spośród dzieci nowego pokolenia przyśniły się wielkie szczury, poniekąd to przecudowne, muszę być bardzo duma z siebie, a gdybym tylko o tym wiedziała, już wcześniej miałabym sny o szczurach. A na końcu: Rokya nie jest spokrewniony z nikim, a zatem stanowi najlepszą partię, więc jego poślubię i wtedy Dazya zrozumie, kto tu rządzi.

*

Nafai i Luet nie wyspali się tej nocy. Sen z oczu spędzała im wizja Chveyi. Dla Luet pierwszorzędne znaczenie miało to, że jedno z dzieci w końcu objawiło talent, według którego od samego początku dobierała ich Naddusza. Wiedziała, że to próżność z jej strony, ale uważała to za właściwe, że pierworodna wodnej wieszczki pierwsza dostąpiła profetycznego snu. Wprost nie mogła się już doczekać, kiedy poprowadzi córkę w rzeczne wody, by się przekonać, czy Chveya zdoła świadomie zapaść w sen przynoszący prawdziwe sny, tak jak Luet samoistnie nauczyła się to robić.

Nafai zaś uznawał za najważniejsze to, że po tak długim okresie milczenia ktoś w końcu otrzymał jakieś przesłanie. A ta wizja, choć niejasna, choć przetworzona przez dziecięce zdziwienie, pochodziła niewątpliwie od Opiekuna Ziemi, co nadawało jej poniekąd większe znaczenie, niż gdyby stał za nią Naddusza.

W końcu z Nadduszą rozmawiali bez przerwy, za pośrednictwem Indeksu, ale on przyznawał im jedynie dostęp do pamięci Nadduszy. Nie pozwalał zgłębiać planów na przyszłość, by się dowiedzieć, jakich działań komputer po nich oczekuje. Czekali, tak jak i drzewiej bywało, aż Naddusza poprzez sny albo głos rozbrzmiewający w ich głowach da znak do działania. Tyle lat spędzili w Dostatoku, a tu nic - ani snu, ani głosu, a na wszystkie pytania Indeks miał tylko jedną odpowiedź: zostać tu i czekać.

Opiekun Ziemi nie był jednak uzależniony od żadnych planów Nadduszy; jego sny pokonywały lata świetlne, biorąc swój początek na samej Ziemi. Niemożliwością było odgadnąć zamysł Opiekuna - wysyłane przez niego sny zdawały się wplątywać w niepokoje śniących, tak jak stało się to w przypadku snu Chveyi o szczurach. A mimo to w każdym przewijały się te same wątki - bo czyż Hushidh we śnie nie postrzegała szczurów jako

napastników atakujących jej rodzinę? To zdawało się podpowiedzią, że w pewien sposób te gryzonie będą dla nich problemem na Ziemi - choć zdarzały się i takie sny, które przedstawiały ziemskie szczury i anioły jako złączone z ludźmi więzami przyjaźni. Trudno było doszukać się sensu w tym wszystkim. Jedno stało się pewne - sny od Opiekuna Ziemi nie przestały nadchodzić, może więc niedługo coś się wydarzy, a nuż rozpocznie się kolejny etap ich podróży.

Nafai bowiem coraz bardziej się niecierpliwił. Tak jak i reszta bardzo sobie cenił życie w Dostatoku, lecz mimo to nie potrafił zapomnieć, że nie taki jest cel ich wyprawy. Czekala ich niedokończona misja, podróż przez kosmos ku macierzystej planecie ludzkości, powrót człowieka na Ziemię po czterdziestu milionach lat. A Nafai bardzo już chciał ruszyć w drogę. W Dostatoku wiedli wygodne życie, ale zarazem hermetyczne i sterylne. Zdawało się, że na tym się to skończyło, a Nafaiowi nie w smak było poczucie, że wszystko zostało już ustalone, że nie zajdą już żadne zmiany poza przewidywalnym starzeniem się.

Nadduszo, niemo przemówił, czy teraz, gdy przebudził się Opiekun Ziemi, ty również otrząśniesz się z letargu? Czy wyprawisz nas w kolejny etap podróży?

Był boleśnie świadomy, jak bardzo różniły się reakcje jego i Luet na sen Chveyi. Zarazem zazdrościł żonie nastawienia i nim gardził. Gardził, bo Luet zdawała się z własnej woli traktować Dostatok, jakby był całym światem - największą troskę okazywała dzieciom i temu, że ten sen mógł oznaczać, iż one również staną się wizjonerami, a konkretniej - nie mogła się nacieszyć, że to ich Chveyi pierwszej przyśniły się prawdziwe sny. Jakże ta kwestia mogła równać się z nowiną, że Opiekun Ziemi ocknął się z marazmu? A mimo to Nafai zazdrościł jej tego właśnie zakorzenienia w ich obecnym życiu w Dostatoku - nie potrafił wyzbyć się myśli, że ona była tu o wiele bardziej szczęśliwa niż on, ponieważ jej świat obracał się wokół dzieci, rodziny, społeczności. Ja żyję w większym świecie, ale mam z nim niewielki związek; ona zaś w mniejszym, ale o wiele skuteczniej niż ja jest w stanie brać ze świata i dawać mu coś w zamian.

Nie potrafię stać się taki jak ona, a i ona nie zdoła stać się taka jak ja. Pojedynczy ludzie zawsze byli dla niej ważniejsi niż dla mnie. To moja słabość, że nie cechuje mnie jej świadomość uczuć innych ludzi. Być może, gdybym był tak spostrzegawczy, tak empatyczny jak ona, nie powiedziałbym bez rozmysłu i nie zrobił nieumyślnie rzeczy, przez które moi starsi bracia tak bardzo mnie znienawidzili, a wtedy koleje naszego losu mogłyby potoczyć się inaczej, może Elya i ja bylibyśmy prawdziwymi braćmi. A tak nawet teraz, gdy on szanuje mnie jako myśliwego i daje posłuch moim słowom podczas narad, nie ma między nami bliskości. Elemak mi nie ufa, bacznie wypatrując oznak, że chcę go zastąpić. Luet zaś zdaje

się nie wzbudzać zazdrości innych kobiet. Jako wodna wieszczka mogłaby być z łatwością postrzegana jako rywalka matki w walce o dominację nad kobietami, tak jak Elemak jest kandydatem do przejęcia przywództwa po ojcu, a ja za kolei - po Elemaku, ale nic z tych rzeczy, między matką a Luet nie ma żadnego współzawodnictwa. One stanowią monolit. Czemu ja i Elemak nie możemy być tak zgodni? Albo Elemak i ojciec?

A nuż mężczyznom czegoś brakuje, przez co nigdy nie możemy się zjednać i połączyć wielu dusz. Jeśli tak jest w istocie, niepowetowana to strata. Patrzę na Luet i widzę, jak blisko jest związana z innymi kobietami, nawet z tymi, których zbytnio nie lubi; widzę, jak blisko ona i inne kobiety są związane z dziećmi; widzę w końcu, jak daleki jestem ja od innych mężczyzn, i czuję się taki samotny.

W końcu zapadł w sen, ale było już tuż przed świtem. Gdy wygrzebał się z łóżka, zauważył, że Luet jest równie zmęczona z niewyspania. Niemal przez sen mieszała poranną owsiankę.

- A dzisiaj nie ma szkoły - westchnęła - mamy więc dzieci na głowie i żadnej nadziei na drzemkę.

- Niech bawią się na świeżym powietrzu - zaproponował Nafai. - Oprócz bliźniaków, ma się rozumieć. Zostawmy je u Shuyi i nadrobimy zaległości.

- Albo sami możemy spać na zmianę, zamiast im się narzucać.

- Na zmianę? Ależ to nuda!

- Chcę spać - podkreśliła Luet. - Jak to jest, że mężczyźni nigdy nie są zbyt zmęczeni, by przestać myśleć o tych sprawach?

- Mężczyźni, którzy przestają myśleć o tych sprawach, jak to uroczo nazywasz, albo są eunuchami, albo już nie żyją.

- Musimy koniecznie powiedzieć twoim rodzicom o śnie Chveyi. - Luet zmieniła temat.

- Wszystkim musimy powiedzieć.

- Kiepski pomysł. To by wzbudziło za wiele zazdrości.

- Och, a komuż oprócz ciebie będzie zależeć na tym, które dziecko pierwsze miało prawdziwe sny? - Lecz zrozumiał, zanim to jeszcze powiedział, że wszystkim rodzicom będzie zależeć, i miała rację, nie należy dawać powodu do zazdrości.

Zrobiła kwaśną minę.

- Tyś to aż tak zupełnie ponad wszelką zawiść, dostojny panie, że budzisz mą zazdrość.

- Biję się w pierś.

- Zresztą - ciągnęła Luet - Chveyi to by się nie przysłużyło, gdybyśmy rozdmuchali tę sprawę. Wystarczy popatrzeć, co stało się z Dzą po tym, jak zrobiliśmy święto z jej urodzin, szarogęsi się i bez mała znęca nad dziećmi, co już wcześniej martwiło Shuyę, a ta huczna uroczystość tylko pogorszyła sytuację.

- Czasem jak widzę, że zmusza inne dzieciaki do bezsensownego służenia jej na posyłki, mam ochotę sprać tę smarkulę na kwaśne jabłko.

- Ale lady Rasa powiada...

- Tak, tak, wiem: „Dzieci muszą mieć swobodę stanowienia o własnej społeczności i radzenia sobie z tyranią według własnych reguł” - zacytował Nafai. - Ale się zastanawiam, czy ona ma rację. W końcu ta jej edukacyjna teoria zdawała egzamin tylko w Basilice. Bo czyż nie moglibyśmy uznać naszych konfliktów z początku podróży za rezultat takiego właśnie podejścia?

- Nie, nie moglibyśmy - oponowała Luet. - Najwięcej problemów stwarzali ludzie, którzy najmniej czasu uczyli się u lady Rasy. A mianowicie Elemak i Mebbekew, którzy zarzucili naukę w jej szkole, jak tylko osiągnęli pełnoletność i mogli sami o sobie decydować, oraz Vas i Obring, a oni akurat nigdy nie byli jej uczniami.

- Za bardzo upraszczasz, moja ty kochana redukcjonistko, Zdorab bowiem jest najlepszy z nas, a on nie uczył się u niej, podczas gdy Kokor i Sevet, jej córki, są tak wyrodne jak najgorsi spośród naszych braci i siostr.

- Ten wyjątek jedynie potwierdza regułę, bo one uczęszczały do szkoły Dhelembuvex, a nie twojej matki. Zdorab jest zresztą wyjątkiem od wszystkiego.

Do kuchni przydreptały bliźniaki, Serp i Spel, kładąc kres szczerzej rozmowie dorosłych.

Zanim rodzice uporali się z obowiązkami na tyle, by uciąć sobie drzemkę, trudy dnia skutecznie ich dobudziły. Udali się więc do domu Volemaka i Rasy, by naradzić się w sprawie snu.

Po drodze minęli grupę chłopców strzelających z procy. Przystanęli na chwilę, ciekawi, jak radzą sobie ich starsi synowie, Zhatva i Motiga. Chłopcy oczywiście to zauważyli i natychmiast jęli się starać zaimponować rodzicom, ale nie ich talenty strzeleckie najbardziej interesowały Luet i Nafaia, tylko relacje z innymi chłopcami. Motiga, rzecz jasna, nie przestawał dowcipkować - był tu najmłodszy, a błazeńskie figle i pajacowanie stanowiły jego strategię obliczoną na wkupienie się w łaski kolegów, by przyjęli go do paczki. Zhatva zaś, starszy, miał w niej prawowite miejsce, ale rodziców martwiło, jak bardzo jest uległy - zdawał się nabożnie wielbić Proye, tego pyszałkowatego cwaniaka.

Typowa scenka rodzajowa - Motya strzelił niecelnie i trafił kamieniem w ramię Xodhyi. Oczy Xodhyi zaszyły łzami, a Proya zadrwił:

- Nigdy nie będziesz mężczyzną! Namiastką, może i tak, ale to już szczyt twych możliwości!

To była oczywiście aluzja do jego imienia, i to dość zmyślna, ale zarazem okrutna, bo jedynie pogłębiła rozpacz Xodhyi. Żaden z chłopców nie zwrócił na to szczególnej uwagi, ale zapłakany Xodhya zbliżył się do Zhatva, który bez namysłu zarzucił beksie rękę na ramię i wrzasnął na swego młodszego brata:

- Uważaj, gdzie celujesz, małpi mózdzku!

Niby prosta, intuicyjna reakcja, ale Luet i Nafai uśmiechnęli się do siebie. Zhatva nie tylko pocieszył Xodhyę tym przyjacielskim gestem, i to bez cienia protekcyjności, ale także odciągnął uwagę od łez malca i wskazał winnego - nieuwważnego Motyę. Zrobił to z wyczuciem i jakby od niechcienia, nie rzucając wyzwania autorytetowi Proyi.

- Ech, kiedy Zhyat w końcu się zorientuje, że to ku niemu zwracają się chłopcy w razie kłopotów? - westchnął Nafai.

- Może być i tak, że spełnia tę funkcję tak dobrze, bo nie wie, że ją spełnia.

- Zazdroszczę mu. Chciałbym robić tak samo.

- Tak? To czemu nie robisz?

- Znasz mnie, Luet. Ja bym nawrzeszczał na Protchnu, że niesprawiedliwie dworował sobie z Xodhyi, bo to wszystko winą Motyi, że on też by się rozbeczał, gdyby dostał kamieniem.

- I miałbyś rację, rzecz jasna.

- Miałbym, ale Protchnu uznałby mnie za wroga. - W zasadzie nie musiał tłumaczyć jej, jakie wiązały się z tym konsekwencje. Czy nie dość często Luet doświadczała ich wraz z nim?

- Dla mnie liczy się to, że Xodhya zdobył zaufanie innych chłopców, i to zasłużenie.

- Szkoda tylko, że Motya nie bierze przykładu z brata.

- Motya wciąż jest małym dzieckiem. Nie wiemy, na kogo wyrośnie, choć na pewno będzie to ktoś hałaśliwy, rzucający się w oczy i płaczący się pod nogami. Może Chveya weźmie przykład z brata?

- Co zrobić, każde dziecko jest inne - zawyrokował Nafai.

Wziął żonę za rękę i poszli do domu ojca i matki. Doskonale rozumiał pragnienie Luet - osamotnienie i wyobcowanie Chveyi z dziecięcego grona wielce oboje martwiło. Ich córka jedyna tak słabo przystawała do innych dzieci, a oni nie rozumieli dlaczego, ponieważ nie

zrobiła nic, absolutnie nic, co by mogło rówieśników do niej zrazić. Ona po prostu nie miała swojego miejsca w ich dziecięcych hierarchiach. A może i miała, ale nie zgadzała się na nie. Co za paradoks, pomyślał Nafai - niepokoiły się, bo Zhatva wpasował się aż zbyt dobrze w podrzędną pozycję, a zarazem trapi nas to, że Chveya nie chce odgrywać drugorzędnej roli. Może tak naprawdę chcielibyśmy, by nasze dzieci zajmowały pozycje dominujące? Może staram się sprawić, by spełniły moje ambicje, a to byłoby niewłaściwe, powinienem dać im być sobą.

Myśli Luet najwyraźniej biegły podobnymi torami, bo powiedziała:

- Starają się znaleźć własną drogę przez gęstwinę ludzkiego społeczeństwa, i to dobrze. Tak naprawdę możemy co najwyżej obserwować, pocieszać i, od czasu do czasu, udzielać wskazówek.

Albo podnieść Jej Ekscelencję Dżę do góry nogami i potrząsać, aż wypadnie z niej cała arogancja. Ale nie, to by tylko doprowadziło do waśni między rodzinami a z Shuyą i Issyą nie zamierzali się nigdy kłócić.

Volemak i Rasa z zainteresowaniem wysłuchali sprawozdania ze snu Chveyi.

- Zastanawiałem się, kiedy Naddusza ponownie zadziała, ale nie dopytywałem się o to, bo jest nam tu tak dobrze, że nie chciałem robić nic, by przyspieszyć nasz wyjazd.

- I tak żadne nasze działanie nie mogłoby przyspieszyć naszego wyjazdu - wtrąciła matka. - W końcu Naddusza działa według planu. Jej było wszystko jedno, czy spędzimy całe lata na pustyni, czy na bardziej przyjaznym stepie pomiędzy rzekami Północną a Południową, czy tutaj, w tej najcudowniejszej krainie na całej Harmonii. Jej zależało tylko na tym, by nas zebrać w jednym miejscu, gotowych na jej zawołanie. Z tego co nam wiadomo, niewykluczone że ma zamiar zabrać w podróż na Ziemię tylko dzieci, a nie nas. Dla mnie to nawet lepiej, choć wolałabym, żeby zabrała nasze prawnuki, długo po naszej śmierci, byśmy nie musieli być świadkami ich wyjazdu i rozpaczać z tęsknoty.

- Czasem wszyscy tak myślimy - pocieszała ją Luet.

Nafai milczał, lecz ojciec i tak go przejrzał na wylot.

- Wszyscy prócz Nafaia. On gotów jest na zmianę. Jesteś ułomny, Nyefie. Nie potrafisz długo zadowolić się szczęściem, ożywiają cię konflikt i niepewność.

- Nie lubię konfliktów, ojciec - zaoponował Nafai.

- Może i nie lubisz, ale z nich czerpiesz najwięcej. To nie przygana, synu, to fakt.

- Pozostaje kwestia tego, czy robimy cokolwiek w odpowiedzi na sen Chveyi? - Matka zmieniła temat.

- Nie - pośpiesznie odparła Luet. - Nic a nic. Chcieliśmy tylko, byście o tym wiedzieli.

- A co jeśli inne dzieci miewają sny od Opiekuna, ale nikomu o tym nie mówią? - odezwał się ojciec. - Możliwe że powinniśmy powiadomić rodziców, by nadstawiali ucha, gdy dzieci opowiadają im swoje sny.

- Zaanonsuj coś takiego, a zanim się spostrzeżesz, Kokor i Lal zaczną pouczać córki, co powinno im się śnić, i zżymać się na nie, jeśli nie będą to sny o wielkich szczurach - skomentowała matka.

Zaśmiali się, ale wiedzieli, że to prawda.

- A zatem na razie nie zrobimy nic - zawyrokował ojciec.

- Poczekamy, zobaczymy. Naddusza zadziała, gdy przyjdzie pora, a my będziemy pracować ciężko, gdy zajdzie potrzeba, na razie starając się dochować wzorowych dzieci, które nigdy się nie kłóca.

- Och, a więc taka jest miara sukcesu rodzica? - przekomarzała się Luet. - Niekłótlive znaczy dobre?

Rasa zaśmiała się cierpko.

- Jeśli tak, to jedynymi dobrymi dziećmi są te niemające za grosz charakteru.

- Czyli z pewnością żadne z twoich potomków, moja kochana - zażartował ojciec.

Wizyta dobiegła końca. Nafaiowi nie w smak była rada ojca: „Poczekamy, zobaczymy”. Niepokoilo go to, że do niedawna nie miewali wizji, a teraz Opiekun odezwał się do Chveyi, najbardziej osamotnionego dziecka.

Dlaczego Naddusza zwleka tak długo? Zaiste, całkiem mu się spieszyło, by wyprowadzić ich z Basiliki przed dziewięciu laty. Zrezygnowali ze wszystkiego, czego kiedykolwiek oczekiwali od życia, i wyruszyli na pustynię. Owszem, wszystko dobrze się skończyło, ale to przecież nie był koniec, prawda? Przed nimi jeszcze przeszło sto lat świetlnych, a nie widzieli żadnych oznak podjęcia tej podróży na nowo.

Żądam odpowiedzi!

Ale się jej nie doczekał.

*

Dopiero kolejna wizja popchnęła Nafaia do działania. Tym razem przyśniła się Luet; Nafai zbudził się i posłyszał, że żona jęczy, a potem krzyczy przez sen. Potrząsnął nią, szepcząc kojące słowa, by dobudziła się uspokojona.

- Koszmar. Śni ci się koszmar.

- Naddusza - wymamrotała. - Zagubiona. Zagubiona.

- Luet, zbudź się. To tylko sen.

- Ja już nie śpię. Próbuję opowiedzieć ci sen.

- Śniłaś o Nadduszy?

- W tym śnie widziałam siebie. Tyle że w wieku Chveyi. Tak jak kiedyś widziałam siebie we snach.

Nafaiowi przyszło do głowy, że wcale nie aż tak wiele czasu minęło, odkąd Luet była w wieku Chveyi.

- A więc widziałaś siebie jako dziecko - powtórzył.

- Nie, widziałam osobę, która wyglądała jak ja, ale myślałam: To jest wodna wieszczka. A potem pomyślałam: Nie, to Naddusza przyobleczona w twarz i ciało wodnej wieszczki. Tak postrzegało mnie wiele kobiet, jako uosobienie Nadduszy, wiesz?

- Oczywiście, że wiem - niecierpliwił się Nafai.

- Potem zrozumiałam, że widzę Nadduszę, tyle że miała moją twarz. A ona szukała, rozpaczliwie szukała czegoś i wciąż wydawało się jej, że to znalazła, ale gdy patrzyła na swe ręce, były puste. Wtem zmiarkowałam, że ona goni wielkiego szczura. Złapała go, lecz zamienił się w anioła i odleciał. Ona nie dostrzegła tego przeobrażenia, myślała, że jej się wymknął z rąk. Sądzę, że czekamy tu tak długo, bo coś dezorientuje Nadduszę. Ona szuka czegoś.

Myśli Nafaia skupiły się na szczurach i aniołach.

- To sen od Opiekuna? Ale jak to możliwe, by Opiekun wiedział już sto lat temu, że akurat teraz Naddusza będzie miał kłopoty?

- My tylko zgadujemy, że sny od Opiekunki przemieszczają się z prędkością światła. Możliwe że ona wie więcej, niż nam się zdaje.

Nafaiowi działały na nerwy kobiety, które nie wiadomo czemu zakładały, że Opiekun Ziemi jest rodzaju żeńskiego, podobnie jak wyobrażały sobie Nadduszę. Z niejasnych powodów nie drażniło go to w przypadku Nadduszy. Może dlatego, że wiedział, iż Naddusza to komputer, nie miał jednak pojęcia, kim okaże się Opiekun Ziemi. Jeśli naprawdę bóstwem, to Nafai ze wstrętem odrzucał przypuszczenie, że musi być boginią.

- Może Opiekunka obserwuje nas i dobrze nas zna, teraz próbuje nas zbudzić, a z naszą pomocą także i Nadduszę.

- Przecież Naddusza nie śpi - zaproponował Nafai. - Bez przerwy rozmawiamy z nią poprzez Indeks.

- Mówię ci tylko, co widziałam we śnie - broniła się Luet.

- A zatem rano chodźmy porozmawiać z Issibem i Zdorabem. Przekonajmy się, co zdołają znaleźć na ten temat w Indeksie.

- Chodźmy teraz. Nie zwlekajmy z tym do rana.

- Budzić ich w środku nocy? Oni mają dzieci, to byłoby nieodpowiedzialne.
- W środku nocy przynajmniej nikt nam nie będzie przeszkadzał - przekonywała Luet.
- Zresztą już prawie świta.

Faktycznie, pierwsze promienie brzasku rozświetlały niebo po drugiej stronie ich zasłoniętego pergaminem okna.

Rozbudzony Zdorab otworzył im drzwi, zanim jeszcze do nich dotarli. Chwilę później pojawiła się Shedemei, a po kilku szeptanych słowach poszła sprowadzić Issiba i Hushidh. Zebrali się w budynku przeznaczonym dla Indeksu. Luet opowiedziała reszcie swój sen, a Zdorab i Issib bezzwłocznie podjęli się poszukiwań odpowiedzi w Indeksie.

Czekali w przedłużającej się ciszy. Luet pierwsza straciła cierpliwość.

- Nic tu po mnie - stwierdziła. - A dzieci same się sobą nie zaopiekują.

Hushidh ją poparła, Shedemei, choć niechętnie, również. Wróciły do domów.

Nafai zdawał sobie sprawę, że podczas przeszukiwania Indeksu z niego też niewielki był pożytek - Zdorab i Issib uczynili ze zgłębiania pamięci Nadduszy dzieło swego życia, nie mógł się z nimi równać. Kobiety będą mu miały za złe, że z góry założył, iż może zostać, choć Luet musiała wyjść... ale wiedział, że postąpił słusznie. Codzienne zajęcia dzieci obracały się wokół Luet, która zawsze była na miejscu, a Nafai często wypuszczał się na wyprawy łowieckie. Wprawdzie nie było im wszystko jedno, czy jest z nimi, czy go nie ma, ale to w żaden sposób nie wpływało na normalny rozkład dnia.

A zatem Nafai pozostał w Domu Indeksu, podczas gdy Zodhya i Issya wypytывali Nadduszę. Słyszał, jak mruczą pytania, a co pewien czas któryś zagadywał do niego, lecz w niczym im nie pomagał.

W końcu sięgnął ręką przez stół i oparł koniuszki palców o Indeks.

- Zapętlileś się, mam rację?
- Tak - odparł Indeks. - Uświadomiłem to sobie, jak tylko Luet przysnił się ten sen od Opiekuna. Issib i Zdorab już szukają pętli.
- Zapewne jest gdzieś w podstawowym oprogramowaniu - odpowiedział Nafai - bo gdyby tkwiła w twoim autoprogramie, już byś ją znalazł i odpowiednio się przeprogramował.
- Tak - potwierdził Indeks. - Zdorab z góry przyjął takie założenie i właśnie tam tego szukamy.
- Zapewne tam, gdzie wydaje ci się, że coś znalazłeś, tyle że tak nie jest - zasugerował Nafai, przypominając sobie sen.
- Tak - powtórzył Indeks. Czyżby ze zniecierpliwieniem?
- Issib upiera się przy tym od początku, staramy się więc znaleźć coś, czego ja sam nie

mogę wykryć. Niełatwo przeszukać moją pamięć pod kątem rzeczy dla mnie niewykrywalnych.

Nafai zmiarkował, że jego myśli jedynie powielają, i to z dużym opóźnieniem, koncepcje Issiba i Zdoraba, przeto z westchnieniem odjął rękę od Indeksu i czekał. Wprost nie znośli być biernym uczestnikiem ważnych wydarzeń. Właśnie to tak często powtarza mi Elemak, pomyślał z przekąsem. Muszę, po prostu muszę być bohaterem każdej opowieści, w której biorę udział. Jak on to wtedy skomentował? A właśnie - że pewnego dnia, jeśli mnie nie powstrzyma, znajdę sposób, by stać się protagonistą nawet jego autobiografii. I właśnie dlatego zdaje mi się teraz, że uczestniczę w procesie odkrywania, co powoduje, iż Naddusza ugania się za własnym cieniem, a tak naprawdę jedynie marnuję jego czas, nasz czas...

Marnuję czas?! To jest marnowanie czasu, życie w pokoju i dostatku z żoną i dziećmi? Skoro tak, to pragnę tak zmarnować całe życie.

Niczym myśliwy, to tu, to tam, biedny Naddusza coraz bardziej kluczy, podążając za tymi samymi tropami, które już minął, nawet nie zdając sobie z tego sprawy.

Ta myśl pobudziła wyobraźnię. Nafai zobaczył ścieżkę, którą obrał podczas ostatniego polowania, jakby znajdował się wysoko nad ziemią lub patrzył na mapę. Widział, jak jego marszruta kreśli szlak pomiędzy drzewami - poruszał się po przecinających się pętlach, ale nigdy nie mijał tego samego drzewa z tej samej strony, co byłoby niewykonalne, gdyby nie wyobrażał sobie mapy.

Tak powinien zrobić Naddusza - zobaczyć własne ślady.

Ponownie dotknął Indeksu i powiedział to Nadduszy.

- Tak - odparł Indeks, wciąż nieznosnie beznamiętnym tonem. - Zdorab zasugerował już, bym przejrzał moje ostatnie aktywności w poszukiwaniu powtarzających się zachowań. Tyle że ja nie śledzę własnych zachowań. Jedynie ludzkie. Nie przechowuję tu archiwum swej egzystencji, chyba że o tyle, o ile moje działania rzutują na ludzkość. A najwyraźniej to niewiadome coś, co robię i co mnie zapętla, nie ma żadnego bezpośredniego wpływu na ludzi. Albo jest tak wsobne, że umyka mej uwagi. Tak czy siak, nie potrafię wrócić po własnych śladach.

Ponownie zbity z tropu Nafai nie odjął ręki od Indeksu. Możliwe że tylko by dekoncentrował pozostałych, gdyby tak ciągle dotykał Indeksu i zaraz cofał dłoń.

Dekoncentrował? Nie. Najzwyczajniej w świecie nie chciał najeść się wstydu, dając im do zrozumienia, że ponownie jego wkład w poszukiwania okazał się daremny.

Wciąż kleiły mu się oczy. Przez sen Luet wstał zbyt wcześnie, a teraz, nie mając nic do roboty, zaczął przysypiać. Złożył głowę na stole, opierając ją na drugiej ręce; palcami nadal

dotykał Indeksu.

Powrócił myślami do wyobrażenia samego siebie, widzianego z góry, z mapą znaczącą jego kroki, gdy polował, kręcąc się w kółko po lesie. Może naprawdę tak było, pomyślał na obrzeżach powoli morzącego go snu. Może rzeczywiście zataczałem koła.

- Nie - rzekł Indeks. - Chyba że wtedy, gdy zwierzyna, którą tropiłeś, poruszała się takim torem.

Ale to możliwe, odparł bezgłośnie Nafai. Niewykluczone że snułem się wokoło po wielkich okręgach, z nosem przy ziemi podążałem jakimś tropem, nieświadomy że to moje ślady. A nuż czasem tropię samego siebie. Kto wie, może znajduję własne ślady i myślę: To ci dopiero ogromna bestia, będzie co jeść przez tydzień - a potem tropię siebie jeszcze raz i nigdy nie doganiam, aż pewnego dnia potykam się o własne ciało, wycieńczone i zagłodzone, umierające, i w swym szaleństwie zaczynam postrzegać siebie jako oddzielonego od ciała...

Przysnęło mi się, przeprosił bezgłośnie.

- Oto mapa wszystkich twych wypraw - oznajmił Indeks. - Sam zobaczysz, że nie poruszasz się w kółko, chyba że tropisz jakieś zwierzę.

W głowie Nafaia odmalowała się wyraźna mapa krainy wokół Dostatoku, szczyty gór doliny, przedstawiająca trasy wszystkich jego polowań.

Ładna historia, schodziłem tę ziemię wzdłuż i wszerz, zdziwił się Nafai.

Ale nawet gdy myślał te słowa, widział, że się myli. Było miejsce, do którego nie trafił podczas żadnej z wypraw. Coś jakby klin wbity w posadę gór, skierowany ku ich najbardziej dzikiej części. Nigdy się tam nie zapuścił.

A masz może mapę ścieżek innych łowców? - zapytał.

W mgnieniu oka mapa przedstawiająca wyprawy Elemaka nałożyła się na tę pierwszą, potem także Vasa i Obringa, a w końcu grupowych polowań. Ścieżki utworzyły gęstą sieć wokół Dostatoku.

Wszędzie oprócz tego klina w górach.

Cóż to za miejsce, tam w górach, gdzie nie wiodą żadne z naszych ścieżek?

- O czym mowa? - zdziwił się Indeks.

Ta biała plama na mapach. Miejsce, w którym nikt nie był.

- Nie ma żadnej białej plamy - stwierdził stanowczo Indeks.

Nafai skupił myśli, całą uwagę, na tym punkcie. Tam! - zagrzemiał wewnątrz siebie.

- Zwracasz się do mnie, jakbyś coś pokazywał, i widzę, że poświęcasz czemuś wiele uwagi, a mimo to nie ma takiego punktu na mapie, który byś wyróżniał.

Czy to możliwe że tam jest coś ukryte nawet przed tobą?

- Nic na Harmonii nie jest przede mną ukryte.

Czemu przywiodłeś nas do Dostatoku?

- Ponieważ przygotowałem to miejsce dla was, byście czekali tu, aż będę gotów.

Gotów do czego?

- Do tego, byście zabrali mnie w podróż na Ziemię.

A dlaczego akurat tutaj mieliśmy czekać?

- Ponieważ to najbliższe miejsce, gdzie możecie przeżyć do czasu, aż będę gotów.

Najbliższe do czego?

- Do was. Do tego, gdzie się znajdujecie.

Znowu kluczymy, zmiarkował Nafai. Spróbował z innej strony.

Kiedy będziesz gotów, byśmy mogli zabrać cię na Ziemię? - zapytał.

- Gdy dam wam znak do wyjazdu.

Do wyjazdu skąd, dokąd?

- Z Dostatoku.

Dokąd?

- Na Ziemię.

Nafai nie miał już wątpliwości - to tam, w tym pustym miejscu na mapie, którego Indeks nie widział, zbierze się ich grupa, by wyruszyć na Ziemię. Co więcej, Indeks nie potrafił go nazwać.

- Potrafię nazwać każde miejsce na Harmonii - odezwał się Indeks. - Mogę ci podać każdą nazwę, jaką dowolny człowiek nadał któremukolwiek miejscu na tej planecie.

A zatem jak nazywa się tamto miejsce? - zapytał Nafai, ponownie skupiając myśli na białej plamie pośród map polowań.

- Wskaż punkt, a ci powiem.

Pod wpływem impulsu Nafai zakreślił w umyśle kółko wokół wiadomego miejsca.

- Vusadka - rzekł Indeks.

Vusadka, pomyślał Nafai. Nazwa niczym z pradawnych czasów. Jednak aż tak bardzo nie odstawała od świata o krok za drzwiami.

Co znaczy Vusadka?

- To nazwa tego miejsca.

Jak długo nosi tę nazwę?

- Tak nazywał ją lud Raspyatny.

A gdzie oni poznali tę nazwę?

- Znano ją powszechnie w Miastach Gwiazd i Miastach Ognia.

Na kiedy datuje się pierwsze użycie tej nazwy?

- Jakiej nazwy?

Niemożliwe, by Naddusza tak szybko zapomniał. Widocznie znów natrafił na blokadę w pamięci.

Kiedy po raz pierwszy wspominano tę nazwę w Miastach Ognia? - zapytał Nafai.

- Dwadzieścia milionów lat temu.

Czy wspominano ją wcześniej w Miastach Gwiazd?

- Oczywiście, one są znacznie starsze. Trzydzieści dziewięć milionów lat temu.

Czy Vusadka znaczyła coś w języku, którym ówczesnie się posługiwano?

- Wszystkie języki Harmonii wywodzą się z tego samego prajęzyka.

Znów się zawiesił. Nafai spróbował innego okrężnego podejścia, które mogło mu przynieść żadaną informację:

Jakie słowo w języku używanym w Miastach Gwiazd przed trzydziestu dziewięciu milionami lat najbardziej przypominało słowo „Vusadka”?

- Vuissashivat’h.

A co to słowo oznaczało dla nich?

- Wysiadać.

Z czego?

- Z łodzi.

Dlaczego temu miejscu w górach nadano nazwę pochodną od czasownika oznaczającego wysiadanie z łodzi? Czyżby to miejsce stykało się niegdyś z linią brzegową?

- To prastare góry, były już stare, zanim rozwarła się ziemia, tworząc Dolinę Płomieni.

A zatem okolice Vusadki nigdy nie leżały nad morzem?

- Nigdy. Ani razu od kiedy ludzie wysiedli ze swoich kosmolotów na powierzchnię Harmonii.

Ponieważ użył współczesnego słowa „wysiadać” w nawiązaniu do pierwszych kosmolotów, Nafai zrozumiał od razu, że Naddusza zrobił, co mógł, by potwierdzić jego domysły: Vusadka była miejscem lądowania kosmolotów czterdzieści milionów lat temu, a więc tam (o ile istniało prawdopodobieństwo, że kosmoloty przetrwały tyle czasu) najpewniej znajdowały się i teraz.

A potem zaświtała mu inna myśl: Ty tam jesteś, prawda, Nadduszo? Tam, gdzie wylądowały kosmoloty, jesteś i ty. Cała twa pamięć, wszystkie twoje procesory umieszczone są w tym miejscu.

- W jakim miejscu?

Nafai wstał, w pełni już rozbudzony. Szurnięcie krzesła o podłogę wyrwało pozostałych z zadumy.

- Zamierzam odnaleźć Nadduszę - oznajmił.
- Wiemy - odparł Issib. - Naddusza przekazał nam waszą rozmowę.
- Bardzo zmyślnie - pochwalił Zdorab. - W życiu bym nie wpadł, by zacząć od map wypraw łowieckich.

Nafai chwilę bił się z myślami, rozważając, czy powiedzieć im, że nie dokonał tego świadomie; to miłe uczucie uchodzić za bystrzachę. Ale zmiarkował, że gdyby pozwolił im nadal tak o nim myśleć, byłoby to coś na kształt kłamstwa.

- Ja tylko drzemałem. O wyprawie łowieckiej myślałem w półśnie. Naddusza wiedział, że nie może wiedzieć, że wie, I uznał, że za pomocą mapy do mnie trafi, i tyle. Musiał podstępem siebie zmusić do odpowiedzenia mi na pytanie.

- Dobrze, Nyef. - Issib się zaśmiał. - Obaj się zgodzimy, że wcale nie jesteś taki bystry.
- I racja. Tyle mojej zasługi, że nadstawiłem ucha, gdy Naddusza znalazł zawołowany sposób, by powiedzieć mi to na przekór barierom we własnej pamięci. Gdyby ktoś pytał, powiedzcie, że wyruszyłem na polowanie. Luet i swoim żonom, rzecz jasna, możecie powiedzieć prawdę, że poszedłem szukać Nadduszy. Oba stwierdzenia są zresztą prawdziwe.

Zdorab przytaknął ze zrozumieniem.

- Tyle lat żyliśmy tu spokojnie, bo to dobra ziemia i jest jej dość dla nas wszystkich. Zapuściliśmy tu korzenie i nikogo nie ucieszy myśl o kolejnych przenosinach. Niektórych zezłości to bardziej niż innych, lepiej więc odroczyć powiadomienie ich do czasu, aż ustalimy coś pewnego.

Issib się skrzywił.

- Nietrudno mi sobie wyobrazić prawdziwy spór o tę kwestię. Nieomal żałuję, że tak długo wiedliśmy tu szczęśliwe życie. To podzieli naszą społeczność, a nawet boję się pomyśleć, jak bardzo ucierpimy, zanim sytuacja się unormuje.

Nafai pokręcił głową.

- Wcale nie musi tak być. Naddusza nas wszystkich wybrał na tę podróż. Również Opiekun Ziemi wzywa do siebie każdego z nas.

- Wszyscy otrzymali wezwanie, ale któż posłucha? - zapytał Zdorab.
- Na pewno ja, i już, w tej chwili - stwierdził Nafai.
- A zatem nie zapomnij zabrać z sobą łuku i strzał - zasugerował Issib. - Na wypadek gdybyś po drodze znalazł dla nas coś na kolację. - Celowo nie dodał: „By reszta uwierzyła nam, że naprawdę wybrałeś się na polowanie”.

Tak czy owak, był to dobry pomysł, więc Nafai wstąpił do domu po łuk i strzały.

- Gdybyś ich nie potrzebował, to w ogóle byś nie wpadł po drodze i nie doczekałabym się pożegnania ani nawet słowa wyjaśnienia, mam rację? - zapytała Luet rozdrażniona.

- Mylisz się, rzecz jasna - bronił się.

- O nie. Pewnie poprosiłeś ich obu, by mnie powiadomili, żeś ruszył w świat.

Nafai wzruszył ramionami.

- Wszystko jedno, skoro zadbałem, byś się dowiedziała.

- Co nie zmienia faktu, że to był mój sen i Chveyi.

- I dlatego, że to był twój sen, tylko ty masz wyłączność na wynikające z niego skutki? - zapytał, denerwując się coraz bardziej.

- Nie. - Westchnęła niecierpliwie. - Dlatego że miałam dziś sen, powinnam być ci partnerem w tym wszystkim. Równym partnerem. A traktujesz mnie jak dziecko.

- Przecież nie prosiłem ich, by przekazali to Chveyi! Wcale nie potraktowałem cię jak dziecko.

- Po prostu przyznaj, że zachowałeś się jak pawian! - rozzłościła się Luet na dobre. - Zwyczajnie powiedz, że potraktowałeś mnie tak, jakby tylko mężczyźni liczyli się w naszej społeczności, jakby kobiety nie znaczyły nic a nic, i że jest ci przykro, że tak mnie potraktowałeś.

- Nie zachowałem się jak pawian, tylko jak ludzki samiec. I to nie czyni mnie mniej ludzkim, tylko po prostu mniej kobiecym. Nie chcę już więcej słyszeć, iż to, że nie zachowuję się tak, jak chce tego kobieta, czyni mnie zwierzęciem.

Nafai nie mógł uwierzyć własnym uszom, że w jego głosie pobrzmiewa gniew.

- A więc i w naszym domu zapanowały takie porządki - westchnęła Luet z rezygnacją.

- Tylko dlatego, że sama do tego doprowadziłaś. Nigdy więcej nie waż się nazywać mnie zwierzęciem.

- To zachowuj się jak człowiek cywilizowany. Czyli taki, który potrafi wznieść się ponad swą zwierzęcą naturę. Nie chlubi się nią. Właśnie w tym przypominasz mi samca pawiana; nie można być cywilizowanym, dopóki traktuje się kobiety jak podrzędny gatunek, a nie jak przyjaciół.

Nafai zawrzał od gniewu na te niesprawiedliwe słowa. Nie dlatego, że Luet mijała się z prawdą, ale dlatego, że myliła się, jemu przypisując takie przywary.

- Wszak traktowałem cię jak przyjaciela i jak na żonę przystało. Wydawało mi się, że kochasz mnie na tyle mocno, że obędzie się bez rywalizacji o to, kto ma mieć wyłączność na te sny.

- Wcale nie gniewałam się na to, że przywłaszczyłeś sobie skutki moich snów.

- Nie?

- Zabolało mnie to, że nie podzieliłeś się skutkami twego snu ze mną. Ja nie wyskoczyłam z łóżka i nie popędziłam do Hushidh i Shedemei, by opowiedzieć im sen, i nie poprosiłam ich, by potem zdały ci relację.

Dopiero gdy ujęła to w ten sposób, Nafai zrozumiał.

- Przepraszam - ukorzył się.

Wciąż się gniewała, bo jego przeprosiny były mocno spóźnione.

- Ruszaj - wycodziła. - Idź i odszukaj Nadduszę. Idź i odszukaj wraki pradawnych kosmolotów pośród prastarego lądowiska. Idź i zostań jedynym bohaterem naszej wyprawy. Gdy pójde dziś spać, spodziewam się, że będziesz najjaśniejszą gwiazdą mych snów. Mam tylko nadzieję, że przeznaczysz mi choć malutką rolę do odegrania. Może wieszaka na twój płaszcz.

Te słowa tak bardzo go ubodły, że o mały włos nie trzasnął drzwiami. Luet sparafrazowała obraźliwe docinki Elemaka - a wiedziała, jak bardzo bolały go słowa brata, bo już dawno temu jej się z tego zwierzył. To, że powiedziała coś takiego akurat teraz, było okrutne i niesprawiedliwe. Kto jak kto, ale ona powinna była wiedzieć, że nie powoduje nim żądza zostania bohaterem, tylko gorące pragnienie dowiedzenia się, co nastąpi dalej, sprawienia, by nastąpiło. Ona, jeśli naprawdę go kochała, powinna była to rozumieć. Z trudem więc się powstrzymał i nie wypadł z domu jak burza. Wtedy jej gorzkie słowa podążałyby za nim przez całą wyprawę w góry.

Poszedł do pokoju dzieci. Nie spała tylko Chveya - może ją obudzili przytłumioną, acz żarliwą kłótnią. Ucałował każde z dzieci, Chveyę na końcu.

- Wyruszam odnaleźć krainę, z której pochodzą najlepsze sny - wyszeptał, by nie zbudzić maluchów.

- Znajdź w nich miejsce i dla mnie - odszepnęła.

Ucałował ją raz jeszcze, po czym wrócił do kuchni, głównego pomieszczenia w domu. Luet mieszała owsiankę w kociołku nad ogniem.

- Dziękuję, że znajdujesz miejsce dla mnie w swych snach - rzekł do niej. - Ty w moich też jesteś zawsze mile widziana.

Pocałował ją w usta i z ulgą stwierdził, że odwzajemniła pocałunek. Nie rozwiązali problemu, lecz potwierdzili, że nawet gdy złością się na siebie, wciąż się miłują. To wystarczyło, by ruszył w drogę z uśmiechem, a nie w posępnej zadumie.

A potrzeba mu było spokoju sumienia, bo bez wątplenia Naddusza ochraniał to ukryte

miejsce, nie wiedząc nawet, że to czyni. Najwyraźniej coś wodziło ich na manowce podczas polowań, powstrzymując przed dotarciem do Vusadki, a Naddusza z pewnością nie chciał, by wtedy działali powodowani jego zdolnością do ogłupiania ludzi. Naddusza sam nie był w stanie dostrzec tego miejsca, a nawet dostrzec, że nie dostrzega. To musiało oznaczać, że jego własne procedury zaporowe zwróciły się przeciw niemu, więc nie zdołał ich wyłączyć, by Nafai tak po prostu tam dotarł. Przeciwnie, Nafai będzie musiał siłą utorować przez nie drogę, zupełnie jak przed wielu laty w Basilice, gdy wraz z Issibem starali się przezwyciężyć bariery Nadduszy, walcząc o możliwość myślenia o rzeczach zakazanych. Tyle że teraz będzie musiał się mocować nie z myślami, ale z niewidzialnym murem, który odgradza go od tego miejsca. Miejsca, którego nawet Naddusza nie widział.

Muszę cię przezwyciężyć, rzekł do Nadduszy, idąc przez łąki na północ od osady. Muszę przedostać się przez twoje bariery.

Jakie znowu bariery?

Zapowiadała się ciężka przeprawa. Nafaia ogarniało zniechęcenie. Nie miał na podorędziu żadnej sprytnej sztuczki, by obejść ten problem. Będzie musiał dosłownie wdrzeć się tam za pomocą brutalnej siły woli. Jeśli zdoła. Jeśli to nie będzie ponad jego siły.

*

Zmierzchało już. Nafai był bliski rozpaczy. Cały dzień minął, zanim tu dotarł, a przez kolejny dzień robił w kółko to samo. Stawał na zewnątrz zakazanej strefy i prosił Indeks, by pokazał mu mapę wszystkich ścieżek obranych przez każdego z myśliwych, i widział jak na dłoni, w którą stronę powinien się udać. Nawet wydrapywał strzałki na kamieniach i drzewach, zapisywał kierunki patykiem na piasku. A potem, wyruszywszy śmiało przed siebie, rychło orientował się, iż powrócił na zewnątrz „ukrytego” obszaru, sto metrów od naniesionego znaku. Jeśli napisał „NE”, po chwili zawędrował na zachód od napisu; a jeśli strzałka wskazywała wschód, docierał na zachód od niej. Nie mógł przedostać się przez barierę.

Złorzeczył Nadduszy, ale otrzymane od niego odpowiedzi nie pozostawiały wątpliwości, że Naddusza zupełnie sobie nie zdaje sprawy, co Nafai robi. Chce iść na południowy zachód od tego punktu, oznajmiał Nafai. Potem był hen na północy, a w głowie słyszał głos Nadduszy: Nie posłuchałeś mnie. Mówiłem, żebyś szedł na południowy zachód, ale zignorowałeś me słowa.

Słońce już zaszło, niebo ciemniało z minuty na minutę. Nieznośna była myśl, że powróci jutro do Dostatoku z tak sromotną porażką.

Nie rozumiem, co próbujesz osiągnąć, rzekł Naddusza.

Próbuję odnaleźć ciebie, odparł Nafai.

Przecież jestem tutaj.

Wiem, gdzie cię szukać. Ale nie mogę się tam dostać.

Ja cię nie powstrzymuję.

Nafai wiedział, że to prawda. Skoro można było Nadduszę obdarzyć mocą blokowania ludzkich umysłów, by odwieść ludzi od powziętych zamiarów, to czy pierwsi osadnicy na Harmonii nie mogli wprowadzić jakichś mechanizmów ochronnych dla tego miejsca? Zabezpieczeń poza kontrolą Nadduszy, co więcej, powstrzymujących samego Nadduszę...

Pokaż mi wszystkie ścieżki, które dzisiaj obrałem, poprosił Nafai. Wyrysuj je tu na ziemi.

I zobaczył je - nikłe linie zlewające się w smugi. Widział, jak się zaczęły, za każdym razem prowadząc wprost ku środkowi okręgu wokół Vusadki. Jednak raptem się urywały, wszystkie bez wyjątku, i znów pojawiały odrobinę dalej na południe lub północ, sunąc wzdłuż niewidzialnej granicy.

Najwidoczniej zagłębiał się w ten obszar tylko na parę metrów, zanim go zawracało. Właściwie mógłby narysować na ziemi linię wyznaczającą granice percepcji Nadduszy. Tak też zrobił. Wykorzystał ostatnie pół godziny światła, by wykreślić okrąg patykami.

Znacząc granicę własnej daremności, słyszał senne nawoływania pawianów zbierających się na spoczynek. Dopiero gdy skończył, gdy zapadła już całkowita ciemność, a pawiany umilkły, zmiarkował, że niektóre odzewy zaczynały się poza wykreślonym okręgiem, lecz bez wątplenia wszystkie kończyły w jego głębi.

No jasne. Niewidoczna zaporą nie przepuszcza ludzi, ale innych zwierząt nie poddano zmianom genetycznym, by stały się podatne na podobne bariery. Pawiany przekraczają tę granicę zupełnie bezkarnie.

Gdybym tylko był pawianem...!

Omalże zdawało mu się, że słyszy, jak Issib mówi cicho: „A skąd ta pewność, że nie jesteś?”.

Wyszukał miękką trawę i zwinął się w kłębek do snu. Na niebie nie było nawet chmurki, więc nie zanosilo się na deszcz. Powinien spać wygodnie.

Ale trudno było mu zasnąć głęboko.

Śnił oczywiście. Nie mógł mieć pewności, czy te sny coś znaczą, czy po prostu wynikają z faktu, że spał lekko i zapamiętał więcej. W jednym z nich ujrzał siebie i Yobara. Yobar prowadził go przez kamienny labirynt. W pewnym momencie dał nura do niewielkiej szczeliny pomiędzy skałami i precyzyjnie się na drugą stronę. Nafai wpatrywał się w dziurę,

myśląc: Jestem za duży, by się przez nią przepchnąć. Oczywiście nie była to prawda - Nafai wyraźnie widział we śnie, że szczelina wcale nie jest taka wąska. A mimo to jakoś nie mógł się zmusić, by przykucnąć i się przez nią przecisnąć. Wciąż błdził oczami, szukając sposobu przedostania się na drugą stronę na prostych nogach.

Yobar wrócił i dotknął jego ręki. A gdy to zrobił, Nafai nagle stał się pawianem. Wtedy już bez wahania przeszedł przez szczelinę. Po drugiej stronie natychmiast urósł do ludzkich rozmiarów. A gdy odwrócił się, by spojrzeć na tę niewielką dziurę, była już szersza i wysoka, zdołałby ją pokonać wyprostowany.

Rankiem, gdy się obudził, ten sen wydał mu się najbardziej godny uwagi. Leżał, dygocząc na chłodnym wietrze, próbując wymyślić jakiś sposób wykorzystania wskazówek ze snu. Niewątpliwie sen odzwierciedlał jego wiedzę o tym, że pawiany z łatwością pokonywały barierę, a on, człowiek, nie mógł. Niewątpliwie też, gdyby zmienił się w pawiana, również zdołałby przekroczyć granicę. I co z tego? Żadnego pożytku.

W tym śnie, pomyślał Nafai, ta szczelina zdawała się zbyt wąska, bym się przez nią przecisnął. Jednak od początku mogłem to zrobić z łatwością, bo naprawdę była wysoka jak człowiek. Ta bariera istniała tylko w moim umyśle - tak jak ta na jawie. Im bardziej zdecydowanie próbuję ją przekroczyć, tym bardziej stanowczo mnie odrzuca. Hm, a zatem może właśnie zamiar przekroczenia jej mnie odpycha.

Nie, to głupie. Barierę z pewnością zaprojektowano tak, by odpierała także ludzi nieświadomych jej istnienia. Wędrownych myśliwych, obieżyświatów, osadników, kupców - każdego, kto mógłby nieumyślnie skierować swe kroki ku Vusadce, bariera by zawróciła.

Ale wystarczyłaby lekka sugestia, by zawrócić kogoś, kto nie miał stanowczego zamiaru skierowania się ku Vusadce - takiemu komuś nawet nie zaświtałoby to w głowie, że go zawrócono. W końcu który z nas zauważył, że omijaliśmy ten obszar podczas każdej z wypraw łowieckich, przez te wszystkie lata spędzone w Dostatoku? A zatem nasze ścieżki nie wyznaczały ostrej, wyraźnej granicy, tak jak teraz ją określam. Do tego nasze ślady nie zakręcały aż tak gwałtownie... po prostu gubiliśmy trop albo z innego powodu odchodziliśmy. A zatem moc działania bariery musi rosnąć ze wzrostem siły zamiaru jej przekroczenia. Gdybym jakimś sposobem zdołał mimowolnie ją pokonać, działanie bariery by się okazało znacznie słabsze.

Ale jak miałbym tak bezwiednie i przypadkowo zawędrować do miejsca, gdzie muszę się udać?

Ta myśl podsunęła mu plan, lecz nie odważył się pomyśleć o nim zbyt wyraźnie w obawie, że tym samym uruchomiłby barierę i zaprzepaścił szanse, jeszcze zanim spróbowałby

wprowadzić go w życie. Zaczął skupiać myśli na innym zamiarze. Koniecznie musi teraz zapolować, by nakarmić dzieci. Jemu kiszki grają marsza, więc maluchy zapewne przymierają głodem. Tyle że dzieci, o których nakarmieniu myślał, były młodymi pawianami. Przywołał wspomnienia o pawianach z Doliny Mebbekewa i poczuł się odpowiedzialny za dostarczenie im mięsa - tak jak Yobar wyszukiwał resztki i padlinę, by przypodobać się samicom i nakarmić młode.

Tego ranka błakał się to tu, to tam, nie kierując się z rozmysłem na Vusadkę, i szukał, aż natrafił na odchody zająca. Potem tropił to stworzenie, a nim minęła godzina, zdołał je ustrzelić z łuku.

Strzały rzadko zabijały, zazwyczaj dorzynał zwierzę nożem. Tym razem pozostawił je przy życiu, przerażone i kwilące; niósł zająca za uszy. Żałosne jęki, tego mu było trzeba - pawiany zainteresują się żywą, ale ranną zwierzyną. A musiał koniecznie małpy odnaleźć.

Co nie było trudne - pawiany boją się nielicznych zwierząt, a bronią się bezustanną czujnością i niezwłocznymi wzajemnymi ostrzeżeniami. Przeto wcale nie starały się być cicho. Nafai odnalazł je, gdy akurat się posilały w długiej dolinie rozciągającej się od zachodu na wschód, nad strumieniem. Gdy go dostrzegły, podniosły oczy ku górze. Nie zdradzały żadnych objawów paniki - wciąż znajdował się w bezpiecznej odległości - tylko z wielkim zainteresowaniem patrzyły na zająca.

Nafai podszedł bliżej. Małpy wzmogły czujność - samce oparły się na przednich knykciach i powrzaskiwały z lekka. A Nafai poczuł przemożną niechęć do zbliżenia się do nich.

Muszę podejść, by dać im mięso.

Zrobił więc kilka kroków ku nim, trzymając zająca przed sobą. Nie miał, rzecz jasna, pewności, jak zareagują na ten gest. Równie dobrze mogły uznać go za dowód, że potrafi zabijać, jak też za sugestię, że zdobył już mięso, więc nie mają się czego obawiać. Jednak niektóre na pewno myślały o tym zającu jak o mięsie, które chętnie by zjadły. Pawiany nie były sprawnymi łowcami, ale bardzo lubiły mięso, a ten piszczący zając musiał im się wydać smacznym kąskem.

Podchodził powoli, z każdym krokiem czując coraz większą niechęć. Zauważył jednak także, że coraz więcej małp - szczególnie młode samce - wodzi wzrokiem od niego do zająca. Chcąc, by skupiły się na mięsie, odwracał oczy, gdy tylko na niego spojrzały - wiedział, że kontakt wzrokowy jedynie podjudziłby je lub przestraszył.

Małpy cofnęły się przed nim, ale niedaleko. Tak jak się spodziewał, instynkt kazał im umknąć w stronę klifu, gdzie sypiały. Ruszył ich śladem. Nie przestawał myśleć: To kiepski

pomysł. Nie potrzebują tego mięsa. Ale zakrzyczał te myśli, starając się skupić na jednej: Matki potrzebują białka, by ich mleko było bardziej odżywcze dla dzieci. Muszę zanieść im to mięso.

Nie uda ci się, rzuć tego zająca i zawracaj.

Jeśli tak zrobię, zając padnie łupem najsilniejszych samców i żaden ochłap nie trafi do samic. Muszę jakoś zanieść mięso bliżej matek, by przysłużyło się młodym. To moja powinność. Jestem łowcą w tym stadzie. Muszę je nakarmić. Nie mogę pozwolić, by cokolwiek mnie powstrzymało.

Jak dużo minęło czasu? Trudno było mu się skupić na tym, co robił. Kilka razy czuł się, jakby dopiero co się obudził, a wtedy otrząsał się i dalej szedł naprzód, zmierzając w stronę samic, które coraz liczniej zbierały się na skałach.

Muszę dostać się w ich pobliże. A nawet za ich plecy.

Zaczął iść bokiem na północ, nie spuszczać samic z oczu. Około południa w końcu znalazł się pomiędzy małpami a klifem, gdzie sypiały. Zając zdążył już wydać ostatni jęk - martwy czy nie, pawianom wszystko jedno, mięso było świeże. Nafai rzucił zająca w ich stronę, celując w środek grupy samic.

Rozpętało się istne pandemonium, ale wydarzenia potoczyły się w zasadzie zgodnie z zamysłem Nafaia. Niektóre młode samce jęły wyrywać sobie zająca, starsze zaś stanęły odważnie naprzeciw Nafaia, bo wydał im się zagrożeniem. Samice z łatwością przepędziły młodzików. Okazało się, że zając nie zdechł - pisał jeszcze, gdy dominujące samice dobrały się do niego. Gdy żyli nieopodal nich na pustyni w Dolinie Mebbekewa, z początku Nafaia odstręczało to, że pawiany nie zabijały ofiary przed pożarciem, ale zdążył już do tego przywyknąć; teraz cieszył się, że jego plan wypalił, a samice dostały mięso.

Gdy samce się zorientowały, że omija je uczta, ożywiły się, a Nafai jął się wycofywać ku klifom; gdy znalazł się dość daleko, samce wpadły z impetem w grupę samic, rozpędziły je i poczęły między sobą walczyć o ochłapy. Niektóre zdołały uszczknąć spore kawałki, ale Nafai wiedział, że samice i tak dostały więcej mięsa, niż zazwyczaj im przypadało w udziale. Był zadowolony.

Teraz powinien pójść dalej, wprost przed siebie, wzdłuż tej doliny. Nie zaszkodziłoby, gdyby znalazł tam więcej zwierzyny, którą mógłby pawianom przynieść.

Gdy krok za krokiem oddalał się od małp, zmiarkował, że coraz łatwiej mu się idzie. Zdobył się na odwagę i przypomniał sobie prawdziwy cel przyjscia tutaj. Natychmiast znowu opadła go niechęć do dalszej drogi, narosła do paniki, ale jej nie uległ. Tak jak na to liczył, bariera oddziaływała najsilniej na granicy. Potrafił przezwyciężyć taki poziom ingerencji -

przypominał mniej więcej to, co czuł niegdyś w Basilice, gdy wraz z Issibem po raz pierwszy spróbowali pokonać bariery Nadduszy i myśleć o zakazanych tematach.

A może odczuwam to źle, bo bariera zdążyła już mnie odepchnąć? Może zostałem pokonany i o tym nie wiem?

Jestem wewnątrz czy na zewnątrz? - zapytał Nadduszy.

Odpowiedziała mu głucha cisza.

Przeszedł go dreszcz grozy. Naddusza nie widział tego obszaru, a więc on, przekraczając granicę, zniknął z pola widzenia komputera.

Raptem przyszło mu na myśl, że może właśnie dlatego siła oporu była teraz lżejsza. Możliwe że bez wiedzy Nadduszy bariera sprzęgła swą siłę z jego mocą - na granicy. Tutaj zaś, gdzie nie sięgał wzrok Nadduszy, bariera mogła wykorzystać jedynie własną energię i dlatego łatwiej było się nie poddać.

To wydało się Nafaiowi sensowne, więc utrzymał kierunek na wschód, ku centrum Vusadki.

Czy też zmierzał raczej na północ? Raptem bowiem, gdy wdrapał się na grzbiet wzgórza, jego oczom ukazał się krajobraz całkiem martwy. Wyglądało to tak, jakby niespełna pięćdziesiąt metrów dalej ktoś zbudował niewidzialny mur. Po jednej stronie dominowała bujnie zielona kraina Dostatok, a po drugiej - jałowa pustynia. Za tą linią nie było ani jednego ptaka, ani jednej jaszczurki, ani jednego chwastu, niczego, co nosiłoby w sobie choćby pierwiastek życia.

To wydawało się aż nazbyt sztuczne. Musiała to być oznaka innego rodzaju bariery, kolejnej granicy, takiej, która broniła dostępu wszelkim formom życia. Może nawet uśmiercała wszystko, co przez nią przechodziło. I niby ja mam zaryzykować?

Jest tu gdzieś jakieś wejście czy coś? - zapytał Nadduszy.

Żadnej odpowiedzi.

Ostrożnie zbliżył się do bariery. Gdy był już dość blisko, wyciągnął rękę.

Była niewidoczna, ale namacalna - poczuł, że prześlizgiwała się po wnętrzu dłoni, jakby była śliska i w bezustannym ruchu. Ta namacalność była pocieszająca - jeśli bariera powstrzymuje żywe stworzenia, blokując im możliwość przejścia, to może nie ma do dyspozycji żadnego śmiertelnośnego mechanizmu.

Czy zdołam przejść? Jeśli ludzie nie mogą przejść przez tę granicę, to czemu miano by kłopotać się z ustawieniem tej mentalnej bariery tak daleko stąd? Pewnie, to mógł być po prostu sposób, by powstrzymać ludzi przed zobaczeniem tej wyraźnej granicy i dorobieniem do tego popularnej legendy, wzbudzającej niepotrzebne zainteresowanie. Ale równie możliwe

że barierę awersji pomyślano tak, by trzymać zwykłych ciekawskich z daleka, by tylko zdeterminowany człowiek mógł pokonać tę fizyczną barierę. Jedna zapora dla ludzi, daleko stąd, a druga dla zwierząt, tutaj. Brzmiało sensownie.

Rzecz jasna, nie było gwarancji, że skoro to wydawało się sensowne Nafaiowi, będzie miało cokolwiek wspólnego z rzeczywistością. Przez chwilę zastanawiał się nawet, czy powrócić do Dostatoku i poinformować innych o swych dotychczasowych ustaleniach, by mogli przejrzeć Indeks w poszukiwaniu jakiegoś zmyślnego sposobu na przekroczenie bariery.

Jednakże właśnie ta myśl o powrocie do Dostatoku mogła być oznaką, że bariera gmera w jego umyśle, próbując sprawić, by szukał wymówek do odejścia. I niewykluczone że bariera posiada jakąś inteligencję i zdolność do uczenia się, a w takim razie nie udałoby mu się ponownie jej zwieść, koncentrując się na chęci nakarmienia pawianów zamiast na prawdziwym zamiarze przedostania się na drugą stronę. O nie, chcąc nie chcąc, był sam i to do niego należała decyzja.

To cię zabije.

A cóż to było? Czyżby Naddusza odezwał się w jego umyśle? Względnie bariera? Czy tylko własny strach? Gdziekolwiek doszukiwać się źródła, Nafai wiedział, że miał powody do obaw. Za barierą nic nie żyło - na pewno nie bez przyczyny. Czemu miałby się łudzić, że będzie wyjątkiem, jedyną żywą istotą zdolną ją przekroczyć? W momencie postawienia tej bariery po obu jej stronach musiały rosnąć rośliny, a nawet jeśli była nie do pokonania, życie powinno rozwijać się za nią. Niewykluczone że czterdzieści milionów lat ewolucji doprowadziłoby do zróżnicowania flory i fauny po obu stronach, ale wewnątrz powinno było się rozwijać życie, czyż nie? Sama izolacja nie mogła wytrzebić całego życia z tak okrutną drobiazgowością.

To cię zabije.

Może i tak, pomyślał z przekorą. Może i umrę. Ale Naddusza przyprowadził nas tutaj w określonym celu - by zabrać nas na Ziemię. I choć Naddusza nie potrafił myśleć wprost o Vusadce, niemniej Vusadka musiała być powodem, dla którego Naddusza przywiódł ich tutaj, tak blisko niej. A zatem, tym czy innym sposobem, musimy przedostać się przez tę barierę.

Tyle że jestem tu tylko ja. I bardzo możliwe że nikogo tu nigdy nie będzie, jeśli nie podołam zadaniu już teraz. Jeśli mi się nie powiedzie, to nic nie szkodzi, wtedy spróbujemy poszukać innej drogi. A jeśli uda mi się przekroczyć barierę i coś mnie uśmierci, zanim zdołam wyjść, fakt, że nigdy nie powrócę, posłuży za ostrzeżenie dla reszty, że muszą zachować większą ostrożność, próbując się tu dostać.

Nigdy nie powrócę...

Pomyślał o swych dzieciach - cichej, bystrej Chveyi, Zhatvie, mądrym i miłosiernym, niesfornym Motidze, pogodnej Izuchayi i dwóch małych bliźniakach, Serpie i Spelu. Czy mogą ich osierocić?

Mogę, jeśli muszę. Mogę, bo będzie z nimi Luet. Oraz Shuya i Issya, którzy jej pomogą, a także ojciec i matka. Mogę ich opuścić, jeśli muszę, bo to i tak lepsze niż wrócić do domu, nie wypełniwszy misji naszego życia z tak błahego powodu jak obawa przed własną śmiercią.

Nacisnął na barierę. Nie ustąpiła. Im mocniej napierał, tym bardziej zdawała się ślizgać pod dłoń. Pomimo tego złudzenia śliskości ręka nie zsuwała się ani w prawo, ani w lewo, w górę ani w dół. Gdy napierał, nie zdołał przesunąć ręki po powierzchni, choć wydawało się, że ta niewidzialna tafla żywiołowo przemieszcza się w każdym kierunku pod jego ręką.

Odsunął się, podniósł kamień i wysokim łukiem rzucił w stronę bariery. Kamień uderzył w niewidzialny mur, na chwilę się zatrzymał, a potem z wolna osunął ku ziemi.

To wcale nie żaden mur, zmiarkował Nafai, skoro może pochwycić kamień, a potem pozwala mu się ześlizgnąć. Ciekawe, czy to coś potrafi wyczuć, co w nie uderzyło, i reagować odmiennie na kamienie i, powiedzmy, ptaki?

Podniósł grudkę darni. Z zadowoleniem stwierdził, że znalazło się w niej kilka pędraków i dżdżownica. Cisnął nią w stronę bariery.

I ona utknęła na chwilę, a potem zaczęła opadać. Ale nie wszystko w takim samym tempie. Najpierw opadła ziemia gładko oddzielona od korzeni. Następnie materia organiczna. Na końcu robaki.

Ta bariera potrafi rozpoznać, co w nią uderza, pomyślał Nafai. Potrafi odróżnić żywe od martwego czy nieożywionego, zwierzę od rośliny. Człowieka od nieczłowieka chyba też?

Jak bariera oceni jego ubranie? Jak w ogóle wyczuwa naturę rzeczy, które w nią uderzają? Może jeszcze zanim jej dotknął, poznała, że jest człowiekiem. Ale istniało też prawdopodobieństwo, że ubranie ukrywało jego człowieczeństwo. Inna sprawa oczywiście, że nie mógł mieć pewności, czy to dobrze, czy źle.

Ponownie podniósł kamień - tym razem nie rzucił nim po wysokim łuku, ale cisnął z całej siły. I znów kamień zatrzymał się na barierze.

Nie, utkwiał w barierze. Nafai się upewnił, macając dłońmi po obu stronach zsuwającego się kamienia.

Odpasał procę, umieścił kamień w miseczce, rozkręcił energicznie i posłał pocisk w

stronę bariery.

Kamień utkwił, przez chwilę sterczał w miejscu, a potem opadł wewnątrz bariery.

Przeleciał na drugą stronę! Nadałem mu dość rozpędu i przecisnął się. Bariera go spowolniła, omalże nie dał rady, ale zachował dość impetu, by przewyciężyć siłę oporu. I co z tego? Nie mogę cisnąć sobą z podobną siłą. A nawet gdyby, impet uderzenia by mnie zabił.

Może bariera traktuje ludzi na innych zasadach. A nuż, jeśli wystarczająco się do tego przyłożę, pozwoli mi przejść.

Och tak, na pewno, ty głupcze. System barier ustawiono po to, by uniemożliwić dostęp ludziom, a więc na pewno pozwoli ci przejść! Puknij się w ten swój zakuty łeb.

Nafai oparł się plecami o barierę, by pomyśleć. Po kilku chwilach z zaskoczeniem stwierdził, że się osuwa w kierunku ziemi. A raczej jego ubranie jęło się ześlizgiwać, z rozpędu ciągnąc w dół i jego. Bariera nie zrobiła nic podobnego z jego rękoma. Gdy dotknął jej nagą skórą, pozwoliła mu pozostać w miejscu i w ogóle nim nie poruszyła.

Z wysiłkiem odepchnął się od niewidzialnej ściany. Ale bariera nie puściła ubrania, uchwyciła je tak jak wcześniej kamienie, ziemię, darń i robaki. A zatem rzeczywiście inaczej podchodzi do ludzi, zmiarkował. Ta ściana naprawdę potrafi odróżnić mnie od mojego ubrania.

Pod wpływem impulsu zrzucił z siebie tunikę, obnażając ramiona. Potem zamachnął się i z całej siły uderzył w barierę. Pięść zapiekła, jakby uderzył w ceglany mur, ale przedostała się do wewnątrz.

Przedostała się! Była po drugiej stronie bariery, tak jak kamień wystrzelony z procy. A tam, gdzie jego ramię wystawało poza barierę, nie czuł nic niezwykłego. Bez trudu mógł rozluźnić pięść i poruszać palcami, a choć powietrze było tam zimniejsze, nie odczuwał bólu, zniekształceń ani żadnych oczywistych problemów.

Czy zdołam dosłownie pójść za ciosem i w całości przedostać się na drugą stronę?

Naparł silnie i udało mu się powoli wsunąć rękę aż po ramię. Gdy jednak piersią dotknął bariery, zablokował się. A kiedy okręcił się pod lepszym kątem, jego głowa przylgnęła do bariery i zatrzymała się w miejscu.

Czy tak tu zostanę już na wieki - na połę wewnątrz, na połowy na zewnątrz?

Przestraszony pociągnął, a ręka wyszła bez większego trudu. Czuł pewien opór, ale nic bolesnego i nic nie naciskało na skórę, by go powstrzymać. Jedna chwila i całkiem się oswobodził.

Obmacał rękę, która znalazła się po drugiej stronie, i nie wyczuł, by stało się jej coś złego. Cokolwiek hamowało rozwój życia po drugiej stronie, nie zabiło go. Jeszcze go nie

zabiło. Jeśli to trucizna, nie powodowała natychmiastowej śmierci, a z pewnością nie zabijała sama bariera.

Przeanalizował, czego nauczył się dzięki swym doświadczeniom. Ta ściana przyjmowała tylko nagą skórę. Musiał uderzyć w nią z niemałą siłą. A jeśli chciał się przez nią przecisnąć, musiał naprzeć całym ciałem.

Zdjął resztę ubrania, starannie je złożył na łuku i strzałach, przycisnął stosikiem kamieni, by nie zdmuchnął ich wiatr. Liczył na to, że jeszcze mu się przyda.

Przez chwilę rozważał, czy nie rzucić się twarzą do przodu, ale nie podobał mu się ten pomysł - uderzenie w barierę pięścią przypominało tłuczenie o mur, więc nie była przyjemna myśl o zderzeniu się z nim głową. Albo krocem. Zresztą jego wcześniejsze próby i tak przypominały walenie głową w mur, więc można uznać, że tego już próbował.

Inna sprawa, że rzucenie się na mur plecami też nie wydawało się mądrym posunięciem, ale cóż, jednak lepszym.

Przemierzył spory kawałek wzdłuż krawędzi bariery, aż doszedł do miejsca, gdzie znajdowało się dość strome wzgórze. Wszedł na górę, a potem, po kilku głębszych oddechach i wyszeptanym pożegnaniu z rodziną, pognął w dół na złamanie karku. Blisko muru odbił się z jednej stopy i skoczył skrecony w dzikim obrocie, pomyślanym tak, by na płask uderzyć w barierę.

Ale to, co osiągnął, nijak się miało do zamiarów. Przez barierę pierwsze przeszły pośladki, potem uda i tułów aż do ramion. Ręce i głowa pozostawały na zewnątrz, choć nogi właśnie przedarły się i dotknęły kamienistej ziemi po drugiej stronie. Bolały go pięty, ale miał większe zmartwienia, bo oto utknął tułowiem i nogami wewnątrz, a głową i rękami na zewnątrz.

Muszę wydrzeć się z powrotem, pomyślał, i spróbować ponownie.

Za późno. Tuż przed tym, gdy zupełnie przestał się ruszać, ramiona przeszły przez barierę. Głowa pozostawała na zewnątrz, a broda i uszy zdawały się niechętne do przejścia. Gorzej, nie mógł nawet popchnąć rąk do końca za barierę, bo potrzebował całej masy ciała, by je tam wciągnąć, co uniemożliwiała mu wisząca na barierze broda.

To z pewnością najgłupszy sposób na samobójstwo, jaki ktokolwiek kiedykolwiek sobie obmyślił, pomyślał z przekąsem.

Nie zapominaj o swym kształcie, upomniał się w duchu. Nie zapominaj o anatomii. Broda sterczy pod zbyt ostrym kątem od głowy, bym zdołał ją łatwo przecisnąć, ale na wierzchu głowy znajduje się gładka krągłość. Jeśli tylko zdołam wysunąć brodę do przodu i odrzucić głowę do tyłu... przy założeniu że w trakcie nie pouryvam sobie uszu... ale przecież

są elastyczne, co nie?

Powoli, z mozołem, przekrzywił głowę do tyłu i poczuł, że się przeciska. Uda mi się, pomyślał. A potem z rękami poradzę sobie już bez trudu.

Miał zamiar przepchnąć ręce od razu, chwilkę odsapnąwszy, ale gdy odpoczywał, dysząc z wysiłku, zmiarkował, że potrzeba oddychania jedynie się wzmogła, stawała się niemal desperacka. Dusił się, choć łykał dziwnie pachnące powietrze wielkimi haustami.

Dziwnie pachnące powietrze, suche i zimne, pozbawione tlenu. Narastał w nim paniczny strach przed uduszeniem, a jednocześnie uświadomił sobie to, czego powinien domyślić się już na początku: wewnątrz bariery nic nie żyło, bo brakowało tam tlenu. Było to miejsce pomyślane tak, by wyeliminować wszelkie procesy rozkładu, a większość z nich wiązała się z obecnością tlenu lub tlenu połączonego z wodorem, czyli wody. Nie mogło tu istnieć żadne życie, a zatem także drobnoustroje; woda nie mogła się tu skraplać, zamarzać czy płynąć; nie mogło zachodzić utlenianie metali. A jeśli atmosfera nie podtrzymywała także beztlenowych form życia, to wewnątrz bariery niewiele mogło powodować rozkład, z wyjątkiem promieni słonecznych, promieniowania kosmicznego i rozpadu atomowego. Tę barierę ustawiono dla ochrony wszystkiego w jej wnętrzu przed zniszczeniem, by przetrwało czterdzieści milionów lat.

To nagle zrozumienie racji istnienia bariery nie stanowiło jednak żadnego pocieszenia. Nafai już nie myślał racjonalnie. Z tego, iż nie mógł oddychać, zdał sobie sprawę dopiero wtedy, gdy ręce, wciąż sterczące po drugiej stronie, jeły młócić powietrze. Znalazł się jednak w dokładnie takim samym położeniu jak wcześniej, gdy tylko jedna ręka wystawała poza barierę. Udało mu się przepchnąć rękę głębiej, lecz gdy dotknął bariery twarzą i piersią, nie mógł się dalej poruszyć.

Oszalały ze strachu, tłukł głową w barierę, ale nie miał dostatecznej siły nacisku - nawet pomimo paniki - by nabrać wystarczającego impetu do przecięnięcia twarzy ku ożywczemu powietrzu. Naprawdę czekała go śmierć. A mimo to wciąż walił głową o barierę, raz po raz, mocno.

Możliwe że ostatnie uderzenie go zamroczyło; a może po prostu osłabł z niedoboru tlenu albo stracił równowagę. Runął do tyłu. Jego upadek zahamował opór bariery, ręce przeciskały się poprzez niewidzialny mur.

Dobra nasza, pomyślał Nafai. Teraz wystarczy tylko dostać się tam, na wzgórze, pędem zbiec ze zbocza i ponownie się przedrzeć przez barierę, tylko teraz najpierw twarzą. Nawet nie zdążył do końca pomyśleć o tym entuzjastycznym planie, a już wiedział, że nie wypali. Za dużo czasu stracił na przedostanie się tutaj - wykorzystał zbyt dużo tlenu w swoim

ciele, nie zdoła wspiąć się na wzgórze i pobiec w dół, zanim straci przytomność.

Ręce się uwolniły i Nafai opadł w tył na skalistą ziemię.

Musiał zderzyć się z nią bardzo mocno, bo dla niego brzmiało to jak grzmot. Wtem jego ciałem szarpnął silny podmuch, unosząc go, turlając, przekręcając.

Nafai zaczerpnął powietrza z wiatru i poczuł, że jakimś cudem wrócił mu dech w piersiach. To tlen, dostaję tlen. Dostał w prezencie też kilka siniaków, gdy wiatr rzucał nim w tę i we w tę. Na kamienie. Na trawę.

Na trawę!

Wiatr osłabł i Nafai rozwarł powieki. Trochę potrwało, zanim odzyskał orientację. Jednak, skoro leżał na trawie, wiedział, że znalazł się poza barierą. Czy zatem ten wiatr był kolejnym mechanizmem obronnym, wyrzucającym intruzów poza granice tej strefy? Siniaki potwierdzałyby taką interpretację. Dostrzegł jednak kilka wirów piaskowych szalejących w pewnej odległości, daleko w głębi pustkowia.

Wstał i podszedł do bariery. Wyciągnął rękę, ale bariery tam już nie było. Zniknęła.

A więc stąd ten wiatr. Powietrze, rozdzielone przez czterdzieści milionów lat, nagle ponownie się mieszało. Najwyraźniej po obu stronach bariery panowało inne ciśnienie. To niemal jak przebicie balonu, a jego wyrzuciło w górę niczym kawałek balonowej skórki.

Tylko czemu bariera zniknęła?

Bo człowiek przeszedł przez nią w całości. Bo gdyby nie opadła, zginąłbyś marnie.

Dla Nafaia brzmiało to podobnie jak głos Nadduszy w głowie.

Tak, jestem tu, przecież mnie znasz.

To ja unicestwiłem barierę?

Nie, ja to zrobiłem. Jak tylko przedostałeś się na drugą stronę, system graniczny poinformował mnie, że jakiś człowiek przeniknął przez zaporę. Ni stąd, ni zowąd stałem się świadomy części mnie samego, które były przede mną ukryte przez czterdzieści milionów lat. Wtedy dostrzegłem wszystkie bariery, w mig pojąłem całą ich historię, zrozumiałem ich cel i sposób działania. Gdybyś okazał się jakimś wyjątkowo zdeterminowanym intruzem, którego byśmy tu nie chcieli, przekazałbym systemom granicznym, by pozwoliły ci umrzeć; wówczas ponownie by się przede mną ukryły. Tak się zdarzyło dwukrotnie przez te wszystkie wieki. Ale właśnie ciebie chciałem tu przyprowadzić, więc bariera spełniła swe zadanie. Na mój rozkaz opadła i dostarczono tlen tobie, a w rezultacie całemu temu miejscu.

Jestem dogonnie wdzięczny, rzekł Nafai szczerze.

A to oznacza, że procesy rozkładu ponownie zagoszczą tutaj. Nie żeby już wcześniej wszystkie udało się zahamować. Bariera broniła dostępu najbardziej szkodliwemu

promieniowaniu, ale nie całemu. Trochę rzeczy jednak podniszczało. Nic tutaj nie miało przetrwać aż tak długo. Teraz jednak, gdy mogę znaleźć samego siebie, zamiast na każdym kroku odbijać się od blokad systemu granicznego, może uda mi się odkryć źródło zapętlenia. Albo uda się to Zdorabowi i Issibowi - nawet w tej chwili znajdują się przy Indeksie, a z chwilą, gdy przekroczyłeś granicę, blokady opadły i dla nich. Dopiero co pokazałem im wszystko, co zrobiłeś, a teraz przeszukują nowe obszary pamięci, które się otworzyły przed nami wszystkimi.

A zatem udało mi się! - ucieszył się Nafai. Skończyłem! I na tym koniec.

Nie opowiadaj głupstw. Przedostałeś się przez barierę. To dopiero początek naszych trudów. Chodź do mnie, Nafaiu.

Do ciebie?!

Tam, gdzie jestem. W końcu siebie znalazłem, choć do tej pory nie byłem w stanie nawet myśleć o poszukaniu samego siebie. Chodź do mnie, czekam za tymi wzgórzami.

Nafai najpierw rozejrzał się za swoim ubraniem i znalazł je w rozsypce - wichura rzucająca nim jak szmacianą lalką zdmuchnęła szaty spod kamieni. Najbardziej potrzebował obuwia, by podjąć się wędrówki przez kamienistą ziemię. Ale chciał znaleźć też resztę przyodziewku - w końcu wcześniej czy później musi wrócić do domu.

Mam tu szaty czekające na ciebie. Chodź do mnie.

Idę, już idę, tylko pozwól mi włożyć buty.

Wciągnął też bryczesy, a w biegu także tunikę. Poszukał łuku - rozglądał się za nim dłuższą chwilę. Znalazł połamany. Dobrze, że wichura nie zrobiła tego samego z jego kośćmi.

W końcu ruszył w stronę, którą Naddusza pokazał mu w umyśle. Szedł z pół godziny - nie spieszył się, bo cały był obolały. Ostatecznie jednak wspiał się na ostatnie wzgórze i popatrzył w dół na idealnie okrągłą misę doliny, o średnicy jakichś dwóch kilometrów. W samym środku nad ziemią górowało sześć ogromnych budowli.

W mgnieniu oka w jego głowie zaświtało zrozumienie: kosmoloty!

Wiedział, że ta informacja pochodzi od Nadduszy, podobnie jak wiele związanych z nimi szczegółowych danych. Te budowle były powłokami ochronnymi skrywającymi górną część statków, a nawet wtedy nad ziemię wystawało zaledwie ćwierć długości każdego z nich. Reszta znajdowała się pod powierzchnią, chroniona i połączona z systemami Vusadki. Wiedział, nie musząc sobie tego uzmysławiać, że pozostała część Vusadki również znajduje się pod ziemią - rozległa metropolia elektroniki, niemal w całości przeznaczona do konserwacji Nadduszy. Z samej Nadduszy widać było tylko miseczkowate urządzenia wymierzone w niebo, komunikujące się z satelitami - jego oczami i uszami, jego palcami w

tym świecie.

Przez lata zapomniałem, w jaki sposób siebie zobaczyć, zapomniałem, gdzie jestem i jak wyglądam, mówił Naddusza. Pamiętałem ledwo tyle, by nadać bieg pewnym zadaniom i by przywieźć was tutaj, do Dostatoku. Gdy nie wypełniłem zadania, gdy zacząłem się zapętlać, nie zdołałem sobie pomóc, bo nie wiedziałem, gdzie szukać przyczyny. A teraz Zdorab, Issib i ja dostrzegliśmy to miejsce. Moja pamięć uległa uszkodzeniom - czterdzieści milionów lat rozkładu atomowego i promieniowania kosmicznego odcisnęły swe piętno. Redundancja mych systemów równoważyła większość z nich, z wyjątkiem uszkodzenia wśród podstawowego oprogramowania, którego nie mogłem nawet przeanalizować, bo było przede mną ukryte. Straciłem zdolność kontroli nad moimi robotami. Nie zbudowano ich z myślą o tak długim istnieniu, nawet w atmosferze beztlenowej. Roboty przekazywały mi raporty, że ukończyły kompletny przegląd zabezpieczeń systemów wewnątrz bariery, ale gdy próbowałem otworzyć granicę, system odmówił, bo nie ukończono przeglądu. Toteż zainicjowałem ponowny przegląd, roboty znów przekazały mi raport o ukończeniu i tak w kółko. A nie udało mi się odnaleźć pętli w programie, ponieważ to wszystko było na niższym poziomie - tak jak u ciebie bicie serca. Nie, nawet mniej zauważalne. Raczej jak produkcja hormonów przez gruczoły w twoim organizmie.

A co by się stało, gdybyś jednak zdołał się wyswobodzić z tej pętli? - zapytał Nafai.

Gdybym potrafił się odnaleźć, rozpoznałbym problem i bezzwłocznie cię tu przywiódł.

To znaczy, że mogłeś wyłączyć barierę?

Nie powinienem mieć takiej potrzeby. Wyłączenie jej od początku leżało w twojej mocy. Do tego właśnie służy Indeks.

Indeks?!

Gdybyś zabrał z sobą Indeks, nie napotkałbyś oporu, żadnej mentalnej awersji, a gdy dotknąłbyś Indeksom bariery fizycznej, sama z siebie stopniowo by znikła, a tym samym uniknęlibyśmy wiatru, który nie przyniósł nam pożytku, gdyż jedynie wzbił w powietrze tumany kurzu.

Nie mówiłeś nam, że Indeks to potrafi.

Sam tego nie wiedziałem. Nie mogłem wiedzieć. Wiedziałem tyle, że ten, kto zbliża się do kosmolotów, musi mieć z sobą Indeks. Wtenczas, po ukończeniu przeglądu zabezpieczeń, system graniczny wszystko by przede mną odsłonił i zrozumiałbym, co było potrzebne, i mógłbym ci powiedzieć, co należało zrobić.

A zatem to, że o mały włos nie udusiłem się na śmierć, a potem wiatr posiniaczył mnie na całym ciele, nie było głupim marnotrawstwem całkiem porządnego strachu, zadrwił Nafai.

Okupione znojem przedarcie się tutaj było jednym sposobem na to, bym wydostał się z pętli. Zapoznałem się z zapisami pamięci systemu granicznego i jestem pełen uznania dla twego pomysłu wykorzystania pawianów, by dostać się do środka.

Nie ty pokazałeś mi to we śnie? Że powinienem podążyć za pawianem przez barierę?

Sen? Och, teraz sobie przypominam, że śniłeś. Nie, to nie moja sprawa.

A zatem Opiekuna Ziemi, tak?

Czemu zawsze doszukujesz się jakiegoś zewnętrznego źródła? Czy nie sądzisz, że twoja podświadomość jest zdolna od czasu do czasu przynieść ci prawdziwy sen? Nie chcesz przyznać przed samym sobą, że własnemu umysłowi zawdzięczasz rozwiązanie tego problemu?

A zatem ja tego dokonałem! - Nafai nie potrafił opanować radosnego śmiechu.

Tak, to ty. Ale jeszcze nie dokonałeś. Chodź do mnie, Nafaiu. Mam dla ciebie pracę i narzędzia, którymi ją wykonasz.

Nafai różnym krokiem zszedł ze wzgórza ku dolinie Vusadki. Ku miejscu, gdzie pierwsze ludzkie stopy zetknęły się z Harmonią, gdzie pierwsi osadnicy umieścili komputer, który miał za zadanie chronić ich potomków przed samozniszczeniem w ciągu tak wielu lat, że im ta ochrona musiała się wydawać wieczna.

Ale nie będzie wieczna. Już zdążyła osłabnąć i wciąż zamierała. A teraz Nafai przechadzał się pomiędzy kosmolotami, pierwsza istota ludzka krocząca po ich śladach. Cokolwiek Naddusza chciał, by teraz zrobił, spełni to zadanie, a wtedy ludzie powrócą na Ziemię.

Gwiezdny sternik

Volemak i Rasa zwołali zebranie dorosłych, jak tylko Zdorab i Issib skończyli relację o tym, czego dowiedzieli się z Indeksu. Już dawno nie urządzono takiego spotkania w sprawie, o której Elemak zawczasu nie wiedział. I to go martwiło. W pewnym stopniu to go przerażało, ale nie potrafił pogodzić się z samą ideą strachu, więc uznał to za gniew. Gniewał się, że zwołano zebranie bez jego wiedzy, że ojciec z wyprzedzeniem nie zasięgnął u niego porady. To mu zasugerowało, że za tym spotkaniem stała Rasa, że kobiety postanowiły dorwać się do władzy i celowo wyłączyły go z gry. Pewnego dnia stara raszpla przeciągnie strunę, pomyślał Elemak, a wtedy się dowie, jak smakuje prawdziwa władza - i że ona jej nie posiada.

Przez taki właśnie filtr interpretacyjny przepuścił Elemak poranne wieści. Chveya i Luet miały sen... ach, no jasne, kobiety próbują wyraźnie zaakcentować swe duchowe przywództwo, wodna wieszczka i jej bez wątpienia dobrze wyszkolona córuchna chcą podstępem odzyskać palmę pierwszeństwa, którą Luet dzierżyła niegdyś w Basilice. A tu jeszcze się okazuje, że Nafai, Issib i Zdorab poszukali pewnych informacji w Indeksie i Nafai - no jasne, kto inny, jeśli nie mąż Luet, pupilek Nadduszy? - odnalazł sekretne miejsce, na które nikt nie natknął się podczas wszystkich polowań. Co za bzdura! On sam przemierzył każdą piędź tej krainy podczas swoich wypraw łowieckich - nie było żadnego ukrytego miejsca, ot co.

Tak więc Nafai wyruszył w poszukiwaniu jakiegoś nieistniejącego miejsca i dopiero dziś rano wpadł na sposób ominięcia wszystkich barier. Jak tylko istota ludzka przedarła się do środka, bariera opadła, a Nafai kroczył dumnie między prastarymi kosmolotami, podczas gdy Issib i Zdorab zdołali dowiedzieć się z Indeksu o sprawach, których nikt nie potrafił przewidzieć.

- To jest lądowisko - tłumaczył ojciec. - Mieszkamy teraz na miejscu Pierwszego Miasta, najstarszej ludzkiej osady na Harmonii. Starszej niż Miasta Gwiazd. Starszej niż Basilika.

- Jak tu przyszlismy, nie było żadnego miasta - zauważył Obring.

- Chodzi mi o to miejsce - wyjaśnił ojciec. - Przywróciliśmy ludzkość do punktu

wyjścia. Dzięki nam zatoczyła pełne koło. A w tym momencie Nafai chodzi tam, gdzie praojcowie i pramatki nas wszystkich po raz pierwszy stanęli na Harmonii.

Romantyczne trele-morele, pomyślał Elemak. Nafai równie dobrze może teraz ucinąć sobie smaczną drzemkę, grzejąc zadek w słońcu. Indeks to jedynie narzędzie, za pomocą którego mięczaki w ich grupie próbują ujarzmić mocarzy.

- Oczywiście wiecie, co to oznacza - rzekł ojciec.

- To oznacza - odezwał się Elemak - że z powodu jakichś informacji, które ludzie niemający nic lepszego do roboty rzekomo uzyskali od metalowej kuli, w nasze poukładane życie wkradnie się chaos. Znowu.

Ojciec spojrzał na niego zaskoczony.

- Chaos? A czemu twoim zdaniem tu przyszliśmy, jeśli nie po to, by przygotować się na podróż na Ziemię? Naddusza uwikłał się w pętlę sprzężenia zwrotnego, i tyle, a Nyef go uwolnił. Chaos właśnie dobiegł kresu, Elya.

- Nie udawaj, że nie wiesz, o czym mówię - odciął się Elemak. - Tu wiemy spokojny, dostatni żywot. Pod wieloma względami lepszy, niż mielibyśmy w Basilice, choć Obringowi może trudno w to uwierzyć. Mamy rodziny i dobrze nam się żyje. Pracujemy ciężko, ale jesteśmy szczęśliwi, a tu znajduje się dość przestrzeni, by pomieścić nasze dzieci i dzieci naszych dzieci przez tysiąc lat, a nawet dłużej. Nie grożą nam żadni wrogowie, żadne niebezpieczeństwa z wyjątkiem normalnych nieszczęśliwych wypadków. I powiadasz mi, że to jest ten chaos, a marnowanie czasu na próby dostania się w kosmos to normalna kolej rzeczy? Proszę, nie obrażaj naszej inteligencji.

Elemak widział po twarzach zebranych, kto stoi po jego stronie. Gdy roztaczał przed nimi prawdziwy obraz znaczenia tych ostatnich odkryć, widział, jak Meb, Vas i Obring przytakują z ponurą determinacją, a ich żony przyklasną temu bez gadania. Co więcej, nie umknęło mu, że zdołał zasiać ziarno wątpliwości w umysłach niektórych pozostałych. Szczególnie Zdorab i Shedemei mieli zamysłony wyraz twarzy, nawet Luet wodziła wzrokiem po swych dzieciach, gdy Elemak wspominał, jak spokojny wiedli żywot, że nie groziło im żadne niebezpieczeństwo, że mogli spodziewać się dobrej przyszłości tu, w Dostatoku.

- Nie wiem, co Nafai znalazł ani czy w ogóle coś znalazł - ciągnął Elemak. - Szczerze mam to gdzieś. Nafai to dobry łowca i bystry gość, ale słabo nadaje się do tego, by poprowadzić nas ku jakiemuś strasliwemu niebezpieczeństwu z wykorzystaniem kosmolotów sprzed czterdziestu milionów lat. Moja rodzina i ja nie zamierzamy pozwolić memu małemu braciszкови, by marnował nasz czas w pogoni za mrzonką. Przez to, że Nafai

zamordował Gaballufixa, byliśmy zmuszeni opuścić Basilikę jako wygnańcy, ale to mu już przebaczyłem. Lecz z pewnością nie wybaczę mu, jeśli znów namiesza w naszym życiu.

Elemak zachował obojętny wyraz twarzy, choć wiele wysiłku musiał włożyć w powstrzymanie śmiechu, gdy Luet nieprzekonywająco próbowała oczyścić męża z winy za zabójstwo Gaballufixa. Jej słowa nie miały żadnego znaczenia, Elemak wiedział - jego pierwszy cios był celny. Skompromitował Nafaia. To przez niego musieliśmy uciekać z miasta. I wybaczyliśmy mu to. Ale żadne jego słowo nie zmieni tego, jak tu teraz żyjemy. Elemak podał im sensowne uzasadnienie oporu wobec tej najnowszej machinacji w wykonaniu kobiet i ich męskiej marionetki. Zwycięstwa Elemaka dowodził fakt, że ani ojciec, ani matka - ani nikt inny oprócz Luet - nie spieszył z żadną obroną, a ona dała się uwikłać w drugorzędną kwestię, dlaczego Nafai zabił Gaballufixa. Pomysł z kosmolotami i ukrytymi krainami został zduszony w zarodku.

Aż tu nagle na środek wszedł Oy kib.

- Jak wam wszystkim nie wstyd! - zawołał.

Dojmującą ciszę, jaka nastąpiła po tych słowach, przerwała Rasa.

- Okya, kochanie, dorośli rozmawiają.

- Ty też się wstydź! Czyście wszyscy zapomnieli, że przyszlismy tu dzięki Nadduszy? Czyście wszyscy zapomnieli, że powodem, dla którego przypadła nam w udziale ta rajska kraina, jest fakt, że przygotował ją dla nas Naddusza? Czyście zapomnieli, że tylko dlatego nie stało tu już dziesięć miast, że Naddusza powstrzymywał innych ludzi z daleka? Elemaku, czy ty zdołałbyś odnaleźć to miejsce? Czy domyśliłbyś się, by poprowadzić rodzinę poprzez morze i wzdłuż wyspy aż tutaj?

- A co ty możesz o tym wiedzieć, chłopaczku? - odezwał się Elemak z pogardą, próbując wyrwać panowanie nad sytuacją z rąk tego malca.

- Odpowiedź brzmi: nie - ciągnął Oy kib. - Nikt z was niczego nie wiedział i nikt z nas nie miałby teraz niczego, gdyby Naddusza nie wybrał nas wszystkich i nie przyprowadził tutaj. Nie było mnie jeszcze wtedy na świecie, a teraz jestem tylko dzieckiem, czemu więc ja pamiętam o tym, podczas gdy wy - moi starsi i mądrzejsi bracia i siostry, moi rodzice - o tym zapomnieliście?

Jego piskliwy głosik działał Elemakowi na nerwy. Co tu się wyprawia? Potrafił zneutralizować wszystkich dorosłych, ale nie przewidział, że będzie musiał sobie poradzić także z pomiotem Rasy i Volemaka.

- Siadaj, chłopcze - skarcił Oy kiba. - Wkraczasz na niebezpieczne wody i straciłeś grunt pod stopami.

- My wszyscy straciliśmy - odezwała się Luet. - Ale tylko Oy kib pamięta, jak się pływa.

- Nie wątpię, że przeszkoliłaś go, co ma powiedzieć - zadrwił Elemak.

- No pewnie, jakby ktoś z nas zawczasu wiedział, co powiesz. Choć powinniśmy. Myślałam, że te kwestie ustaliliśmy już dawno temu, ale powinniśmy się domyślić, że ty nigdy nie wyzbędziesz się chorej ambicji.

- Że niby ja?! - wrzasnął Elemak, podrywając się na nogi.

- To nie ja zainscenizowałem tę lipną wizytę w niewidzialnym mieście, o którym dowiedzieliśmy się jedynie z rzekomych relacji pochodzących od metalowej kuli, a które tylko ty potrafisz zinterpretować!

- Połóż rękę na Indeksie - wtrącił ojciec - i słuchaj.

- Nie chcę nic usłyszeć od jakiegoś komputera - bronił się Elemak. - Powtarzam, nie postawię na szali życia i szczęścia moich bliskich z powodu rzekomych poleceń wydawanych przez niewidzialną maszynę, którą kobiety uparcie czczą jak bóstwo!

Ojciec podniósł się na nogi.

- Widzę, żeś skory do zwątpienia - rzekł. - Możliwe że popełniliśmy błąd, dzieląc się dobrą nowiną ze wszystkimi. Może lepiej byłoby poczekać na powrót Nafaia, pójść pospołu do miejsca, które znalazł, i ujrzeć na własne oczy to, co on widział. Ale uznałem, że nie powinniśmy mieć między sobą tajemnic.

- Trochę za późno na szczerość, nie uważasz, ojcze? - wtrącił się Mebbekew. - Sam przyznałeś właśnie, że Nafai przedwczoraj wyruszył z zamiarem odszukania tego ukrytego miejsca, sądząc, że znajdzie je tam, gdzie pierwsi ludzie wyszli na ląd ze swych kosmolotów. A jakoś nie pomyślałeś, by wtedy nam wszystkim o tym powiedzieć.

Ojciec rzucił spojrzenie Rasie, co Elemak uznał za dowód potwierdzający jego podejrzenia. Staruszek tańczy tak, jak mu zagra ta baba. Ona wcześniej nalegała, by zachować to w tajemnicy, a pewnie i odradzała mu wyjawienie tego teraz.

Tak czy owak, przyszedł czas na kolejny ruch - musiał koniecznie odzyskać przewagę, skoro Oy kib podkopał jego autorytet.

- Nie bądźmy niesprawiedliwi. Jedynie słyszeliśmy na temat Nafaia. Nie musimy jeszcze decydować, czy robić cokolwiek. Poczekajmy, aż wróci do domu, wtedy się zobaczy, co i jak. - Odwrócił się do Oy kiba. - A co do ciebie, to duma mnie rozpiera, że mój przedostatni wiekiem brat ma w sobie tyle zapału. Wyrósł na prawdziwego mężczyznę, Oy kibie, a gdy podrośniesz na tyle, by rozumieć pewne kwestie, zamiast ślepo podążać za życzeniami innych, twój głos wzbudzać będzie niemały posłuch, zapewniam cię.

Oykib oblał się rumieńcem - z zażenowania, a nie z gniewu. Był dzieciakiem, posłyszał jedynie wyraźną pochwałę i puścił mimo uszu subtelną przyganę. Tym samym ciebie też rozbiłem w pył, Okya, drogi braciszku, a nawet nie zdajesz sobie z tego sprawy, pomyślał Elemak.

- Proponuję zakończyć to spotkanie - rzekł. - Zbierzemy się znów, gdy Nafai powróci, wyłączając, oczywiście, pomniejsze konspiracyjne spotkania w Domu Indeksu, gdzie to wszystko od początku do końca ukartowano. Nie mam wątpliwości, że te spotkania przeprowadzać się będzie w najlepsze. - Tymi słowami przydał złowieszczonego znaczenia każdej rozmowie z udziałem popleczników Rasy, a tym samym ich osłabił.

Aż mi was szkoda, głupcy! Myśleliście, żeście tacy sprytni, a w końcu stanęliście w szranki z kimś, kto zna kulisy władzy od podszewki. A ponieważ to ja dałem sygnał do zakończenia spotkania i w rezultacie zapowiedziałem kolejne, znacznie przybliżyłem się do celu pozbawienia ojca wszelkiej władzy w Dostatoku. Pozostał ostatni sprawdzian - czy ludzie rzeczywiście się rozejdą, kiedy ja wyjdę. Jeśli spotkanie by kontynuowano jak gdyby nigdy nic, wtenczas musiałbym się bardziej natrudzić, by ustanowić swe przywództwo. Co więcej, utraciłbym dziś przewagę.

Niepotrzebnie się martwił. Meb powstał niemal natychmiast, i wraz z Lal i dziećmi opuścił za Elemakiem grono zebranych; Vas i Obring oraz ich żony również się zerwali, a potem także Zdorab z Shedemei. Spotkanie dobiegło końca, bo Elemak tak postanowił.

Pierwsza runda moja, pomyślał, a zdziwiłbym się, gdyby doszło do kolejnej. Biedny Nafai. Cokolwiek robisz w lesie, wrócisz tylko po to, by się przekonać, że wszystkie twoje knowania i plany diabli wzięli. Naprawdę myślałeś, że możesz się ze mną zmierzyć na odległość i wygrać?

*

Żadnego napisu, żadnego znaku, żadnych wskazówek.

Nikt tu nie potrzebuje wskazówek, tłumaczył Naddusza. Tutaj jestem zawsze przy tobie, pokazuję ci to, co powinieneś wiedzieć.

- I im to było na rękę? Wszystkim? - nie dowierzał Nafai. Szedł przez sterylne, niezakurzone kładki i korytarze, zmierzając w dół, ku trzewiom ziemi.

Znali mnie. Stworzyli mnie, zaprogramowali. Wiedzieli, co potrafię. Uważali mnie za... swą bibliotekę, uniwersalną instrukcję obsługi, zapasową pamięć. W tamtych czasach wiedziałem tylko tyle, ile mnie nauczili. Teraz mam za sobą czterdzieści milionów lat doświadczeń z istotami ludzkimi, zdążyłem już wyciągnąć własne wnioski. Ongiś byłem bardziej zależny od nich - odzwierciedlałem ich wyobrażenie świata.

A ich wyobrażenie było skrzywione?

Nie rozumieli, jak wiele ich zachowań wynikało z instynktów zwierzęcych, a nie z pobudek racjonalnych. Zdawało im się, że pokonali zwierzę w sobie i że z moją pomocą ich potomkowie wyrugują je w ciągu kilku pokoleń... albo kilkuset. Ich wyobrażenia sięgała daleko, lecz żadna istota ludzka nie jest w stanie przewidzieć wydarzeń w aż tak odległej przyszłości.

Ale byli dobrymi konstruktorami.

Dobrymi, lecz nie idealnymi. Ucierpiałem na skutek czterdziestu milionów lat promieniowania kosmicznego i jądrowego, co spustoszyło pokaźne zasoby mojej pamięci. Posiadam rozległe systemy redundantne, przeto moje archiwa nie poniosły znaczących strat. Nawet w swoim oprogramowaniu monitorowałem wszelkie zmiany i wprowadzałem korekty. Nie mogłem jednak nadzorować obszaru ukrytego przede mną. Gdy więc działające tam programy uległy procesom zniszczenia, nie mogłem tego wiedzieć i zrównoważyć ubytków. Nie mogłem skopiować tych obszarów i ich zrekonstruować.

A zatem wcale nie planowali aż tak zmyślnie, skoro te programy znajdowały się w samym środku twego rdzenia.

Nie oceniaj ich zbyt surowo. Nie przyszło im do głowy, że minie choćby milion lat, zanim potomkowie ich potomków nauczą się żyć w pokoju i zasłużą na to, by tu wejść i dogłębnie poznać zaawansowane technologie. Jakże mogli przypuszczać, że przez wieki, przez tysiąclecia ludzie na Harmonii w ogóle nie nauczą się żyć w pokoju, nigdy nie zaprzestaną prób zdominowania siebie nawzajem? Nie miałem pilnować dostępu do tego miejsca nawet przez milion lat, co dopiero przez czterdzieści milionów. A zatem zbudowali mnie całkiem dobrze - skazy i awarie w moim sekretnym rdzeniu nie okazały się zgubne w skutkach, czyż nie? W końcu do mnie dotarłeś.

Nafai przypomniał sobie, jakie przerażenie go ogarnęło, gdy nie mógł zaczerpnąć powietrza, i nie był pewien, czy konstruktorzy nie przedobrzyli.

A gdzie ty jesteś? - zapytał.

Wszędzie wokół ciebie.

Rozejrzał się, ale nie zauważył nic szczególnego.

Te czujniki tam, na suficie - za ich pomocą cię teraz widzę i słyszę, ale nie tracę zdolności widzenia twymi oczami i słyszenia twych słów, zanim je wypowiesz. Za tymi wszystkim ścianami znajdują się rzędy, szeregi nośników pamięci statycznej - co w sumie tworzy mnie samego. Podobnie jak maszynyerpompująca powietrze przez te podziemne korytarze.

Do czego jestem ci w ogóle potrzebny?

To ty wyrwałeś mnie z zapętlenia, otworzyłeś mi oczy na me własne serce i jeszcze pytasz?!

Do czego jestem ci potrzebny teraz?

Potrzebuję każdego z was, ponieważ Opiekun zesłał wam sny. Opiekun was oczekuje, toteż was do niego poślę.

Do czego ja ci jestem potrzebny? - zapytał Nafai, bo chciał w końcu uzyskać konkretną odpowiedź.

Moje wszystkie roboty kontrolował pewien zakres w pamięci, który stał się zupełnie zawodny. Niedawno je wyłączyłem, bo składały mi błędne raporty. Żaden z tych sześciu statków nie ma w pełni sprawnej pamięci. Potrzebuję cię, byś zebrał i przetestował pamięć we wszystkich częściach tych statków i zgromadził całą dobrą pamięć w jednym miejscu aż stworzymy jeden idealny statek. Sam nie mogę tego zrobić - nie mam rąk.

A więc mam zastąpić ci uszkodzone maszyny.

Potrzebny mi jesteś też do pilotowania gwiazdolotu.

Tylko mi nie mów, że sam nie możesz tego zrobić.

Twoi przodkowie nie pozwalali, by gwiazdoloty przeszły całkowicie pod kontrolę komputerów takich jak ja. Na każdym statku musi być gwiazdny sternik, by wydawać rozkazy. Ja będę je wypełniał, ale statek będzie należał do ciebie. Ja będę należał do ciebie.

Ja się nie nadaję, odparł Nafai. To się należy ojcu.

Volemak tutaj nie przyszedł. Nie on pokonał barierę.

Zrobiłby to, gdyby wiedział.

Wiedział nie mniej od ciebie. Ale ty postanowiłeś działać. Nic nie dzieje się przypadkowo, Nafaiu. To nie zbieg okoliczności, że ty tu jesteś, nie kto inny. Gdyby Volemak odnalazł to miejsce i dostał się do środka, ryzykując własne życie, wtedy on zostałby sternikiem. Albo Elemak, albo Zdorab - ktokolwiek by tu przyszedł. A przyszedłeś ty. Tobie się należy ta funkcja.

Nafaiomalże nie odparł, że się bez tego obejdzie. Ale wtedy by skłamał. Pragnął tego z całego serca. Być wybranym przez Nadduszę na pilota gwiazdolotu, mimo że nie miał pojęcia o pilotowaniu czegokolwiek, to byłoby cudowne. Czekwały go chwala i zaszczyty tak wielkie, że w porównaniu z nimi błędy wszystkie marzenia dzieciństwa.

W takim razie zgoda, o ile pokażesz mi, co robić.

Nie podołasz bez narzędzi. Mogę ci dać część z nich i nauczyć cię, jak sporządzić resztę. Ale i tak nie podołasz bez pomocy.

Pomocy? W czym?

Trzeba przenieść tysiące płytek pamięci ze statku do statku. Zestarzejesz się i umrzesz, jeśli spróbujesz dokonać tego w pojedynkę. Wszyscy z osady będą musieli pracować razem, jeśli zamierzamy przysposobić do lotu jeden niezawodny statek zawierający całą pamięć, którą muszę dostarczyć Opiekunowi Ziemi.

Nafai próbował wyobrazić sobie, że Elemak wykona jakąś pracę pod jego kierownictwem, i ryknął śmiechem.

Lepiej wyznacz innego przywódcę. Za mną nie pójdą.

Pójdą.

Wygląda na to, że jednak nie rozumiesz ludzkiej natury, odparł Nafai. Żyliśmy w pokoju przez wszystkie te lata tylko dlatego, że nie wybiegałem za bardzo przed szereg, przynajmniej względem Elyi. Jeśli ni stąd, ni zowąd powrócę i oświadczę im, że jestem gwiazdnym sternikiem i muszą pomóc mi poskładać gwiazdolit...

Zaufaj mi.

No tak. Zawsze ci ufałem. I co mi z tego przyszło?

Otwórz drzwi.

Nafai spełnił prośbę i wkroczył do słabo oświetlonego pomieszczenia. Drzwi zamknęły się za nim, odcinając i tak mizerny dopływ światła. Oczy Nafaia szybko przystosowały się do półmroku i ujrzały, że na środku pomieszczenia wisi w powietrzu, bez żadnej oczywistej podpory, blok... lodu?

W większości składa się z wody, rzekł Naddusza.

Nafai podszedł, wyciągnął rękę i dotknął. Palce z łatwością zagłębiły się w sześcianie.

Tak jak mówiłem: woda, powtórzył Naddusza.

Jak więc utrzymuje ten kształt? I jakim sposobem unosi się w powietrzu?

Po co mam tłumaczyć, skoro za kilka chwil cała pamięć będzie twoja, jak tylko o tym pomyślisz?

Że jak?

Przejdź przez wodę, a wynurzysz się w powłoce gwiazdnego sternika. A wtedy wszystkie zasoby mej pamięci staną się dla ciebie dostępne.

Wykluczone, by umysł człowieka pomieścił taką ilość informacji! Przecież twoja pamięć obejmuje czterdzieści milionów lat przeszłości!

Sam się przekonasz.

Niemal nie postradałem zmysłów, gdy doświadczyłem w umyśle wspomnień wizji ojca. I co, teraz ma być niby inaczej?

Zjednoczę się z tobą. Czegoś takiego jeszcze nie doznałeś.

Czy wciąż będę sobą?

Będiesz sobą bardziej niż kiedykolwiek wcześniej.

Mam wybór?

Tak. Możesz odmówić. Wtedy ktoś inny tu przyjdzie. I ona zostanie gwiazdowym sternikiem.

Ona? Luet?

A czy to ważne? Gdy zdecydujesz, że nie chcesz być gwiazdowym sternikiem, co da ci prawo do interesowania się tym, jaką osobę wybiorę wtedy zamiast ciebie?

Nafai stał bez ruchu, wpatrując się w ten zjawiskowy blok wody wiszący w powietrzu, i myślał: To jest mniej niebezpieczne niż przedarcie się przez barierę, a przecież to mi się udało. A potem: Czy zdołałbym ścierpieć resztę życia, będąc w cieniu gwiazdnego sternika, wiedząc, że mogłem nim być, ale odmówiłem? A w końcu: Do tej pory ufałem Nadduszy. Zabiłem dla niego; dla niego omal nie zginąłem. I mam teraz odmówić przewodzenia tej wyprawie?

Jak mam to zrobić? - zapytał w końcu.

Nie wiesz? Nie pamiętasz, że Luet opowiedziała ci swą wizję?

Dopiero wtedy, gdy Naddusza mu o tym przypomniał, Nafai powrócił pamięcią do słów Luet o tym, że widziała go, jak zatapiał się w bloku lodu i wyłonił się na dole, promieniejąc światłem. Wydawało mu się, że to ma jakieś metaforyczne znaczenie. Ale oto miał przed oczami blok lodu.

Muszę zanurzyć się od góry, stwierdził. Jak mam się tam dostać?

Niemal w mgnieniu oka po podłodze pomknęła ku niemu metrowej średnicy tarcza. Zrozumiał, że powinien na niej stanąć. Ale gdy to zrobił, nic się nie wydarzyło.

Twoje ubranie będzie zawadzać, rzekł Naddusza.

Nafai się rozebrał, już po raz drugi tego dnia. Dały o sobie znać wszystkie zadrapania i siniaki, których nabawił się, gdy poniewierał nim wiatr. Nagusieńki wszedł na dysk, który natychmiast podniósł się w górę i zaniósł go nad blok lodu.

Postaw stopy na wodzie. Utrzymaj swój ciężar niczym podłoga.

Ponieważ wcześniej Nafai z łatwością wraził palec w ten sześcian, miał pewne wątpliwości, ale usłuchał - zszedł z dysku na powierzchnię bloku. Okazała się gładka, lecz nie śliska; podobnie jak niewidzialna tafla bariery, zdawała się poruszać pod jego stopami we wszystkich kierunkach naraz.

Położ się na plecach.

Nafai usiadł na bloku i ułożył się na wznak. Powierzchnia błyskawicznie się rozrzedziła, a on zaczął zatapiać się w wodzie. Niedługo zakryje mi twarz, pomyślał. Nie będę mógł oddychać. Odżyło wspomnienie o niedawnym duszeniu się, zaczął się niespokojnie wiercić.

Uspokój się. Zaśnij. Nie zbraknie ci powietrza ani niczego innego. Śpij.

Nafai zasnął, zanurzając się coraz głębiej w wodę.

*

Elemak był zaskoczony, gdy Shedemei stanęła na progu jego domu. Wszystko było możliwe, rzecz jasna - może przyszła, by do niego przystać, kto wie? Ale jakoś w to wątpił - o wiele bardziej prawdopodobne, że znalazła się tutaj, by wynegocjować jakieś porozumienie w imieniu Rasy. Nadawała się na emisariuszkę. Nie chował do niej żadnej urazy, a ona nie miała żadnych kłopotliwych powiązań rodzinnych. Zresztą czyż ona i Zdorab nie powstali pod koniec spotkania, uznając tym samym, że Elemak miał prawo je zakończyć? Warto posłuchać, co ma do powiedzenia.

Zaprosił ją do środka i gestem wskazał krzesło przy stole obok Meba, Obringa i Vasa. Gdy usiadła, Elemak zajął miejsce naprzeciw i czekał. Niech ona pierwsza zabierze głos i podpowie mu, czego się spodziewać.

- Wszyscy odradzali mi przyjście do ciebie - zaczęła. - Ale sądzę, że cię nie doceniają, Elemaku.

- Nic nowego - skomentował.

Meb zacichotał. To Elemaka drażniło - nie był pewien, czy Meb śmiał się z tych „wszystkich”, bo nie doceniali Elemaka, czy raczej z niego, bo przyznał jej rację. Co do Meba nigdy nie można było mieć pewności, z kogo akurat drwił. Tylko że na pewno z kogoś.

- Są pewne ważne sprawy, których zdajesz się nie pojmować - ciągnęła Shedemei. - A moim zdaniem musisz wiedzieć wszystko, by podejmować przemyślane decyzje.

Ach, więc zjawiała się tu, by prawić mu o „rzeczywistości”. Cóż, i tak warto nadstawić ucha, choćby tylko po to, by ułożyć lepszy plan, jak podkopać jej stanowisko podczas następnej narady. Elemak skinął głową, by mówiła dalej.

- Nikt nie knuje spisku mającego na celu pozbawienie cię władzy.

Pewnie, pomyślał. Od razu temu zaprzeczasz, ale na próżno, właśnie przyznałaś, że o to chodzi.

- Większość z nas wie, że jesteś urodzonym przywódcą tej grupy, i, poza pewnymi wyjątkami, zadowala nas to.

O tak. Zaiste, poza pewnymi wyjątkami.

- A te wyjątki występują pośród twoich sprzymierzeńców częściej, niż ci się wydaje. Tu, przy tym stole, jest więcej nienawiści i zazdrości względem ciebie, niż znalazłbyś pośród tych, którzy zbierają się w Domu Indeksu.

- Wystarczy - stwierdził Elemak. - Jeśli przyszedł, by poróżnić tych z nas, którzy starają się ochronić swe rodziny przed zakusami siewców zamętu, to możesz już sobie iść.

Shedemei wzruszyła ramionami.

- Powiedziałam, co miałam do powiedzenia, i nie obchodzi mnie, co zrobisz z tymi informacjami. Ale jedno ci powiem: jedyną osobą, z którą teraz walczysz, jest Naddusza.

Meb parsknął. Shedemei go zignorowała.

- Naddusza w końcu uzyskała dostęp do gwiazdolitów. Rozmontowanie pięciu statków i przygotowanie jednego do lotu będzie wymagało od nas wszystkich ogromnego wysiłku. Ale to się stanie, czy się z tym zgodzisz, czy nie. Naddusza nie pozwoli ci się powstrzymać, skoro udało się jej zejść aż tak daleko.

Elemak z rozbawieniem skostatował, że Shedemei uparcie mówi o komputerze, jakby był kobietą.

- Nafai powróci do nas w powłoce gwiazdnego sternika. To osłona, która zapewnia mu idealne połączenie z pamięcią Nadduszy. Będzie znał cię lepiej niż ty sam. A wraz z powłoką zyskał inne moce, na przykład ogniskowanie energii, w porównaniu z czym pulsator zdaje się niewinną zabawką.

- To ma być groźba? - zaperzył się Elemak.

- Po prostu mówię ci prawdę. Naddusza wybrała Nafaia, ponieważ cechuje go inteligencja, by pilotować gwiazdolit, lojalność, by dobrze służyć jej celom, i silna wola, dzięki której przełamał ponoć nieprzeniknioną barierę i umożliwił kontynuowanie tej wyprawy. Nie dlatego, że Nafai spiskował przeciw tobie. Gdybyś okazał choć odrobinę lojalności wobec zamiarów Nadduszy, możliwe że wybrałaby ciebie.

- Wydaje ci się, że takie żalosne pochlebstwo mnie ruszy?

- Ależ ja nie staram ci się przypochlebić. Już mówiłam - wiemy, że jesteś urodzonym wodzem tej grupy. Lecz zdecydowałeś się nie przejąć sterów wyprawy Nadduszy. Z własnego wyboru, bez przymusu. Toteż gdy już zmiarkujesz, że na zawsze utraciłeś przywództwo nad grupą, nie możesz winić nikogo oprócz siebie.

Elemak poczuł wzbierający w nim gniew.

- Inna sprawa, że nie byłeś nawet drugi w kolejce - ciągnęła Shedemei. - Pojawiły się wątpliwości, czy Nafai przyjmie powłokę sternika - właśnie z powodu tego, że wiedział, iż nie zaakceptujesz jego przywództwa. Wówczas Naddusza wybrała drugą osobę. Zapytała

mnie, czy wzięłabym na swe barki brzemię władzy. Wyjaśniła mi, co ta powłoka robi i jak działa, nawet obszerniej niż Nafaiowi, choć on teraz niewątpliwie wie już wszystko. Przyjęłam propozycję. Jeśli nie Nafai, byłabym to ja. A nie ty, Elemaku. To nie tak, że to zaszczytne stanowisko ominęło cię o włos. Odpadłeś w przedbiegach, ponieważ na samym początku wyparłeś się Nadduszy.

- Chyba byłoby lepiej, gdybyś już sobie poszła - uprzejmie rzucił Elemak.

- Ale to nie znaczy, że nie możesz odegrać cenionej, ważnej roli w naszej społeczności - ciągnęła niespieszona, jakby go nie słyszała, jakby nie dostrzegła, że wrze w nim gniew. - Nie zmuszaj Nafaia, by upokorzył cię na oczach innych. Pójdź z nim na współpracę, a on z chęcią przekaze ci tyle władzy, ile Naddusza pozwoli mu oddać. Chyba nie zdajesz sobie sprawy, jak bardzo Nafai cię szanuje. Zawsze marzył, by być taki jak ty. Pragnął twej miłości i szacunku.

- Wynoś się z mego domu! - warknął Elemak.

- Jak chcesz. Widzę, że nie zamierzasz zmienić swego poglądu na świat. W twoim świecie wszystkie nieszczęścia, które cię dotyczą, są winą innych, a wszyscy spiskują przeciw tobie, by pozbawić cię tego, co ci się prawnie należy. - Wstała i podeszła do drzwi. - Niestety, ten twój świat nie jest rzeczywisty. Tak więc was czterech posiedzi tu i pospiskuje, jak przejąć władzę w Dostatoku, ale to się zda na nic, jedynie się skompromitujecie, i to nie będzie niczyja wina, tylko wasza. Ale nawet wtedy, Elemaku, będziesz miał nasz głęboki szacunek. Dobranoc.

Zamknęła za sobą drzwi.

Elemak ledwo nad sobą panował. Czuł przemożną chęć, by skoczyć za Shedemei i okładać ją gdzie popadnie, aż wybiję jej z głowy tę niezdolną wyniosłość. Ale nie, tym samym okazałby tylko swą słabość; by utrzymać władzę nad resztą, musiał dać im wyraźnie do zrozumienia, że nic sobie nie robi z takich bzdurnych zagrywek. Przeto posłał im błady uśmiešek.

- Sami widzicie, jak chcą nas ogłupić, rozgniewać.

- Nie mów, że cię nie rozgniewała - nie dowierzał Meb.

- Oczywiście, że tak - przyznał Elemak. - Ale nie pozwolę, by gniew mnie ogłupił. A dzięki niej dowiedzieliśmy się kilku cennych faktów. Wygląda na to, że Nafai zamierza powrócić w jakiejś magicznej zbroi. Możliwe że to nic więcej tylko iluzja, niczym te maski, które Gaballufix wyciągnął z lamusa i kazał nosić swym żołdakom w Basilice, by wyglądali identycznie. Może być i tak, że jest w tym jakaś prawdziwa moc. Ale tak czy siak, nie damy za wygraną, przeciwnie, to nas zmusi do działania, o wiele szybszego i bardziej precyzyjnego.

I definitywnego.

- Czyli? - zapytał Vas.

- Czyli nie pozwolimy nikomu opuścić tej osady. Niech Nafai przyjdzie do nas. A gdy to zrobi, to albo natychmiast się ukorzy i pogodzi się z naszymi decyzjami, albo pozbawimy go zdolności do stwarzania kolejnych problemów.

- Czyli? - dopytywał się Vas.

- Czyli go zabijemy, durniu - stwierdził Obring. - Czyżbyś był aż tak głupi?

- Wiem, o co mu chodziło - rzekł cicho Vas. - Chciałem jedynie, żeby te słowa wyszły z jego ust, by nie mógł potem twierdzić, że zupełnie nie taki miał zamiar.

- Ach, rozumiem - rzekł Elemak. - Martwisz się o odpowiedzialność. - Elemakowi od razu nasunęło się porównanie Vasa z Nafaiem; mimo wielu wad Nyef nigdy nie uchylał się od winy za śmierć Gaballufixa. - Cóż, odpowiedzialność biorę na siebie. I tylko na siebie, skoro nalegasz. Ale to oznacza również, że gdy wygramy, cała władza przypadnie mnie.

- Jestem z tobą - stanowczo poparł go Mebbekew. - Bezwzględnie. Czy to znaczy, że po wszystkim podzielę się z tobą władzą?

- Nie inaczej - potwierdził Elemak. Gdybyś tylko wiedział, czym jest prawdziwa władza, ty żalosny mizdrzący się pawianie!

- To żadna filozofia. Ale jeśli nie macie dość odwagi, by wbić razem z nami nóż w serce, to nie znaczy, że z miejsca stajecie się naszymi wrogami. O ile zachowacie nasz plan dla siebie, pomożecie wstrzymać innych przed dołączeniem do Nafaia i nie wejdziecie nam w paradę, gdy będziemy go zabijać, jeśli do tego dojdzie.

- Na to mogę przystać - zgodził się Obring.

Vas skinął głową na znak aprobaty.

- No to ustalone.

*

Nafai obudził się, leżąc na podłodze. Ponad nim wisiał blok lodu. Nie odczuwał żadnej zmiany.

Dopóki nie zaczął próbować o czymś myśleć. Na przykład gdy starał się poczuć, czy coś się zmieniło w jego ciele. Ni stąd, ni zowąd do głowy wlał mu się wartki potok informacji. Na chwilę zyskał świadomość wszystkich swych funkcji fizjologicznych i dostał szczegółowy raport o ich stanie. O produkcji gruczołów; o tętnie; o ilości kału nagromadzonej w odbytnicy; o obecnym poziomie niedoboru paliwa dla komórek i o tym, jak zużywano teraz komórki tłuszczowe, by pokryć ten deficyt. A także o tym, że wzrosło tempo gojenia się zadrapań i siniaków - faktycznie czuł się znacznie lepiej.

Czy Naddusza przez ten cały czas znał takie szczegóły mojego ciała?

Odpowiedź nadeszła natychmiast, a teraz był to naprawdę wyraźny głos - nawet wyraźniejszy niż gdy Naddusza przemawiał za pośrednictwem Indeksu.

Nigdy wcześniej nie wiedziałem o tobie aż tyle. Powłoka połączyła się z każdym nerwem twego ciała i nieprzerwanie informuje o twym stanie zdrowia. Do tego pobiera próbki krwi z różnych miejsc, interpretuje i stosownie reaguje, by poprawić twą kondycję wiele razy na sekundę.

Powłoka?

Błyskawicznie w umyśle Nafai ukazał się obraz. Widział siebie z zewnątrz, tak jak niewątpliwie postrzegała go Naddusza czujnikami. Widział swe ciało, gdy wytoczył się spod bloku i powstał. Jego skóra skrzyła się blaskiem. Tylko z niego było światło w tym pomieszczeniu. Widział siebie, jak obmacywał rękami skórę, próbując wyczuć powłokę. Ale nie rozpoznał zupełnie nic, co różniłoby się od jego normalnej skóry.

Zastanowił się, czy już zawsze będzie lśnił - czy jego dom zawsze będzie tak się rozświetlał, gdy on do niego wejdzie.

Odpowiedź w myśli nadeszła z głosem Nadduszy.

Powłoka poddaje się twojej woli. Jeśli zechcesz, by ściemniała, posłucha cię. Jeśli zechcesz, by skupiła potężny ładunek elektryczny, tak też się stanie - a potem możesz wskazać palcem w dowolnym kierunku i posłać tam łuk energii. Nic nie da rady cię zranić, a ty sam możesz być poważnym niebezpieczeństwem dla innych - lecz jeśli nie zechcesz kogoś skrzywdzić, powłoka pozostanie bierna. Nic nie stoi na przeszkodzie, by twe dzieci spały w ciemności i byś obejmował żonę tak jak wcześniej. Co więcej, dłuższy kontakt fizyczny z innymi ludźmi spowoduje, że powłoka coraz bardziej powiększy swą siłę oddziaływania, by objęła także ich, a nawet, w nikłym stopniu, by poddali się twojej woli.

A zatem Luet też przyoblecze się w tę powłokę?

Za twym pośrednictwem i owszem. Będę twą żonę chronił; dam jej swobodniejszy dostęp do mej pamięci. Ale czemu mnie o to pytasz? Zamiast myśleć o pytaniach, spróbuj sobie to przypomnieć, jak gdybyś zawsze wiedział wszystko o powłoce. Informacje spłyną do twojej głowy.

Nafai spróbował i nagle nie miał już więcej pytań o powłokę. Zrozumiał, co znaczyło być gwiazdnym sternikiem. Wiedział nawet dokładnie, jak przygotować gwiazdolot do podróży.

Nie zdołamy tego wszystkiego zrobić, nawet jeśli poświęcimy całe życie i życie naszych dzieci, rzekł Nafai z rezygnacją.

Już mówiłem, że dam wam narzędzia do pracy. Niektórych komponentów robotów nie da się odzyskać, ale inne można jeszcze wykorzystać. Same maszyny nadają się do użytku - niesprawny jest tylko program umożliwiający mi kontrolę nad nimi. Uda się go ponownie uruchomić, acz fragmentarycznie, a wtedy ty i reszta możecie przeznaczyć je do mało ważnych prac pod waszym kierownictwem. Przekonacie się.

Teraz Nafai „pamiętał” dokładnie to, co Naddusza uznał za możliwe. Uruchomienie robotów wymagało kilku godzin wytężonej pracy, ale Nafai mógł temu podolać.

Zacznę bezzwłocznie, stwierdził. Jest tu coś do jedzenia?

Zapytał i od razu przypomniał sobie, że oczywiście nie było tu nic jadalnego. Miałby wybrać się na polowanie?

A nie możesz przyprowadzić tu ludzi? - zapytał. Powiedz im, żeby wzięli coś na ząb i... Nie widzę powodu, dlaczego mielibyśmy za każdym razem marnować cały dzień na dotarcie tutaj. Jeśli mamy tu pracować, zbudujemy osadę w tym miejscu - wzgórze na południu obfitują w wodę, w drewno do budowy domów.

Przekażę. Albo możesz to zrobić sam.

Ja? - I teraz pamiętał: mógł porozumiewać się z innymi za pośrednictwem Indeksu. I tak też zrobił.

*

- Nigdzie nie idziecie - stwierdził stanowczo Elemak.

Zdorab i Volemak odwrócili się do niego z wyrazem konsternacji na twarzach.

- O czym mowa? - zapytał zdziwiony Volemak. - Nafai potrzebuje jedzenia, a my musimy wybrać teren pod nową wioskę. Myślałem, że zechcesz pójść z nami.

- A ja powiadam, że nigdzie nie idziecie. Nie przenosimy osady i nikt się stąd nie ruszy. Nie powiodła się Nafaiowi próba przejęcia władzy. Daj spokój, ojczu. Gdy Nyef zgłódnie naprawdę, sam powróci do domu.

- Jestem twym ojcem, Elya, a nie dzieckiem. Możesz zdecydować, że nie idziesz, ale mnie nie powstrzymasz.

Elemak zabębnił palcami o stół.

- Chyba że użyjesz przemocy - dokończył Volemak.

- Właśnie oznajmiłem ci prawo tego miejsca - orzekł Elemak. - Nikt nie opuści osady bez mojego pozwolenia. A tobie go nie udzielam.

- A jeśli nie zastosuję się do twego aroganckiego, bezprawnego polecenia?

- Wtedy przestaniesz być mieszkańcem Dostatoku - hardo oświadczył Elemak. - Gdybyśmy przyłapali cię skradającego się w pobliżu, obejdziemy się z tobą jak ze złodziejem.

- I zdaje ci się, że inni się na to zgodzą? - odparł Volemak. - Jeśli podniesiesz na mnie rękę, zasłużysz sobie na ich wzgardę.

- Zasłużę sobie na ich posłuszeństwo - poprawił Elemak. - Dobrze ci radzę... nie nalegaj. Nikt nie zaniesie Nafaiowi jedzenia. Niech wraca do domu i na tym skończy się ta cała farsa z gwiazdolotami.

Volemak stał w milczeniu, obok niego Zdorab. Ich twarze nie ujawniały żadnych emocji.

- Niech ci będzie - zgodził się Volemak.

To zaskoczyło Elemaka. Ojciec tak łatwo się poddał?

- Nafai mówi, że zaraz wróci do domu. Uruchomił już pierwsze roboty i przydzielił im zadania. Będzie z powrotem za godzinę.

- Za godzinę?! - odezwał się Meb, stojący nieopodal. - No i wyszło szydło z worka. Vusadka miała rzekomo znajdować się o cały dzień drogi piechotą.

- Nafai dopiero co uruchomił paritki. Jeśli się sprawdzą, nie będziemy musieli przesiedlać wioski.

- A co to jest paritka? - dopytywał się Meb.

Nie pytaj, głupcze! - zakrzyknął Elemak w duchu. To tylko woda na młyn dla ojca!

- Wóz latający - wyjaśnił Volemak.

- I jak mniemam nawet teraz rozmawiacie z Nafaiem? - szydził Elya.

- Gdy nie mamy z sobą Indeksu, jego głos tak samo trudno odróżnić od własnych myśli, jak zdarzało się to z głosem Nadduszy. Ale owszem, mówi do nas. Sam mógłbyś go usłyszeć, gdybyś tylko zechciał słuchać.

Elemak nie mógł powstrzymać śmiechu.

- O tak, na pewno będę tu sobie siedział i słuchał głosu braciszka rozbrzmiewającego z oddali w mym umyśle.

- A czemu nie? - odezwał się Zdorab. - On widzi już to wszystko co Naddusza. Łącznie z tym, co kłębi się w twojej głowie. Na przykład wie, że ty i Meb macie zamiar go zabić, jak tylko powróci.

Elemak skoczył na równe nogi.

- To kłamstwo! - Kątem oka spostrzegł, że na twarzy Meba pojawiła się panika. Trzymaj głowę na kłódce, Meb. No zlituj się, nie potrafisz poznać, kiedy ktoś zgaduje na chybił trafił? Tylko nie rób nic, by potwierdzić ich przypuszczenia. - Idź do domu, ojciec. I ty też, Zdorabie. Nafaiowi nie spadnie włos z głowy, chyba że nas zaatakuje lub spróbuje wzniecić bunt.

- Nie jesteśmy już na pustyni - zaprotestował Volemak. - Nie ty tu dowodzisz.

- Wprost przeciwnie - odparł Elemak spokojnie. - Wciąż obowiązuje nas prawo pustyni, a ja jestem przywódcą tej wyprawy. Byłem nim od początku. Ulegałem twojemu widzimisię, staruszk, jedynie przez grzeczność.

- Chodźmy - rzekł Zdorab do Volemaka.

- I mamy pozbawić Elemaka szansy na udowodnienie nam, jakim jest nikczemnikiem?

- Nie jestem nikczemnikiem, ojcze - stwierdził Elemak. - Po prostu mam tego dość. To ty i Nyef, Rasa i Luet oraz wasi sprzymierzeńcy zapoczątkowaliście to wszystko. Nikt was nie prosił, byście nas pakowali w tę kabałę z podróżą między gwiazdami. Wszystko szło w najlepsze, to wy zdecydowaliście się zmienić wszelkie zasady gry. I cóż, zasady gry zaiste uległy zmianie. I wreszcie nie faworyzują was. Pozostaje wam tylko przełknąć gorzką pigułkę. Na zdrowie.

- Aż mi ciebie szkoda, synu - orzekł Volemak i wyszedł razem ze Zdorabem.

- Oni wiedzieli - bąknął Mebbekew. - Wiedzieli, co zamierzamy.

- Stul pysk! - zniecierpliwił się Elemak. - Zgadywali, a ty niemal się wygadałeś.

- Nieprawda. Nawet słowem się nie odezwałem.

- Idź po łuk i strzały. Akurat z tym dobrze sobie radzisz.

- Nie poczekamy? Nie pomówimy z nim?

- Sądzę, że Nafai będzie bardziej skłonny do rzeczowej rozmowy, gdy dorobimy mu dodatkowy otwór. A jak ty myślisz?

Meb wyszedł. Elemak wstał i sięgnął po łuk wiszący nad paleniskiem.

- Nie rób tego - usłyszał.

Odwrócił się i zobaczył Eiadh. Stała na progu sypialni, opierając dziecko na biodrze.

- Czy ja się nie przesłyszałem? - zapytał. - Mówisz mi, co mam robić?

- Już raz próbowałeś go zabić - przekonywała Eiadh. - Naddusza ci nie pozwoli. Nie rozumiesz? Tym razem może ci się stać krzywda.

- Doceniam troskę, Edhya, ale wiem, co robię.

- Ja też wiem, co robisz. Przez te wszystkie lata obserwowałam, jak się dogadujecie z Nafaiem. Myślałam, że w końcu zacząłeś go traktować z szacunkiem. Że przestałeś być zazdrosny o swego młodszego brata. Ale teraz widzę, że jedynie czekałeś na właściwy moment.

Uderzyłby ją za to w twarz, ale trzymała dziecko, a on nigdy by nie skrzywdził własnego potomka.

- Powiedziałaś już dość - ostrzegł.

- Zaklinałabym cię, byś zaprzestał, bo mnie kochasz - ciągnęła Eiadh - ale wiem, że to na nic. A więc błagam cię przez wzgląd na twoje dzieci.

- Przez wzgląd na dzieci to robię. Nie mam zamiaru pozwolić, by ich życie zatruli machlojki Rasy, która chce przejąć władzę i zamienić Dostatok w wioskę kobiet, w drugą Basilikę.

- Przez wzgląd na dzieci - powtórzyła Eiadh. - Nie pozwól, by widziały upokorzenie ojca przed wszystkimi. Albo gorzej.

- Teraz widzę, jak bardzo mnie kochasz - zadrwił Elemak. - Najwyraźniej obstajesz za drugą stroną.

- Nie hańb ich, wyjawiając, że w duchu jesteś mordercą.

- Zdaje ci się, że nie rozumiem, o co chodzi? Jeszcze w Basilice robiłaś maślane oczy do Nafaia. Myślałem, że z tego wyrosłaś, ale się myliłem.

- Ty głupcze! Podziwiałam jego siłę. Tak samo jak twoją. Ale on nigdy nie używał jej, by tyranizować innych. Sposób, w jaki potraktowałeś ojca, woła o pomstę do nieba. Twoi synowie byli za ścianą i słuchali, jak zwracasz się do ojca. Nie rozumiesz, że dajesz im zły przykład? Pewnego dnia, gdy będziesz już stary i niedołężny, oni okażą ci taki sam brak szacunku. No dalej, uderz mnie. Odstawię dziecko. Niech twoi synowie zobaczą, jakiś hardy, że możesz pobić kobietę za to, że powiedziała ci prawdę.

Meb z impetem wpadł przez drzwi. Miał z sobą łuk i strzały.

- To jak? - odezwał się. - Idziesz?

- Idę - potwierdził Elemak. Odwrócił się do Eiadh. - Nigdy ci tego nie wybaczę.

Uśmiechnęła się pogardliwie.

- Nie minie godzina, a będziesz błagał, bym to ja ci przebaczyła.

*

Zbliżając się do Dostatoku, Nafai wiedział dokładnie, czego się spodziewać. Słyszał przebieg rozmowy między Elemakiem a resztą spiskowców. Wysłuchał, jak jego brat rozkazał pozostałym mieszkańcom, by zamknęli dzieci w domach. Czuł strach w sercach każdego z nich. Wiedział, jaką krzywdę Elemak wyrządzał własnej rodzinie. Wiedział, jaki strach i ślepy gniew przepelnia jego serce.

Nie możesz sprawić, by o tym zapomniał? - zapytał Nadduszy.

Nie. Nie dano mi takiej mocy. Zresztą on ma bardzo silną wolę. Opiera się memu wpływowi.

Gdyby zdecydował się pójść za tobą, lepiej nadałby się do twoich celów niż ja, prawda?

Tak.

Komputer mógł powiedzieć to otwarcie, teraz i tak nie zdołałby nic przed Nafaiem ukryć.

A zatem nie jestem twym pierwszym wyborem, stwierdził Nafai.

Ależ jesteś. Elemak nie potrafi widzieć dalej niż czubek własnego nosa i to czyni go większym kaleką niż Issib.

Nafai przyspieszył na południe. Paritka ślizgała się tuż nad ziemią, automatycznie obierając najlepszą drogę. Nafai nie zachwycił się tą cudowną maszyną, bo myślał o mieszkańcach Dostatoku i ledwo wstrzymywał płacz. Teraz, gdy skupił się na nich, a nie na trudach rekonstrukcji gwiazdolotu, „pamiętał” fakty, których nigdy by się nie domyślił. Poświęcenie Zdoraba i Shedemei. Zimną nienawiść Vasa w stosunku do Obringa i Sevet, a także do Elemaka. Gorzką odrazę Sevet do samej siebie. Ból Luet i Hushidh spowodowany tym, że ich mężowie traktowali je coraz częściej wedle przekonań Elemaka o ideale żony, a coraz rzadziej jak przyjaciółki.

Issib, który polegał na Hushidh w każdym aspekcie życia - jakąż okrywa się hańbą, uważając swą żonę za mniej niż partnera we wszystkim! A tym samym o ile większą ujmę mnie przynosi to, że moją żonę, najwspanialszą z kobiet, co najmniej tak mądrą jak ja, potraktowałem niegodziwie przy ostatnim rozstaniu.

Albowiem ujrzał ich serca od wewnątrz, a ta perspektywa nie pozostawia miejsca na nienawiść. Owszem, wiedział, że Vas nosił w sercu mordercze zamiary - ale „pamiętał” też jego rozdzierające cierpienia, gdy Sevet i Obring go pohańbili. Nic to, że Nafai nie uważał poniżenia za usprawiedliwienie zabójstwa. Zrozumiał, jak wygląda świat widziany oczami Vasa, i po prostu nie umiał tego człowieka znienawidzić. Miał zamiar powstrzymać go przed wywarciem zemsty, rzecz jasna. Ale rozumiał jego motywy.

Tak samo jak rozumiał pobudki Elemaka. Gdybym tylko wiedział, pomyślał. Wiedział, które uczynki sprawiły, że Elya go znienawidził.

Nie łudź się, usłyszał głos Nadduszy. On nienawidzi twojej inteligencji. Nie znosi tego, że uwielbiasz demonstrować swą inteligencję. Nie cierpi twego dobrowolnego posłuszeństwa wobec matki i ojca. Nienawidzi nawet tego, że widziałeś w nim wzór do naśladowania. Nie mógł na ciebie patrzeć, bo byłeś sobą, bo byłeś tak do niego podobny, a zarazem tak inny. Uchroniłbyś się przed jego nienawiścią tylko w jeden sposób - gdybyś umarł młodo.

Nafai rozumiał to, ale pragnął bardzo, by było inaczej. Och, jak bardzo chciał, by Elemak spojrział na niego i powiedział: „Dobra robota, bracie. Jestem z ciebie dumny”. Pragnął pochwał Elemaka bardziej niż ojca. A nigdy nie będzie mu to dane. Dzisiaj Elemak

będzie miał dla niego, w najlepszym razie, ambiwalentną mieszankę urazy i uległości. W najgorszym - zginie.

Nie chcę go zabić, myślał Nafai raz po raz.

Skoro nie chcesz, to nie zabijesz.

Co rusz myśli Nafaia powracały do Luet. Ach, Luet, czemu, ach, czemu przyjąłem tę powłokę, która dała mi zrozumienie, co ci robiłem? Próbowałaś mi powiedzieć. Z początku czule, potem w gniewie, ale przesłanie było takie samo: „Krzywdzisz mnie. Tracisz me zaufanie. Proszę, nie rób tego”. A ja nie słyszałem, nie rozumiałem. Tak bardzo pochłonęła mnie rywalizacja o miano najlepszego myśliwego, życie po męsku wśród męskiego grona, że zapomniałem, iż zanim jeszcze stałem się prawdziwym mężczyzną, wzięłaś mnie za rękę i poprowadziłaś do Jeziora Kobiet. Nie tylko ocaliłaś mi życie, ale także dałaś mi miejsce u boku Nadduszy. Wszystko ci zawdzięczam - swoje życie, rodzinę, dzieci, a odpłaciłem ci haniebnie.

Weź się w garść, skarcił go Naddusza. Jesteś już prawie na miejscu.

Nafai się opanował. Czuł, jak powłoka działa, uśmierzając spowodowane łzami zaczerwienienie skóry wokół oczu. Po chwili jego twarz nie zdradzała żadnych oznak wcześniejszej rozpacz.

To tak teraz będzie? Moja twarz - maską, bo noszę tę powłokę?

Tylko jeśli sobie tego zażyczysz.

Dzięki dostępowi do pamięci Nadduszy Nafai „pamiętał”, gdzie zaczęli się Elemak i Mebbekew z łukami w rękach, by go zabić. Vas i Obring zostali w wiosce, pilnując, by reszta siedziała w domach.

Najpierw Nafai pomyślał, by okrążyć zasadzkę. Potem, by przelecieć obok Elyi i Meba tak szybko, że nie zdołaliby go trafić. Ale żaden z tych pomysłów nie spełniłby swojego zadania. Oni musieli okazać swe zamiary, swe zaangażowanie. Koniecznie musieli przebić go strzałami, niesprovokowani.

Niech mnie ugodzą, postanowił Nafai. Pomóż Mebowi dobrze wycelować, on nie da rady bez twojej pomocy. Uspokój go, pomóż mu się skoncentrować. Niechaj przeszyją mnie obie strzały.

Powłoka nie chroni przed bólem.

Lecz mnie uzdrowi, gdy już wyciągnę strzały, prawda?

Zrobi to całkiem nieźle. Ale nie spodziewaj się cudów.

To wszystko jest niczym cud. Pomóż Elemakowi nie trafić w moje serce, jeśli się martwisz.

Elemak nie trafił w jego serce, ale o mały włos. Nafai spowolnił paritkę na tyle, by mieli cel jak na dłoni. Zauważył, zaledwie chwilę przed Nadduszą, jak bardzo obu przstraszył widok paritki; jak Meb stracił zimną krew, omal nie rzucił łuku i nie wziął nóg za pas. Elemak jednak wcale się nie zawahał, wymamrotanym rozkazem przywołał Meba do porządku, a potem obaj wycelowali i strzelili.

Nafai poczuł, jak strzała Elemaka zagłębia się w jego klatkę piersiową, a Meba przeszywa szyję. Ta druga była bardziej bolesna, ta pierwsza - bardziej niebezpieczna. Obie zadały mu rozdzierający ból. Prawie stracił przytomność.

Ocknij się! - huknął na niego Naddusza. Za dużo pozostało do zrobienia, byś teraz drzemał.

Nafai jęczał. Tak bardzo bolało!

To był twój plan, nie mój, stwierdził Naddusza.

Ale tak należało zrobić, więc Nafai nie wyciągnął strzał i wjechał paritką do wioski. Vas i Obring zareagowali przerażeniem, widząc pojazd unoszący się tuż nad trawą w miejscu spotkań i Nafaia przeszytego strzałami, bezwładnego, półprzytomnego.

Luet! - zawołał Nafai w myślach. Wyjdź i wyciągnij ze mnie te strzały. Niech inni zobaczą, że zostałem podstępnie zaatakowany. Że nie miałem przy sobie żadnej broni. Musisz zrobić, co do ciebie należy.

Widział teraz oczami Luet; taka bliskość, która niemal pozbawiła go zmysłów, gdy dawno temu dane mu było ujrzeć wizję ojca, teraz zrodziła się w o wiele mniejszych trudach, gdyż powłoka chroniła go przed natłokiem doznań. Widział, co widziały jej oczy, lecz poza tym doświadczał zaledwie odrobiny jej uczuć i prawie w ogóle strumienia świadomości, który wcześniej przyprawiał go o obłąd.

Dostrzegł, jak serce zabiło jej mocniej na jego widok. Och, jak bardzo mnie kocha! - pomyślał. Czy kiedykolwiek się dowie, jak ja miłuję ją?

- Chodźcie tu, zobaczcie! - zawołała.

Niemal natychmiast z oddali dobiegł głos Elemaka:

- Zostańcie w domach!

- Hej, kto żyw! - zakrzyknęła Luet. - Zobaczcie! Próbowali zabić mi męża!

Z domów wybiegli ludzie. Krzyczeli i płakali na widok przeszytego strzałami Nafaia.

- Patrzcie, nie miał przy sobie nawet łuku - oznajmiła Luet.

- Strzelili do niego bez żadnego powodu!

- Łżesz, kobieto! - zagrzmiał Elemak, wbiegając do wioski.

- Nafai sam sobie wbił te strzały, by upozorować rzekomą napaść.

Zdorab i Volemak znaleźli się obok Luet i to oni wyciągnęli strzały z Nafaia. Tę tkwiącą w szyi trzeba było ułamać i wyrwać od strony grotu. Strzała Elemaka zaś, wychodząc, straszliwie rozpruła klatkę piersiową. Nafai poczuł, że obie rany obficie krwawią, wciąż nie mógł wydać z siebie żadnego słowa, ale czuł też, że powłoka robi swoje, uzdrawia go.

- Nie godzę się, byś na nas zrzuciła winę - stwierdził Elemak. - Nafai to prawdziwy mistrz w udawaniu ofiary.

Nafai jednak widział, że nikt nie dowierza tym kłamstwom, oprócz Kokor i Lal, które łatwo było omamić.

- Nikt nie daje ci wiary - orzekł Volemak. - Nafai wiedział, że to planowaliście.

- Och, doprawdy? Skoro jest teraz taki mądry, to niby czemu wszedł prosto w tę rzekomą zasadzkę?

Nafai podsunął ojcu odpowiedź.

- Ponieważ chciał, by wszyscy zobaczyli wasze strzały tkwiące w jego ciele - stwierdził Volemak. - Chciał, by wszyscy się przekonali, kim jesteś, raz na zawsze rozwiązać wszelkie wątpliwości.

- Większość z nas wiedziała o tym od samego początku - zawtórowała mu Rasa. - Nie potrzebowaliśmy naocznych dowodów jak te ciężkie rany Nafaia.

- One nic nie znaczą - włączyła się Luet. - Nafai nosi powłokę Nadduszy. Jest teraz gwiazdnym sternikiem. Powłoka go uzdrawia. Elemak i Mebbekew już nie są w stanie w żaden sposób go zranić.

Jestem gotów? - zapytał Nafai. Ból znacznie ustąpił.

Prawie, rzekł Naddusza. Jeszcze chwilę poczekaj.

Elemak miał bolesną świadomość, że nikt nie stoi po jego stronie, oprócz Meba, który nie miał innego wyboru. Nawet Vas i Obring odwracali od niego wzrok - po nich nie mógł się spodziewać poparcia. Ale w zasadzie nigdy go nie oczekiwał. Od nikogo.

- Cokolwiek zrobiliśmy - powiedział - mieliśmy na względzie dobro naszych dzieci, naszych żon, a także waszych rodzin. Czy naprawdę chcecie opuścić Dostatok? Czy choćby jedno z was chce stąd odejść?

- Nikt z nas odejść nie chce - odpowiedziała mu Luet. - Ale każdy wie, że taki był zamiar od samego początku: by podążyć na Ziemię. Nie trzymano tego w tajemnicy. Nikogo nie okłamywano.

A potem - na domiar złego - zawtórowała jej Eiadh, wieńcząc dzieło jego upodlenia.

- Ja nie chcę opuszczać Dostatoku. Ale wolalabym już wiecznie błąkać się po pustyni,

niż widzieć, jak przyzwoity człowiek umiera, by nas tu zatrzymać.

Mówiła z żarem, który spalał Elemaka od środka. Nawet żona robi mi wyrzuty! Pograża mnie!

- Ach, jacyście teraz odważni! - zakrzyknął. - A wczoraj wszyscy się ze mną zgadzali. Czy naprawdę wydawało się któremuś z was, że nasz spokój i szczęście uda się zachować bez rozlewu krwi? Wszyscy wiedzieliście, że dopóki Nafai będzie mógł swobodnie macić i mataczyć, dopóty buntom i waśniom nie będzie końca. Jediną nadzieją na pokój jest to, co próbowałem zrobić ponad osiem lat temu.

Teraz! - odezwał się Naddusza.

Nafai powstał na nogi. Kręciło mu się w głowie, a jego ruchom brakowało pewności. Natychmiast „przypomniawszy sobie” dlaczego - proces szybkiego uzdrawiania wymagał wiele energii i powłoka ją pobierała z jego ciała. Lecz to czasowe osłabienie nie mogło go powstrzymać przed tym, co należało zrobić.

- Elemaku - odezwał się. - Przez całą drogę wylewałem gorzkie łzy. To, co próbowałem zrobić, napawa mnie cierpieniem. Żałuję, że nie zechciałeś ukorzyć się na tyle, by pogodzić się z zamysłem Nadduszy - gdybyś tylko to zrobił, z chęcią uznałbym twoje przewodnictwo. Ale twoje aspiracje wciąż wbijały między nas klin nieporozumienia. Gdybyś nie spiskował z najsłabszymi, oni ulegliby Nadduszy. Elemaku, nie widzisz, że sam siebie przywiodłeś na skraj śmierci? Działania Nadduszy mają na względzie dobro całej ludzkości i nie można ich powstrzymać. Czy naprawdę musisz umrzeć, zanim dasz temu wiarę?

- Wiem tyle, że za każdym razem, gdy pojawia się wzmianka o Nadduszy, to ty, twa marudna żonka bądź też Jej Wysokość matka próbujecie zdobyć władzę.

- Żadne z nas nie ma zakusów na władzę nad tobą ani nad nikim innym - odparł Nafai. - To, że ty bez przerwy marzysz o rządzeniu ludźmi, o pociąganiu za wszystkie sznurki, nie znaczy jeszcze, że reszta robi to samo. Zdaje ci się, że moja ambicja stworzyła tę paritkę, na której teraz stoję? Albo że spiskowanie matki i Luet unosi ją nad ziemią? Albo że dzięki marudzeniu Luet dotarłem tutaj nie w cały dzień, lecz w zaledwie godzinę?

- To jest pradawna maszyna i tyle - stwierdził Elemak. - Tak jak i sama Naddusza. Czyżbyśmy mieli przyjmować teraz rozkazy od maszyn?

Rozejrzał się wokół w poszukiwaniu poparcia, ale krew na szyi i tunice Nafaia była zbyt świeża; poza Mebbekelem nikt nie spojrzał mu w oczy.

- Przenosimy wioskę na północ, w pobliże Vusadki - orzekł Nafai. - I wszyscy, łącznie ze starszymi dziećmi, pracować będziemy pospół z maszynami Nadduszy, by zrekonstruować jeden gwiazdłot. A gdy będzie gotów, wszyscy wsiądziemy do niego i

wzniesiemy się ku gwiazdom. Podróż na Ziemię potrwa setki lat, ale dla większości z nas wyda się jedną nocą, a reszcie - zaledwie kilkoma miesiącami. I kiedy dotrzemy do celu, staniemy na piasku Ziemi jako pierwsi ludzie od czterdziestu milionów lat. Masz zamiar pozbawić nas wszystkich tej przygody?

Elemak milczał; podobnie jak Mebbekew. Nafai wiedział jednak, jakie myśli rodzą się w ich głowach. Złowieszcza determinacja, by dać teraz za wygraną, ale przy pierwszej sposobności pozbawić go przytomności, poderznąć mu gardło i wrzucić ciało do morza.

Trzeba ich przekonać, że wszelki opór jest daremny. Muszą zaprzestać spisków i całe siły poświęcić na rekonstrukcję statku.

- Nie rozumiesz, że nie możesz mnie zabić, choć nawet w tej chwili, Elemaku, wyobrażasz sobie, że podrzynasz mi gardło i wrzucasz moje ciało do morza?

W Elemaku spotęgowały się gniew i strach. Uderzały w Nafaia jak fale przyboju.

- Nie widzisz, że z każdą chwilą Naddusza uzdrawia rany w mej piersi, w mym gardle?

- O ile te rany w ogóle są prawdziwe! - zakrzyknął Meb.

Biedny Meb, najwidoczniej nie zauważył, że kłamstwo Elemaka ma krótkie nogi.

Nafai wraził palec w ranę na gardle. Ponieważ zaczęło się już tworzyć zbliznowacenie, musiał na nowo rozerwać tkanę, ale nikomu nie umknął fakt, że palec zagłębił się w jamę po strzale aż po trzeci paliczek. Ludzie jęknęli. Ból naprawdę był dojmujący. Muszę unikać takich teatralnych gestów, pomyślał Nafai.

Pokazał wszystkim swój zakrwawiony palec.

- Wybaczam ci, Elemaku - odezwał się. - I tobie, Mebbekewie. Nic wam się nie stanie, jeśli dacie mi słowo, że dopomocie mnie i Nadduszy w budowie gwiazdnego statku.

Tego było Elemakowi za wiele. W jego sercu tliła się jedynie ślepa, mordercza furia. Nie obchodziło go, co myślą inni - i tak stracił ich szacunek. Stracił żonę i dzieci. Co mu pozostawało? Straszliwe cierpienie mógł ugasić tylko w jeden sposób - zabije Nafaia. Zaciągnie go nad brzeg morza i przytrzyma pod wodą, póki nie przestanie wierzgać, póki nie minie mu ochota do walki. Potem niech inni robią, co zechcą - wszystko jedno, będzie rad, jeśli tylko Nafai umrze.

Elemak zrobił krok w kierunku Nafaia. Potem kolejny.

- Powstrzymajcie go! - zawołała Luet.

Nikt nie zastąpił Elemakowi drogi. Nikt się nie ośmielił - zawzięty grymas na jego twarzy był zbyt przerażający.

Mebbekew uśmiechnął się i ruszył za Elemakiem.

- Nie dotykajcie mnie - ostrzegł Nafai. - Moc Nadduszy żarzy się we mnie niczym

ogień. Jestem teraz osłabiony ranami, które mi zadaliście. Nie mam dość siły, by kontrolować daną mi moc. Jeśli mnie tkniecie, możecie zginąć.

Mówił z taką bezpretensjonalnością, że z jego słów była prawda. Poczuł, że w Elemaku coś się załamało. Nie znaczy to, że gniew ustąpił, ale pękła bariera, która nie dopuszczała uczucia strachu. A wtedy cała furia przerodziła się w to, czym była od samego początku - w obawę. Elemak się bał, że straci swoją pozycję na rzecz młodszego brata. Bał się, że ludzie dostrzegą w nim słabość zamiast siły. Bał się, że ludzie go nie pokochają.

I nade wszystko bał się, że tak naprawdę nie ma władzy nad nikim i niczym na tym świecie. Wszystkie lęki, które tak długo dusił w sobie, uwolniły się z oków silnej woli - i wszystkie się spełniły. Stracił swoją pozycję. Wszystkim wydawał się słaby, nawet własnym dzieciom. Wszystkim wydawał się niegodny miłości. I nie miał żadnej władzy, nie mógł zrobić nic, nawet zabić tego chłoptasia, który przywłaszczył sobie jego prawowite miejsce.

Gdy Elemak się zatrzymał, stanął także Meb, zupełnie pozbawiony własnej woli. Ale Nafai dobrze wiedział, że akurat jego morale nie osłabło tak bardzo jak Elemaka. Gdyby mu na to pozwolić, nadal by spiskował, a skoro Elemak wypadł z gry, już nic by nie ostudziłoby jego zapędów.

Dla Nafaia było przeto jasne, że jeszcze nie zwyciężył. Musiał zademonstrować wyraźnie, dobitnie, Mebowi i Elemakowi oraz całej reszcie, w sposób, którego nie zapomną, że to nie była jedynie utarczka między braćmi, że tak naprawdę Elemaka i Meba pokonał Naddusza, a nie on. A w głębi serca wciąż żywił nadzieję, że jeśli Elya i Meb zrozumieją, iż to Naddusza powalił ich dzisiaj na kolana, wybaczą mu i będą prawdziwymi braćmi.

Tylko tyle mocy, by ich porazić, powiedział Nafai bezgłośnie. Nie wolno zabić!

Powłoka zadziała zgodnie z twym zamierzeniem, usłyszał.

Wyciągnął rękę. Sam widział iskrzenie, ale wrażenie było zdecydowanie większe, gdy spoglądał na to oczami innych. Dzięki dostępowi do Nadduszy mógł zobaczyć z wielu perspektyw naraz. Swoją twarz rozświetloną migotliwym blaskiem, coraz jaśniejszą. I rękę, po której pęzło światło, jak gdyby zaroily się wokół niej tysiące robaczków świętojańskich. Wskazał na Elemaka, wtedy z palca wystrzelił mu łuk ognia prosto w głowę najstarszego brata.

Elya zadrgał w nieludzkim spazmie i upadł na ziemię.

Czyżbym go zabił?! - zawołał Nafai w bezgłośnej boleści.

Tylko go poraziłeś. Miej odrobinę zaufania, dobrze?

Faktycznie, Elemak poruszył się, wijąc z bólu i wierzgając nogami o ziemię. Uspokojony Nafai wyciągnął rękę w stronę Meba.

- Nie! - wrzasnął Mebbekew. Nie chciał doświadczyć tego co Elemak. - Obiecuję, zrobię, co zechcesz! Nie miałem zamiaru w ogóle pomagać Elemakowi, to on mnie do tego zmusił.

Nafai widział jednak, że Meb w głębi serca nadal spiskuje i obmyśla zemstę.

- Meb, aleś ty głupi. Przecież gdyby Elemak cię nie powstrzymał, zamordowałbyś mnie na pustyni, bo nie pozwoliłem ci zabić pawiana. Myślisz, że o tym nie wiem?

Twarz Meba zamieniła się w maskę pokornego strachu. Pierwszy raz w życiu Mebbekew stanął w obliczu jednej z własnych wstydliwych tajemnic, której, jak sądził, nikt nie mógł znać; teraz już nie zdoła uciec przed karą.

- Ja mam dzieci! Nie zabijaj mnie! - błagał.

Łuk błyskawicy ponownie trzasnął w powietrzu. Meb zwałił się na ziemię.

Nafai był wyczerpany. Ledwie stał. Luet, pomóż mi! - poprosił bezgłośnie, nagle.

Poczuł jej ręce na ramionach. A więc wspięła się na paritkę i stanęła obok niego.

Ach, Luet, tak powinno być zawsze. Zawsze bądź przy mym boku. Bez twojej pomocy nie dam sobie rady.

W odpowiedzi wyczuwał w niej jedynie miłość, wielką ulgę, że niebezpieczeństwo minęło, dumę z jego siły.

Skąd w tobie tyle łaskawości? - zapytał ją bezgłośnie.

W jej sercu znalazł tylko jedno przesłanie: „Kocham cię”.

Zdecydował, że paritka powinna osiąść na ziemi, i tak się stało. Luet pomogła mu zejść z maszyny i, przedzierając się przez grupę dzieci, poprowadziła go do domu. W ciągu kilku następnych minut wszyscy mieszkańcy Dostatoku zawitali na ich progu, by zaoferować pomoc. Ale Nafai potrzebował tylko snu.

- Zatoszcz się o innych - poprosił żonę szeptem. - Obawiam się, że to wszystko mogło im trwale zaszkodzić.

Gdy się obudził, już prawie zmierzchało. Zdorab pichcił coś w kuchni; Issib, Hushidh, Shedemei i Luet zebrali się wokół jego łóżka. Nie patrzyli na niego... rozmawiali między sobą. Nadstawił ucha.

Mówili o tym, jak bardzo współczują Eiadh i Lal, i ich dzieciom. Szczególnie Proyi, tak dumnemu ze swego ojca, Elemaka.

- Wyglądał, jakby właśnie zobaczył śmierć ojca - zauważyła Luet.

- Bo zobaczył - stwierdziła Hushidh. - A przynajmniej śmierć ojca, którego znał i podziwiał.

- Szkody dzisiejszego dnia nieprędko uda się naprawić - powiedziała Shedemei.

- A czy to w ogóle szkody? - oponowała Luet. - Czy raczej początek procesu gojenia ran, które lekceważyliśmy przez osiem lat?

Hushidh cmoknęła językiem.

- Sam Nafai pierwszy by przyznał, że to, co się dziś wydarzyło, nie zagoiło żadnych ran. Przeciwnie, zaogniło stare i zadało nowe. Dzisiaj Naddusza dopięła swego: gwiazdolit zostanie przygotowany do lotu, a Elemak i Mebbekew będą pracować ciężko jak inni, gdy już wydobrzeją. Ale szkody są trwałe. Elemak i Mebbekew już na zawsze uważać będą Nafaia za wroga. I każdego, kto mu służy.

- Nikt mu nie służy - sprzeciwiła się Luet. - Służymy tylko Nadduszy, Nafai też.

- Tak - natychmiast przytaknęła Shedemei. - Wszyscy to rozumiemy, Luet. I tę rozprawę ze spiskowcami poprowadziła Naddusza, nie Nafai. Jeśli nie on, kto inny nosiłby powłokę.

Tym razem nie zdradziła innym, że ona otrzymałaby powłokę, gdyby Nafai odmówił. Zachowała tę wiedzę między sobą i Zdorabem. Co do Elemaka i Mebbekewa, Vasa i Obringa - mało prawdopodobne, by powiedzieli o tym komukolwiek, o ile w ogóle zrozumieli, co im wczoraj oznajmiła. Zawsze będzie świadoma, że była następnym z kolei kandydatem na przywódcę tej kolonii - i to jej wystarczyło.

- Obudził się - zauważyła Luet.

- Skąd wiesz? - zapytał Issib.

- Inaczej oddycha.

- Już nie śpię - przyznał Nafai.

- Jak się czujesz? - niepokoiła się Luet.

- Wciąż zmęczony. Ale lepiej. A tak naprawdę... dobrze. Hm, nawet nie jestem zmęczony. - Uniósł się z pościeli i natychmiast poczuł, że kręci mu się w głowie. - Po namyśle przyznaję, że jednak zdecydowanie zmęczony. - Opadł na posłanie.

Wybuchnęli śmiechem.

- Gdzie Elya i Meb? - zapytał.

- Odsypiają, podobnie jak ty - poinformowała Shedemei.

- A kto dogląda waszych dzieci?

- Matka - odparł Issib.

- Lady Rasa - zawtórowała mu Shedemei. - Zdorab postanowił, że przyda ci się prawdziwe jedzenie, więc coś pitrasi.

- Ależ nie - stwierdziła Luet. - Zodya wiedział, jak bardzo będę się martwić, i nie chciał, bym zawracała sobie głowę również kuchnią. Ale, ale, nie zapytałeś o nasze dzieci.

- Nie muszę - rzekł Nafai. - I bez tego wiem, gdzie są.

Wkrótce zjedli razem, zebrani wokół łóżka. Nafai wyjaśnił im, jakiej pracy wymagał będzie gwiazdolit, i zaczęli się zastanawiać nad podziałem obowiązków. Nie rozmawiali jednak długo, gdyż Nafai był wyraźnie zmęczony. Szybko odeszli, nawet Luet; ale ona wkrótce powróciła z dziećmi, które wzięły ojca w objęcia. Szczególnie mocno przywarła do niego Chveya.

- Tatusiu - powiedziała - słyszałam twój głos w mym sercu.

- Tak naprawdę to był głos Nadduszy.

- Nie, to byłeś ty, gdy sądziłeś, że za chwilę umrzesz - upierała się Chveya. - Stałeś na wzgórzu, gotów zbiec na dół i rzucić się na niewidzialną ścianę. I krzyknąłeś: „Veya, kocham cię!”.

- Tak. To był jednak mój głos.

- Ja też cię kocham, tatusiu.

Ponownie zasnął.

Obudził się w środku nocy, słysząc bryzę znad morza hulającą na pokrytym strzechą dachu. Czuł się znów silny, na tyle silny, by unieść się z wiatrem i pofrunąć.

Przyciągnął Luet do siebie. Obudziła się z lekka, ale nie protestowała, jeszcze mocniej się wtuliła w niego. Miała ochotę się kochać, gdyby i on tego chciał. Ale dziś pragnął jedynie ją obejmować. Podzielić się z nią skrzącym światłem powłoki, by ona również pamiętała to wszystko, czego on się dowiedział z pamięci Nadduszy. By mogła wejrzeć w jego serce tak wyraźnie, jak on zajrzał w jej duszę, i poznać jego miłość do niej tak pewnie, jak on poznał jej miłość do niego.

Światło emanujące z powłoki pojaśniało. Ucałował jej czoło, a gdy odjął wargi, zobaczył, że nikły blask iskrzy się także na niej. Wiedział, że ten błysk się rozleje. Rozleje się po jej ciele, aż w końcu nie będzie między nimi różnicy.

Niechaj nie będzie między nami żadnej bariery, Luet, ma ukochana. Już nigdy nie chcę być sam.

Podziękowania

Nad powstaniem niniejszej książki wisiało jakieś fatum. Na jej napisanie przeznaczyłem większą część wakacji - nawet zrezygnowałem z darmowej wycieczki do Australii, ponieważ wypadła w samym środku tego projektu. A tu raptem, bo tak już ten świat jest urządzony, okazało się, że spędzam czas na podróżach po Ameryce i składaniu autografów na egzemplarzach „Ksenocydu”, który z wielu świetnych powodów ukazał się drukiem kilka miesięcy wcześniej, niż planowano. Gdy w końcu wróciłem z wojaży, wpadłem w wir przygotowań do przeprowadzki do nowego domu na drugim końcu miasta - w końcu naszego własnego, a nie wynajmowanego! Dodajmy do tego kuszące drobiazgi związane z przebudową nowego lokum, by pomieścić w nim nie tyle nas, ile nasze komputery - i już wiedziałem, że będę mógł się skupić na pisaniu „Statków Ziemi” tylko i wyłącznie wtedy, gdy gdzieś się zaszyję.

Jak pomyślałem, tak zrobiłem. Biedni Clark i Kathy Kiddowie! Pewnie myśleli, że jakimś cudem, przypadkowo, jeszcze w epoce lodowcowej, spłodzili dziecko, które po wielu latach, niczym syn marnotrawny, wróciło do ich domowego gniazdka. Wtargnąłem do ich domu w Sterling w stanie Wirginia, przejąłem we władanie stół w jadalni, po czym całkowicie oddałem się pisaniu. Odkleiliśmy się od pracy dopiero wtedy, gdy dwa różne komputery odmówiły współpracy i musiałem zamęczać i błagać firmę Northgate, by je wymieniła. A gdy Clark i Kathy wyrwali się na weekend we dwoje do Rehoboth Beach, przyłączyłem się niczym piąte koło u wozu; wstępny szkic rozdziału szóstego wciąż nosi ślady piasku plaż Delaware. Mimo to przez cały czas Kiddowie udawali, że świetnie się ze mną bawią, za co jestem im wdzięczny.

Tyle samo, co Clarkowi i Kathy, zawdzięczam również - ponownie - mojej małżonce Kristine oraz naszej asystentce Erin Absher; dzięki nim nasz stary dom nie popadł w ruinę, dzieci miały co jeść, a przebudowa nowego domu szła zgodnie z planem pomimo mnóstwa mniejszych lub większych dramatów. Kristine znalazła nawet czas, by przeczytać moje nowe dzieło i krytycznie je ocenić, nakłaniając mnie do wykasowania co bardziej paskudnych fragmentów - co znacznie poprawiło tę powieść, bez dwóch zdań! By pisać, potrzebuję świętego spokoju, a był to jeden z wielu darów, które otrzymałem od Kristine i Erin oraz Clarka i Kathy.

Muszę też pochylić czoło przed Shirley Strum, której książka „Almost Human” podsunęła mi wiele pomysłów dotyczących jednych z moich ulubionych bohaterów „Statków Ziemi” - pawianów. Redaktorze Beth Meacham i agentce Barbarze Bovie dziękuję za cierpliwość w wysłuchiwaniu mego ciągłego skomlenia i marudzenia oraz za pomoc w wielu kwestiach, o których czytelnicy nigdy się nie dowiedzą, a za które jestem dozgonnie wdzięczny.